



Stadion na peryferiach

Marta Kurkowska-Budzan
Marcin Stasiak

universitas

Stadion **na peryferiach**

Stadion na peryferiach

Marta Kurkowska-Budzan

Marcin Stasiak

Publikacja sfinansowana ze środków Narodowego Centrum Nauki
przyznanych na podstawie decyzji nr DEC-2011/03/B/HS3/00642

© Copyright by Marta Kurkowska-Budzan, Marcin Stasiak and
Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS,
Kraków 2016

ISBN 97883-242-2885-0

Opracowanie redakcyjne, projekt okładki i skład
Pracownia Mole

Recenzent
dr hab. Mariusz Mazur

Wybór zdjęć
Marcin Stasiak

Na okładce wykorzystano fotografię ze zbiorów Sławomira Milewskiego:
Trening kolarzy LZS, połowa lat 70., wieś Ptaki k. Kolna, ówczesne
woj. łomżyńskie.

www.universitas.com.pl

Podziękowania

Chcemy w tym miejscu dać wyraz wdzięczności przede wszystkim naszym rozmówcom, którzy podzielili się swoimi doświadczeniami, udostępnili fotografie i osobiste materiały o charakterze archiwalnym. Byli to (w kolejności alfabetycznej):

Stanisław Barczak (Lubartów), Jan Bordzoł (Nowodwór, Lubartów), Tadeusz Guz (Lubartów), Jerzy Jedut (Lubartów), Halina Kamińska (Sieburczyn), Małgorzata Kanar (Lubartów), Waldemar Kosowski (Kolno), Teresa Kurkowska (Konarzyce), Zdzisław Kurkowski (Konarzyce), Sławomir Milewski (Kolno-Ptaki), Cecylia Nicińska (Otwock), Stanisław Niciński (Otwock), Wiesław Niciński (Warszawa), Andrzej Orłowski (Kolno), Antoni Połomski (Kolno), Janusz Pożak (Lubartów), Joanna Stachyra (Lubartów), Helena Sułek (Gdańsk), Karol Stachelski (Kraków), Bronisław Szymański (Kolno), Jan Tomala (Lubartów), Lech Wójcik (Lubartów), Wiesława Zalewska (Kolno), Edward Zalewski (Kolno).

Panom Januszowi Gierachowi i Ryszardowi Ochowi z Lubartowa, Bronisławowi Szymańskiemu i Edwardowi Zalewskiemu z Kolna oraz pracownikom Kolneńskiego Ośrodka Kultury i Sportu i Miejskiej Biblioteki Publicznej dziękujemy za pomoc w dotarciu do lokalnych źródeł i rozmówców.

Niezwykle doceniamy pracę i dziękujemy za pomoc paniom archiwistkom z Akademii Wychowania Fizycznego im. Bronisława Czecha w Krakowie i Akademii Wychowania Fizycznego im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie.

Profesorowi Zbigniewowi Krawczykowi składamy podziękowania za długą, bezcenną konsultację telefoniczną.

Dziękujemy za dyskusję nad wstępnymi założeniami projektu prof. Krzysztofowi Zamorskiemu i uczestnikom jego seminarium doktoranckiego w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Specjalne podziękowania należą się dr. hab. Mariuszowi Mazurowi z Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej, który zechciał z uwagą przeczytać i zrecenzować książkę przed jej wydaniem.

Dziękujemy wreszcie naszym rodzinom – za cierpliwość.

Wstęp

Na otwarciu linii autobusowej czekało Jankowo Młodzianowo ponad dwanaście lat. Dopiero w przededniu Zielonych Świąt, wzbijając tumany kurzu na niedawno załataną żwirówce, z półgodzinnym opóźnieniem zajeżdżał z impetem różnokolorowy autosan. Powitało go ponad pół wsi. Roześmiany od ucha do ucha kierowca poprosił o papierosa, a kobiety w międzyczasie ubierały pojazd kwiatami. Naczelnik Jerzy Dec przeciął wstęgę. A Antoni Chojnowski, miejscowy opiekun ZSL, ogłosił rozpoczęcie festynu sportowego. Biegano po bruku na bosaka, co budziło podziw przyjezdnych, którzy mimochodem zauważyli, że obok znanych im twardogłowych, rośnie nowa generacja twardostopych. Oby z pożytkiem dla kraju! Święto wieńczyła zabawa ludowa z poczęstunkiem w remizie strażackiej Skarbowia Młodzianowa (...)¹.

W *Stadionie na peryferiach* chcemy opowiedzieć o ludziach w czasie i przestrzeni, które są jednocześnie bardzo bliskie współczesnemu Polakowi, ale też bardzo odległe. Czas, który umownie nazywamy na kartach tej książki Peerelem, to okres pomiędzy 1944 a 1989 rokiem. Działo się to stosunkowo niedawno, lecz historyczność tej epoki podkreśla zarówno fakt, że dorosło już pokolenie urodzone po 1989 roku, jak i to, że jej obraz uległ w powszechnej wyobraźni swoistej petryfikacji. W szczególności obraz „społeczeństwa Peerelu”. Jest

1 G. Lörinczy, *Festyn twardostopych*, „Kontakty” 1981, nr 25, s. 14.

to, w swym nieostrym popularnonaukowym przekazie i wizerunku, społeczeństwo wielkomiejskie i z wyjątkiem kolejnych społecznych protestów i „polskich miesięcy” raczej pasywne. Ta refleksja była dla nas punktem wyjścia do postawienia pytania: co mogłoby być takim wątkiem codziennej ludzkiej aktywności, który dałby nam do ręki klucz – jeden z wielu istniejących, jak sądzimy – do otwarcia innej historycznej perspektywy na „społeczeństwo Peerelu”. Uznaliśmy, że tym tematem jest obecność sportu w kulturze prowincji i w doświadczeniu mieszkańców wsi i miasteczek.

Zazwyczaj we wstępie autor definiuje kluczowe pojęcia, którymi się posługuje w pracy. W przypadku naszego projektu badawczego losy kategorii są ściśle związane z rezultatami badań, co wynika z przyjętej przez nas metodologii. O to, czym była prowincja w Peerelu i czym był sport w jej kontekście, pytaliśmy w trakcie badań, a odpowiedź spróbowaliśmy dać w treści książki. Sama metodologia – jej kolejny sprawdzian w warsztacie historyka – był też jednym z naukowych celów, które sobie postawiliśmy. Szczegóły perspektywy badawczej, rodzaj źródeł i omówienie terminologii oraz kwestii problematycznych związanych z procesem poznawczym zawarliśmy na końcu książki jako *Suplement, czyli jak poznawaliśmy stadiony na peryferiach*. Zdecydowaliśmy się na ten zabieg konstrukcyjny po to, by wybrnąć z jednego z największych kłopotów, jakie powstają, kiedy na bazie badań łączących metody i źródła socjologiczne, antropologiczne i historyczne trzeba stworzyć ostateczną narrację. Opowieść historyka rządzi się innymi zasadami niż raport socjologa i nie ukrywajmy – ta pierwsza jest bardziej atrakcyjna dla czytelnika. Z tego powodu obszernie omówienie warsztatu badawczego znalazło się poza nawiasem głównej narracji.

W tym miejscu chcemy krótko wytłumaczyć ideę, która ufundowała konstrukcję tej książki. Etymologia wyrazu „sport” sięga

starożytnego Rzymu. Łacińskie słowo *disporto*, potem *disporte* składa się z rdzenia *porta* (brama) oraz przedrostka *dis-* określającego przemieszczenie. W schyłkowym Imperium Rzymskim miało oznaczać wychodzenie z gęsto zabudowanego miasta poza jego bramy celem zabawy i ćwiczeń fizycznych na świeżym powietrzu. Wyróżniona przestrzeń poza murami przynależała jednak do miasta. To, co się w niej działo, było elementem doświadczania miasta jako struktury materialnej – przechodzenie bram w obie strony, oraz jego tkanki społeczno-kulturowej. Przestrzeń przeznaczona na rekreację była dla mieszkańców wartością i atrybutem konkretnej społeczności. Nasze poszukiwania sportu na prowincji zaczęły się od tego tropu. Materialność, wyróżniona przestrzeń i jej funkcje dały konceptualną ramę analizy.

Tytułowy stadion na peryferiach jest dla nas zarówno metaforą badanego problemu, jak i dosłowną przestrzenią, z której w większości rozdziałów staramy się prowadzić niejako „transmisję na żywo”. W badaniach dążyliśmy do tego, by być blisko ludzkiego doświadczenia, dlatego w treści zamieszczamy obszernie fragmenty autobiograficznych narracji lub przedstawiamy bohaterów, którzy są swego rodzaju przewodnikami. W rozdziale pierwszym pt. *Pokolenie* podążamy za Staszkiem Nicińskim, wiejskim chłopcem z rocznika 1941. Jego losy omówione na tle sytuacji powojennej wsi i małych miasteczek północno-wschodniej Polski są w dużej mierze reprezentatywne dla pokolenia dzieci wiejskich, które zetknę się ze sportem wskutek „rewolucji kulturalnej” przeprowadzonej przez komunistów. Będzie to pokolenie, dla którego m.in. sport stanowił widoczny atrybut wyższego statusu społecznego i innego niż chłopski, nowoczesnego, „miejskiego” stylu życia, do którego znaczna część tych młodych ludzi zacznie aspirować. W tym rozdziale, który zaczyna się tuż po wojnie,

a kończy w pierwszej połowie lat 60., będziemy wędrować po placach przyszkolnych, po polach i wiejskich podwórkach. Po-
cząwszy od rozdziału drugiego do czwartego włącznie, nasza
uwaga poświęcona jest przestrzeni i materialności. W niej wła-
śnie widzimy człowieka, jego działania, warunki i konsekwencje
tych działań, które składają się na pewne kulturowo-społeczne
zjawiska wspólne dla całego okresu, choć intensywność ich wy-
stępowania jest zmienna. W rozdziale drugim pt. *Dzikie boiska*
omawiamy spontaniczne stwarzanie przestrzeni dla autotelicznej
aktywności fizycznej, powoływanie Huizingowskiego „świętego
kręgu zabawy”. Tutaj przewodnikami są młodzi chłopcy z wielu
wsi i małych miasteczek – od Białostocczyzny i Lubelszczyzny po
Ziemie Zachodnie. W rozdziale trzecim pt. *Bilans otwarcia* doko-
nujemy koniecznego podsumowania warunków materialnych,
politycznych i instrumentarium idei, którymi dysponował zorga-
nizowany sport i kultura fizyczna w przełomowym, tużpowojen-
nym okresie. Wiąże się on z rozdziałem czwartym, zasadniczym,
w którym ukazujemy zjawiska, które konstituowały „stadion na
peryferiach” przez cały Peerel. Poruszamy tu m.in. kwestie spraw-
czości i uwarunkowań, materialności i idei. W rozdziale piątym
pt. *Nowy człowiek na nowym stadionie* sportowa arena jest tym ra-
zem nie tylko miejscem zabawy i rywalizacji sportowej – tak, jak
chcieliby ją widzieć bohaterowie poprzedniego rozdziału – ale
również polem, na którym w mniej lub bardziej specyficzny dla
provincji sposób materializuje się symboliczna przemoc partii
i państwa. W rozdziale szóstym pt. *Rowerem w świat* podążamy
ścieżkami sportowców wiejskich i małomiasteczkowych – biorąc
za przykład kolarzy, którzy uprawiając wyczynowy sport, prze-
kraczali na różne sposoby granice swojej wsi i małego miasta.
W *Światłach miasta* podsumowujemy nasze wnioski, wracając do

pytania o to, czym była prowincja, i o rolę sportu w życiu kolejnych pokoleń mieszkańców wsi i małych miasteczek w Peerelu.

Nie jest to do końca książka o historii sportu. Jak wszystkie opracowania z pogranicza dziedzin, może rozczarować czytelników spodziewających się gatunkowej poprawności. Mamy jednak nadzieję, że wnosi pewne wartości poznawcze, a przynajmniej może stanowić pretekst do dyskusji nad polską prowincją, jej mieszkańcami i kulturowymi przemianami, jakie miały tam miejsce drugiej połowie ubiegłego wieku.



Halina, Wiesław i Stanisław Nicińscy
podczas ćwiczeń gimnastycznych.

Pokolenie

Gimnastyczny popis na rodzinnym podwórzu – prywatnym stadionie. Jest koń, a dokładnie klacz, jest i strój z firanki dla podkreślenia estetycznego wymiaru ćwiczeń. Fotografie zostały wykonane między 1962 a 1965 rokiem, w niewielkiej wsi Przytuły Las, powiat Łomża.

Te zdjęcia zaskakują na tle zawartości czarnych stron albumów rodzinnych, z których pochodzą – typowych kolekcji fotografii, jakie posiada większość Polaków z tego pokolenia: upozowane pary ślubne, koledzy i koleżanki ze szkoły na ofiarowanych zdjęciach legitymacyjnych, rozbawione towarzystwo na wycieczkach lub obozach, uroczystości rodzinne.

To nie jedyne fotografie z sesji sportowych, jest ich więcej: kilka pochodzi z lat wcześniejszych, dużo więcej z lat późniejszych. Młodzież na zdjęciach to rodzeństwo – roczniki 1940, 1945, 1954. Najstarszy to Stanisław – on i siostra Halina są w tym czasie młodymi nauczycielami, najmłodszy Wiesiek ma już swoje marzenia edukacyjne, choć jeszcze niesprecyzowane co do kierunku kształcenia.

Kto je wykonał? Dlaczego poświęcił na nie cenne klisze, zamiast zachować je na inną, poważniejszą i bardziej uroczystą okazję? Na pierwsze pytanie dość łatwo jest odpowiedzieć: Stanisław był posiadaczem aparatu Penti i inicjatorem tej i wielu innych podobnych sesji. Nauczył Wieśka robić zdjęcia; młodszy brat chętnie się tym zajmował. Dokumentowali to, w czym się doskonalili,

co sprawiało im przyjemność i satysfakcję. Nie dziwi nas dzisiaj ani jedna, ani druga pasja, ale warto sięgnąć wstecz, zarówno do osobistej historii najstarszego z rodzeństwa, jak i historii tamtego pokolenia wiejskiej młodzieży, aby zrozumieć te fotografie i skalę zmian społecznych i mentalnościowych, które były ich kontekstem.

Rodzice Staszka, chłopci o przeciętnym statusie materialnym, cenili formalną edukację. Sześcioro dzieci – czterech chłopców i dwie dziewczynki – urodzonych między 1937 i 1954 rokiem pilnie chodziło do oddalonej o ponad trzy kilometry szkoły podstawowej w Przytułach niezależnie od pogody, a przede wszystkim niezależnie od tego, jak wiele pracy sezonowej czekało rodzinę w polu i zagrodzie. Ojciec często powtarzał, że dzięki wykształceniu i umiejętnościom można zapracować na lepsze życie. Sam pamiętał wiejskie dzieciństwo na Kurpiach. Do siódmego roku życia nie znał smaku mięsa, ale jako kilkunastoletni chłopak poznał smak pomarańczy, które przemycił przez wschodniopruską granicę do Polski. Później pracował w Warszawie jako kierowca i mechanik. Z tamtych czasów pochodzi jedyne przedwojenne zdjęcie w rodzinnym albumie – dwudziestolatka w eleganckim garniturze i jedwabnym szaliku. Trzeba być odważnym i chcieć tego, czego inni jeszcze boją się chcieć – taka była pierwsza, domowa nauka. Nie była to jednak typowa postawa rodziców chłopskich w owym czasie.

Szkoła w Przytułach, do której we wrześniu 1947 roku miał iść Staś, była jedną ze stu pięćdziesięciu czterech przedwojennych szkół podstawowych na terenie powiatu łomżyńskiego (województwo białostockie). Przed wojną w tym rolniczym, cywilizacyjnie opóźnionym w stosunku do zachodnich ziem ówczesnej Polski

regionie były tylko cztery gminy miejskie z miastami: Łomżą (28 tys. mieszkańców), Zambrowem (7,5 tys.), Kolnem (5 tys.), Stawiskami (2,5 tys.) oraz kilka mniejszych miasteczek, wśród nich Jedwabne. W miasteczkach tego regionu Żydzi stanowili większą część mieszkańców – w Kolnie było to 67% populacji, w powiatowej Łomży – 65%. Po Zagładzie Żydów, według danych z roku 1946 w Kolnie mieszkało 3295 osób, w Zambrowie jedynie 4500 osób, w Stawiskach – 1687, w Jedwabnem – 1670, a w Łomży 13772 osoby. Wskutek eksterminacji ludności żydowskiej miasteczka regionu nie tylko liczebnie się zmniejszyły, ale zmieniło się znacznie ich oblicze społeczne i kulturowe.

Przedwojenne sztette mazowieckie, podlaskie, galicyjskie

pachniały podobnie: biedą małego handlu, ciasnych warsztatów i ulicznych straganów. Ich mieszkańcy życie wiedli w bocznych uliczkach niedaleko rynku, w drewnianych, ciemnych i wilgotnych chałupach, często pochylonych czasem i nędzą. Gdzieś między nimi była zawsze bóżnica, bejs medresz i mykwa. Bogatsi Żydzi małego miasteczka, często trochę wykształceni i trochę spolonizowani, mieli swoje świeckie żydowskie instytucje: siedziby partii politycznych i ich młodzieżowe przybudówki, biblioteki jidysz i hebrajskie, czasem nawet kino lub salę taneczną².

Piszemy „miasteczka”, sugerując się najczęściej oficjalnym statusem administracyjnym miejscowości, ale jest to pojęcie nie

2 A. Grupińska, *Opowieści polskich Żydów*, cz. 4, „Dwutygodnik”, (on-line:) <http://www.dwutygodnik.com/artukul/1395-z-opowiesci-polskich-zydow-4.html> (dostęp 20.07.2016).

tylko nieprecyzyjne, a wręcz mylące, przynajmniej dla wschodniej Polski. Jedwabne (powiat łomżyński, województwo białostockie), szczytające się prawami miejskimi nie różniło się wiele ani przed, ani po wojnie od leżącego w tym samym powiecie Nowogrodu (wieś do końca wojny, w 1946 roku – 1125 mieszkańców) czy Śniadowa (wieś od 1900 roku). Niezależnie bowiem od ich wielkości tym, co nadawało kształt życiu mieszkańców, była funkcja gospodarcza, jaką pełniły te osady: przed wojną dominowało w nich rzemiosło i handel oraz usługi dla wsi. Mieściły się w nich liczne młyny, kaszarnie, kuźnie. Sporo rodzin utrzymywało się także – jeśli nie w pełni, to przynajmniej w części – z uprawy ziemi i hodowli. Cotygodniowe jarmarki regulowały rytm pracy i życia codziennego całej okolicy, tak jak dni żydowskich i katolickich świąt religijnych – rytm modlitwy, odpoczynku i zabawy. Pewien aspekt codzienności przed- i powojennego Jedwabnego, być może wcale niewidoczny dla uczestników targów i powszednich klientów sklepików, wyróżniał jednak tę miejscowość spośród innych podobnych. Była to szkoła średnia. Inteligencję małomiasteczkową, oprócz przysłówiowego aptekarza i proboszcza, wzbogacali zatem nauczyciele. Także duża liczba starszej, aspirującej młodzieży, która dojeżdżała lub mieszkała na stacjach w Jedwabnem, dodawała mu waloru codziennej „miejskości”, przynajmniej w odczuciu mieszkańców. Dla chłopów z okolicy „miejskość” to był przede wszystkim szybki dostęp do produktów pierwszej potrzeby, których nie można było wytworzyć we własnym gospodarstwie (np. nafta, cukier) lub do lekarstw i porad w aptece, a także towarów luksusowych, do których zaliczała się przykład słodka bułka z piekarni.

Kolno, przed i po wojnie dużo większe od Jedwabnego, miało nie tylko szkołę średnią – posiadało połączenie kolejowe z Myszyńcem,



Rynek w Kocku w dzień targowy, okres międzywojenny.

skąd trasa prowadziła do Prus Wschodnich. Kolej wąskotorowa zbudowana przez Niemców w 1915 roku otwierała Kolno na świat. Przewożone nią towary i ludzie, przyszli jej pasażerowie ściągający z okolic i ci, którzy właśnie wysiedli – to wszystko wprawiało miejscowość w rzeczywistość miejski ruch. Po hekatombie Żydów i w okresie, kiedy z powodu zniszczeń wojennych zamknięto trasę wąskotorówki (od 1945 do 1950 roku), ulice Kolna ucichły. Jeszcze ciszej było w Jedwabnem, Radziłowie, Stawiskach, Nowogrodzie. Ruch zaczynał się i kończył w dni targowe.

„Czymże też są nasze miasteczka polskie? Ani wsią, ani w prawdziwym znaczeniu miastem. Czem mieszczanie? Ani prawdziwymi rolnikami, ani rękodzielnikami. (...) W takich miasteczkach mieszkaniem z głodu nie umiera, ale też tyle tylko,

że nie umiera” – pisano w wieku XIX³. O Białostocczyźnie w latach międzywojennych gorzko napisał Melchior Wańkowicz:

A ziemia białostocka, krewna ziemia, zamknięta jest w siąpie małomiasteczkowości, w którym, zda się, czujesz butwiejące białostockie sukno. Nie ujrzysz na niej łapci, nie ujrzysz samodziąłu, łykowych kobiał. Ale i nie ujrzysz na niej gazety, książki, teatru. (...) Biedna ziemia, w pobliżu centrów położona, odeszła i nie doszła, zamurowana, ślepa...⁴

W Polsce zwanej ludową liczba mieszkańców miasteczek powiatu łomżyńskiego osiągnęła poziom z okresu przedwojennego dopiero w drugiej połowie lat 60., kiedy wraz z inwestycjami, takimi jak małe zakłady przetwórstwa rolno-spożywczego, ośrodki mechanizacji rolnictwa czy drobne zakłady przemysłu lekkiego, a także wraz z rozbudową administracji, przyciągać zaczęły pracowników – przybyszów ze wsi. Tylko Zambrów, dzięki jednej ze sztandarowych inwestycji planu sześcioletniego – budowie i uruchomieniu na początku lat 60. Zakładów Przemysłu Bawełnianego i napływowi pracowników – znacznie przekroczył swoją przedwojenną liczebność. Powiatowa Łomża osiągnęła swój stan zaludnienia sprzed wojny dopiero w połowie lat 70., dzięki powstaniu kilku zakładów przemysłu lekkiego i spożywczego, jak i ogólnym działaniom państwa oraz ich konsekwencjami urbanizacyjnymi związanymi z faktem utworzenia tu w 1973 roku centrum nowo powstałego województwa.

3 A. Ostrowski z broszury wydanej w Paryżu w 1834 roku, cyt. za: W. Caban, *Struktura społeczno-zawodowa mieszczaństwa guberni radomskiej w połowie XIX w.*, „Kieleckie Studia Historyczne” 1994, t. 12, s. 43.

4 M. Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Kraków 1988, s. 29.

„Miejskość” najmniejszych dawnych sztetli można po wojnie mierzyć także cywilizacyjnym dystansem od pozostałych osad. Elektryczność, komunikacja autobusowa ze stolicą powiatu i kolejno łączonymi w sieć miejscowościami, zaopatrzenie sklepów, wreszcie szkoły średnie oraz instytucje kultury, takie jak biblioteki czy gminno-miejskie ośrodki kultury (czasem z kinami), które pojawiły się w drugiej połowie lat 60. – to wszystko stanowiło w odpowiednich okresach o cywilizacyjnej wyższości na przykład Jedwabnego w stosunku do wsi Przytuły. Mimo że do lat 80. przy głównym rynku miasteczka stała zagroda z chlewem, a chrząkanie świń towarzyszyło przechodniom przez połowę biegnącej wprost do Gminnego Ośrodka Kultury ulicy.

Do tematu przemian małych miasteczek w tej i innych częściach Polski w kolejnych dekadach powrócimy jeszcze w następnych częściach książki. Teraz interesuje nas ów okres w dziejach, który można nazwać z dystansem historyka: „okresem niepewności” albo, bardziej dramatycznie, ale z perspektywy włączającej również punkt widzenia ówczesnej ludności, czasem „wielkiej trwogi”⁵.

Wówczas w wiek szkolny, formacyjny wkracza pokolenie dzieci, które będą na własnej skórze doświadczać komunistycznego eksperymentu wychowawczego. Oczywiście także na prowincji, daleko od Warszawy czy miast wojewódzkich, i na taką skalę, na jaką będzie stać – organizacyjnie i mentalnie – odległe od centrów władzy i idei lokalne instytucje i środowiska. Tutaj dotyczyć będzie populacji dzieci przede wszystkim wiejskich i niewielkiej w stosunku do nich liczby dzieci z opustoszałych z ludności żydowskiej małych miasteczek.

5 M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków–Warszawa 2012.

Tuż przed wybuchem wojny w powszechnych szkołach wiejskich inspektoratu łomżyńskiego zapisanych było nieco ponad 20 tys. dzieci, szkoły miejskie miały w rejestrze ponad 7 tys. uczniów. Zimą 1945 roku, kiedy można już mówić o uruchomieniu dostępnej wówczas infrastruktury szkolnej, w szkołach wiejskich powiatu uczyć się miało ponad 18,5 tys. dzieci, a w miejskich – 5,5 tys. Dodatkowo w kilkunastu szkołach powstały klasy dla dzieci i młodzieży opóźnionej w nauce, w których znalazło się 1160 uczniów⁶.

Dane o dzieciach zapisanych do szkoły mówią jednak mało o tym, jak wykorzystywano przed i po wojnie dostęp do powszechnej oświaty na prowincji, w szczególności na wsi. Ten problem można ująć z kilku perspektyw, z których najistotniejsze dla wyjaśnienia tego zjawiska również w okresie Polski Ludowej wydają się stosunek chłopów do edukacji i sytuacja gospodarcza na wsi.

Chłopskie dziecko w małej wsi przed wojną najczęściej kończyło edukację na czterech klasach, mimo iż bezpłatnie mogło i powinno, z uwagi na wprowadzony w 1932 roku obowiązek szkolny, uczęszczać do siedmioklasowej szkoły podstawowej. Prawo nie zobowiązywało jednak do jej ukończenia. Taki przepis pojawił się dopiero w 1956 roku. Sieć szkół wiejskich nie była jednolita – w niektórych miejscowościach były szkoły tylko dwuklasowe z jednym nauczycielem, w innych czteroklasowe. Do szkół z wyższymi klasami, tak zwanych zbiorczych, trzeba było dojechać, dojść lub umieścić dziecko w internacie lub na stacji. Obowiązku szkolnego w starszym wieku unikano więc z przyczyn prozaicznych – dużej odległości z domu do szkoły. Po ukończeniu tylu klas, ile można było skończyć w szkole miejscowej, dziecko słyszało od ojca: „To ci

6 W. Jemielity, *Szkoły podstawowe w powiecie łomżyńskim w latach 1944–1950*, „Studia Łomżyńskie” 2005, t. XVI, s. 141–178.

wystarczy, panem i tak nie będziesz, boś zapisany do dziadowskiej książki, a ja nie umiem czytać i pisać i żyję, i pieniądze potrafię liczyć, bylebyśmy dużo miał⁷. Pamiętnikarka pisze:

Na wsi dzieci kończyły dwie klasy, to im musiało wystarczyć. Mówiono, że szkoda czasu na dukiwanie, lepsza korzyść, jak się krowy popasie. Ja byłam dość pojętna, więc nauczyciel uprosił ojca, abym uczyła się dalej. Rodzice wysłali mnie do Działoszyc do szkoły. Mamusia kupiła mi zeszyty, książki: polską i rachunkową, obsadkę. Ze strachem i bijącym sercem weszłam do szkoły. Posadzono mnie z dziewczyną wiejską. Dzieci z miasta nie bardzo chciały z nami siedzieć, bo dzieci ze wsi chodziły boso. (...) Zdałam do 4. klasy, z dobrymi wynikami. Ale ojciec chorował i przestałam chodzić do szkoły⁸.

W domu innego pamiętnikarza, który edukację szkolną skończył na podobnym poziomie, czyli szkoły powszechnej I stopnia, na temat jego dalszego kształcenia odbyła się narada rodzinna:

Podsumowując ją, ojciec definitywnie oświadczył, że nie stać nas na wydatki związane z nauką, że trzeba się jąć do pracy (nauki nie traktowano w naszym środowisku jako pracy), bo mamy do nakarmienia dziesięć osób. Zostałem więc pastuchem, z perspektywą awansu na parobka⁹.

7 J. Żuk, *Pokonane diabły*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1979. Antologia pamiętnikarstwa polskiego*, t. 3, Warszawa 1983, s. 132.

8 J. Kałwa, *Bodaj nigdy nie wróciły dawne czasy...*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1978...*, dz. cyt., t. 3, s. 122–123.

9 A.K. Hirszt, *Jestem zwolennikiem pewnej surowości w wychowaniu...*, w: tamże, s. 157.

Z innego pamiętnika dowiadujemy się, jak głęboko wątpiono w owym czasie w to, że dziecko chłopskie może przekroczyć granice swojej warstwy społecznej, nawet poprzez próbę zdobycia wykształcenia:

(...) ludzie powiadali, iż Broniek nie ukończy gimnazjum, gdyż syna chłopą nie dopuszczą do „panów”, że Broniek będzie w szkole tak długo, dopóki ojciec nie wyczerpie się z pieniędzy (później płacił za internat), a przy końcu dadzą mu dwóję i do matury nie dopuszczą¹⁰.

Niezależnie od tego, jakim przełomem politycznym była zmiana ustroju po wojnie, niezależnie od tego, co ów ustrój propagował i co oferował w zakresie powszechności i dostępności edukacji, wiele dzieci wiejskich w latach 40. i 50., podobnie jak przed wojną, do szkoły chodziło wtedy, kiedy pozwalali rodzice. Ci zaś nie widzieli wielkiej przydatności szkolnej edukacji dla swoich dzieci. To ziemia, a nie enigmatyczny „zawód”, stanowiła pewną, niezmienną od lat wartość dla chłopów i do pracy na roli trzeba było przygotować następne pokolenie. Nie była to dla nich nawet kwestia wyboru, co przeznaczenia. Terminowanie dzieci w gospodarstwie zaczynało się od około piątego roku życia pasionką gęsi, od siódmego roku pilnowano bydło i wykonywano drobne, pomocnicze prace w zagrodzie, takie jak przygotowanie paszy dla zwierząt, pienenie, pomagano przy wszystkich pracach sezonowych w polu. Kilkunastoletnia młodzież była już w pełni przygotowana do prowadzenia gospodarstwa. Szczególną rolę

10 *Mój dzień pracy wynosi nieraz 12 godzin*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia*, Warszawa 1969, s. 192.

miały najstarsze wśród rodzeństwa dziewczęta, które musiały opiekować się młodszymi dziećmi.

Mając jedenaście lat, musiałam zająć się rodzeństwem; najmłodszy brat miał trzy miesiące. (...) W 1945 roku skończyłam piętnaście lat. Byłam już wtedy doświadczoną gospodynią. Jeśli było z czego, umiałam upiec najlepszy we wsi chleb, umiałam pracować, łączyć ubrania – wszystkie roboty w polu wykonywałam jak dorosła robotnica¹¹.

Międzypokoleniowa transmisja wzorców życia była niezwykle silna w okresie tużpowojennym, szczególnie w obliczu intensywnych, odgórných prób zrewolucjonizowania tych wzorców, które towarzyszyły gwałtownym i nacechowanym przemocą władzy państwowej przemianom gospodarczym. Z perspektywy przeciętnego chłopca na jego oczach powstawał „świat na opak”. Co prawda w województwach wschodnich, które doznały okupacji radzieckiej, ta zmiana już raz i częściowo się dokonała – zniknęli z dnia na dzień dziedzice i bogaci gospodarze, gmina stała się „sielsowietem” a małomiasteczkowy sklepik „spółdzielnią”. Wojenna, okupacyjna sytuacja ze swojej definicji jawiła się jednak jako tymczasowa, natomiast to, co się zaczęło dziać tuż po oficjalnie zakończonej wojnie, nosiło widoczne gołym okiem cechy zmiany o ile nie trwalszej, to bardziej gwałtownej. Świadczyła o tym bezwzględna walka militarna, jaką się o nią toczyła. Ludność wiejska w większym stopniu niż miejska znalazła się w potrzebie – pomiędzy „dziennymi” i „nocnymi” oddziałami, padając

11 Uparta, *Wiedza jest dla wytrwałych*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej...*, dz. cyt., s. 106.

ofiarał jednych i drugich. Powiedzenie: „Nie mów nikomu, co się dzieje w domu” miało wówczas poważne znaczenie, a zbędne słowo, nawet dziecka, w obecności obcych mogło się okazać na wagę życia i śmierci. Obawiano się partyzantów (polskich lub w innych rejonach kraju ukraińskich), którzy w wielu wypadkach bili za odmowę podwodów, za ukrycie przed nimi zboża czy prosiaka, za przyjmowanie paczek z UNRRA, za ukrywanie Żydów, za posiadanie oficjalnych gazet, za narodowość i wyznanie¹². Za prawie to samo z drugiej strony bili „demokraci”, jak nazywano zbrojne ramiona nowej władzy¹³.

Wiezorami kuchnie wypełnia strach. Obawa utraty ojcowizny. Lęk przed odebraniem szczęścia uzyskanego po reformie rolnej. Paru własnych hektarów.

– Tym, co przystąpią do kolchozu, dzieci na Sybir wywiozą.

– Albo zabiorą do przedszkola i na komunistów przerobią – takie pogłoski krążą po całym kraju.

– W kolchozach będą wspólne kuchnie, z jednego kotła będą jedli.

– Nie z jednego, tylko z dwóch, lepsze jedzenie dla wybranych, gorsze dla pozostałych. I dzwonkiem będą do roboty gonić, nawet w niedziele¹⁴.

12 L. Kocoń, *Meldunki sytuacyjne starostów powiatowych z Łomży, Kolna i Wysokiego Mazowieckiego za lata 1944–1950* (cz. III), „Studia Łomżyńskie” 2005, t. XVI, s. 195–198.

13 M. Kurkowska-Budzan, *Antykomunistyczne podziemie zbrojne na Białostocczyźnie. Analiza współczesnej symbolizacji przeszłości*, Kraków 2009, s. 112–119.

14 P. Nesterowicz, *Każdy został człowiekiem*, Wołowiec 2016, s. 43.

Rodzina chłopska stała się bastionem w czasie wszechobecnego niepokoju i jeszcze bardziej umocniła się w przekonaniu, że musi trzymać się ziemi – tego, co namacalne i odwieczne, dzięki której możliwe jest fizyczne przetrwanie. „Nowe życie”, którego obietnicę dawała szkoła, było w tużpowojennej zawierusze hasłem zbyt daleko wybiegającym w zupełnie nieznaną przyszłość. Tym bardziej że w szkole mogą „przerobić na komunistów”. W domu padały więc te same co kilkanaście i kilkadziesiąt lat wcześniej słowa: „Ojciec nieraz mówił, że szkoła nic nie daje i że on nie umie pisać, a mimo tego lepiej liczy pieniądze jak ktoś po szkołach”¹⁵. „Zapisani w dziadowskie książki” niech zostaną w domu i nauczą się pracy na roli. W dokumentach Inspektoratu Łomżyńskiego zanotowano, że w okresie między styczniem 1946 roku a kwietniem 1948 roku średnio około 10% dzieci nie uczęszczało do szkoły podstawowej. Niektóre sprawozdania kierowników szkół zawierają informacje na temat przyczyn nieobecności. Na przykład w 1946 roku w Jakaci Dwornej koło Śniadowa nie chodziło do szkoły sześćdziesięcioro dzieci, bo „pasą bydło od maja do listopada, uczą się tylko przez resztę miesięcy”¹⁶. „Dzieci moje nie próżnują, każde ma w domu robotę, będą w zimie do szkoły chodziły” – takie słowa od rodziców słyszeli nauczyciele wiejscy w całym kraju¹⁷.

Innym powodem, dla którego wiele dzieci nie chodziło do szkoły podstawowej, były warunki materialne rodzin wiejskich. Ziemia z reformy rolnej nie rozwiązywała szybko, a często wcale,

15 *Najgorsza była dla mnie niedziela*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. T. VII: Nowe zawody. Pamiętniki*, Warszawa 1969, s. 493.

16 W. Jemielity, *Szkoły podstawowe w powiecie łomżyńskim w latach 1944–1950*, dz. cyt., s. 147–178.

17 J. Sobota, *Panie starosto, tu musi być szkoła*, w: *Nauczycieli portret własny*, Rzeszów 1985, s. 125.



Uliczka w nieustalonej polskiej wsi, maj 1944 roku.

problemu skrajnego ubóstwa chłopów bezrolnych lub mało-rolnych. Do uprawy potrzebne było ziarno na zasiew, zwierzę pociągowe, a także umiejętności gospodarzenia i zarządzania, jak dzisiaj byśmy to nazwali. Niejednokrotnie brakowało tych wszystkich trzech elementów. Rodziny takie pozostawały ubogie, nie potrafiąc wyżywić potomstwa, wysyłały dzieci do pracy u innych gospodarzy – „na parobków”, często do innych, odległych miejscowości. Pracowano „u bogatszych gospodarzy, gdyż trzeba było odrobić za konia, by zaorać swój zagon na kartofle i żyto, trzeba było odrobić mleko, bo krowy w dalszym ciągu nie było”¹⁸. Nie było mowy o chodzeniu do szkoły, skoro dziecko musiało samodzielnie zapracować na swoje wyżywienie. Pisano w raportach inspektoratu oświatowego w Łomży w 1946 roku, że także dzieci miejskie „uciekały do pracy przy pasieniu bydła i nie uczęszczały

18 Uparta, *Wiedza jest dla wytrwałych*, dz. cyt., s. 106.

do szkoły w nowym miejscu pobytu”, ale sformułowanie „ucieczka do pracy” wydaje się wynikać z takiego właśnie tłumaczenia rodziców, którzy obawiali się kary za niewywiązywanie się z obowiązku szkolnego potomstwa (choć ustawowo tę odpowiedzialność uregulowano w Polsce dopiero w roku 1956). W wymarłych powojennych miasteczkach panowała taka sama bieda jak na wsi. Tu również dzieci musiały zarobić na swoje utrzymanie, przynajmniej doraźnie. Czasy nie sprzyjały zresztą planowaniu przyszłości i edukacji. Trzeba było przetrwać najbliższe dni, głód i choroby towarzyszące biedzie – tyfus, gruźlicę.

We wsiach, które znalazły się w czasie wojny na linii frontu, ubóstwo sięgało granicy fizycznego przetrwania ludzi. Wysiedleni powracali do wypalonych lub ograbionych zagród, gdzie na wagę złota była krowa dająca mleko czy worek ziarna na zasiew. Taki obraz kojarzy się dziś przede wszystkim z kadrem zatrzymującym pierwsze chwile po zakończeniu wojny, tymczasem warunki życia pozostawały równie trudne w 1946 i 1947 roku, nie lepsze i we wczesnych latach 50.

Wrzesień 1945 r. Chodzę do 4 klasy, nadal uczę się dobrze. Inni dziwią się, że mamusia wysłała mnie do szkoły a nie do pasania krowy. Rzeczywiście krowa jest naszą jedyną żywnościelką. Za sprzedane mleko kupujemy żywność i jakie takie ubranie. Czasem mamusia chodzi na zarobki do gospodarzy. (...) Czerwiec 1946 r. Życie nasze nie zmieniło się wcale. Dalej mamusia wyjeżdża po żywność w swoje strony. Chodzi na zarobki do gospodarzy. Krowa ma się ocielić w najbliższych dniach i znów mleko będzie ratować naszą biedę. Niestety, krowa po urodzeniu cielaka padła. Wszystkie nadzieje pokładane w niej przepadły. Przed wycieleniem mamusia

oddala jej na paszę ostatnie zboże, które mieliśmy na chleb. Zostałyśmy bez chleba i mleka. Sąsiedzi pilnują mamusi, boją się, że sobie życie odbierze, tyle nieszczęścia na raz¹⁹.

Władza ludowa żądała dostaw, wspomóżenia głodujących miast, bezwzględnie egzekwowano podatki z zawyżanej powszechnie przy klasyfikacji ziemi rolnej.

Dziś zastanawiam się, dlaczego wtedy tak trudno nam było od razu stanąć na nogi (...) może dlatego, że ojciec uchodził w tamtych czasach za „kułaka”. (...) Nie było więc wtedy dobrze, niekiedy wprost źle. Nie zawsze można się było wywiązać z obowiązku wobec państwa i wtedy zjawiali się sekwestratorzy. Mama płakała, pokazywała im drobne dzieci, walące się zabudowania, a sekwestrator radził wstąpić do spółdzielni produkcyjnej, we wsi zwanej „kołchozem”²⁰.

To wspomnienie ze świętokrzyskiego, gdzie areal przeciętnego gospodarstwa był dużo mniejszy niż w łomżyńskim, ale sytuacja, szczególnie w pierwszych latach po wojnie i tutaj była podobna. Na fotografiach szkolnych wykonanych w tym okresie widzimy gromadki wychudzonych dzieci w zbyt obszernych ubraniach, wygolonych niemal na zero (wszawica!) chłopców w spodniach zebranych sznurkiem. Powszednia dieta Stasia i jego rodzeństwa w składała się z kromki chleba i kubka mleka na śniadanie, drugiej kromki chleba i butelki mleka, którą brano ze sobą na cały dzień

19 Nienawiść, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej*, dz. cyt., s. 512–513.

20 L. Wójcik, *W UL nauczyłam się dobijać do celu*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1978...*, dz. cyt., t. 3, s. 227.

pasionki lub do szkoły, i głównego posiłku – obiadu składającego się z kartofli zalewanych zupą szczawiową lub kapustą, burakami, grzybami albo tylko kartofli z mlekiem. Porcje nie były wielkie. Kura ugotowana na świąteczny rosół starczyła dla ośmioosobowej rodziny. Na lepsze, większe i bardziej kaloryczne porcje mógł liczyć ten, kto wykonywał najcięższą pracę w gospodarstwie. Zostało po tym powiedzenie „porcja dla oracza”. Podkreślmy, że było to wyżywienie przeciętnej rodziny, której szczęśliwie nie dotknęły poważne przypadki losowe takie jak choroba czy śmierć dorosłych. Z dzisiejszej perspektywy było to pożywienie więcej niż skromne, ale w ówczesnych warunkach normalne w swojej powszechności. Tylko dzieci z najbiedniejszych rodzin, najczęściej pólseroty, były dożywiane w szkole. Pszenka bułka z marmoladą z buraków, którą codziennie pod pokojem nauczycielskim w szkole w Przytułach dostawał schorowany Tolek, syn wdowy, była przedmiotem zazdrości kolegów jeszcze w połowie lat 50.²¹. Dieta dzieci szkolnych z pobliskiego Jedwabnego nie różniła się od diety rówieśników ze wsi. Za to chłopcy, którzy „popalali” papierosy, mogli w miasteczku szybko wymienić wybrane z kurzego gniazda (po kryjomu przed matką) jajko na machorkę. Wszyscy za to – i w miasteczku, i na wsi – dojadali gruszkami ulegalkami, jabłkami, rzepą – tym, co znaleźli, zebrali, wykopali przy pasieniu bydła lub w drodze ze szkoły.

W 1946 roku Inspektorat Łomżyński otrzymywał kolejne sprawozdania na temat wypełniania obowiązku szkolnego przez uczniów powiatu: w Lubotynie brakuje w szkole sześćdziesięciu uczniów, bowiem „pracują zarobkowo, pasą krowy, nie posiadają

21 Teresa Kurkowska, wywiad z dn. 8.07.2015, Konarzyce k. Łomży, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

butów i ubrań”, w Miastkowie sześćdziesięcioro ósmioro dzieci nie chodzi do szkoły z powodu „braku obuwia”, z tego samego powodu trzydzieścioro sześciu dzieci nie pojawia się w szkole w Osowcu, w Niksowiznie pasą krowy, w Truszkach sześćdziesięcioro dzieci nie ma książek, w Kątach prawie siedemdziesięciorgu dzieci brakuje ubrań i obuwia. Usprawiedliwienia, jakie wnoszono do kierowników szkół i inspektorów powiatowych, musiały być poważne i wiarygodne, wpisane w kontekst powszechnej sytuacji gospodarczej, tak by oddalały widmo kary za niewywiązanie się obowiązku szkolnego. Brak książek, ubrań i obuwia był przeszkodą, choć była to sytuacja tak powszechna, że aż normalna. Wiejskie dzieci na co dzień chodziły boso do co najmniej połowy lat 50. Boso pasły krowy do późnej jesieni, do pierwszych przymrozków. Dokuczało zimno – „wtedy wsadzało się stopy w ciepły krowi placek”. Dokuczały zranienia – „owijało się ranę nicią wełnianą, surową, niebarwioną”. Boso chodziły do szkół, których budynki swym wyglądem nie różniły się od wiejskiego otoczenia. Dotyczy to szczególnie szkół niepełnych, w których jeden lub dwóch nauczycieli uczyło pobliskie dzieci do poziomu czwartej klasy.

Parterowy drewniany budynek mieści dwa pokoiki dla nauczyciela i dużą salę lekcyjną. W niej tłoczą się ławki: dwuosobowe siedziska połączone zielonym drewnianym blatem z otworem na kałamarz. Cztery pary okien wpuszczają do środka światło, które odbija się od białych kafli wielkiego pieca. On najbardziej cieszy zimą, gdy rozgrzewa całą chatę – bo tak należałoby mówić o szkolnym budynku, z zewnątrz przypominającym chłopską chałupę. Chociaż nie, jest różnica. Do drewnianych, pomalowanych na brązowo drzwi prowadzą betonowe stopnie. W najwyższym zatopiono dwie

żelazne ostrogi. Do czyszczenia butów z błota i gnoju. We wsi dziwią się, po co ten zbytek, skoro dzieci i tak chodzą boso²².

Szkoła w Przytułach, do której poszedł Staś, miała siedem klas – była szkołą zbiorczą, zatem budynek, wzniesiony jeszcze przed wojną, był dużo większy, piętrowy. Mieściło się w niej sześć sal lekcyjnych, pokój nauczycielski oraz mieszkanie kierownika szkoły. Tu piec również cieszył dzieci – zimą stawaly doń w kolejce, żeby się ogrzać. Nierzadkie tumulty, jakie przy tej okazji powstawały, kończyły się surowymi karami wymierzanymi linijką. Szkołę otaczał spory plac. W 1947 roku znalazło się na nim składowisko niewypalów i niewybuchów, które dorośli, ale i starsze dzieci zbierały w ramach akcji porządkowej zainicjowanej przez szkołę (*sic!*). Fakt, że dzieci zajęły się znoszeniem tego typu przedmiotów, jak i to, że wiele ze znalezionych naboju sprawnie pozbawiały materiału wybuchowego, żeby z łuski zrobić elegancką firkę do papierosa, może budzić dziś niedowierzanie. Dla pokolenia wychowanego w trakcie działań wojennych tego typu umiejętności w połączeniu ze świadomością ryzyka i konsekwencji majstrowania przy pociskach były normalne. Tak jak chodzenie boso.

Choć ojciec Stasia szyl buty, korzystając z samodzielnie sporządzonych kopyt szewskich w kilku rozmiarach, chłopiec zakładał je dopiero późną jesienią. Buty były na chłody, na zimę i do kościoła. Nadal były przedmiotem trudno osiągalnym i drogim, bo problemem był surowiec. Ojciec robił je więc ze starych tkanin, skórą wzmacniając jedynie noski. „Szmatami” handlowano po wojnie tak samo intensywnie, jak przed, kiedy zajmował się tym żydowski obwoźny handlarz. Ojciec Stasia szyl również ubrania.

22 P. Nesterowicz, *Każdy został człowiekiem*, dz. cyt., s. 10–11.

Przedwojenna inwestycja w maszynę Singera, którą z obawy przed konfiskatą ukrywano całą wojnę w ziemiance, okazała się zbawien-
na, kiedy trzeba było ubrać sześcioro dzieci do szkoły. Od koszul,
przez sukienki po garniturki dla chłopców i palta – wszystko było
szyte w domu, przerabiane z większych na mniejsze i najmniejsze.
Matka zaś nocami dziergała na drutach swetry. Sąsiedzi przycho-
dzili z prośbą o uszycie lub przeróbki, odwodzili się pomocą
w gospodarstwie lub drobnymi darami w naturze.

Rodzina Stasia była i wyjątkowa, i typowa zarazem. Dwanaście
hektarów ziemi IV klasy stanowiło w tej akurat gminie przeciętne
gospodarstwo, ale wymagało olbrzymiej pracy, żeby zaspokoić
podstawowe potrzeby ośmioosobowej rodziny. Książki, ubrania
i buty dla dzieci były zdobywane w pierwszych latach po wojnie
dużym wysiłkiem dzięki umiejętnościom i zaradności rodziców,
którzy zdając sobie sprawę z wartości szkolnej edukacji, traktowali
ją priorytetowo.

Kiedy 1 września 1947 roku rodzice wysłali Stasia Nicińskiego
do szkoły w Przytułach, system szkolnictwa – w jakże już
zmienionej politycznie Polsce – oficjalnie zorganizowany był
jeszcze ustawą z roku 1932 (zwaną reformą jędrzejewiczowską),
w której kształcenie powszechne odbywało się na trzech etapach:
siedmioletniej szkole podstawowej i sześcioletniej szkole ogóln-
kształcącej podzielonej na czteroletnie gimnazjum i dwuletnie
liceum. Komuniści już w czerwcu 1945 roku na Zjeździe Oświa-
towym w Łodzi przedstawili projekt reformy szkolnictwa, która
miała wcielić w życie ideę powszechnej, publicznej, bezpłatnej
i jednolitej oświaty, mającej stanowić drogę awansu dla najniż-
szych warstw społecznych. Reorganizację formalnie zrealizo-
wano dopiero po ostatecznym umocnieniu się komunistycznej
władzy – nowy ustrój szkolny w szkołach ogólnokształcących

od września 1948 roku wprowadziła instrukcja ministra oświaty. W szkole podstawowej wydzielono nauczanie początkowe (klasy I–IV) i wstępną systematykę (klasy V–VII). Kurs licealny nazwano „cyklem systematyki” (klasy VIII–XI). Z perspektywy rodziny wiejskiej niewiele to na razie zmieniał: dziecko szło do pobliskiej szkoły, najczęściej czteroklasowej (64% wszystkich szkół wiejskich w tym czasie stanowiły takie właśnie szkoły²³). Staś do swojej siedmioklasowej szkoły szedł codziennie ponad trzy kilometry, ale rodzice mogli wybrać bliższą, czteroklasówkę – niemal za miedzą, w sąsiednim Karwowie. Szkoły niepełne miały przekazywać absolwentów szkołom zbiorczym, ale, jak wynika z dokumentów Inspektoratu Łomżyńskiego, kierownicy szkół nad tym nie panowali i nie wiedzieli, co się dalej dzieje z ich dotychczasowymi podopiecznymi. Nauka na wyższym poziomie odbywała się więc teoretycznie w ramach obowiązku szkolnego, a praktycznie na zasadzie dobrowolności. W ówczesnych warunkach bardzo często potrzebne były nie tylko chęci, ale i duże samozaparcie, tak dziecka, jak i rodziców.

Wrzesień 1946 r. Przeniosłyśmy się do cioci do Sokołowa. Tu chodzę do piątej klasy. Mieszkamy wszyscy razem w jednym pokoju, a ten dom to zwykła rudera. Nocą szczury biegają po mieszkaniu, skaczą nawet po łóżku. (...) Grudzień 1948 r. Jednak chodzę do 7 klasy. Chodzę 9 kilometrów do szkoły. Robię dziennie 18 kilometrów. Jestem bardzo zmęczona, brak mi czasu na naukę. Odmrożenie daje się we znaki. Ciągłe choruję, zaziębiam się. Ta choroba przerywa mi naukę.

23 W. Pomykało, *Kształtowanie ideału wychowawczego w PRL w latach 1944–1976*, Warszawa 1977, s. 189.

Wrzesień 1949 r. Dzień 1 września jest ciepły i śliczny. Ścinam sierpem konopie. Myślę o swoich koleżankach, które zasiodają dziś na szkolnych ławach. Ach! Jakie one szczęśliwe! Na dalszą naukę nie zapowiada się w ogóle. „A kto będzie robił na 7 ha” – mówi ojczym²⁴.

W 1948 roku wraz z nowym ustrojem organizacyjnym szkoły powszechnej pojawiły się zasadnicze zmiany programowe i organizacyjno-metodyczne, które łączyły kształcenie i wychowanie z treściami socjalistycznymi. Szkoła miała nie tylko kształtować obywateli nowego państwa pozostającego w „bratnim i nierozzerwalnym sojuszu” ze Związkiem Radzieckim, ale także realizować program uformowania generacji całkiem nowych ludzi. Rozpoczęła się „pierekowka duszy”.

Człowiek twórczy, dążący do samodoskonalenia intelektualnego i fizycznego, zdrowy i silny – także psychicznie, odpowiedzialny i aktywny w społeczeństwie – ta idea „nowego człowieka” nie po raz pierwszy pojawiła się w Europie i Ameryce²⁵. Modernistyczny „projekt totalny” opanował wyobraźnię umysłowych i artystycznych elit od Rosji po Anglię i Stany Zjednoczone. Sport zajmował w nim poczesne miejsce, uosabiając energię, „gwałtowny ruch, gorączkową bezsenność, bieg, *salto mortale*, cios pięścią i policzek” dla pogrążonej w letargu starej epoki²⁶.

Po I wojnie światowej, która unicestwiła stary świat, koncepcja zbudowania nowej rzeczywistości i ukształtowania pokolenia

24 Nienawiść, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej*, dz. cyt., s. 512–513.

25 Por. M. Mazur, *O człowieku tendencyjnym. Obraz nowego człowieka w propagandzie komunistycznej w okresie Polski Ludowej i PRL 1944–1956*, Lublin 2009.

26 *Art in Theory 1900–1990: An Anthology of Changing Ideas*, red. Ch. Harrison, P. Wood, Oxford and Cambridge Mass. 1992, s. 147.

innych, oczywiście lepszych ludzi, dostała szansę realizacji. Fascynacje literatów i myślicieli początku wieku, marzących o „locie w przyszłość”, na ich oczach stawały się społecznym faktem: gwałtowny i upowszechniający się postęp techniczny, masy ludzi żądających upodmiotowienia w polityce i życiu społecznym i te same masy tak plastyczne pod rękami „nowoczesnych” przywódców. Widać to w sztukach plastycznych tamtego okresu, w architekturze, literaturze, w kulturze popularnej. Aktywność sportowa – najpełniejszy wyraz afirmowanego w sztuce i filozofii czystego ruchu, siły i piękna – znalazła swoje poczesne miejsce także w stylu życia nie tylko elit, ale też warstwy średniej.

Bolszewicki program budowy nowego człowieka wpisywał się w trend epoki, ale wykorzystywał wcześniejsze rosyjskie idee – przede wszystkim myśl Mikołaja Czernyszewskiego, dziewiętnastowiecznego filozofa mającego ogromny wpływ na ruchy demokratyczne w Rosji przełomu wieków²⁷. Twierdził on, że każda bez wyjątku jednostka może się wznieść na wyższy stopień człowieczeństwa dzięki pracy nad sobą, na drodze osobistego rozwoju. A pod kierunkiem takich ludzi może to osiągnąć całe pokolenie, które stworzy nowy ład społeczny – socjalistyczny. Kiedy sto lat po Czernyszewskim określano ów ład w kategoriach nadrzędnych dlań wartości, to brzmiały one tak samo, choć formułowane były w innym nieco języku:

równość społeczna, wszechstronny rozwój twórczych możliwości człowieka pełne zaspokojenie potrzeb pierwotnych

27 M. Zwiercan, *Idea nowego człowieka w kulturze rosyjskiej*, niepublikowana praca doktorska, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 2012, s. 15–16, (on-line:) <https://depotuw.ceon.pl/bitstream/handle/item/289/Marcin%20Zwiercan%20-%20praca%20doktorska.pdf?sequence=1> (dostęp 12.05.2016).

i wtórnych, orientacja prospołeczna, wrażliwość na zło i działanie na rzecz znoszenia jego obiektywnych i subiektywnych przyczyn, poczucie odpowiedzialności za działania własne i życie zbiorowe²⁸.

W 1917 roku Lenin, deklarując się jako jedyny spadkobierca myśli Czernyszewskiego zdolny do wprowadzenia jej postulatów w czyn, dopasował ją do własnych, politycznych celów. W artykule *O udziale młodzieży w budownictwie socjalistycznym i o wychowaniu nowego człowieka* rysował program ukształtowania rzeszy janczarów do walki o „dyktaturę proletariatu”, rzucając przyszłego „nowego człowieka” do boju „na każdym odcinku życia społecznego”. Dawał w nim też wskazówki, w jaki sposób zmienić na przykład oświatę, tak by szybko i skutecznie wykreować młodych komunistów zdolnych „ruszyć z posad bryłę świata”²⁹. Rzeczywiście, w dokumentach epoki, a także we wspomnieniach pisanych po wielu latach można przeczytać, że młodzi ludzie ulegli fascynacji tą ideą.

Co jest celem naszego społeczeństwa na dłuższą metę? Budowanie komunizmu na całym świecie. A co powinno być dziś celem każdej jednostki? Budowanie socjalizmu. Wszystkie wysiłki jednostek powinny być skierowane na ten cel. Chce być inżynierem i służyć społeczeństwu³⁰.

28 H. Kubiak, G. Babiński, M. Niezgoda, *Prasa regionalna jako popularyzator socjalistycznego stylu życia*, Kraków 1976, s. 9.

29 W. Lenin, *O udziale młodzieży w budownictwie socjalistycznym i o wychowaniu nowego człowieka*, w: tegoż, *O młodzieży*, Warszawa 1955.

30 Cyt. za: L. Kowalski, *Pamiętnik byłego komunisty*, Konin 2014, s. 45–46.

Przejąwszy władzę, polscy komuniści zaczęli skrzętnie realizować sprawdzony radziecki wzorzec „przebudowywania świadomości” młodego pokolenia. Związek Młodzieży Polskiej, Powszechna Organizacja Służba Polsce, Organizacja Harcerska były zinstytucjonalizowanymi formami wychowawczej i ideologicznej pracy z młodzieżą, które uzupełniały zadania szkoły w tym zakresie. Zbyt proste byłoby jednak stwierdzenie, że nachalna lub przymusowa indoktrynacja, z którą na różnych polach społecznego funkcjonowania stykał się młody człowiek, była jedynym i skutecznym narzędziem formacji, w wyniku czego uzyskiwano modelowego „zetempowca” lub junaka SP. Zbyt proste byłoby również twierdzenie, że młodzież polska była na tę indoktrynację całkowicie odporna. Pomiędzy tymi biegunami dzisiejszej oceny owego rewolucyjnego, bądź co bądź, okresu w dziejach Polski istnieje całe spektrum różnorodnych zdarzeń, czynników zmieniających trajektorie ludzkich losów, indywidualnych postaw i zachowań. I, co może ważniejsze, ich późniejszych kontynuacji i konsekwencji – społecznych i kulturowych, także istotnych dla poszczególnych jednostek. Zazwyczaj jednak pozostaje to poza nawiasem opisu okresu, który w historiografii nosi miano polskiego stalinizmu. Wizerunek młodzieńca w organizacyjnej bluzie i czerwonym krawacie i kolumny maszerujących do pracy na budowie junaków – a po przeciwnej stronie politycznej barykady obraz zdeterminowanych, heroicznych leśnych chłopców zdominował nasze współczesne wyobrażenie o młodzieży tamtej epoki.

ZMP – odpowiednik radzieckiego Komsomołu, który najpełniej miał realizować leninowski plan stworzenia idealnego młodego komunisty, przyciągał część młodzieży obietnicą nowego życia rozumianego w dwojaki co najmniej sposób. Dla jednych był to

etap na drodze urzeczywistniania wielkiego programu społecznego i obyczajowego oraz oczywiście politycznego.

Przejęci wielką ideą służenia Polsce Ludowej ruszamy zbratani młodzi synowie i córki chłopów, robotników i inteligentów, aby na gruzach pozostawionych przez niemieckich faszystów i na gruzach ustroju wyzysku i krzywdy społecznej budować wraz z całym narodem nowe, lepsze i szczęśliwsze życie

– głosił pierwszy rozkaz specjalny Komendy Głównej Powszechnej Organizacji Służba Polsce wydany 4 maja 1948 roku. Co prawda entuzjazm młodzieży do służby w tej organizacji wzmocniono ustawą z 25 lutego 1948 roku o powszechnym obowiązku przysposobienia zawodowego, wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego młodzieży oraz o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu. Artykuł 1. głosił, że obowiązek wprowadza się „celem włączenia twórczego zapału młodego pokolenia do pracy nad rozwojem sił i bogactwa Narodu”.

Dla wielu członkostwo w ZMP lub strukturach SP – doraźne lub dłuższe – było działaniem pragmatycznym: umożliwiało zdobycie wyższego wykształcenia, podniesienie społecznego statusu. I jedni, i drudzy razem jednak zapoznawali się z „moralnością komunistyczną” wykładaną na zebraniach i pogadankach przez bardziej „świadomych” kolegów. Zajrzyjmy do dziennika prowadzonego w owym czasie przez Ludwika Kowalskiego. Wywodzący się z rodziny przedwojennych działaczy komunistycznych, studiując i mieszkając w stolicy, z pewnością należał do grona owych świadomych młodych członków ZMP:

Będę walczył ze wszystkim, co spowalnia nasz postęp. Wymaganie więcej od siebie samego, zwracanie uwagi na moje własne niedostatki pomoże mi zwalczać je u innych ludzi. Nigdy nie zejść z tej drogi. Towarzysz Stalin z pewnością by to pochwalił. Przypuszczalnie w swoich twórczych latach robił to samo, lecz z większymi sukcesami. (...) Dziś zacząłem się przygotowywać do mojej pogadanki o moralności komunistycznej. Teoretyczne problemy wychowania socjalistycznego i samodoskonalenia są bardzo interesujące. (...) Dobrze, zostanę inżynierem. To, co już wiem, jest niczym w porównaniu z tym, co będzie mi potrzebne, bym mógł wydajnie pracować. (...) Nie powinienem nigdy zadowalać się tym, gdzie już jestem. Powinienem czytać fachowe czasopisma i być na bieżąco z postępem w zakresie elektrotechniki medycznej. Co więcej, powinienem rozwijać wiedzę ogólną, czytając książki, zadając się z mądrymi ludźmi, chodząc do kina i teatru, itd., itd. Robiąc to wszystko, nigdy nie powinienem gubić się w szczegółach; powinienem zawsze pamiętać o sprawie, której służymy³¹.

Aktywista ZMP, oprócz obecności w życiu społecznym, głównie w szkole lub zakładzie pracy, biorąc udział w akcjach organizacji, miał świecić przykładem życia nowego człowieka. Oprócz dbania o moralny i intelektualny rozwój, młody zetempowiec powinien być także wzorem, jak dbać o higienę i tężyznę fizyczną. Książkowe *Kalendarze robotnicze* wydawnictwa „Książka i Wiedza” na prawie pięćuset bogato ilustrowanych fotografią stronach dostarczały porad i informacji na temat historii i współczesności Polski i świata, ze szczególnym naciskiem na osiągnięcia

31 Tamże, s. 53–60.



Członkowie Ludowego Klubu Sportowego Orzeł Balin w czasie pochodu pierwszomajowego w Balinie w 1950 roku.

socjalizmu i Związku Radzieckiego. Na co najmniej dziesięciu stronach prezentowano sport, podsumowując:

W dalszym rozwoju naszego sportu, w umocnieniu jego podstaw pomóc możesz także i Ty. Bo nasz ludowy sport to nie tylko wyniki czołówki, to zdrowie i sprawność wszystkich ludzi pracy i uczącej się młodzieży. Gdy obserwujesz piękne zawody sportowe, gdy okłaskujesz swoją drużynę piłkarską, nie zapominaj o tym, że nie na tym powinien się kończyć Twój udział w ruchu sportowym. Zejdź z trybuny na boisko, poznaj sam radość, jaką daje kultura fizyczna, poznaj sam emocje walki sportowej³².

Kalendarze zawierały także obszerną część dotyczącą życia codziennego – odpowiedniego odżywiania i higieny osobistej, higieny pracy i wypoczynku. Zakres treści obecnych w tych popularnych wydawnictwach korespondował z programem oświatowo-wychowawczym

32 *Kalendarz Robotniczy na rok 1955*, Warszawa 1954, s. 174.

na wszystkich etapach powszechnej edukacji. Na studiach na każdym kierunku jako obowiązkowy wprowadzono przedmiot, który miał kształtować postawy młodego pokolenia, czyli „Zagadnienia marksizmu-leninizmu”:

Z. powiedział, że wiedza z zakresu marksizmu-leninizmu jest równie ważna, jak wiedza zawodowa. To podstawa naszej humanistycznej ideologii, podstawa zrozumienia wszystkiego, co robimy³³.

Co z tego, czego zapis odnajdujemy dziś w oficjalnym dyskursie – dokumentach oficjalnych i prywatnych epoki, powstającym w centrach decyzyjnych, w metropolii i w środowiskach, w których rodziły się idee – trafiało na peryferia? Szukając odpowiedzi na to pytanie, wróćmy do szkoły podstawowej w Przytułach i do małego Stasia, jego kolegów i nauczycieli.

Jeszcze w 1948 roku

kierowniczka szkoły była sprzed wojny. (...) Później przyszedł pan Majewski, oddelegowany z Łomży. (...) Widać było, że rodzina [Majewskiego] to byli ludzie wykształceni i inteligentni (...). Charakterystyczne, dla nas nowe było to, że kiedy mówiliśmy o znajomych rodziców, sąsiadach „Kalinowski”, „Malinowski”, to ich córka poprawiała nas i mówiła „Pan Kalinowski”, „Pan Malinowski”³⁴.

33 L. Kowalski, *Pamiętnik byłego komunisty*, dz. cyt., s. 72.

34 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

Rodzina nauczycielska z powiatowej Łomży, poza formalnymi lekcjami, przekazywała, chcąc nie chcąc, wzorce komunikacji i zachowania. Była to pierwsza, dobitna – skoro tak bardzo utkwiała w pamięci – lekcja wyniesiona ze szkoły.

Później, po jakimś czasie, ten socjalizm zaczął wkraczać bardziej... dano kierownika, pana Sawickiego. I ten rzeczywiście, uczył matematyki, ale jednocześnie na prawie każdej lekcji przemycił takie informacje, jak to w Związku Radzieckim dobrze: że potrafią sztuczną słoninę produkować, że mają takie urządzenia, którymi podsłuchują, co kto mówi... I że tak wspaniale jest pod ich kierunkiem, i że z czasem na całym świecie tak będzie, jak u nich³⁵.

Te sensacyjne wiadomości mogły opanowywać wyobraźnię dzieci, ale nachalny sposób przekazywania treści propagandowych wywoływał często przeciwny od zamierzonego skutek. Historie o osiągnięciach Związku Radzieckiego szybko stawały się tematem prześmiewczych anegdot, a gorliwy nauczyciel tracił wśród uczniów resztki autorytetu. Dzieci opowiadały także w domach o niewiarygodnych sukcesach nauki i potędze państwa, które przecież jeszcze nie tak dawno okupowało te tereny i dało się z bliska poznać starszemu pokoleniu. Tu dochodziło do kolejnej konfrontacji szkolnej wizji świata z tą bardziej realną, namacalną i bliską. Czy w Przytułach działał Związek Młodzieży Polskiej – symbol owych czasów? Nikt tego nie pamięta, a ustalenia historyków na temat liczebności i aktywności tej organizacji na terenie powiatu łomżyńskiego dają podstawy,

35 Tamże.

aby przypuszczać, że w najlepszym wypadku przytulskie ZMP istnieć mogło na papierze, a i to jako lista kilku nauczycieli³⁶. Uwarunkowania społeczne, duży wpływ Kościoła katolickiego na poglądy polityczne mieszkańców regionu, tradycjonalizm i przywiązanie do religii, a przede wszystkim bezpośrednio doświadczenie okupacji radzieckiej, nie sprzyjały nielicznym w powiecie ideowcom-aktywistom urzeczywistniać plan masowego uczestniczenia młodzieży w organizacjach tego typu. Z czasem zwyciężał pragmatyzm i w 1955 roku, kiedy liczebność ZMP w kraju osiągnęła najwyższy poziom, także w powiecie łomżyńskim i kolneńskim, można było pochwalić się przed opiekunem partią, efektami rekrutacji. W klasach maturalnych gwałtownie wzrastała liczba członków ZMP, bo legitymacja nie tylko pomagała w osiągnięciu absolutorium, ale decydowała w dużym stopniu o możliwości dostania się na studia. Nie były to jednak „jednostki wartościowe” – nie było wśród nich zainteresowania aktywną pracą w ZMP ani późniejszym kandydowaniem na członków PZPR. Statystyki, mimo że mogą skutecznie fałszować rzeczywistość, okazują się bezwzględne, jeżeli je ze sobą zestawimy: chociaż liczba członków ZMP wzrastała od 1954 roku, to płacone składki zaprzęcały temu sukcesowi – w całym województwie białostockim od tego roku zaczęło wpływać mniej niż 50% składek, a w 1955 roku w powiatach, m.in. Kolno i Łomża, zebrano w lokalnych organizacjach tylko 6% oczekiwanej z tego tytułu kwoty³⁷.

36 J. Sadowska, *Młodzież a stalinizm. Losy Związku Młodzieży Polskiej na Białostocczyźnie*, w: *Polska północno-wschodnia w okresie stalinizmu – spojrzenie z perspektywy półwiecza*, red. K. Sychowicz, E. Świętochowska-Bobowik, W.F. Wilczewski), Białystok–Warszawa 2009, s. 96.

37 Tamże, s. 98.

O ile ZMP w naszej historycznej wyobraźni stał się symbolem organizacji raczej miejskiej i wielkomiejskiej, skupiającej aktywnych ideowców walczących w propagandowej wojnie np. wokół kolektywizacji polskiej wsi, to junaków „Służby Polsce” widzimy przy odgruzowywaniu miast, w kopalniach i na budowach planu sześcioletniego. Pochodzą głównie ze wsi lub ubogich środowisk robotniczych. Obie organizacje miały być w założeniach masowe, obie zakładały wychowanie w rówieśniczej grupie poddanej dyscyplinie, rywalizację w walce o wynik, kształtowanie ciała i ducha poprzez sport. Z perspektywy czasu te właśnie elementy ich działalności, bardzo widoczne w audiowizualnych materiałach propagandowych epoki, sprawiły, że ZMP i SP są dziś dla nas najsilniejszą emanacją programu wykuwania komunistycznego „nowego człowieka”.

W Przytułach nikt nie zapamiętał zetempowskich akcji na wsi, „Służba Polsce” była dalekim doświadczeniem pojedynczych osób:

Od nas ze wsi wzięli jednego do „Służby Polsce”. Jak przyjechał na przepustkę, miał mundur, taką czarną furażerkę. (...) Jak ja z nim rozmawiałem, to opowiadał, jak tam pracują na budowach różnych. Zwyczajnie... Nic takiego. O sporcie nie wspominał, żeby coś takiego organizowali³⁸.

Czyżby wsie powiatu łomżyńskiego były aż tak na uboczu? Dzieci szły we wrześniu do szkoły albo zostawały w gospodarstwie, przy wykopkach. W szkole słuchały niewiarygodnych opowieści o ZSRR, ale od rodziców i tak wiedziały, że mają się przede

38 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

wszystkim nauczyć czytać, pisać i dobrze rachować... Dowiadywały się też, że gdzieś w powiecie ludzie mówią do siebie „pan”, ale jeszcze nie wiedziały, że wkrótce lepiej będzie mówić „towarzyszu”.

I wtedy, gdzieś tak w czwartej klasie [1951/52] zaczęli się pojawiać działacze, nie tylko polityczni, co sportowi. Nie wiem, skąd oni się brali... byli delegowani z Łomży, z powiatu... od krzewienia kultury fizycznej. I zaczęli organizować czy w zwykłe dni, czy w niedziele i dni świąteczne a to jakieś zawody... a to strzelanie. O – na strzelanie to chętnie poszliśmy, bo będzie „strzelanie z karabinu”! I oczywiście te karabinki przywieźli, ale strzelania nie było. Obiecali, że innym razem, ale innym razem nie przyjechali i strzelanie nam przeszło koło nosa. Natomiast na wieczór – to było kilka razy organizowane – film był puszczany na podwórku, na dziedzińcu szkoły, na ścianie. Ludzie, dorośli także, na to chętnie przychodzili. To była ciekawostka, atrakcja³⁹.

To, że owe wydarzenia tak bardzo utkwiły we wspomnieniach oraz fakt, że „innym razem nie przyjechali”, może świadczyć jednak o skromnym zasięgu akcji propagandowych na prowincji. Szkolenia ze strzelania i inne imprezy sportowe były jedną z podstawowych form działalności powiatowych komend „Służby Polsce”. Przysłowiowa odległość od szosy może nie odstręczała pojedynczego idealisty od wykonania planu, ale sprowadzała plany na ziemię, kiedy zajmowali się nimi ludzie na etatach. Im dalej od centrum i oczu zwierzchniej władzy, tym bardziej tego

39 Tamże.

typu akcje podlegały rachunkowi ekonomicznemu: wysiłku i czasu włożonego w dojazd i przeprowadzenie szkolenia, wydanych naboju, zużycia sprzętu do osiągniętych, widocznych i szybkich efektów, którymi mierzona była potem praca etatowego instruktora SP. Z pewnością starał się on o to, by sprawozdania z jego pracy wyglądały zgodnie z oczekiwaniami zwierzchników. Strzelanie w szkole w Przytułach udokumentowane podbitą delegacją służbową, kwitami na pobrane karabinki również się w nich znalazły. Być może nawet opis samego szkolenia i strzelania oraz ocena, jak wysoki stopień sprawności w tej dziedzinie osiągnęła młodzież przytułska.

W wielu dzisiejszych rozważaniach na temat modelu propagowania kultury fizycznej w Polsce Ludowej przewija się kwestia, na ile był to model „spartański”, czyli wychowanie przez sport na potrzeby militarne państwa, a na ile model „ateński”, w którym kultura fizyczna jest postrzegana jako element podnoszenia ogólnej kondycji społeczeństwa⁴⁰. Wydaje się, że odpowiedź na to pytanie w odniesieniu do pierwszych lat po wojnie jest prosta. *Dekret z dn. 16 stycznia 1946 roku o powszechnym obowiązku wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego oraz organizacja systemu zarządzania sportem i kulturą fizyczną* (początkowo

40 M. Kopeć, *Kultura fizyczna w świetle aktów*, w: *W kręgu kultury PRL. Sport*, red. D. Skotarczak, K. Bittner, Poznań 2015, s. 127–128; Marek Wierzbicki pisze: „Otóż w zamyśle władz kultura fizyczna stawała się jeszcze jedną dziedziną, która miała być wykorzystana do kształtowania pożądanych przez komunistów postaw ideologicznych. Ponadto popularyzacja sportu zmierzała do podniesienia poziomu zdrowotności społeczeństwa, zwłaszcza jego młodszego pokolenia, a przez to poprawy zdolności obywateli do obrony kraju oraz zwiększenia wydajności pracy”. M. Wierzbicki, *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie. Studium z dziejów funkcjonowania stalinowskiej organizacji młodzieżowej*, Warszawa 2006, s. 220.

podporządkowanie wprost Państwowemu Urzędowi Kultury Fizycznej i Przysposobienia Wojskowego, potem rzekoma „demilitaryzacja” poprzez przekazanie w 1948 roku sportu i kultury fizycznej pod zarząd Powszechnej Organizacji Służba Polsce), a także działalność mierzona ilością spartakiad z konkurencjami takimi jak strzelanie czy rzut granatem czy liczbą zdobytych odznak „Sprawny do pracy i obrony” świadczą dobitnie, że tężyzna fizyczna, determinacja i pełne oddanie „nowego człowieka” ukształtowanego tak przez sport potrzebne było totalitarnemu państwu w celach militarnych.

Z drugiej strony rzeczywistość, w której trudności z komunikacją, brak elektryczności, brak chętnych do zaangażowania się w dzieło ograniczało wykonanie planu takiego, jakim chciałby go widzieć władze centralne i jaki oglądamy dziś w starych kronikach filmowych. To, co widać w dokumentach prawnych i urzędowych, w dyskursie propagandy, nawet w wewnętrznych sprawozdaniach niskiego szczebla organizacji, trudno czasem odnaleźć w przestrzeni i historii małych miasteczek i wsi oraz w indywidualnym doświadczeniu ich mieszkańców.

Posłużmy się przykładem Biegów Narodowych, zapoczątkowanych w 1926 roku, kontynuowanych po wojnie, kiedy to stały się, obok Marszów Jesiennych, sztandarową imprezą sportową wczesnej Polski Ludowej, organizowaną na powszechny wówczas wzór „kampanii”. „Start w Biegach Narodowych – wzmacnia tężyznę fizyczną – gwarantuje wykonanie Planu 6-letniego” głosiły afisze Głównego Komitetu Kultury Fizycznej w 1950 roku. Ówczesne Biegi Narodowe zakładały rywalizację typowo sportową w ramach konkretnego startu, ale także współzawodnictwo na polu organizacji imprezy, która miała się odbywać najlepiej w każdej miejscowości 1 maja. Miejscowości, jednostki administracji terenowej,



Drużyna Szkoły Podstawowej podczas Marszów Jesiennych w Sępólnie Krajeńskim, 1950 rok.

związki zawodowe, szkoły i organizacje rywalizowały na punkty i otrzymywały je już za wystawienie zawodnika, niezależnie od faktu, czy ukończył bieg⁴¹. Biegi, jako najprostsza i najtańsza forma dbania o kulturę fizyczną, miały ją popularyzować szybko i efektywnie. Charakterystyczna dla tego okresu metoda osiągania wszelkich pożądaných rezultatów poprzez współzawodnictwo natychmiast zamieniła się w swoją karykaturę. W dokumentach pozostały statystyki – olbrzymie liczby uczestników biegów, o co tak walczyli organizatorzy. Karykaturalny był już często sam przebieg imprezy, chociaż biegi mogły być, tak jak zakładano, pierwszym prawdziwym sportowym doświadczeniem wiejskich dzieci.

41 P. Szulc, *Ideologizacja sportu w okresie stalinowskim na przykładzie województwa szczecińskiego*, w: *W kręgu kultury PRL. Sport*, dz. cyt., s. 53.

Staszek Niciński, do którego losów powracamy, doskonale pamięta pierwszy Bieg Narodowy w Przytułach. Był wtedy w czwartej klasie.

W pewnym momencie przyjechał jakiś działacz i rzucił hasło: „Biegi Narodowe”. No to już, będziemy biegać. (...) Wszyscy ze szkoły, chyba od czwartej klasy do siódmej. Wszyscy, jak kto stał, w jakich był ubrankach, przeważnie na bosaka, tak jak się chodziło wtedy do szkoły. Dystans, jaki ten działacz zaplanował, to był z Przytuł do Obrytek i z powrotem. Dawalo to razem trochę ponad cztery kilometry. Więc startuje cała dzieciarnia – nieprzygotowani, nigdy nie biegali – chyba że ktoś pobiegał za krowami, żeby je ze szkody wygonić. I bez względu na różnice wiekowe – a te były duże. No i start! Większość zaraz po trasie gdzieś uciekała albo się chowała, tak jak mój starszy kolega Gienek – schował się pod mostkiem, jak bieглиśmy w tamtą stronę, a jak wracaliśmy – została nas już wtedy mała gromadka – wyskoczył i dołączył do nas... Takie Biegi Narodowe zaczęto organizować, ale to się odbyło zaledwie kilka razy.

Dlaczego dzieci nie biegly? Można sądzić, że dzieci wiejskie były fizycznie sprawne, skoro ciężko pracowały a do szkoły miały do przejścia podobny, kilkukilometrowy dystans. Element pewnej odświeżonej (przyjechał „działacz”, gość) rywalizacji rówieśniczej powinien być również przyczynić się do powodzenia imprezy. Bieg jednak nikogo do sportu nie zachęcił, wielu być może zraził: „Dzieci nie umiały ocenić dystansu, nie miały pojęcia, o co chodzi w biegu na dystans. Startowały jak do sprintu a po 100 metrach

dostawały zadyszki i po biegu”⁴². Trafną diagnozę postawił pan Stanisław na podstawie swojego ówczesnego doświadczenia, jak i późniejszego, kiedy pracował jako wiejski nauczyciel:

Po pierwsze: dzieci w owym okresie były niedożywione, bardzo niedożywione, wyścig na takim dystansie był ponad ich siły. Po drugie: dzieciak na wsi biegał tylko wtedy, żeby wypędzić krówkę czy gęś ze szkody. A tak nie miał potrzeby biegania. Coś tam nosić, drzewo przynosić do domu. W związku z tym nikt nie miał za sobą przygotowania. Taki bieg przynosił więcej szkody niż pożytku dla tych dzieci. Atrakcja to była żadna, a szkoda poważna.

Szkodą było, że dzieci z pierwszej takiej lekcji sportu wynosiły przeświadczenie, iż jest to wysiłek poza zasięgiem ich możliwości, nieprzynoszący żadnej satysfakcji ani nagrody. Rzeczywiście żaden Bieg Narodowy ani Marsz Jesienny nie mógł się równać z zabawą i emocjami, jakie dawała gra w palanta, w klipę, z rozrywką, jaką oferowały inne tradycyjne zabawy ruchowe królujące na co dzień lub w niektórych regionach kraju przy okazji świąt religijnych (np. biegi z kołatkami)⁴³. Propagandowe imprezy sportowe, które dobrze wyglądały w sprawozdaniach, były fajerwerkami, doraźnymi sukcesami etatowych działaczy na drodze ich kariery. Rzeczywiste wychowanie do kultury fizycznej i sportu miało miejsce w szkole, w codziennym trybie nauki.

42 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

43 Zob. W. Lipoński, *Rochwist i palant. Studium etnologiczne dawnych polskich sportów i gier ruchowych na tle tradycji europejskiej*, Poznań 2004.

Fotoreportaż znanego fotografa Zbyszka Siemaszki przedstawia szkołę podstawową w Dąbrówce (ówczesna peryferyjna część Warszawy, przyłączona w roku 1951). Opowiada on o wzorcowej placówce, w której dzieci ubrane w schludne fartuchy z białymi kołnierzykami, niektóre w chustach organizacji harcerskiej, troszczą się o wspólne dobro – porządkują teren wokół budynku szkolnego, uprawiają przyszkolny ogródek („miczurinowski”⁴⁴), a także uczą się dbania o higienę ciała, pracy i wypoczynku, także poprzez ćwiczenia gimnastyczne i gry sportowe. Na fotografiach z Dąbrówki dzieci prezentują, jak powinna wyglądać codzienna toaleta – jak myć ręce, zęby, jak umyć ciało w misce, jak głowę. Zdjęcia pokazują, jak wyglądać powinien odpoczynek nocny – w pojedynczym łóżku, zasłanym pościelą, przy otwartym oknie. Te podstawowe zasady higieny, które poznawano w każdej szkole, częstokroć były trudne do realizacji w domowych warunkach, szczególnie na wsi. Bo skąd wziąć szczoteczkę do zębów? Jak o nią poprosić rodziców, skoro nie mają nawet pieniędzy na bieżącą dla wszystkich dzieci? Albo uznają ją za „pański wymysł”, jak wspomina pamiętnikarka z lubelskiej wsi⁴⁵. To, co wydaje się dziś oczywiste, nie było wcale takie oczywiste w latach 50. ani też później: badania Instytutu Medycyny Pracy i Higieny Wsi przeprowadzone w połowie lat 60. na lubelskiej wsi pokazały, że prawie

44 Iwan Miczurin – rosyjski, potem radziecki, hodowca i sadownik, autor kontrowersyjnych (niezgodnych z uznanymi w zachodniej nauce zasadami genetyki) metod krzyżowania roślin. Ogródkami miczurinowskimi zwano przyszkolne poletka warzyw, owoców (i roślin ozdobnych), na których dzieci uczyły się ich uprawy.

45 D. Gałaj, *Przenikanie wartości i wzorów zachowań – „urbanizacja wsi” i „ruralizacja miasta”*, „Wieś i Rolnictwo” 1983, nr 3, s. 400.

połowa kobiet, głównie starszego pokolenia, nie nosiła bielizny⁴⁶. Z kolei po badaniach terenowych wśród stu pięćdziesięciu rodzin młodych piłkarzy ze wsi powiatu kozielskiego z zachodniej Polski (dobrze rozwiniętego, z bardzo dobrymi warunkami komunikacyjnymi – linie kolejowe z trakcją elektryczną, liczne połączenia autobusowe), student stwierdził: „mycie zębów prawie nie istnieje (nie spotkałem przyborów toaletowych)”⁴⁷.

Nie wszystkie dzieci w latach 50. stać było nawet fartuchy szkolne. Chłopcy chodzili w ojcowskich marynarkach i spodniach na wyrost, z których błyskawicznie wyrastali. Dziewczęta dbały o wygląd, o kołnierzyki przy fartuszkach, o kokardy we włosach, które prasowały na gorących drzwiczkach od kuchni. Mimo starań, widoczne były różnice między dziećmi z rodzin lepiej lub gorzej sytuowanymi, a różnice te dotyczyły często najbardziej podstawowych części garderoby. Radość z letniej kolonii w stolicy zorganizowanej dla dzieci z Przytuł była dla jednej z siostr Stasia zakłócona troską o brak wymaganych tenisówek i bielizny na zmianę. Dwie dodatkowe sztuki bielizny uszyto z resztek flaneli, a buty pożyczyla sąsiadka.

Fotoreportaż Siemaszki reprezentuje założenia programu edukacji młodego pokolenia Polski – kraju, który miał się również dzięki temu szybko modernizować. Nauka higieny obecna była w szkole przedwojennej, ale wychowanie fizyczne pojawiało się dopiero w programie szkoły średniej. Można więc śmiało

46 E. Szpak, *Mentalność ludności wiejskiej w PRL. Studium zmian*, Warszawa 2013, s. 221.

47 A. Mikołajewicz, *Charakterystyka stosunków społeczno-rodzinnych młodocianych piłkarzy środowiska wiejskiego w powiecie kozielskim (na podstawie przeprowadzonych badań)*, niepublikowana praca magisterska, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego w Krakowie, Kraków 1963, s. 46.



Zdjęcie z fotoreportażu Siemaszki
ze szkoły podstawowej w Dąbrówce,
lata pięćdziesiąte.

stwierdzić, że zdecydowana większość dzieci wiejskich nie miała wówczas kontaktu z ideą kultury fizycznej. Powojenna szkoła powszechna, z jednolitym dla wsi i miast programem nauczania wprowadzała edukację ku sprawności fizycznej, w której na równi ważna była higiena, jak i sport. Były to zarazem elementy

innego, nowoczesnego stylu życia, do którego wychowywała szkoła. Ideologia była w tym oczywiście obecna, ale wydaje się, że na równi istotne było rozwiązanie realnego problemu, którego ciężar dostrzegano przecież i w II Rzeczypospolitej, próbując zaradzić złemu stanowi zdrowia i kondycji społeczeństwa, w szczególności wiejskiego. Badania z połowy lat 50. wykazały, że powszechna była wśród małych dzieci krzywica (83% dzieci do lat trzech), zaawansowana próchnica zębów dotyczyła 94% dzieci do lat czternastu, a 25% dzieci było nosicielami glisty ludzkiej i tasiemca. Odpowiadały za to „złe nawyki żywieniowe” (ten fachowy, lekarski termin kryje realia, o których wyżej wspominaliśmy) oraz niski poziom higieny osobistej i stanu sanitarnego w obejściach mieszkalnych⁴⁸.

Nauczyciele, którzy trafili w latach 50. do szkół wiejskich, byli przygotowani do prowadzenia takiej misji cywilizacyjnej. Nauka higieny, wśród wielu przedmiotów, które ówczesny nauczyciel musiał prowadzić, była zapewne jednym z prostszych zadań wychowawczych. Przekazanie idei kultury fizycznej i zorganizowanie zajęć sportowych, które mogłyby konkurować z tradycyjnymi zabawami dzieci, okazywało się już zadaniem trudniejszym. W pierwszych klasach szkoły powszechnej w Przytułach, jak wspomina pan Stanisław:

Panie nauczycielki organizowały nam zabawy – takie zabawy, w jakie dzieci same też bawiły się na przerwach. Innego wychowania fizycznego nie mieliśmy. (...) Dzieci same się organizowały, grały. Obok szkoły był dość duży placyk i było tam miejsce do zabaw. W palanta się często tam grało. W palanta to dzieciaki i na własnych podwórkach grały. (...) To była fajna

48 E. Szpak, *Mentalność ludności wiejskiej w PRL...*, dz. cyt., s. 221.

zabawa, każdy w to mógł grać: i chłopcy, i dziewczęta. (...) Ten sport (w szkole) to był taki „na luzie” przez pewien czas, aż w początkach lat 50. przyszedł – jako wuefiarz, taki pan Bukowski Ryszard, syn dyrektorki szkoły. Młody człowiek – mówiono, że po wojsku, ale moim zdaniem, on był po jakiejś szkole sportowej. Był doskonale przygotowany – zarówno sam świetnie ćwiczył, jak i wspaniale prowadził lekcje, miał bardzo urozmaicone zajęcia.

Ryszard Bukowski zapisał się w pamięci wielu roczników uczniów szkoły w Przytułach. Cieszył się olbrzymią sympatią dzieci a dla większości chłopców, także największych urwisów, był wzorem młodzieńczej męskości.

Na lekcjach u pana Bukowskiego była piłka ręczna, biegi, skoki, ćwiczenia na drążku. To była prawdziwa „propaganda sportu” – on sobą, swoim prowadzeniem zajęć, rozruszał nas i całą szkołę. W czasie lekcji mówił i pokazywał, jak to się robi, a w czasie przerw – sam ćwiczył. I to była dla dzieci atrakcja! To, co pokazywał, ta gimnastyka – to było dla nas jak pokaz cyrkowy. On nas tak zachęcał do ćwiczeń. Oprócz obrotów na drążku, podmyk, wymyk, to również zaczepiał się na przykład czubkami nóg i zwisał głową w dół, a później zeskakiwał półsaltem. To mi się bardzo podobało i próbowałem go naśladować. (...) Pasąc krowy, na drzewie to wypróbowałem. (...)

Fenomen Bukowskiego nie był z pewnością odosobniony. Nauczyciele cieszyli się zazwyczaj dużym autorytetem wśród dorosłych mieszkańców wsi, więc ich kulturotwórcza rola wybiegała daleko poza salę lekcyjną. Dodatkowo młodemu pokoleniu nauczycieli,

k którzy mieli wyprzeć starą, „niepewną ideologicznie” kadrę, a przede wszystkim zapewnić oświatę wszędzie tam, gdzie był jej niedostatek, stawiano wysokie wymagania. Poza trzydziesto-sześciogodzinnym pensum mieli w swoją misję wpisane „zadania społeczne”, z których byli rozliczani bynajmniej nie tylko moralnie. Szczególnie w latach 1950–1956, kiedy wprowadzono do szkół system współzawodnictwa. Niezależnie od tego, swoją postawą i stylem życia dawali przykład, który jeśli nie był naśladowany, to z pewnością zauważany. W latach 50. pisano o tym w charakterystycznej retoryce ówczesnej propagandy, wyrażając bardziej życzenia niż przeciętną rzeczywistość:

Dziesięć lat temu nauczyciel wiejski pomagał chłopom dzielić obszarniczą ziemię, by potem prowadzić pionierską pracę w zakładaniu ogródków miczurinowskich, w komitetach założycielskich spółdzielni produkcyjnych czy w ognisku życia kulturalnego – świetlicy gromadzkiej⁴⁹.

Nauczyciel nie musiał prowadzić dokładnie takiej działalności, żeby być „pionierem”. Gimnastyka, której uczył Bukowski w Przytułach, ale także jego sposób ubierania się – jak podkreślają byli uczniowie – chodził w swetrze, a nie w marynarce, sposób spędzania czasu, także wolnego, składały się na obraz atrakcyjnego dla młodych sposobu bycia i stylu życia, w którym obecne były rzeczywiście „pionierskie” wartości. Bezpośrednia zachęta do dbania o sprawność fizyczną i osobisty przykład spotykały się z równie bezpośrednim naśladownictwem młodzieży. Nauczyciel pokazywał formy takiej aktywności i zabawy, które nie były na

49 J. Zajdel, *Sport na wsi*, Warszawa 1954, s. 18.



Gimnastyka w szkole w Dąbrówce,
zdjęcie z fotoreportażu Siemaszki.

wszkie znane, np. tenis stołowy. Stołem były złęczone ławki, odbija-
no księżkami albo zeszytami, ale za to piłeczki były oryginalne.

Charyzmatyczny nauczyciel zorganizował w szkole drużynę
piłki ręcznej, „o której nikt wcześniej nie miał pojęcia”. Na jego
apel zrobiono wspólnie bramki na przyszkolnym podwórzu.

W innych szkołach w pobliżu Przytuł nie było tej piłki ręcznej,
tylko my graliśmy, a dobrze byłoby mecz zagrać z prawdziwym
przeciwnikiem. Pan Bukowski znalazł nam przeciwnika – dru-
żynę z liceum ogólnokształcącego w Jedwabnem. Pojechaliśmy
tam do nich i wygraliśmy mecz! Byliśmy bardzo dumni, bo to
przecież licealiści, choć może tylko o dwa lata starsi od nas. Ale
duma nas rozpierała! I tu właśnie rodził się prawdziwy sport.

Kiedy oglądamy zdjęcia z Dąbrówki, na których wzorowo gimnasty-
kują się dziewczęta w ałasowych fartuchach i spódnickach, a cwi-
czenia pokazuje pani nauczycielka w butach na obcasach, trudno
nam myśleć o tym, jako o poważnej lekcji wuefu zgodnej z dzisiej-
szymi kryteriami. Dużo efektowniej wygląda pokaz gimnastyczny
dziewcząt z Moniek (województwo białostockie), sfotografowany
w 1949 roku, na którym wszystkie występują w białych trykotach
i ałasowych krótkich spodenkach (zob. s. 157). Te obrazy symbo-
lizują wprowadzanie nowych, rewolucyjnych wartości i w istocie
w rewolucyjnym trybie, jeśli wziąć pod uwagę tempo i polityczne
okoliczności. Są również dokumentem obyczaju, do którego te
wartości wkraczały. W latach 50. rewolucyjne w środowisku kilku-
nastoletnich wiejskich dziewcząt było bowiem dbanie o sprawność
fizyczną inną niż umiejętności taneczne. Nowatorskim pomysłem
było noszenie nie tylko sportowych szortów, na co uwagę w ana-
lizie przeszkód w rozwoju sportu wiejskiego zwracali ówczesnie

badacze, ale w ogóle noszenie spodni. Nawet siostra Stasia, Ha-linka – najpilniejsza uczennica w Przytułach – kiedy trzeba było w ostateczności, czyli mroźną zimą, włożyć spodnie („pumpy”), wstydziła się ich i podciągała nogawki tak, żeby ich nie było widać spod długiego fartucha. Spodnie rybaczki zaczęły być noszone przez to pokolenie późno, dopiero w latach 60., i tylko na specjalne okazje – wycieczki turystyczne. Rezygnacja ze spódnicy w innych okolicznościach byłaby więcej niż niestosownością czy przekroczeniem obyczaju. Spódniczka była atrybutem „dziewczyńskości”, definiovania tożsamości i długotrwałej, głębokiej regulacji kulturowej. Jak wspomina Cenia, nauczycielka wychowania fizycznego (żona naszego bohatera Staszka), jeszcze w połowie lat 60., kiedy podjęła swoją pierwszą pracę w podłomżyńskiej wsi Siemień, kobiety nie mogły się nadziwić, że chodzi w spodniach od dresu i trykotach.

Na zdjęciach z Dąbrówki dziewczęta się więc oszczędnie gimnastykują, a chłopcy grają w siatkówkę. Grają w ubraniach, w których chodzą na co dzień do szkoły. Podopieczni pana Bukowskiego maszerowali do szkoły najczęściej w marynarkach i koszulach, zimą w grubych wełnianych swetrach. Do biegów, gimnastyki, gry zdejmowali marynarki, jak Staszek na zawodach powiatowych w Łomży:

Pojechałem na te zawody w garniturku normalnie. Jak przyszła kolejka do rzucania, to tylko marynarkę zdjąłem, rękaw zawiąłem za łokieć. (...) Kiedyś takie były realia, że nie było żadnych wymogów co do stroju na wuef. Nikogo by nie było stać. (...) Nauczyciel też nie miał stroju. Chodził w spodniach i w sweterku – o tyle sportowo wyglądał.

Matematyk Sawicki i wuefista Bukowski należeli do nowego pokolenia nauczycieli, których kształcenie i ścieżka zawodowa były

pod całkowitą, jak twierdzą historycy tego okresu, kontrolą władz. Z pewnością każdy z nich, w trosce jeśli nie o idee, to o własną karierę, realizował wytyczne władz oświatowych. Każdy na swój sposób, choć zgodnie z obowiązującą linią programową. Z pewnością to zaangażowanie odzwierciedlały dokumenty, które tworzyli na potrzeby zwierzchnich władz oświatowych, używając adekwatnego wówczas języka. To, co wpisywali w dzienniki i sprawozdania, musiało korespondować z oczekiwaniami wyższej instancji. Tak jak w innych szkołach, tak i w przytułskiej, w planie wychowawczym na każdy rok znajdowały się zapewne takie hasła jak Wielka Socjalistyczna Rewolucja Październikowa, rocznica śmierci Lenina, rocznica zwycięstwa Armii Czerwonej pod Leningradem, rocznica śmierci Karola Świerczewskiego itd., a nauczyciele deklarowali formy pracy z młodzieżą, które zostaną tymi hasłami wypełnione. Być może było też tak, jak w szkole podstawowej w Sierakowicach na Kaszubach, gdzie w roku szkolnych 1951/52 z okazji 60. rocznicy urodzin prezydenta Bieruta każdy z nauczycieli

zobowiązał się przepracować nadobowiązkowo 12 godzin lekcyjnych z uczniami słabymi, a jeden z nich dodatkowo 50 (!) godzin, inny – 20, a nauczycielka języka rosyjskiego – 10. Zobowiązali się też założyć dwie spółdzielnie produkcyjne (w Załakowie i z Pałubicach), uaktywnić koło ZMP Ludowy Zespół Sportowy w Sierakowicach, zorganizować ogródek miczurinowski, uaktywnić kółka przedmiotowe w celu likwidacji stopni niedostatecznych u 47 uczniów (...) ⁵⁰.

50 H. Radomski, *W oparach bierutomanii (1951/52)*, „Wiadomości Sierakowickie” 2004, nr 10 (01.10.), (on-line): <http://wiadomosci.sierakowice.pl/?a=1&id=366> (dostęp 13.06.2016).

Ryszard Bukowski zimą, w ramach lekcji i po nich, wyprawiał się z dziećmi na narty (a także instruował, jak je należy wykonać). Być może było to jego zobowiązanie z okazji jakiejś ważnej rocznicy? Jeśli nawet tak, dzieci nie zauważyły w tym zaangażowaniu fałszu a we wspomnieniach zostało:

Nie robił tego w ramach jakichś godzin SKS-u, tylko z własnej inicjatywy. Dzięki niemu dzieciaki mogły pójść gdzieś po lekcjach... Bo dzieci na wsi to miały głównie obowiązki, także zimą: to zwierzęta nakarmić, to wody przynieść, to ciągle drwa narąbać.

Dla uczniów, których aspiracje sięgały poza rodzinne gospodarstwo i wioskę, postawa nauczyciela takiego jak Ryszard Bukowski mogła być zachętą do dalszej nauki, do bliższego poznania świata, którego był reprezentantem. Niekoniecznie musiało się to wiązać z wyborem kariery pedagoga. Staszek Niciński mierzył wysoko, ale też zgodnie ze społecznymi wyobrażeniami swojego środowiska. Na wsi oczywiście ceniono nauczyciela, ale jeszcze bardziej ceniono księdza.

Po ogólniaku chciałem iść do seminarium. Nie wiem, skąd się to wzięło, ale chyba po wizycie księdza – jak tak zachwalał, jak to dobrze w kościele, jak ludzie dbają o księdza, jak widziałem te dary, które przynoszą. I tak mi się to podobało. Rodzicom też się raczej podobało, bo to zawsze szacunek i prestiż. Ksiądz to był ktoś, to była elita, a nawet superelita! Ani nauczyciel, ani urzędnik, ani wojskowy nie mieli takiego uznania. Ksiądz był ponad wszystkim.

Stanisław był pierwszym chłopakiem ze wsi, który zdecydował się zdobyć średnie, a potem wyższe wykształcenie. Przed nim wystarowała w świat kuzynka Czesia, która poszła do szkoły zawodowej w Elku. Jej przyjazdy na wieś za każdym razem były radośnie witane przez dzieci – była już postacią z innej rzeczywistości. Nosiła szerokie spódnice „malowanki”, miała modną fryzurę, przywoziła drobne upominki – produkty przemysłu, a nie dobrze znanego domowego czy małomiasteczkowego rzemiosła. Po nich kolejne roczniki kuzynów i sąsiadów ze wsi Przytuły-Las szły do szkół zawodowych, liceów pedagogicznych i liceów pielęgniarских, znajdując po nich pracę, często w wielkich miastach. Taka lawina ruszyła w całym kraju. O „awansie społecznym młodzieży wiejskiej” i „migracjach ludności wiejskiej do miast” pisze się lekko z perspektywy czasu, liczb i dokumentów. Stwierdzenie, że w szkołach zawodowych w latach 50. 75–80% uczniów stanowiły dzieci robotników i chłopów, które potem znajdowały zatrudnienie w wielkich zakładach przemysłowych, dobrze ilustruje plany gospodarcze państwa i daje obraz skali przeobrażeń polskiego społeczeństwa. Trudniej wyobrazić sobie to jako ludzkie – indywidualne i zbiorowe doświadczenie, które się za tymi faktami kryje. Jak opisać to, co się wydarzało na granicy starego i nowego, kiedy zaledwie piętnastoletnie dziewczyny i chłopcy wyruszali w nieznany świat? Ile kosztowało ich samych i ich rodziny zerwanie z życiem, które znali, do którego do tej pory byli przygotowywani? Pójście do średniej szkoły dla tego pokolenia, jak być może dla żadnego później, było niezwykle trudną życiową podróżą, bo podróżą między cywilizacjami, a na sam początek wyprawą dosłowną:

We wrześniu 1947 roku wyjechałam z rodzinnej wioski wraz z rodzeństwem i jeszcze trzema młodszymi koleżankami.

One jechały do gimnazjum sióstr urszulanek, które miało być lepsze od naszego na wsi. Miałam już osiemnaście lat i nigdy nie widziałam dużego miasta. Ponieważ nikt starszy z nami nie jechał, błędziliśmy po całej Polsce (...) ⁵¹.

Niepostrzeżenie dla siebie samej ukończyłam szkołę podstawową w 1947 roku i rodzice moi podjęli epokową decyzję wysłania mnie do gimnazjum w Bielsku [Podlaskim], oddległym o 25 km. Była to wielka wyprawa. Jechało się furą wyładowaną łóżkiem, pościelą i dobytkiem przyszłej gimnazjalistki (...). Była to we wsi rewelacja, że się uczyć. Oprócz mnie uczyła się tylko w gimnazjum córka miejscowego bogacza – no, ale ona to przecież co innego ⁵².

W 1954 roku, kiedy Staszek Niciński składał podanie o przyjęcie do szkoły średniej, kwalifikacja do szkoły uwzględniała pochodzenie społeczne oraz właściwą postawę ideologiczną. Z pewnością nie wpisywało się w nią chodzenie do kościoła, szczególnie w dni szkolne, a takie „wagary” w ostatniej klasie przydarzyły się naszemu bohaterowi i kilku kolegom, którzy poszli na uroczystości Bożego Ciała. Obniżony stopień ze sprawowania mógł zaważyć na planach chłopca, bo o przyjęcie do liceum w Jedwabnem starało się wielu kandydatów. W powojennej Polsce na skutek likwidacji szkół prywatnych, odsunięcia od pracy wielu przedwojennych pedagogów, a także wskutek oczywistych strat wojennych w tej grupie zawodowej, liczba ogólnokształcących szkół średnich z roku na rok była coraz mniejsza i w 1953 roku osiągnęła stan

51 Uparta, *Wiedza jest dla wytrwałych*, dz. cyt., t. 3, s. 107.

52 *Zniknie różnica*, pam. nr 4833, w: *W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy*, Warszawa 1966, s. 208.

niższy niż przed wojną. W kraju było wtedy 763 licea, natomiast liczba chętnych do nich znacząco przecież wzrosła wśród młodzieży chłopskiej i robotniczej. W 1956 roku populacja uczniów licealnych w całej Polsce składała się w 29% z dzieci robotników, w 24,7% z dzieci chłopskich, pozostali deklarowali pochodzenie z „inteligencji pracującej” i rzemieślników oraz wolnych zawodów⁵³. W liceach małomiasteczkowych na wschodzie Polski w połowie lat 50. dominowali uczniowie z rodzin rzemieślniczych i chłopskich. Ci ostatni najczęściej mieszkali w internatach lub na stacjach, smakując nowe życie, w którym nikt nie wymagał od nich fizycznej pracy: „Dopiero tu stwierdziłem, co to jest nauka, nie ma się prócz niej żadnych obowiązków ani zmartwień”⁵⁴. Z czasem powstawała przepaść pomiędzy rówieśnikami, którzy zostali na wsi, a uczniami szkół średnich. Ci ostatni, nawet jeśli uczyli się tylko w pobliskim małym mieście, znaleźli się w lokalnym centrum. Jeśli nawet w miasteczku nie było stałego kina, to kino objazdowe zajeżdżało tu częściej niż do rodzinnej wioski. Nawet jeśli nie było ich stać na kupno oranżady w sklepie GS-u, to wiedzieli, że jeśli zaoszczędzą, to kupią ją w każdej chwili, a nie przy okazji ekspedycji na targ.

Liceum ogólnokształcące znajdowało się 20 km od wsi, w której mieszkalem. Zamieszkałem w internacie, a z wioską i kolegami, którzy nie poszli do szkoły średniej, widywałem się raz na miesiąc w niedzielę wyjazdową lub na ferie. Zenek

53 K. Kosiński, *Oficjalne i prywatne życie młodzieży w czasach PRL*, Warszawa 2006, s. 28.

54 *Ziemia legitymowała chłopą jak psa łańcuch*, pam. nr 4333, w: *Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki*, Seria *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia*, t. 5, Warszawa 1968, s. 181.

tak jak ja poszedł do „ogólniaka” i zamieszkał w internacie. Nasze stosunki z kolegami ze wsi pogarszały się z każdym okresem. Opowiadaliśmy im o życiu w mieście, o rozrywkach, wyjazdach na wycieczki. Nosiliśmy szkolne czapki, dumnie zadzierając nosy⁵⁵.

Ten sam pamiętnikarz pisze:

Należeliśmy do ZMP. Zarząd Powiatowy wysyłał nas na zebrania wiejskich kół ZMP jako „władzę”, to znaczy aktywnie. Zasiadaliśmy za stołem prezydyjnym i wygłaszaliśmy mowy. Jedni nam zazdrościli, inni czuli żal, że nie byli z nami (...). Chodzili na zabawy, pili wódkę i wino. Powodowali bitki. Nam tego robić nie było wolno. Dlatego tworzyliśmy paczkę „studentów” i razem spędzaliśmy niedzielę. Nasi rodzice nie mieli gospodarstw rolnych. Ojciec Zenka był rzeźnikiem, a mój ślusarzem w PGR. Nawet podczas najgorętszych prac w polu (np. we żniwa) paradowaliśmy przez wieś w krótkich spodenkach, trzymając wędki w rękach. Albo opalaliśmy się, i to przeważnie w takich miejscach, aby nas wszyscy widzieli. W tym czasie wiejscy chłopcy musieli pracować od świtu do nocy. Niektórym ludziom to nie podobało się. Rodzice też zwracali nam uwagę, że nie powinniśmy tak robić. Ale nam to nie trafiało do przekonania. Chcieliśmy czymś wyróżnić się⁵⁶.

55 *W kręgu działania, pam. nr 4743, w: W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy, dz. cyt., s. 395.*

56 Tamże.

W liceum, do którego mimo obniżonego stopnia ze sprawowania udało się Staszкови dostać, szybko dostrzeżono jego predyspozycje do uprawiania sportu. Biegał na krótkie dystanse i rzucał dyskiem.

W pewnym momencie przyjechali działacze sportowi i zrobili podnoszenie ciężarka 17,5 kg dla młodszych, dla starszych 22,5 kg. W tym podnoszeniu udało mi się wygrać, nawet medal dostałem. Nasz wuefiarz, który przyjechał ze Śląska i tam już uprawiał podnoszenie ciężarów, załatwił sztangę i namówił mnie na sekcję podnoszenia ciężarów. Miały się odbywać zawody, więc którejś niedzieli przyszedł do nas wcześniej rano do internatu i wziął nas na bieganie na zbiec wagi. Pobiegłem razem z nimi, starsi koledzy, którzy razem biegli, mieli już dresy, a ja biegłem w normalnym garniturku. Biegliśmy do Kownat i z powrotem – 14 czy 15 km. Jak tylko przybiegliśmy, zjedliśmy śniadanie i do odrabiania lekcji. Moje wyznaczone miejsce przy stoliku było zaraz przy oknie – z wybitą szybą, a to był styczeń. Po bieganiu miałem mokry ten garniturek, oczywiście nie miałem się w co przebrać. Jak efekt – wiadomy: przeziębienie. Przez tydzień miałem zwolnienie, potem wróciłem do szkoły, do treningów. Jakoś nie szły mi te treningi, szybko się pociłem, szybko męczyłem, ale jakoś dociągnąłem do wakacji.

Matka od razu poznała, że dziecko nie jest zdrowe. Lekarska diagnoza potwierdziła najgorsze przypuszczenia: gruźlica płuc. Była to w owym czasie choroba zarówno rozpowszechniona (na skalę epidemii), jak i nadal zbierająca śmiertelne żniwo wśród osłabionej wojną i niedostatkiem populacji. Dwa następne lata spędzone w sanatorium w Otwocku odcisnęły paradoksalnie,

pozytywne piętno na dalszych losach naszego bohatera. Otwockie sanatorium, mimo że z definicji izolowane, żyło atmosferą i kulturą wielkiego miasta. O młodych pacjentów dbano szczególnie, organizując im koncerty, spektakle, pokazy filmowe. W sanatorium Staszek zetknął się ze sztuką, muzyką i teatrem, miał lekcje z przedwojennymi warszawskimi nauczycielami. Uświadomił sobie, jakie stoją przed nim szanse, niekoniecznie związane ze stanem duchownym. Poszedł ścieżką, która, jak mówią statystyki, była dość popularna w tamtym czasie wśród młodzieży wiejskiej aspirującej do społecznego awansu – była nią kariera nauczycielska. Zapotrzebowanie na nauczycieli było od samego początku szkolnej reformy olbrzymie, a potem, wraz z dorastaniem pokolenia pierwszego powojennego boomu demograficznego, jeszcze wzrosło. Dlatego już ok. 1955 roku połowę kadry w szkołach stanowili – wykształceni jeszcze wtedy naprędce, na potrzeby wchodzącego do szkół powojennego demograficznego wyżu – nauczyciele pochodzący z rodzin chłopskich. W 1954 roku wprowadzono licea pedagogiczne kształcące nauczycieli klas I–IV. Staszek po wyjściu z sanatorium nie wrócił już do liceum ogólnokształcącego, poszedł do liceum pedagogicznego. Potem zatrudnienie w szkole podstawowej na wsi – jednej, drugiej, kolejnej..., kursy rozszerzające kwalifikacje, studia magisterskie. Mimo że niezwiązane z wychowaniem fizycznym, jednak to sportowe marzenia napędzały karierę młodego nauczyciela, szerzej otwierając jego mentalne horyzonty i powodując, że coraz bardziej rósł metaforyczny dystans od wsi, którą opuścił w wieku piętnastu lat. W trakcie nauki w liceum pedagogicznym w Lidzbarku Warmińskim Stanisław trenuje lekką atletykę, specjalizując się w rzucie dyskiem, jeździ na zawody i kibicuje na międzynarodowych mitingach lekkoatletycznych. Uczy się wykorzystywać wszelkie dostępne możliwości,

dzięki którym spełnia swoje marzenia: skończy kurs szybowcowy w Lesznie w ramach Lotniczego Przysposobienia Wojskowego, w liceum nauczył się pływać stylami – równie rzadka umiejętność wśród młodzieży wiejskiej. Wkrótce potem ukończy kurs instruktorów pływania w Warszawie. Raz wyszedłszy z rodzinnej wsi, krąży bez lęku po całej Polsce, osiadając ostatecznie w... Otwocku, gdzie pracuje w ośrodku dla młodzieży „trudnej wychowawczo”. W połowie lat 70., jako dojrzały, żonaty mężczyzna, uczy się samodzielnie – z płyt – języka hiszpańskiego, zdaje egzamin państwowy i zostaje pilotem wycieczek zagranicznych. Rozpoczyna podróż najpierw do krajów „demokracji ludowej”, potem do Hiszpanii i Meksyku.

Losy Staszka na każdym prawie etapie są w dużym stopniu reprezentatywne dla całego pokolenia wiejskich dzieci urodzonych w czasie lub tuż po II wojnie światowej, które odważyły się marzyć o życiu innym, niż wiedli ich rodzice. Marzenia i wyobrażenia o tym wzrastały pod dużym wpływem środowiska (jak pragnienie bycia księdzem), ale także zmian, jakie w tym środowisku zachodziły pod wpływem sytuacji politycznej i gospodarczej. To w latach 50. doszło do wielkiej rewolucji kulturowej i mentalnej na prowincji – wtedy młodzież wiejska zaczęła myśleć o swojej przyszłości „w zawodzie”. „Zawód” był czymś innym niż robota w gospodarstwie – fizycznie wyczerpująca, wymagająca ciągłej dyspozycji, podległa prawom przyrody, przy której nie istniało pojęcie niezależnego od niej czasu wolnego. „Zawód” to ściśle określona liczba godzin pracy, to realne pieniądze w regularnej wypłacie, to inne miejsce zamieszkania związane z dostępnością atrakcyjnych rozrywek lub inna ich forma i styl (np. „prywatka”, nie „zabawa”). Tego dowiadywały się dzieci od nauczycieli, z podręczników, mogły to także obserwować na co dzień w szkole:

nauczyciel, czyli człowiek z zawodem, był dobrze (lepiej lub zupełnie inaczej) ubrany, mył zęby, ładnie się wysławiał, a w wolnym czasie czytał czasopisma i uprawiał sport. Zachęcał do tego dzieci, a kiedy te zasmakowały pierwszych sukcesów – w sporcie osiągalne szybko – nabierały pewności siebie. Mogły iść dalej, naśladować osobę, którą darzyły sympatią i podziwem. Mogły też wyznaczać sobie własne cele, sięgające poza te od dawna ustalone we własnej rodzinie i środowisku: „Wierzyłam, że jeśli (nauczycielka) tak mówi, to na pewno tak się stanie. Muszę się tylko uparcie uczyć. Muszę zostać nauczycielką, wtedy będę tak mądra jak ona”⁵⁷. Rzecz jasna, trudno było robić to wbrew rodzicom, choć i tak się zdarzało. W zależności od predyspozycji i finansowych możliwości rodziny, szły więc do szkół zawodowych, techników, liceów pedagogicznych. Albo prosto do pracy w fabryce. Powrót na gospodarstwo nie wchodził już w rachubę.

Jeden z zamożniejszych gospodarzy, mający dwoje dzieci, córkę wyszkolił i pracuje ona w mieście, a syn, który miał objąć gospodarkę, uciekł po prostu z domu do pracy w fabryce. Ojciec nie mogąc dać rady, bo już stary, wezwał obydwójce dzieci i chciał jednemu z nich oddać całą gospodarkę, z tym że mu da utrzymanie. Żadne się nie zgodziło. Po prostu nie chcą pracować na roli⁵⁸.

Wspomnienia o pasieniu krów, chodzeniu boso do szkoły były dla następnego pokolenia – dla ich dzieci – opowieściami oderwanymi nie tylko od znanej rzeczywistości, ale też od narratora, którego

57 Uparta, *Wiedza jest dla wytrwałych*, dz. cyt., s. 108.

58 *Ziemia legitymowała chłopą jak psa łańcuch*, *pam. nr 4333*, dz. cyt., s. 286.

trudno było sobie wyobrazić w roli bosego pastuszka z obrazów Chełmońskiego.

Zdjęcia z rodzinnego albumu z początku lat 60. pokazują Staszka, Halinkę i Wieska w okresie, kiedy starsze rodzeństwo ma już za sobą ów przełomowy okres w życiu. Już wykonali wielką pracę, jaką było opuszczenie domu i przekroczenie opłotków rodzinnej wsi, związane z decyzją o dalszym kształceniu i zdobyciu zawodu nauczyciela. Dla urodzonego w 1954 roku Wieska podobna decyzja nie będzie już tak trudna – pójdzie przetartą ścieżką, pod opieką rodzeństwa, choć wybierze już inny rodzaj studiów. Fotografie, mimo iż wykonane w prawie tym samym czasie, nie dokumentują wyjątkowego okresu fascynacji sportem, co wiemy już z losów Staszka. Gimnastyka akrobatyczna, judo, łyżwiarstwo, kajakarstwo górskie, kolarstwo – to tylko niektóre z repertuaru dyscyplin, jakie uprawiają wtedy i później, wyczytano i dla własnej satysfakcji – tak jak na tym „podwórkowym stadionie”.

Zaczęło się tak, jak dla pierwszej polskiej medalistki olimpijskiej, Haliny Konopackiej:

po prostu z zamiłowania do ruchu, do przyrody. Ciekawość kazała rzucać, biegać, próbować. Po prostu z radości życia, z młodości, z przygody i z tego wszystkiego, z czego sport się powinien składać⁵⁹.

59 Cyt. za: M. Grzywacz, *Złote tryumfy Haliny Konopackiej*, „Ale Historia!” 2016, nr 22, (on-line:) <http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,20506360,zlote-triumfy-haliny-konopackiej.html> (dostęp 28.06.16).

Naturalna aktywność fizyczna dzieci niezależnie od środowiska, w którym się wychowywały, poszukiwanie zabawy i radości, również tej z rywalizacji – wszystko uzyskało formę i dyscyplinę na szkolnych lekcjach wychowania fizycznego pod kierunkiem charyzmatycznego nauczyciela. Sport i jego wartości wpisały się w ich codzienność i ukształtowały, choć w różnym stopniu, ich styl życia w latach późniejszych. Staszek, o którym już dużo napisaliśmy, jako nauczyciel przez całe zawodowe życie entuzjastycznie angażował się w wychowanie dzieci poprzez podnoszenie kultury fizycznej na wsi i małych miasteczkach (był m.in. trenerem drużyny piłki ręcznej w Kolnie). Podobną postawę reprezentował na polu życia rodzinnego, będąc mentorem i często trenerem swoich dzieci (wraz z żoną – nauczycielką wychowania fizycznego). Starł się też poszerzać katalog swoich sportowych umiejętności, o czym już wcześniej pisaliśmy. Inną postawę reprezentuje Wiesiek, który mimo uprawiania podczas studiów wielu dyscyplin w ramach akademickiego związku sportowego, nie związał swojej kariery zawodowej ze sportem. Mimo to aktywność sportowa ma w jego życiu ważne miejsce – jest równoznaczna ze spędzaniem wolnego czasu. Halina fascynowała się sportem na równi z innymi dziedzinami z elementarza człowieka nowoczesnego i kulturalnego, które poznawała na kolejnych etapach edukacji: interesowała ją muzyka, taniec, literatura i z upływem czasu te ostatnie wyparły aktywność sportową.

Historie życia Staszka, Haliny i Wieśka to bogactwo zdarzeń i doświadczeń zamkniętych w losach jednostek. Wszystkie razem, tak jak i każda z osobna, są jednak reprezentatywne dla olbrzymiej rzeszy wiejskiej młodzieży z roczników wojennych i tużpowojennych. Kultura fizyczna jako element planu wychowawczego, który realizowała powojenna szkoła („kując nowego

człowieka”), wprowadzała w wiejskie środowisko wartość pochodzącą ze świata ludzi zamożnych, wykształconych i żyjących w atmosferze i warunkach wielkiego miasta, zaawansowanej cywilizacji i kultury. Odwołajmy się jeszcze raz do życiorysu Haliny Konopackiej:

W domu Konopackich, zamożnym, mieszczańskim, z tradycjami, dbało się o odpowiednie wychowanie i wykształcenie dzieci, także w dziedzinie sportu. Konopaccy prowadzali dzieci do zakładanych w Warszawie od początku XX w. ogrodów im. Wilhelma E. Raua pomyślanych jako miejsce, gdzie młodzież mogła uczestniczyć w grach zespołowych i ćwiczyć⁶⁰.

Dla dzieci i młodzieży wiejskiej i małomiasteczkowej sport w takim wydaniu był nowością. Kultura fizyczna była zarazem najbardziej widoczną, obserwowalną cechą stylu życia ludzi o wyższym społecznym statusie, z którymi się stykano na wsi – w pierwszym rzędzie nauczycieli oraz przedstawicieli innych zawodów cieszących się szacunkiem – lekarzy, wojskowych. Zaangażowanie w sport zbliżało do takiego wzorca życia, sukcesy na tym polu mogły podnosić samoocenę wiejskich dzieci i motywować do tego, żeby samodzielnie zapracować na swoją przyszłość. Sport, będąc elementem przekazu kulturowego w szkole, był być może drobnym, ale ważnym czynnikiem rewolucji mentalnościowej i przemian społecznych, jakie się dokonały na polskiej prowincji, szczególnie na wsi, w pierwszych dwóch dekadach po wojnie.

Dzikie boiska

Dziennikarz lokalnej gazety tak kreślił obraz tużpowojennego życia sportowego w Juszczyńie koło Suchej Beskidzkiej:

Wiosna 1946. Życie w górskiej wsi po pożodze wojennej wracało do normy. Jednym z widomych tego znaków było uganie się po polach i ogrodach grupki chłopców za piłką. Niektórym z nich sypał się już dobry zarost. Gospodarze pędzili „harcowników” ze swych posiadłości, ale jak upilnować dryblasów. Zresztą łąki „tratowali” nie tylko synowie sąsiadów, ale i własne dzieci⁶¹.

Inny dodawał: „Na łąkach ustawiono bramki z kopców siana i grano jak na najprawdziwszym boisku”⁶². Powyższy opis miejsc gry z jednej strony dobrze oddaje amorficzny charakter pierwszych powojennych lat, kiedy nowa rzeczywistość polityczna i społeczna nabierała dopiero kształtów, a radość z zakończenia wojny mie-

61 J. Pęksa, *Etiudy na temat Juszczyzny*, „Wiadomości Sportowe” 1969, nr 19, cyt. za: M. Gałka, A. Warta, *Działalność sportowa na wsi jako czynnik integracji społecznej i rozwoju środowiska na przykładzie LKS „Naroże” Juszczyń*, Zakład Nauk Społeczno-Politycznych, AWF w Krakowie, Kraków 1984, mps.

62 W.B., *Nie potrzeba Salomona*, „Zarzewie” 1969, nr 22, cyt. za: M. Gałka, A. Warta, *Działalność sportowa na wsi jako czynnik integracji społecznej...*, dz. cyt.

szała się z niepewnością. Z drugiej pokazuje, że to swego rodzaju poczucie bezkształtu miało swoje materialne podstawy. Sport jest tu wprawdzie tylko pewnym fragmentem rzeczywistości, ale fragmentem znaczącym. Juszczynscy piłkarze zagrać mogli niemal wszędzie. Nie ograniczała ich żadna infrastruktura. Powoływali „święty krąg zabawy” spontanicznie i doraźnie. Biorąc pod uwagę zaangażowane elementy świata materialnego, taka aktywność oparta była na minimalnym zestawie środków, odznaczając się w związku z tym daleko posuniętą niestabilnością. Trudno wszak uznać kopce siana za mocne oparcie dla sportu i przejaw jego głębokiego osadzenia w krajobrazie wsi.

Tworzenie materialnych ram aktywności sportowej odbywało w przytoczonym przykładzie na zupełnie podstawowym poziomie. Fizyczne otoczenie sportu, jego zakorzenienie w przestrzeni miało charakter takiej samej efemerydy, jak i gra, która się w jej granicach toczyła. Na głębszym poziomie można te przejawy spontanicznej aktywności ruchowej interpretować jako odbicie tuż powojennego poczucia tymczasowości. W niejednym przypadku takie wytłumaczenie zapewne miałoby uzasadnienie. Nie jest jednak wyjaśnieniem wystarczającym. Powoływanie pola gry/zabawy jako przestrzeni tymczasowej nie było domeną wyłącznie pierwszych powojennych lat. Chociaż jest duże prawdopodobieństwo, że występowało wówczas ze szczególnym nasileniem. Był to raczej jeden z trybów osadzania sportu w przestrzeni małych miast, osiedli i wsi obecny przez całą epokę, a także po 1989 roku. Stanowił emanację rekreacji fizycznej w tej wersji, która nie wymaga skomplikowanego entourage’u albo nawet nie potrzebuje go w ogóle. Tak jak w scenie mającej miejsce w jednej ze wsi województwa warszawskiego na początku lat 60., a zapamiętanej przez młodego działacza ZMW:

Wyszliśmy na dwór i zobaczyłem na placu dziwną bieganinę wielkoludów. Chłopakom nagle zachciało się zagrać w piłkę. Była tylko mała piłka, która nadawała się tylko do gry w palanta. Chłopcy spoceni biegali po całym placu, tłukli piłeczkę grubym kijem i łapali flangi, bawiąc się wesoło i wyżywając jak dzieci⁶³.

Pokazane tu przykłady oferują obraz na swój sposób skrajny – materialność sportu jest dalece umowna, chwiejna, wszystko dzieje się „tu i teraz” – odpowiada potrzebom chwili, nie jest niczego kontynuacją ani nie ma dalszego ciągu. Trudno mówić tu zatem o jakimkolwiek zakotwiczeniu. Lecz, jak to często bywa w podobnych przypadkach, przykłady znajdujące się na granicy skali albo nawet poza nią pomagają lepiej unaocznić pewne generalne właściwości usytuowania sportu w przestrzeni prowincji.

Chłopcy z mazowieckiej wsi, którym „nagle zachciało się zagrać w piłkę” i spoceni biegali, uderzając małą piłeczkę, być może już nigdy więcej nie powtórzyli swojej „gry” – była przecież wydarzeniem w najwyższym stopniu improwizowanym. Przypadkowe wydaje tu się zarówno miejsce ich zabawy, jak i jej czas. Z trudem przyszłoby nam nazwać tych młodych ludzi sportowcami, podobnie jak miejsce, w którym grali – boiskiem, a ich improwizowana zabawę – sportem. Ale z drugiej strony, w tej chaotycznej grze rozpoznajemy, nawet czysto intuicyjnie, rdzeń wszelkiej aktywności sportowej. Widzimy ją niemal *in statu nascendi*. Zawiera się bowiem w tym niezbornym ruchu

63 *Wychowanek Uniwersytetu Ludowego, pam. nr 4562, w: Gospodarstwo i Rodzina..., dz. cyt., s. 275.*

na doraźnie zaimprovizowanym polu gry idea zabawy w jej pierwotnej postaci. A jednocześnie może, ale oczywiście nie musi, być punktem wyjścia do bardziej złożonych form organizacji aktywności fizycznej i jej trwalszego wpisania w lokalny krajobraz.

Podłożem ich działań była żywiołowość, chaotyczna oddolność. Podobną żywiołowość odnajdujemy w opisie dotyczących miejsc gry w piłkę nożną w Lubartowie, w województwie lubelskim. Boisko, na którym mecze rozgrywał lokalny klub, chociaż bezsprzecznie miało specjalny status, było tylko jednym kilku miejsc zaadaptowanych na potrzeby młodych i nieco starszych futbolistów. Jak wspomina Stanisław Barczak, w przeszłości zawodnik lubartowskiego „Lewartu”. Rekreacyjnie w piłkę nożną w pierwszych dekadach po wojnie grano jeszcze, nie licząc terenów przyszkolnych, w co najmniej dwóch–trzech lokalizacjach (a zapewne było ich więcej):

Pod torem [przy ul. Lipowej oraz] na łąkach, o tutaj, jak się tylko zeszło, taka Ogrodowa jest, w tej chwili są ogródki działkowe, a tam była równiuteńka łąka. I my tam żeśmy na tej łące grali⁶⁴.

„Dzikie mecze” na łąkach usytuowanych już poza zabudową przywołuje także Tadeusz Guz, inny były piłkarz i potem działacz:

Graliśmy tam na łąkach (...). Tam są rozlewiska Wieprza (...). Lubartowiaci nie mówili, że to są „ogródki działkowe”,

64 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora

tylko „idź na Brody”. Jak tam woda opadła, to było idealnie równe boisko⁶⁵.

Nadwieprzańskie łąki stawały się tym samym miejscem rekreacji dla dorastających chłopców – rozgrywali swoje mecze na zaimprovizowanym polu gry, korzystając z jego naturalnych właściwości. Lecz nie były to już miejsca stworzone *ad hoc*, ginące wraz z odejściem tych, którzy wypełniali je ruchem. W boisku na łąkach zawarta była, mimo całej jego kruchości, jednak zauważalna także dziś trwałość. Przede wszystkim korzystano z niego w pewnym stałym rytmie. Na tyle regularnie, że nawet po latach jego ówcześni użytkownicy, a dziś starsi mężczyźni, są w stanie precyzyjnie wskazać lokalizację. Niewątpliwie w czasie, kiedy owo boisko istniało, musiało być dla nich istotnym punktem w topografii miasteczka. Rzut oka na mapę wystarczy, by zorientować się, w jakiej relacji do miejskiej tkanki pozostawało to miejsce futbolowych potyczek. Przede wszystkim zwraca uwagę jego peryferyjny charakter. Znajdowało się na uboczu, w miejscu niezagospodarowanym – takim, które można przeznaczyć na boisko bez straty innych potencjalnych funkcji tego terenu. Określenie „dzikie boisko” oddaje w pełni specyfikę jego i jemu podobnych miejsc rekreacji fizycznej. To doskonale widoczna próba znalezienia swojego miejsca bez naruszania istniejącego *status quo*. Takie działania nie miały żadnego organizacyjnego zaplecza. Nie stał za nimi klub, organizacja społeczna ani tym bardziej polityczna. To zjawisko odnaleźć możemy w całym omawianym okresie. Jest zapewne

65 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

znane i zbieżne z doświadczaniem niejednego czytelnika tych słów. A z całą pewnością – z doświadczeniem lub obserwacjami autorów.

Zwyczaj uczniowskiej szkoły podstawowej w Belnie, dużej wsi w obecnym województwie świętokrzyskim, zaobserwowane w 1981 roku, nie różniły się znacząco od opisanych wyżej zachowań chłopców z Lubartowa z lat 50. czy 60. Oni także szukali przestrzeni zabawy i ją „kolonizowali”:

I wreszcie sport to bieganie za piłką na każdej dłuższej przerwie, a także w każdej wolnej chwili wygospodarowanej w domu, już po lekcjach. Obserwuję, że często młodzież zostaje po lekcjach nawet dwie godziny i „okupuje” boisko szkolne. (...) A inne miejsca to: pastwiska lub łąka pobliska, opuszczony plac gdzieś koło drogi bocznej czy wreszcie podwórko kolegi⁶⁶.

Tworzenie boisk czy innych miejsc rekreacji ruchowej działało się przy tym niemal niezauważanie, powiedzielibyśmy: samo przez się. Do momentu oczywiście, kiedy ten fakt nie zaczął kolidować z interesami innych, ułożonych wyżej w lokalnej hierarchii użytkowników przestrzeni. Jak łatwo się domyślić, nie było to przy tym zjawisko właściwe wyłącznie dla małych miasteczek i wsi. Miało miejsce również w większych ośrodkach. Warto zacytować tu fragment wywiadu z Włodzimierzem Lubańskim, w którym opowiada o początkach swojej przygody z piłką nożną:

66 Z. Michalska, *Organizacja czasu wolnego młodzieży klas VII i VIII w szkole podstawowej w Belnie*, AWF Kraków 1981, s. 16, mps.

- Co to jest „kulawik”?
- Kawałek ziemi w parku w mojej rodzinnej Sośnicy, między drzewami, które robiły za słupki. Po lekcjach graliśmy tam z kolegami z okolicy w piłkę. Czasem było nas 14, czasami 10 (...).
- To nie był trawnik?
- Piasek wymieszany z żużlem, twarda śląska ziemia.
- Tam się zaczęło?
- Tam i na podwórku między familokami. Tu brakowało drzew, ale były trzepaki. Jak sąsiadki nie czyściły dywanu, można było zrobić całkiem znośną bramkę⁶⁷.

Motywacja przyszłego znakomitego piłkarza i jego kolegów z podwórka była identyczna jak motywacje ich rówieśników z małych miasteczek czy wsi. Podobny był też ograniczony zasób środków, jakimi dysponowali. I wreszcie, co chyba najważniejsze, ich zaimprovizowane pole gry wypełniała ta sama treść – gra w piłkę. Ale jeśli popatrzymy na infrastrukturę, na wspomniane pole gry jako przejaw materialnego osadzenia sportu, zauważymy istotną różnicę. Lubański i jego koledzy poruszają się w ramach przestrzeni zurbanizowanej. Ich środowisko tworzą trzepaki, podwórka między familokami, miejski park, a w nim nie trawa tylko „twarda śląska ziemia” – piach wymieszany z żużlem. Sośnica, w której dorastał Lubański, jest graniczącą z Zabrzem dzielnicą Gliwic. Znajdowała się niemal w epicentrum największego regionu przemysłowego w kraju. W jej krajobrazie dominowała

67 M. Okoński, W. Lubański, *Włodek, nie chciałbyś grać u nas w Realu?*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny”, 04.06.2016, (on-line:) <http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,20180762,wlodzimierz-lubanski-wlodek-nie-chcialbys-grac-u-nas-w-real.html> (dostęp: 23.07.2016).



kopalnia, co zresztą odzwierciedlało też znaczenie tej ostatniej w życiu codziennym mieszkańców. Dostanie się na stadion Górnika Zabrze – w tym okresie czołowej polskiej drużyny piłkarskiej, której gwiazdą zostanie już wkrótce Lubański, wymagało od niego niespełna półgodzinnego spaceru albo przejechania jednego przystanku komunikacją miejską. Mieszkańcy Kolna i Lubartowa oraz wielu małych miasteczek i wsi Polski wschodniej, żeby w latach 50. zobaczyć pierwszoligowy mecz piłkarski na dużym stadionie musieliby przejechać niemal dwieście kilometrów (czy komukolwiek przyszedłby tak szalony pomysł do głowy?). Wsie oraz rolnicze i półrolnicze miasteczka czasami przepoczwarzające się dopiero w ośrodki *quasi*-przemysłowe, a często spełniające swoje odwieczne funkcje centrum administracyjno-usługowego dla najbliższej okolicy, wszystkie te oddalone od centrów miejscowości oferowały kompletnie inne otoczenie. Składały się na nie zazwyczaj łąki, pola uprawne, zbiorniki wodne, lasy. Wykrojenie swojego miejsca, „dzikiego boiska”, wymagało strategii innych niż te sprawdzające się w dużych ośrodkach. Przestrzeń do wykorzystania była bardziej rozległa, w mniejszym stopniu poddana kontroli. Linie narzuconej na nią siatki wyglądały na zdecydowanie rzadsze. Można było na wzór chłopców z Lubartowa albo tych z Juszczyna uciec poza zabudowę. Można było zrobić bramki z kopców siana albo z kamieni, zorganizować piłkę i grać.

Ta peryferyjna przestrzeń nie była neutralna. Miała swoje właściwości, odmienne jednak od tych miejskich. Trzeba było w jej ramach również prowadzić negocjacje, ale o innym charakterze. Wróćmy jeszcze na chwilę do wywiadu z Włodzimierzem Lubańskim. Po przytoczonej wyżej wypowiedzi piłkarza dotyczącej miejsca rozgrywania dziecięcych meczów dziennikarz automatycznie pyta: „Szyby leciały?”, a Lubański odpowiada: „Mama

płaciła za wstawianie nowych, kiedy piłka lądowała u kogoś w mieszkaniu”⁶⁸. Pierwsze skojarzenie dziennikarza, zdawkowe pytanie, jest oczywiste dla rozmówcy. Taka sytuacja nie miała prawa zdarzyć się w miejscu, w którym swoje „dzikie” mecze rozgrywali chłopcy z Lubartowa. W najbliższej okolicy nie stał po prostu żaden dom.

Nie znaczy to, że ci młodzi futboliści z podlubelskiego miasteczka nie mieli swoich ograniczeń. Przestrzeń, na której grali, również odznaczała się określonymi właściwościami. Kiedy jeden z byłych zawodników przywołuje obraz położonego na nadwieprzańskich łąkach placu gry, zachwala jego zalety – mówi o „idealnie równym boisku”. Lecz w tym samym zdaniu przekazuje kluczową dla naszych rozważań informację, dotyczącą okoliczności uzyskiwania owego idealnego boiska. Otóż było to możliwe dopiero, „jak woda opadła”. Taki był właśnie koszt, jaki musieli ponieść młodzi amatorzy futbolu. Ich boisko znikало najpierw na skutek nadchodzącej zimy. Wiosną trzeba było na nie czekać, aż wyschną nadwieprzańskie łąki. Ten przykład doskonale pokazuje jedną z cech właściwych usytuowaniu sportu w przestrzeni małych, rolniczych lub półrolniczych miejscowości. Była nią konieczność dostosowywania się do panujących na danym terenie warunków naturalnych. Dotyczyło to tych form rekreacji fizycznej, których jedynym punktem oparcia była spontaniczna samoorganizacja. To w takich przypadkach cenna stawała się umiejętność adaptowania krajobrazu do własnych potrzeb w granicach swoich możliwości lub wykorzystywaniu szans, jakie stwarzało otoczenie naturalne.

68 Tamże.

Rzeka Wieprz zatem wprowadziła „zabierała” boisko, ale z drugiej strony, kiedy już je oddawała, było „idealnie równe”. Zresztą sama stawiała się miejscem aktywności fizycznej, tyle że dopiero latem. Pochodzący z Lubartowa dziennikarz Mirosław Derecki, odnosząc się do czasów swojego dzieciństwa i wczesnej młodości przypadających na okres tuż przed drugą wojną światową i pierwsze lata Polski Ludowej, pisał:

Lato zaczynało się w Lubartowie nie 21, ale 24 czerwca: „na święty Jan”. Należało wykąpać się tego dnia w przepływającym nieopodal miasta Wieprzu i dopiero wtedy kończyła się wiosna. Nad Wieprz szło się długim spacerem przez rozległe, ciągnące się aż po wieś Serniki błonia, na których pasły się stada krów. Porośnięte były gęstą darnią⁶⁹.

Wieprz stawał się w okresie letnim miejscem życia towarzyskiego związanego z rekreacją ruchową. Jak pokazuje Derecki, spełniał taką rolę już w okresie międzywojennym, a można domniemywać, że także wcześniej:

Kiedyś, przed wojną pływało się po rzece żaglówkami, kajakami i chłopskimi kryptami. Z tamtych czasów zachowały się resztki terenów sportowych: miejsce zwane potocznie „elemką”, bo należało do tutejszego oddziału Ligi Morskiej i Kolonialnej. Teraz chodzili się tam kąpać przedwojenni sportowcy i dawni wodniacy wspominający niegdyśjsze czasy młodości. Ale również część młodzieży szkolnej, uważając to

69 M. Derecki, *Mój Lubartów*, Lubartów 2008, s. 134.

za swoisty „szpan” (...). Większość osób kierowała się na „żydowską plażę”. Było to przed wojną miejsce uczęszczane przez ludność żydowską. Dobrze nasłonecznione, pokryte grubą warstwą czystego piasku, zasłonięte od wiatru. Życie kąpielowo-towarzyskie miasteczka koncentrowało się teraz właśnie na „żydowskiej plaży”⁷⁰.

W tym tużpowojennym okresie dla dzieci i młodych ludzi rzeka, mimo że miejscami niebezpieczna („były leje po wojnie. Ja pamiętam Wieprz jako Wieprz bardzo głęboki i wartki”.⁷¹) stawała się terenem eksploracji, zabawy i rywalizacji. Ale jednocześnie adaptowali i zagospodarowywali ją na miarę swoich możliwości:

Każda ulica miała [nad Wieprzem] swoją skocznię. To się na wiosnę robiło. Się chodziło, palowało, albo po znajomych, albo... jakieś dwie-trzy tyczki darniny się wycinało w łąkach, obkładało się boki, tu się sypało piasek. I skocznia. Wychodziło tak, że równo z lustrem wody. Przede wszystkim to wszyscy doskonale umieliśmy pływać.

Później już jako młodzi ludzie w latach 60. zmagali się z rzeką w nieco bardziej „dorosły” sposób:

Nas wywożono samochodem do Sernik i do Lubartowa [płynęliśmy], albo tutaj o, i wychodziliśmy na most w Szczekarkowie,

⁷⁰ Tamże.

⁷¹ Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

na moście drogowym. Także Wieprz znalazło się jak własną kieszeń⁷².

Oczywiście opisywane tu miasteczko jest tylko pewnym przykładem. Takie spontaniczne, ale i autonomiczne w swojej istocie tworzenie przestrzeni aktywności fizycznej można obserwować w wielu innych miejscowościach.

Młodzi ludzie w Lubartowie mieli latem do swojej dyspozycji staw w miejskim parku oraz rzekę, która może nie należała do najpłytszych i najbezpieczniejszych, ale dawała się oswoić. Brak naturalnego zbiornika wodnego nie musiał jednak wcale oznaczać rezygnacji z marzeń o pływaniu. Bohater poprzedniego rozdziału, Stanisław Niciński, wspominał swoje dzieciństwo we wsi Przytuły-Las, gdzie akurat nie było ani rzeki, ani jeziora, jedynie źródółka na łąkach dla pasących się tam krów:

Hasło padło od starszych chłopców, od Gieńka Bałdygi. On miał gdzieś czternaście–piętnaście lat. A reszta gromadki, to młodszy – dziesięć, osiem, aż do takich bajtków po cztery lata. Gienek zauważył, że gdzieś tam (u sąsiada Turskiego) dobre źródółko bije i łatwo będzie tam wykopać głębszą sadzawkę do kąpiel. Więc na jutro zbieramy się z łopatami! Cała armia, od dużego do małego. Każdy miał tę łopatę sztychówkę (...) – poszliśmy tam i od razu do roboty. Nie pytaliśmy o zgodę właściciela ziemi, nie mieliśmy ani rysunku, ani planu, jak to będzie, tylko dalej – kopimy. (...) I tak przez kilka dni wykopaliśmy dosyć ładny dół. Ta woda już napływała do niego i widać było, że da się w nim

72 Tamże.

pływać. Ona miała jakieś trzy metry szerokości, jakieś cztery długości⁷³.

Najbardziej sprzyjającym okresem dla spontanicznej aktywności fizycznej – domenie głównie dzieci i młodzieży – jako że odbywała się ona niemal wyłącznie na świeżym powietrzu, była wiosna, lato (z istotnym zastrzeżeniem, że na wsi przypadały wtedy najcięższe prace polowe angażujące całe rodziny) oraz wczesna jesień. Nie znaczy to jednak, że zima stawała się czasem pod tym względem „martwym”.

Pamiętnikarz z województwa krakowskiego wspominał okres tuż po II wojnie światowej:

Czas dzieliłem między zajęcia w szkole i w domu. Te ostatnie nie były wcale przykre. Pewnie, że stopniowo przybywało mi obowiązków, zwłaszcza latem. Trzeba było w miarę sił pomagać w polu, ale jeszcze dużo czasu zostawało. W lecie na kąpanie się z rówieśnikami w małej rzeczce, niedaleko przepływającej, w zimie na uganianie po górach z sankami i jazdę na jednej drewnianej łyżwie i na podkówkach⁷⁴.

Z kolei dla dzieci i młodzieży w Lubartowie miejscem aktywności fizycznej stawał się na przykład zamarznięty staw w parku miejskim, na którym jeżdżono na łyżwach. Chłopcy grali w hokeja:

Zima – jakieś klepki albo łyżwy przykręcane do obcasów. „Gramy w hokeja?” – „Tak”. Paru chłopaków się zjawiało,

73 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

74 *Cena dziedzictwa, pam. nr 2011*, w: *Gospodarstwo i Rodzina...*, dz. cyt., s. 101.

na stawie wziąć szufłę, jakieś szpadle, odsunąć, takie bandy robiliśmy. I się chodziło, na Partyzanckiej była taka studnia pompowana, każdy po pięć wiaderek. Przychodziło się z wiaderkami i taki kwadrat się wylewało, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt [metrów]. Dziesięciu przyszło, pięćdziesiąt wiader wody i rano [było] już szkło. (...) A jak ktoś nie pomagał, to nie był wpuszczany na lód⁷⁵.

Przykładem mogli być dla nich uprawiający łyżwiarstwo figurowe nauczyciele: „Było kilku nauczycieli: pan Skorupski był, pan Felek Krupski był, co pięknie na łyżwach figurowych jeździł na stawie, nas młodzież uczył”⁷⁶. Przy odrobinie szczęścia i zapobiegliwości można było nawet próbować samodzielnej jazdy na nartach. Cytowany już wcześniej Mirosław Derecki jako młody chłopak tuż po wojnie jeździł na tzw. Górkach Lisowskich – jedynym miejscu w płaskiej poza tym jak stół okolicy, gdzie, zgodnie zresztą ze zwyczajową nazwą, mógł doświadczyć namiastki prawdziwego narciarskiego zjazdu⁷⁷.

Wszystkie opisane formy adaptacji przestrzeni dla potrzeb sportu oraz dostosowywania zamierzeń do jej wymogów wpisują się w ramy pozainstytucjonalnej i spontanicznej aktywności fizycznej. Oczywiście mamy tu do czynienia z działalnością pełnym tego słowa znaczeniu oddolną – sytuującą się zarówno w sensie symbolicznym, jak i materialnym na marginesie codzienności prowincjonalnych ośrodków. „Dzikie” boiska czy kąpieliska

75 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

76 Tamże.

77 M. Derecki, *Mój Lubartów*, dz. cyt., s. 113.

wytyczano tak, by nikomu nie wchodzić w drogę, by nie kolidowały z codziennością zarówno miasteczka czy wsi jako pewnej całości jak i ich poszczególnych mieszkańców. Powoływane samowolnie, niczym nieusankcjonowane przestrzenie zabawy nie mogły liczyć na żadną niemal ochronę. Ich jedyną bronią było wtopienie się w otoczenie tak, by pozostać niezauważonymi. Wszelka konfrontacja, pojawienie się ich jako przedmiot sporu stawalo się poważnym zagrożeniem dla ich dalszego istnienia. Chłopcy z Juszczyzna mogli pozwolić sobie na „nielegalne” bieganie z piłką po polach i ogrodach swoich rodziców wyłącznie dlatego, że traktowano to jako jednorazowy wybryk, interludium normalnego stanu rzeczy. Gdyby chcieli grać regularnie, musieliby znaleźć własne miejsce niewywołujące kontrowersji.

Znalezienie odpowiedniego miejsca, wytyczenie w przestrzeni enklaw pozainstytucjonalnej aktywności sportowej stanowiło wprawdzie niezbędny element zaistnienia tej ostatniej, ale nie zamykało listy jej powiązań ze światem materialnym. Immanentną cechą sportu jest obecność przedmiotów, które wraz z grającymi/bawiącymi się ludźmi stają się aktorami rozgrywki – ułatwiają lub umożliwiają prowadzenie rywalizacji albo sytuują się w jej centrum i to wokół nich toczy się gra. Niemal każda dyscyplina, nawet najprostsza, wymaga określonych rekwizytów. Aby zagrać w piłkę nożną, nie potrzeba profesjonalnych bramek, często wystarczą takie wykonane z tornistrów lub kamieni, słupkiem może być też drzewo albo latarnia; nie są konieczne nawet wytyczone wapnem linie, bo granice pola gry mogą opierać się na właściwościach terenu albo mieć charakter zupełnie umowny. Lecz nie sposób wyobrazić sobie gry w piłkę bez piłki. Tak jak trudno uprawiać narciarstwo bez nart czy grać w hokeja bez łyżew albo kijów. Wszystkie te drobne i często niepozorne

rzeczy tworzą swego rodzaju materialne „warunki brzegowe”, które muszą zostać spełnione, by przestrzeń zabawy wypełniła się gadamerowskim ruchem „w tę i we tę”⁷⁸, czyli by gra mogła się rozpocząć.

Istotne jest w tym momencie podkreślenie, że sprzęt sportowy obecny na peerelowskim prowincjonalnym dzikim boisku był jego integralną częścią nie tylko w sensie spełnianej podczas rozgrywki funkcji. Dzielił bowiem z przestrzenią, w której był używany, także istotną część swojej charakterystyki – a mianowicie sposób, w jaki „wchodził do gry”. Spójrzmy raz jeszcze na omawianą wcześniej scenę opisywaną przez pamiętnikarza z mazowieckiej wsi z początku lat 60., kiedy to grupa młodych mężczyzn czy chłopców na zaimprovizowanym boisku z wielkim zaangażowaniem oddaje się grze, którą właśnie wymyślili. Nie jest to żadna ze znanych dyscyplin. Grający balansują na granicy pomiędzy porządkiem reguł a chaosem bezcelowego biegania. Zwróciliśmy uprzednio uwagę na ulotny charakter granic przestrzeni tej gry. Ale właściwa jej spontaniczność zawarta jest nie tylko w niestabilnym, przypadkowym polu rozgrywki. Widać ją także w zestawie użytych rekwizytów. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że przedmiotów tych nikt specjalnie nie przygotowywał, nie szukał, nie starał się o nie. Wykorzystano „zasoby”, które akurat znajdowały się pod ręką. A że „była tylko mała piłka, która nadawała się tylko do gry w palanta”, to właśnie jej użyto. Z drugiej strony, chociaż zastosowanie tego konkretnego przedmiotu ma, podobnie jak cała gra, charakter jednorazowego wybryku, warto zauważyć, że on sam odgrywa rolę elementu konstytuującego całe wydarzenie. Mimo

78 H.G. Gadamer, *Prawda i metoda. Zarys hermeneutyki filozoficznej*, Kraków 1993, s. 121–127.

swojej niewątpliwej niepozorności staje się punktem centralnym zabawy, to na nim koncentruje się uwaga grających. I przede wszystkim – od jego obecności zależy dalsze trwanie sytuacji.

Zauważalny jest tu paradoks, który rysował się już w przy okazji analizy mechanizmu pozainstytucjonalnych przestrzeni aktywności sportowej, ale w przypadku sprzętu sportowego widać go znacznie wyraźniej: dla konkretnych aktorów i w danym momencie materialne ramy znaczą wiele – stają się miejscem albo obiektem autentycznego zaangażowania, zatracenia się nawet. Tu i teraz są całym światem. Rozpatrywane w szerszym kontekście – jako fragment materialności prowincji – tracą swój wysoki status, odgrywając rolę raczej drobiazgów, zapchniętych na dalszy plan przez istotne problemy poważnego życia i ich równie poważne materializacje. W ten sposób trwają takie jak sport dzieci, obywatela się bez schematów organizacyjnych i ram instytucjonalnych rekreacja fizyczna, zostają umieszczone poza zasięgiem wzroku. Obserwowaliśmy to przy okazji lokalizacji „dzikich”: boisk, kąpielisk, lodowisk – miejsc usytuowanych gdzieś na granicy pomiędzy illegalizmem a cichym przyzwoleniem wynikającym z umiejętnego wtopienia się w krajobraz. Przede wszystkim zaś – nieprzygotowywanych odgórnie, wymagających samodzielności i samowystarczalności – z tego względu minimalistycznych, być może prymitywnych, ale spełniających swoją podstawową funkcję.

Podobnie było w przypadku sprzętu sportowego. Przeciętny młody sportowiec – amator, niezrzeszony w klubie, chcący oddawać się rekreacji fizycznej w wolnym czasie bez wsparcia z zewnątrz – miał bardzo ograniczone możliwości korzystania z jakichkolwiek akcesoriów wyprodukowanych z myślą o danej dyscyplinie sportu. Po części wynikało to z istotnych braków

sprzętu sportowego w sprzedaży. Z jego zdobyciem kłopoty miawały organizacje sportowe, trudno zatem spodziewać się, by był łatwo dostępny dla szeregowego entuzjasty sportu. Produkcja wprawdzie systematycznie rosła, ale miłośnicy przynajmniej części dyscyplin (np. narciarstwa) musieli wykazywać się sporą zaradnością przy kompletowaniu sprzętu. Drugim, być może ważniejszym powodem, dla którego przeciętne dziecko biegające za piłką na podwórku miało niewielką szansę na posiadanie jej na własność, była daleko posunięta wstrzemięźliwość rodziców w nabywanie akcesoriów sportowych jako takich. Jeszcze w latach 70., a więc okresie, kiedy konsumpcja różnego typu dóbr osiągnęła relatywnie wysoki poziom (w porównaniu z innymi peerelowskimi dekadami), wydatki na sport, turystykę i rekreację stanowiły znikomą część domowych budżetów. W 1970 roku jedna osoba średnio wydawała na te cele 0,9% swojego budżetu, a w 1975 – 1%. Przy czym wydatki na alkohol wynosiły odpowiednio: 9,9% oraz 11,2%. Jeśli zaś liczyć wydatki na sport z pominięciem usług, sytuacja prezentowała się jeszcze gorzej: statystyczny mieszkaniec Polski przeznaczał na sport, turystykę i wypoczynek w 1970 roku 0,2% rocznego budżetu, a w 1975 – 0,3%⁷⁹. Trudno się zresztą takiemu podejściu dziwić. W sytuacji, w której immanentną cechą codzienności było zmaganie się z brakami różnego typu dóbr, w tym zupełnie podstawowych, kupno piłki mogło wydawać się fanaberią, a nart czy roweru szosowego – czystym szaleństwem.

Piłka nożna może być tu traktowana jako symbol. Dziś pospolita, była w Peerelu obiektem marzeń niejednego chłopca. Posiadanie piłki oznaczało zdecydowany awans w podwórkowej

79 L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1980*, Wrocław 1996, s. 108–109.

hierarchii. Jak wspominali dzieciństwo przypadające na lata 50. dwaj byli zawodnicy lubartowskiego Lewartu: „A piłka to był problem. Ja miałem jeden piłkę... Kto miał piłkę – ten rządził”. Ten ostatni wspominał też, jak taka piłka w latach jego młodości wyglądała: „piłka [była] rozcięta, w środku był wkład taki, pompowало się, zawiązywało. Później podchodził taki język i specjalny był taki klucz, który się sznurowało. Rzemień był taki długi i jak tym rzemieniem się w głowę dostało to można było stracić przytomność”⁸⁰. W tym samym mniej więcej okresie za podobną biegał także wspomniany wcześniej Lubański (na pytanie o piłkę, jaką grał, odpowiada: „Sznutowana, ze skóry. Innych nie było”⁸¹). W pierwszych dekadach Peerelu, patrząc z perspektywy dorastającego chłopca, piłka była dobrem niemal luksusowym. Obchodzono się z nią nadzwyczaj delikatnie, szczególnie gdy, jak w przypadku Tadeusza Guza, wypożyczona była od grającego w klubie ojca: „Ponieważ mój ojciec grał, to tacy zawodnicy starsi jak chcieli, [mówili]: »Tadek weź od ojca piłkę«. Piłka była sznutowana jeszcze, ale nikt z nas piłki nie odbił o beton, tylko musiał o trawę”⁸². Troska o piłkę jako szczególnie ważny przedmiot przebija też we wspomnieniach Stanisława Barczaka – dbano, by piłki nie zniszczyć, nie zarysować:

była umowa – albo gramy na bosaka albo buty musiały być jednakowe. Ale trampek nie można było kupić. Raczej na

80 Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora; Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

81 M. Okoński, W. Lubański, *Włodek, nie chciałbyś grać u nas w Realu?*, dz. cyt.

82 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

bosaka żeśmy grali. I raz taki jeden – takie miał paznokcie, jak mi zajechał tę piłkę...⁸³

W cytowanych tu wypowiedziach zwraca uwagę nie tylko sama piłka, z całą pewnością ich element centralny, ale także wyposażenie młodych adeptów futbolu. Grali boso. Mało który, jak wynika z przytoczonych słów, mógł sobie pozwolić na kupno tramppek (nie wspominając już o profesjonalnych korkach). Połączenie takiego przykładowego opisu wyposażenia z wcześniejszymi dotyczącymi boiska uświadamia, jak minimalny zestaw środków wystarczał do rozgrania meczu. W latach 40. czy 50. żadnemu z tych chłopców biegających po przekształcanych tymczasowo w boiska łąkach nie przyszłoby zapewne do głowy, by przebierać się w specjalny strój sportowy. Grano po prostu w tym, w czym chodziło się na co dzień. Było tak zresztą nie tylko na „dzikich boiskach”, ale i w czasie zajęć wychowania fizycznego. Jak wspominał Stanisław Niciński:

Kiedyś takie były realia, że nie było żadnych wymogów co do stroju na w-f. Nikogo by nie było stać. Chodziło się w spodniach, z których się wyrastało. Portki pękały w kroku, to matki wstawiały kliny i dalej się chodziło⁸⁴.

Kłopoty ze strojem sportowym, o ile ówczesne dzieci rozpatrywały to w ogóle w takich kategoriach, było pochodną kłopotów

83 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

84 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

z szerszym niedostatkiem w zakresie odzieży. Zagadnienie to jest w szczególności dobrze znane i opisane w odniesieniu do pierwszych lat powojennych, kiedy kiepską sytuację, jeśli chodzi o zaopatrzenie w odzież, ratowała pomysłowość i praktyczne umiejętności adaptacji różnego typu tekstyliów. Status niemal anegdotyczny uzyskały przerabiane przez kobiety alianckie battledressy czy inne elementy garderoby, które przysyłała „ciocia UNRRA”. Jak pisze Iwona Kurz: „ciuch z paczki (...) jako zagraniczny i jako rzadki miał szczególną wartość”⁸⁵. Szansa na zdobycie modnej sukienki, spodni czy butów „na słoninie” stały się zakupy na tzw. „ciuchach” – placach targowych w dużych miastach, na których handlowano przysyłanymi z Zachodu ubraniami. Cały ten nieco egzotyczny z punktu widzenia dzisiejszego czytelnika świat barwnie oddał w *Złym* Leopold Tyrmand, opisując Bazar Różyckiego na warszawskiej Pradze. Samo zjawisko wypełniania niedoborów odzieżowych „importem” zza żelaznej kurtyny z niemal socjologicznym zacięciem oddał w *Dzienniku* 1954:

Najpierw była Unrra, Rada Polonii Amerykańskiej, Joint i tuzin innych charytatywnych dostawców. To oni ubrali Polskę, przeważnie w remanenty alianckich magazynów wojskowych. Był to okres mody intendenturowej, elegancją były battledressy o wyprutych dystynkcjach, koszule i krawaty khaki. Potem zaczęły się paczki od krewnych i znajomych z całego świata. Potem zaczęto coś niecoś produkować w Polsce, pierwociny przemysłu odzieżowego rozpoczęły swój nieustający konkurs tandetnej bezkształtności, zaś

85 I. Kurz, *Konsumpcja: „Coca-cola to jest to!”*, w: *Obyczaje Polskie. Wiek XX w krótkich hasłach*, red. M. Szpakowska, Warszawa 2008, s. 127.

odzież paczkowa przesunęła się z kategorii artykułu pierwszej potrzeby do klasy luksusu i wykwintu. Zaczęło się, jak to zawsze, od chłopów. Chłopi, zwłaszcza na Podkarpaciu i w Poznańskim, mają najbardziej rozbudowane związki z Ameryką, gros Polonii w USA rekrutuje się z tych właśnie okolic. Obfitość i zasobność tego, co szło do Jasła, Nowego Sącza i Krotoszyna z Chicago, Detroit i Buffalo, śni się po nocach warszawskim dandysom i elegantkom. Kmiecie jak to kmiecie, zawsze gustowali raczej w kamgarowych wyrobach Łodzi i Białegostoku, które nawet niezdarny przemysł socjalistyczny wkrótce rzucił na rynek. Zaś chłopi rzucili swe prezenty od krewnych na okoliczne jarmarki: już wkrótce w kurzu i błocie małopolskich targów walały się stosy tafetowych sukien, mokasynów, kolorowych blezerów, płaszczów z wielbłądziej wełny, flanelowych spodni i spódnic, garniturów z Prince de Galles, sandałów na słoninie. Zaś z Warszawy i Krakowa przybyli ludzie całkiem różnego rodzaju: asy i notable przedwojennego Kercelaka i placu Kazimierza, wyrafinowani specjaliści handlu starzyzną ze zwierzynieckiej Tandety i z praskich bazarów poczęli krążyć pośród podhalańskich i kurpiowskich straganów i macać towar z ostrożną ironią. (...) Łupy ładowały nieopodal Bazaru Różyckiego na Pradze⁸⁶.

Obserwacje Tyrmanda przykuwają uwagę zarówno literacką formą opisu, jak i jego przenikliwością. Fragment odznacza się dogłębną opisową, ale mimo swoich niewątpliwych zalet reprezentuje punkt widzenia warszawskiego dandysa, człowieka

86 L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1989, s. 135.

wyznaczającego trendy w zakresie mody w latach 50. Jego autor skupiał się na tym, jak określone wzorce w zakresie ubioru przenikały w obręb przestrzeni, w której żył – na ulice wielkiego miasta. Ale w swojej sugestywnej i plastycznej opowieści mimochodem przekazuje informację pierwszorzędą dla prowadzonej przez nas analizy. Otóż w świetle zawartych w cytowanym fragmencie obserwacji kluczowym ogniwem w łańcuchu dystrybucji deficytowych ubrań z Zachodu były podkarpackie i podlaskie wsie, których mieszkańcy dostawali paczki od rodzin z zagranicy (głównie z Ameryki). Przy czym sami otrzymanych dóbr nie używali, przekazując je tam, gdzie był na nie prawdziwy popyt – do dużych miast. Ocena takiej postawy wystawiona przez Tyrmanda jest mało zniuansowana i zawiera w sobie dużą dozę lekceważenia. Można rzecz jasna przyjąć, że odnotowany przez niego mechanizm był dowodem jakiejś ahistorycznej chłopskiej natury („kmiacie jak to kmiacie”), która kazała przedkładać produkty rodzimego przemysłu odzieżowego nad te przysyłane zza żelaznej kurtyny. Bliższa prawdy byłaby chyba jednak interpretacja mówiąca, że opisane zjawisko wskazuje na dystans, dzielący prowincję (szczególnie wieś) od dużych miast w zakresie zarówno znaczenia wyglądu w codziennym życiu, jak i struktury budżetów domowych, w której ponadnormatywne elementy stroju (np. buty sportowe) nie musiały się mieścić. Świetną tego egzemplifikacją mogą być wspomnienia młodego rolnika, który opisując swoją sytuację z przełomu lat 50. i 60., na kartach wysłanego na konkurs pamiętnika narzekał:

Już z dziewczynami znajomości się zawierało, chociaż jeszcze wstydlive, bo człowiek był byle jak ubrany. Czasem się ubierało tatowe spodnie i podciągało się pod pachy i aby nie

spadły, podwiązywało się sznurem. Pomyślałem, że najpilniejsze dla mnie to, żeby się ubrać jako tako, bo czasem, gdy przyszło gdzie wyjść między ludzi, to się człowiek wstydził⁸⁷.

W słowach młodego pamiętnikarza widać już dokonującą się zmianę – pod wpływem płynących z różnych źródeł wzorców chce wyglądać lepiej. Jego aspiracje sięgają jednak stroju odświętnego – spodni, pewnie koszuli, tak by bez wstydu „wyjść między ludzi”. Najprawdopodobniej, zapytany, czy potrzebuje butów sportowych albo stroju gimnastycznego, byłby zdumiony, uznając pytanie za niedorzeczne. Odzież i sprzęt sportowy znajdowały się z całą pewnością w wielu przypadkach poza sferą materialnych oczywistości – w tym sensie większość mieszkańców małych prowincjonalnych ośrodków nie odczuwało ich braku. Podobnie jak nie odczuwali jako szczególnie dolegliwego deficytu urządzeń sportowych czy imprez o takim charakterze.

Oczywiście pod tym względem prowincja nie była jednorodna. Ze względu na rodzaj pracy wieś różniła się od małego miasta. Tam, gdzie duża część mieszkańców trudniła się rzemiosłem lub handlem, nie mówiąc już o urzędnikach czy nauczycielach, noszono się nieco inaczej. Istotnym był tu dostęp do produktów rzemieślniczych lub materiałów. „Ełk wyróżniał się zaopatrzeniem. Tato jeździł tam po materiały i wyprawione skóry, z których robił nam buty. Dzięki temu miałem piękne aksamitne spodenki” – wspomina lata 40. i 50. Stanisław Niciński⁸⁸. Jeśli jednak

87 *Najgorsza była dla mnie niedziela*, w: *Nowe Zawody. Pamiętniki*, Warszawa 1969, s. 494.

88 Stanisław Niciński w korespondencji listowej z M. Kurkowską-Budzan z dn. 5.09.2016, w archiwum autorki.

chodzi o wyposażenie sportowe, trudno mówić o wielkich różnicach między wsią a miasteczkiem. Zdobycie sprzętu wymagało od samych sportowców-amatorów dużej zaradności, pomysłowości, a w końcu także wiązało się z koniecznością polegania na własnych siłach i umiejętnościach technicznych.

W stosunkowo najlepszej sytuacji byli ci, którzy posiadali w domu własny sprzęt – czy to kupiony samodzielnie, czy przez rodziców. Przywoływany nieco wcześniej lubartowski zawodnik mógł jako dziecko przynieść na boisko piłkę dlatego, że jego ojciec grał w miejskiej drużynie i piłkę trzymał w domu. Uszkodzenie tak cennego przedmiotu nie wchodziło w rachubę, ale jeśli trzymało się niepisanych zasad użytkowania, można było oddawać się ulubionej rozrywce. A o to przecież tej grupie dorastających chłopców chodziło. Przy okazji warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną kwestię, która staje się widoczna, jeśli spojrzymy na sport przez pryzmat wykorzystywanych przedmiotów i ich roli. Otóż przyniesienie jednego, niewielkiego przedmiotu i postawienie nawet prowizorycznych bramek na kawałku łąki mogło angażować jednorazowo od kilku do nawet kilkudziesięciu osób. „Święty krąg zabawy” zawiązywał się wokół przedmiotu, który dla postronnych mógł mieć znaczenie nominalne: wokół niewielkiej piłki. Aby zacząć rozgrywkę, nie potrzebowano wyrafinowanego instrumentarium, nie było nawet konieczności zakładania butów. I to właśnie, między innymi, niewielkim stopniem zależności od świata materialnego można tłumaczyć niezwykłą popularność tej dyscypliny i fakt, że z taką łatwością opanowywała kolejne niezagospodarowywane przestrzenie. Oczywiście przyczyny powodzenia, jakim cieszyła i wciąż cieszy się piłka nożna, są bardziej złożone. Niemniej trudno wśród nich pominąć właśnie aspekt materialny – niewielkie wymagania



stawiane zawodnikom w tym względzie. Szczególnie, kiedy mówimy o funkcjonowaniu w warunkach bardziej lub mniej nasilonych, ale stale obecnych niedoborów dóbr konsumpcyjnych, w tym sprzętu sportowego.

Piłka nożna była bezsprzecznie najpopularniejszą dyscypliną spośród niezorganizowanych form rekreacji ruchowej (zresztą podobnie było w przypadku sportowców zrzeszonych w organizacjach sportowych). Niemniej, jak wynika nawet z cytowanych wcześniej wypowiedzi, bieganie za piłką nie wyczerpywało katalogu aktywności sportowych mieszkańców prowincjonalnych ośrodków. Kiedy więc ci sami chłopcy, którzy latem grali w piłkę albo pływali w rzece, a gdy jej nie było w wykopanym własnoręcznie mikroskopijnym stawie, chcieli zimą pojeździć na łyżwach albo nartach, musieli te przedmioty w jakiś sposób zdobyć. Jak wspomina Stanisław Barczak:

Łyżwy były dopinane do butów. Jak ktoś miał trochę kasy, to miał swoje. A tak to nie wiem, skąd oni pożyczali. (...) Taki Z. był, to tam jego ojciec paśł krowy, na końcu Mickiewicza. Przyszedł [na lodowisko], chłopak chciał sobie pojeździć. A kiedyś były takie krótkie gumiaczki. (...) Nie miał do czego przykręcić. To tak skręcił tym drutem i gwoździem, że, mówię mu: nogi ci poodpadają. Bo to mróz był. „Eee” – mówi – „no nie mam innych butów, a pojeździć trzeba”⁸⁹.

Czasami udawało się sprzęt pożyczyć. W najlepszej sytuacji byli mieszkańcy tych miejscowości, w których duże zakłady finansowały

89 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

bazę materialną rekreacji swoich pracowników, a przy okazji mieszkańców okolicznych miejscowości. Tak było na przykład w Zambrowie, gdzie przy potężnych jak na lokalne warunki zakładach odzieżowych powstało lodowisko, a przy nim wypożyczalnia sprzętu. Działo się to jednak już w latach 70. Takie wypożyczalnie z całą pewnością nie były regułą w prowincjonalnych miasteczkach, podobnie zresztą jak zakłady o skali tych zambrowskich zatrudniających wówczas około trzech tysięcy sześciuset osób⁹⁰.

Można też było sobie poradzić inaczej. Przywoływany wcześniej lubelski dziennikarz Mirosław Derecki nie miał własnych nart – szusował na pożyczonych ze szkoły, a przechowywanych w czasie wojny przez miejscowego nauczyciela wychowania fizycznego (który, co nie powinno dziwić, sam był lokalnym animatorem sportu)⁹¹. Kiedy nart nie można było ani pożyczyć, ani tym bardziej kupić, a przeszkody te nie zrażały przyszłego narciarza, pozostawało sprzęt wykonać samodzielnie. Stanisław Niciński, który pojawił się już w tym rozdziale jako młody budowniczy „basenu” na łące sąsiada, w tym samym mniej więcej czasie własnoręcznie zrobił narty:

Ja jeszcze wcześniej miałem narty – może w drugiej klasie sam zrobiłem: dwie sztachety, w każdej po dwa gwoździe, żeby między nie buty wsadzić i szło się do Czyża (sąsiada) na górkę. Raz się zjechało, raz narta uciekła... Ja nawet nie wiem, skąd ten pomysł miałem. Ja nawet nart do tej pory nie znałem, nie widziałem nigdy.

90 A. Zawistowski, *Kombinat. Dzieje Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego – wielkiej inwestycji planu sześcioletniego*, Białystok 2009, s. 277.

91 M. Derecki, *Mój Lubartów*, dz. cyt., s. 113.

Później zaś, kiedy chciał uczestniczyć w wycieczkach organizowanych przez nauczyciela wychowania fizycznego, w przygotowaniu lepszego sprzętu pomógł mu ojciec:

Jak on [nauczyciel] zaczął jeździć, to widzieliśmy, co to ma być, to już miało ręce i nogi. W domu wybrałem dwie deski, ale tato mówi: to nie tak, musi być drzewo jesionowe lub inne – giętkie. Tata mi zrobił wtedy te narty. Wsadził końce w garnek, w którym gotowało się kartofle dla świń, i tak je potem wygiął. Od spodu tata zrobił rowek, bo miał wszystkie narzędzia stolarskie. (...) Wtedy rzeczywiście z tymi nartami od czasu do czasu wybraliśmy się pod przewodnictwem pana Bukowskiego na górki⁹².

Przygotowane przez ojca narty nie były może doskonałe, ale z powodzeniem spełniały swoją funkcję. Zresztą dla chłopca dorastającego na wsi w latach 50. oznaczały i tak wielki krok naprzód w porównaniu z prymitywnymi deskami, na których jeździł wcześniej. Być może najważniejszą postacią w cytowanym fragmencie jest właśnie ojciec naszego bohatera. Miał nie tylko wiedzę, z jakiego materiału powinny zostać wykonane narty, ale potrafił je samodzielnie zrobić. Jak wspominał po latach syn: „tata robił wszystko: szył ubrania, robił ciesielkę, stolarkę”⁹³. Z dzisiejszej perspektywy ludzi nawykłych do outsourcingu coraz większej liczby codziennych czynności i obowiązków może wydawać się niemal człowiekiem renesansu. Zapewne był bardzo zdolnym

92 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

93 Tamże.

rzemieślnikiem-samoukiem. Lecz jego postać, chociaż na swój sposób szczególna, pokazuje pewną regułę obecną w licznych odsłonach peerelowskiej codzienności na wsi, ale i w mieście, częściej w sferze prywatnej, a także w przestrzeni wspólnej i wspólnej/wspólnotowej aktywności. Chodzi o samowystarczalność w różnej skali: od pełnego, tradycyjnego modelu samoutrzymania, takiego jaki miał miejsce na tużpowojennej polskiej wsi, przez uzupełnianie własnym przemysłem tego, czego nie można było pozyskać w gospodarce niedoboru na różnych jej etapach – od połowy lat 50., kiedy powojenne pokolenie łaknęło towarów konsumpcyjnych z przysłowiowymi „nylonami” na czele, przez kolejne dekady, włącznie z mitologizowaną dziś pod tym względem gierkowską epoką dobrobytu, po lata kryzysu, kiedy tradycyjne umiejętności rozebrania tuszy wieprza (oczywiście z nielegalnego uboju) odzyskały szacunek wśród nowych „mieszczuchów”. Wymóg samowystarczalności zwiększał się wraz z odległością od wielkich miast. Dla mieszkańców wsi i miasteczek Polski wschodniej półki domów towarowych „Centrum” w Warszawie, Łodzi lub Katowicach, nawet jeśli przetrzebione, w każdym okresie oferowały istną „galerię” produktów na co dzień niedostępnych: klocków dla dzieci, serków homogenizowanych, parówek, łyżew, modnego obuwia... Peerel oglądany przez pryzmat rzeczy wydaje się z dzisiejszej perspektywy obcym lądem. Wykształcił bowiem biegunowo odmienny od współczesnego dyskurs o materialności. Był zwielokrotnionym w niezliczonej liczbie pojedynczych przypadków (mikrosytuacji, małych zmagani, prywatnych triumfów) planem nadawanego od końca lat 50. aż do pierwszej połowy lat 80. i nie bez przyczyny niezwykle popularnego programu Adama Słodowego: „Zrób to sam”. Odnajdujemy tę logikę zarówno w przykładzie chłopca robiącego prymitywne narty, jak i jego

ojca wykonującego dla niego sprzęt już nieco lepszej jakości, ale także matki cerującej skarpety czy pończochy albo wszywającej kliny do spodni, aby przedłużyć ich żywotność. W przypadku sportu ta dziś coraz bardziej egzotyczna relacja z materialnością obecna jest zresztą także na poziomie ponadindywidualnym. Widać ją było chociażby w przytaczanym wcześniej fragmencie wspomnień nauczyciela z Sulechowa, który wraz z uczniami przekształcał wydobyte z gruzów elementy w urządzenia sportowe. Kiedy, postępując w tym samym duchu, miłośnicy tenisa tuż po II wojnie światowej budowali w Lubartowie korty na niezagospodarowanym terenie w parku, to zapewne traktowali swoje działania jako coś zupełnie naturalnego, mieszczącego się w dostępnym im paletcie możliwości.

Wszyscy oni – tenisiści amatorzy, chłopcy biegający latem z piłką przy nodze a zimą na nartach oraz ci robiący skocznie nad rzeką, jeśli chcieli uprawiać sport, musieli zadbać o jego fizyczną, materialną podstawę. Ich poczynania były fragmentem tej samej kultury, w której mieścił się na przykład bohater *Bazy Sokołowskiej* Marka Hłaski. Przypomnijmy, że w opowiadaniu tym młody kierowca Marek Kosewski jeździ sfatygowanym „dżemsem”. Szacunek otoczenia zyskuje w momencie, kiedy będąc w trasie, sam naprawia zepsutą ciężarówkę⁹⁴. Pomijając socrealistyczny styl i ideologiczną wymowę utworu, jest on dobrą ilustracją relacji obywateli Peerelu i otaczającej ich materialnej rzeczywistości. Kosewski to oczywiście bohater literacki, ale jego zmagania musiały wydawać się bliskie zarówno współczesnym mu, jak i kolejnym pokoleniom mieszkańców Polski Ludowej. Codzienność stawiała

94 M. Hłasko, *Baza Sokołowska*, w: *Pierwszy krok w chmurach. Następny do raj*, Wrocław 1999.

przed nimi może nie tak spektakularne (nie każdy był w końcu szoferem), ale jakościowo i w swej istocie podobne wyzwania: drobne domowe naprawy, reperacje odzieży czy przywracanie do życia pojazdów mechanicznych. Z perspektywy sportowca żyjącego w Peerelu fakt, że ta zasada samowystarczalności rozciągała się także na przestrzeń aktywności sportowej, nie musiał być szczególnie zaskakujący. Opisywana tu prawidłowość, chociaż jest najbardziej widoczna właśnie w przypadkach pozainstytucjonalnej rekreacji ruchowej – tego wszystkiego, co zawierało się w przestrzeni, którą umownie nazwać możemy „dzikim boiskiem”, nie ograniczała się bynajmniej wyłącznie do niej. Znajdziemy ją w rozmaitych odmianach również w bardziej profesjonalnych i usystematyzowanych odsłonach sportu, tyle że tam będzie współlistniała z innymi metodami zapewniania temu ostatniemu jego materialnej bazy, stając się częścią bardziej skomplikowanego układu zależności i odniesień.

Boisko na zalewanych łąkach, wykopany wraz z kolegami staw, pożyczona od ojca piłka albo zrobione samodzielnie narty i wszystkie inne elementy materialnego umocowania oddolnej, spontanicznej aktywności sportowej były rzecz jasna koniecznymi warunkami jej zaistnienia. Jednak mimo swojego znaczenia dla toczącej się przy ich udziale rozgrywki, składały się tylko na scenę i rekwizyty dla głównych aktorów tych małych widowisk. Wszelkie wysiłki, obejmujące urządzenie przestrzeni i zdobycie wyposażenia, nie były przecież podejmowane dla nich samych – miały jasny i oczywisty cel: atrakcyjne spędzenie czasu. Fakt, że mimo trudnego do przezwyciężenia oporu stawianego przez rzeczy i przyrodę starano się ze światem materialnym negocjować, a także kształtować go podług własnych oczekiwań i planów, jest jednym z dowodów

na niesłabnącą atrakcyjność sportu jako formy rozrywki. Brak sprzętu, brak butów, zalewanie boiska przez występującą z brzegów rzekę były problemami drugorzędnymi – czynnikami, które należało brać pod uwagę, ale które nie powstrzymywały przed powołaniem do życia kręgu gry i zabawy. Najlepszym chyba podsumowaniem takiego podejścia były przywoływane wcześniej słowa chłopca z Lubartowa, który na uwagę kolegi, że uszkodzi sobie nogę, skracając za mocno łyżwy, odpowiada po prostu, że innych butów nie ma, „a pojeździć trzeba”. W sytuacji, kiedy zastosowane rozwiązania umożliwiały zabawę, przestawało mieć znaczenie, że były prowizoryczne albo nietrwałe. Co z tego, że wykopany przez Staszka i jego kolegów staw bardziej przypominał większą wannę niż basen, skoro otworzył przed nim nowe możliwości. Jak wspominał:

Tam się właściwie nauczyłem pływać. A jak? Na początku się po prostu odpychałem nogami. Aż raz schyliłem się, tak jakbym nurkował i poczułem, że ta woda mnie wypycha. Tak to załapałem. Pływaliśmy w kółko, żeby jeden drugiemu nie przeszkadzał. Tak mi się wydawało, że mogę płynąć i płynąć.

Dzięki własnoręcznie wykonanemu kąpielisku autor wspomnień nauczył się pływać. Ale to miejsce było ważne z innego jeszcze powodu. Pomagało w tworzeniu się grupy rówieśniczej, dla której było wspólnym miejscem:

I kiedy tylko była fajna pogoda, ciepło, to się chodziło całą brygadą. I przede wszystkim, kiedy był wolny czas, bo przecież

w domu trzeba było drewek urąbać, wody przynieść. Jak się już to zrobiło, to zbiórka i idziemy się kąpać!⁹⁵

Tym, co łączyło grupę chłopców, była potrzeba nieskrępowanej zabawy w przygotowanym przez siebie otoczeniu i na własnych zasadach. Wedle identycznej zasady działali wszyscy inni twórcy i użytkownicy „dzikich boisk” (lub ich odpowiedników). Posiadanie własnego miejsca było ważnym motywem ich aktywności. Ale przede wszystkim w „dzikim boisku” należałoby widzieć rachityczną – w każdym pojedynczym przypadku, ale jako całość i ogólne zjawisko – bardzo mocną materializację idei sportu, o której mówiła, cytowana w poprzednim rozdziale Halina Konopacka. Potyczki na kawałku wolnej przestrzeni, pływanie w stawie, mecze hokeja na właśnie stworzonym lodowisku z wykorzystaniem łyżew przykręcanych do obcasów wyzbyte są niemal zupełnie odniesień do świata wobec nich zewnętrznego. Jest to zabawa, od której nie oczekuje się korzyści wykraczających poza nią samą. Odbywający się w tej przestrzeni ruch jest „tu i teraz” i jako taki może być postrzegany jako faktyczna emanacja aleatoryzmu.

Taka interpretacja, optymistyczna w swojej wymowie, jest jak najbardziej uprawniona. Nie wyczerpuje jednak obrazu sytuacji. Bowiem tworzenie i użytkowanie „dzikich boisk”, jakkolwiek stanowiło doskonały przykład oddolności oraz odzwierciedlało ideę sportu, miało także bardziej prozaiczne przyczyny. Wynikało między innymi także ze stosunkowo ubogich zasobów form spędzania wolnego czasu w małych miejscowościach. A wraz

95 Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

z dorastaniem także coraz mniejszej ilości tego, co zwiemy „czasem wolnym”. Bieganie za piłką w towarzystwie kolegów było niejednokrotnie jedyną dostępną formą rozrywki (jak wspominał jeden z naszych rozmówców: „W tak zwane wojny się bawiliśmy jako mali chłopcy. A to z procami, a to z łukami, a to z tym, a to z tamtym. (...) Na podwórku, z kolegami piłka, no i co więcej?”⁹⁶). Problem ten rozpatrywany już nieco innej, szerszej perspektywy zostanie obszerniej omówiony w rozdziale poświęconym zinstytucjonalizowanym formom aktywności sportowej.

Cechą charakterystyczną różnych wcieleń „dzikiego boiska” była jego trwałość jako elementu krajobrazu zarówno w dużych ośrodkach, jak i na prowincji (w odróżnieniu od ulotności jego konkretnych przykładów). Pisząc o trwałości, mamy także na myśli niezmiennosc jego idei. Jako przestrzeń „nieoficjalna”, znajdująca się gdzieś na marginesie codzienności i poza polem widzenia instytucji, mogła egzystować w warunkach daleko posuniętej autonomii, a nawet niezależności. Oczywiście instytucje, w szczególności różne szczeble władzy państwowej, miały wszelkie narzędzia, żeby unicestwić konkretne, nieorganizowane przestrzenie zabawy. Lecz moc zniszczenia konkretnych miejsc nie oznaczała zdolności zniszczenia samej idei (zresztą nikt nie miał takich ambicji). Fenomen, który nazwaliśmy tu „dzikim boiskiem”, obejmujący swoim zasięgiem wszelkie przestrzenie pozainstytucjonalnego sportu i rekreacji fizycznej, tworzył w pewnym sensie równoległą wobec tej zamkniętej w organizacyjne schematy, rzeczywistość sportu na prowincji. Trudności w uchwyceniu jej w źródłach urzędowych

96 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

a zauważalna obecność w materiałach autobiograficznych tylko wzmacniają tę tezę.

Rok 1989, oficjalny koniec PRL-u nie spowodował, że te przestrzenie spontanicznej rekreacji ruchowej zanikły. „Dzikie boiska” jako marginalne dla „zwykłego życia” były przestrzeniami w najwyższym stopniu odpornymi na gwałtowne zmiany polityczne. Jednocześnie jednak były nadzwyczaj wrażliwe na przemiany stylu życia i przekształcenia cywilizacyjne. Ich schyłek następuje właściwie na naszych oczach, to dziejąca się historia. Nie chodzi przy tym o to, że dzikie boiska ulegają całkowitemu zanikowi, tylko o fakt, że ze zjawiska powszechnego w krajobrazie miast, miasteczek i wsi stają się rzadkimi enklawami. Sytuacja ta ma z jednej strony źródło w głębokich zmianach wzorców spędzania czasu dzieci i młodzieży powiązanych ze zmianami technologicznymi. Z drugiej – w przemianach przestrzeni publicznej o charakterze cywilizacyjnym i infrastrukturalnym. Prowizoryczne i skromne przestrzenie zabawy zyskują konkurentów w postaci obiektów znacznie wygodniejszych, estetycznych i w założeniu mających służyć tym samym celom. W istocie jednak reprezentują one już zupełnie inny porządek – są przestrzeniami zaplanowanymi odgórnie, projektami na wskroś politycznymi. Koszt, jaki trzeba w ich przypadku zapłacić za wygodę i bezpieczeństwo, polega na rezygnacji z samodzielności. To z kolei pociąga za sobą ograniczenie bądź zniesienie autonomii. W ten sposób określenie „dzikie boisko” przestaje mieć zastosowanie. Powstające w wielu miejscowościach tzw. „orliki” wydają się chyba najlepszym przykładem tego tak widocznego dziś trendu. Powstają nie tylko jako odgórnie zaplanowane przedsięwzięcia, lecz są (a przynajmniej do niedawna były) eksponowanym składnikiem polityki państwa. Znajdują się zatem w centrum uwagi, nie ma mowy

o funkcjonowaniu na marginesie. Ich widoczność nie ogranicza się zresztą wyłącznie do wymiaru dyskursywnego. Są zauważalne całkiem dosłownie w pejzażu małych miejscowości, gdzie wieczorem, dzięki zainstalowanemu dobrej klasy oświetleniu, bijąca od nich łuna precyzyjnie wskazuje ich położenie. Z kolei ich granice nie mają w sobie nic z umowności obserwowanej w przypadku „dzikich boisk”. Otoczone ogrodzeniem, zaopatrzone w zamykane furtki i bramy, stają się trwałymi elementami topografii. Aby z nich skorzystać, nie potrzeba przygotowań, nie jest konieczne też adaptowanie przestrzeni własnymi siłami. Nie znaczy to równocześnie, że nie wymagają żadnego wysiłku ze strony grających. Następuje jednak znamienne przesunięcie, jeśli chodzi o charakter działań, które być może najlepiej oddaje zachodząca przemiana: aby przekroczyć bramę tego wygodnego, zadbanego, oświetlonego obiektu, trzeba się zapisać, dać odnotować swoją na nim obecność osobie odpowiedzialnej za stan boiska. Ewolucyjne, wydawałoby się, przejście od prymitywnych do wyrafinowanych form sportowej infrastruktury jest w istocie materialnym odzwierciedleniem zmiany paradygmatu.

Bilans otwarcia

Fotografia przedstawia zawodników przedwojennego Lewartu na boisku, na którym trenowali i grali mecze. Tzw. stadion „na Popówce” był stałym miejscem rozgrywania spotkań zespołu do 1956 roku. Znajdował się już za miastem, za torami kolejowymi okalającymi Lubartów od zachodu i północy.

W monografii klubu, podsumowującej pierwsze pięćdziesiąt lat jego istnienia, autor opisał powstanie obiektu w kronikarskim stylu (zapewne korzystając właśnie z klubowej kroniki): „W 1935 r. pobudowano stadion sportowy PW i WF na Popówce-Wincentów, który zlikwidowano po wojnie”⁹⁷.

Jeden z byłych zawodników Lewartu pamiętał ów stadion już z okresu powojennego:

To był taki kawałek łąki pana Szlachty. Ten pan Szlachta też takim pasjonatem sportu był, bo o ile wiem, to Lewart u niego trzymał siatki. (...) Później się składali, jak z biletów zebrali, to dawali mu parę złotych, żeby te siatki zawieszał, linie wymalował, a cały tydzień tam się krowy pasły. To był taki idealny, równy plac⁹⁸.

97 M. Ochmański, *50 lat Klubu Sportowego „Lewart” w Lubartowie*, Lubartów 1973, s. 8.

98 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.



Lewart na swoim stadionie,
okres międzywojenny.



Inny zawodnik uzupełniał ten opis:

Za torem to jeszcze taka Popówka była. To miało do siebie to boisko... To było normalnie wytyczone tam, nie było melioracji, nie było nic. Ale miało takie podłoże, że mógł padać deszcz. Przestał padać i nie ma wody. Wszystko gdzieś wsiąkało.

Dodatkową zaletą było położenie boiska tuż przy linii kolejowej: „Na przykład Sygnał [klub kolejowy] przyjeżdżał z Lublina, no to pociąg mu się zatrzymywał tam, cyk i już oni byli na tym [stadionie]”⁹⁹. Jego kolega z boiska, również zawodnik Lewartu, przypominał sobie wyjścia na mecze w dzieciństwie:

A tam, jak [na Popówce] graliśmy... tzn. nie grałem, ja mały chłopak byłem, tylko z ojcem chodziłem tam na mecz, na tamte mecze, to nie było takiego ruchu, to w niedzielę, jak się mecz skończył, to od mostu tam całą szosą ludzie szli. (...) A mój ojciec miał sklep z wapnem. To zawsze przychodził Hipek, on tam pełnił taką rolę: siatki założyć. To zawsze ojciec naszykował mu tyle tego miału, to wysypywali boisko. (...) I to ręcznie było wysypywane¹⁰⁰.

Losy lubartowskiego stadionu są nam znane dzięki źródłowym skrawkom: krótkim fragmentom wspomnień byłych zawodników, przechowanej przez jednego z nich fotografii, napisanej przed

99 Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

100 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

laty niezbyt obszernej pracy magisterskiej. To, że historię boiska znamy jako chwiejny i fragmentaryczny kolaż, że jego charakterystyka jest w najlepszym razie niepełna, nie powinno dziwić. Zawarte w tych skąpych opisach detale wydają się w gruncie rzeczy mało znaczącymi szczegółami historii regionalnej, ważnymi być może dla kibiców lokalnego zespołu, ale raczej drugorzędnymi z perspektywy profesjonalnego historyka. W istocie ta złożona z drobnych fragmentów opowieść niesie niebłahą treść. Przede wszystkim jest bardzo konkretnym punktem wyjścia do stworzenia swego rodzaju „bilansu otwarcia” kultury fizycznej w Peerelu. Chodzi tu zarówno o stan początkowy w sensie namacalnej, „twardej” materialności – infrastruktury sportowej, jak i obecnych w niej treści.

Tym, co być może najbardziej zauważalne w cytowanych wyżej wypowiedziach, jest minimalizm sportowej areny. Odnoszą się one przecież do reprezentacyjnego stadionu miejskiego klubu, którego mecze przyciągały liczne grono kibiców-mieszkańców miasteczka („jak się mecz skończył, to od mostu tam całą szosą ludzie szli”). Tymczasem zawodnicy Lewartu trenowali i rozgrywali spotkania na zwykłej łące, na której na co dzień pasły się krowy. Oglądany z dzisiejszej perspektywy – ludzi w coraz większym stopniu przywykłych do wyestetyzowanych przestrzeni sportowej aktywności – lubartowski obiekt prezentował się bardziej niż skromnie. Błędem byłoby jednak porównywanie go ze współczesną nam infrastrukturą sportową. Podobnie jak nie jest najlepszym pomysłem, spotykane czasami w literaturze, wartościowanie stanu urządzeń służących aktywności ruchowej z punktu widzenia stanu postulowanego lub idealnego. Znacznie właściwsze wydaje się podjęcie próby umieszczenia przywołanego stadionu w kontekście czasu, w którym funkcjonował. Wówczas

formułowane przez byłych zawodników oceny i podnoszenie jego zalet budzić będą mniejsze zdziwienie. Bo wyjątkowość tego obiektu nie podlega dyskusji. Nie wynika ona jednak ze szczególnych walorów sportowej areny, jej okazałości czy wartych ochrony rozwiązań architektonicznych – tak jak to niejednokrotnie bywało w przypadku stadionów wielkomiejskich. Ten lubartowski był szczególny z tego głównie powodu, że w ogóle istniał i dało się na nim we względnie komfortowych warunkach rozegrać mecz – boisko było równe i nie zamieniało się w grzęzawisko po opadach deszczu.

Miłośnicy sportu w Lubartowie mogli mówić o szczęściu, bo obiekty sportowe były Polsce tuż po wojnie prawdziwą rzadkością. Przy czym trafność tego spostrzeżenia rosła odwrotnie proporcjonalnie do wielkości miejscowości. Infrastruktury sportowej pozbawione były nawet całe powiaty. Jak odnotował Andrzej Nowakowski: „Były wówczas na mapie Polski takie województwa jak np. białostockie, w którym w trzech powiatach: łomżyńskim, gołdapskim i sokólskim nie było w ogóle żadnych urządzeń sportowych”¹⁰¹. A jeśli takie urządzenia już istniały, ich kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Tu akurat lubartowski stadion jest dobrym przykładem – jeśli małe, prowincjonalne ośrodki miały jakiegokolwiek obiekty sportowe, to zazwyczaj były one dość prymitywne, spełniając jedynie minimalne wymagania stawiane tego typu obiektom. Przy czym warto pamiętać, że w przypadku małych ośrodków aktywność sportowa, nie tylko w pierwszych latach powojennych, ale i dużo później, odbywała się niemal wyłącznie na otwartej przestrzeni. Sale gimnastyczne,

101 A. Nowakowski, *Zarządzanie kulturą fizyczną w Polsce w latach 1944–2001: studium historyczno-porównawcze*, Rzeszów 2005, s. 41.

nie mówiąc już o halach sportowych, były nieliczne nawet w dużych miastach. Miasteczka, a tym bardziej wsie, były ich w zasadzie pozbawione. W opisywanym tu Lubartowie pierwsza i jak na dzisiejsze standardy bardzo skromna (mieściła boisko do siatkówki) sala sportowa powstała dopiero w latach 60. Na taką sytuację w punkcie wyjściałożyło się co najmniej kilka przyczyn. W wielu przypadkach mało imponujący stan początkowy uwarunkowany był, nie tylko w sporcie zresztą, zniszczeniami wojennymi. W szczególności prawidłowość ta dotyczyła miast i miasteczek, w niewielkim stopniu wsi, na której o obiekty sportowe było przed wojną trudno (jeżeli nie była to wieś o charakterze wypoczynkowo-turystycznym). Wojenne dewastacje objęły około 50% urządzeń sportowych¹⁰². Nauczyciele wysyłani do pracy na Ziemi Zachodniej („Odzyskane”), gdzie z racji większej urbanizacji spodziewali się zastać wyposażone szkoły, głęboko się rozczarowywali¹⁰³. Z kolei w powiatowej Łomży piłkarze jednego z miejscowych klubów sportowych z długimi już tradycjami zorganizowali się już w 1945 roku, ale nie mogli trenować na swoim przedwojennym stadionie, ponieważ w trakcie działań wojennych zrujnowane zostały nasypy i trybuna, a co gorsza płyta boiska nie tylko została podziurawiona lejami, lecz także zaminowana¹⁰⁴.

Jakkolwiek zniszczenia wojenne w sposób znaczący wpływały na stan prowincjonalnej bazy sportowej, a przez to na kształt samego zorganizowanego życia sportowego, nie zamykają one katalogu jego infrastrukturalnych uwarunkowań. W wielu małych

102 Tamże.

103 B. Hejduk „Rocznik 1920”, *Trudne początki*, w: *Pamiętniki wychowawców fizycznych*, Warszawa 1977, s. 147–148.

104 H. Pestka, *Łomżyński Klub Sportowy. 1928–2000*, Łomża 2000, s. 45.

ośrodkach, a szczególnie na wsi, nie miały one prawie żadnego wpływu na stan obiektów sportowych. Ani walczące armie, ani okupanci nawet gdyby chcieli, nie mogliby tam zniszczyć żadnej infrastruktury sportowej. Nie dlatego, że była jakoś wyjątkowo odporna na burzenie, ale z tego prostego powodu, że nie istniała, zanim wybuchła wojna.

Kondycja tużpowojennych obiektów sportowych, a także to, czy w ogóle istniały, były uwarunkowane nie tylko konsekwencjami wojny, ale również przez przedwojenne tradycje oraz rozwiązania organizacyjne w zakresie kultury fizycznej. Obie jej składowe – wychowanie fizyczne i (szczególnie) sport – w okresie międzywojennym były nadal relatywnie młodym pomysłem spędzania czasu i organizacji przestrzeni. Zorganizowane formy fizycznej aktywności – nieco wcześniejsza kontynentalna gimnastyka oraz konkurencyjne wobec niej brytyjskie gry zespołowe i zawody sportowe w postaci, w jakiej znane są nam do dziś, narodziły się w ciągu XIX wieku jako fragmenty nabierającego rozpędu projektu: nowoczesności. Lecz, szczególnie dla sportu, koniec XIX wieku i pierwsze dekady następnego stulecia były jeszcze wciąż okresem „niemowlęstwa” (oraz niewinności) – czasem wypracowywania własnych schematów organizacyjnych przez entuzjastów poszczególnych dyscyplin i szukania własnego miejsca.

Kultura fizyczna w II Rzeczypospolitej była fenomenem przede wszystkim miejskim – zarówno w sensie pewnej idei spędzania (wolnego) czasu, jak i materializacji tego pomysłu w postaci urządzeń sportowych. Kulturowe i społeczne uwarunkowania wsi polskiej dostrzegała również władza, czego świadectwem może być wypowiedź Józefa Piłsudskiego podczas jednego z posiedzeń Rady Wychowania:



Uczniowie Szkoły Podstawowej w Sępólnie Krajeńskim
przygotowują się do biegu w workach, 1931 rok.

Nie mogę zgodzić się na to... żeby przenosić całość programowości wychowania fizycznego na wieś. Można myśleć tylko o zimie, bo latem są prace na roli, a dziecko będzie pasać gęsi. Ono zawsze ma czas zajęty... Dlatego ja nie bardzo rozumiem ten marsz na wieś z wychowaniem fizycznym... Ja się obawiam. Jest to umiastowienie wsi. Ona się i tak umiastawia, a zniesienie różnic doprowadzi do pozbawienia jej spokoju wewnętrznego¹⁰⁵.

Jedną z konsekwencji tej rezerwy wobec wprowadzania wychowania fizycznego na wieś był niemal zupełny brak finansowania

105 IV Plenarne Zebranie Rady Naukowej Wychowania Fizycznego, Warszawa, s. 55, cyt. za: A. Wohl, *Sport wiejski a przeobrażenia wsi polskiej*, Warszawa 1977, s. 10.

sportu na terenach wiejskich i w związku z tym niedostatki w zakresie infrastruktury sportowej¹⁰⁶. Z drugiej strony należy podkreślić, że to ignorowanie wsi nie było traktowane przez jej mieszkańców jako specjalnie dolegliwe. Miejsce rekreacji fizycznej w wiejskiej wizji świata w tym okresie dobrze podsumował Eugeniusz Piasecki:

Utylitaryzm chłopski każe uważać zabawy młodego pokolenia jako niepotrzebne marnowanie czasu, darcie butów i przyodziewy, tak że z reguły dzieci chłopskie bawią się tylko ukradkiem, na ryzyko kary cielesnej w razie przychwycenia, a nawet zabawy organizowane przez nauczyciela na podwórku szkolnym nie cieszą się aprobatą rodziców¹⁰⁷.

Nie znaczy to, że wieś w okresie międzywojennym była pustynią, jeśli chodzi o to, co współcześnie nazywamy rekreacją ruchową. Przede wszystkim obecne były w niej dziecięce gry i zabawy, a także sporty tradycyjne (np. zapasy, zawody siłaczy), w tym wiele związanych ze świętami religijnymi, jak np. biegi z kłotkami we wsiach wielkopolskich związane z Wielkim Tygodniem czy ściganie się po rezurekcji¹⁰⁸. Przynależały one jednak do innego porządku niż ten, który powoli zdobywał entuzjastów w dużych ośrodkach, mieszcząc w sobie już nowe, bez wyjątków importowane z zachodu dyscypliny. Jeśli te dyscypliny trafiały na wieś, to zazwyczaj za pośrednictwem osób o wyższym statusie

106 R. Szubert, *Kultura fizyczna w przemianach wsi polskiej w latach 1944–1956*, Wrocław 2010, s. 62–63.

107 Cyt. za: A. Wohl, *Sport wiejski a przeobrażenia wsi polskiej*, Warszawa 1977, s. 14.

108 W. Lipoński, *Rochwist i palant...*, dz. cyt.

społecznym – księży, ziemiaństwa lub tych, którzy zetknęli się z tymi sportami na zachodzie. Doskonałym przykładem jest historia sportu w Rabie Wyżnej. Długo przed II wojną wyszło z niej w świat za chlebem wielu emigrantów, a zarazem przyciągała letników z wielkich miast. I jedni, i drudzy przynieśli ze sobą nowe formy zabaw i gier. Według relacji Stanisława Firka w 1920 roku ktoś z powracających z Ameryki przywiózł prawdziwą piłkę, od której się zaczęły wszelkie gry. W 1924 roku przygotowano siłami rodziców plac zabaw i gier dla dzieci nad rzeką, blisko centrum. Potem kupiono piłkę do koszykówki, której zasad nauczył dzieci miejscowy wikary. Tablice z kosztami wykonano za pieniądze uzyskane z biletów na amatorskie przedstawienie szkolne.

W 1928 roku Ignacy Dziadek (wcześniej grał w koszykówkę), po powrocie ze szkoły w Zakopanem zrobił pierwsze narty zjazdowe w swoim warsztacie, a w 1932 roku Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej zainicjowało budowę skoczni narciarskiej. Z kolei piłka nożna rozwinęła się pod wpływem synów dziedziczki Głowińskiej, którzy nauczyli grać chłopców ze wsi i z nimi towarzysko rozgrywali mecze¹⁰⁹. Raba Wyżna jest tym wyjątkiem, który potwierdza regułę – im bardziej wieś miała kontakt z wielkomijskim stylem życia, tym szybciej powstawało tam zainteresowanie sportem, głównie wśród dzieci i młodzieży, ale z coraz większą akceptacją dorosłych.

Jeśli chodzi o politykę w tym zakresie, próbowano, acz bez wielkiej determinacji, wprowadzać na wieś przysposobienie wojskowe (będące wówczas jednym z elementów kultury fizycznej, o czym niżej). Na przeszkodzie realizacji planów stanęły znane już

109 J. Zając, *Rozwój Ludowego Klubu Sportowego „Orkan” w Rabie Wyżej w latach 1946–1990*, Kraków 1991, mps.



Gra w krokieta, Wybranówka, 1924 rok.

niedostatki w zakresie infrastruktury i brak właściwego wsparcia finansowego¹¹⁰. Implementacja nowych, sportowych wzorów odbywała się poprzez tworzenie zespołów sportowych przy organizacjach młodzieżowych (Polskim Towarzystwie Młodzieżowym, „Strzelcu”, ZMW RP „Wici” czy „Sokole”)¹¹¹. Trudno jednak uznać te próby za udane. Powstające drużyny były na tyle nieliczne, że odgrywały raczej rolę wyjątków potwierdzających regułę – wzmacniając tezę o sporcie jako ciele obcym na wsi.

W efekcie wieś wchodziła w Peerel jako swego rodzaju sportowa *tabula rasa*. Kultura fizyczna w jej zorganizowanych formach nie

110 E. Małolepszy, *Rada Naukowa Wychowania Fizycznego wobec kultury fizycznej na wsi (1927–1939)*, w: *Z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, red. L. Nowak, t. 7, Gorzów Wlkp. 2006, s. 117.

111 R. Szubert, *Kultura fizyczna w przemianach wsi polskiej...*, dz. cyt., s. 63–64.

tylko nie zakorzeniła się na terenach wiejskich, ale nie zdążyła się tam na dobrą sprawę nawet pojawić. Taki stan rzeczy miał swoje konsekwencje już po wojnie, kiedy za forsowne wprowadzenie wychowania fizycznego i sportu zabrali się komuniści. Wieś, w odróżnieniu od miast, nawet tak niewielkich jak powojenny Lubartów, nie miała tradycji, do której mogłaby by się odwołać i w oparciu o nią negocjować z nowym porządkiem – zachowując dzięki temu margines swobody. Wydaje się, że takie zakorzenie nie w przedwojennej tradycji, chociaż oczywiście nie chroniło przed wszystkimi zagrożeniami nowej epoki, pozwalało lepiej poruszać się w jej realiach – zastępować sytuacje zero-jedynkowe (akceptacja–odrzućenie) wyjściami pośrednimi.

Dalecy jesteśmy od przeceniania aktywności sportowej w prowincjonalnych miasteczkach II Rzeczypospolitej. Nie sposób jednak zaprzeczyć, że mniej lub bardziej udane próby tworzenia organizacji sportowych albo reprezentacyjnych lokalnych drużyn miały w nich miejsce, a niejedno małe miasteczko wchodziło w Peerel z pewnym organizacyjnym dorobkiem w tej dziedzinie. Doskonałą tego ilustracją jest opisywany lubartowski stadion. Kiedy tuż po przejściu frontu rozgrywano tam pierwsze mecze, to w gruncie rzeczy wracano do jednego ze sposobów spędzania czasu wolnego, który w przestrzeń publiczną małego miasta został wszczepiony właśnie w dwudziestolecie. Przy czym stadion na Popówce, z którego wówczas korzystano, a który, przypomnijmy, powstał w połowie lat 30., nie był pierwszym miejscem rozgrywania spotkań przez miejscową drużynę. Ona sama utworzona została w 1923 roku. Twórcą klubu, funkcjonującego do dzisiaj pod ówczesnie nadaną nazwą Lewart, był Antoni Gojdan – urzędnik najpierw Starostwa, później Urzędu Skarbowego, a zatem przedstawiciel lokalnej inteligencji i chociażby z racji sprawowanych

funkcji zapewne także członek elity miasteczka. Postać oddanego sprawie i być może także wpływowego działacza miała z całą pewnością duże znaczenie dla realizacji przedsięwzięcia. Niemniej nie działał on w próżni, a reprezentacyjna miejska drużyna nie powstała z dnia na dzień.

W Lubartowie, jak i wielu innych miejscowościach wszystko zaczęło się od „dzikich boisk”, na których rozgrywano pierwsze mecze tuż po I wojnie światowej: „Echa tego ruchu [sportowego] docierają do Lubartowa. (...) Młodzież wszędzie kopie szmaciankę, a później prawdziwą piłkę na pastwisku miejskim i obok toru kolejowego”¹¹². W 1922 roku powstały dwie pierwsze jeszcze nieformalne drużyny szkolne – Niebieskich i Zielonych – zorganizowane przez nauczyciela i zarazem pasjonata sportu Józefa Rafalskiego („rdzennego lubartowianina”). Nieco później, bo wiosną 1923 roku, hrabia Michał Zamoyski utworzył w położonej nieopodal miasteczka Kozłówce zespół KS Kozłówka. W tym samym mniej więcej czasie powstał jeszcze w Lubartowie Strzelec oraz żydowski klub Jutrzenka. Nastąpiło też połączenie drużyn Zielonych i Niebieskich, a wynikiem fuzji był szkolny zespół Lubartowianka. Podsumowując sytuację w tym okresie, historyk klubu pisze: „Lokalne boje trwają nadal. Są to jednak tzw. drużyny dzikie i częste. Ci sami gracze w zależności od partnerów grają bądź w Lubartowiance, bądź też w KS Kozłówka”¹¹³. Lewart założono w maju 1923 roku i jako pierwszy miejski klub zarejestrowano w Lubelskim Okręgowym Związku Piłki Nożnej. Był jednak dość słabą drużyną. W związku z tym „w meczu z pierwszym zamiejscowym rywalem Lublinianką wystąpiła reprezentacja Lubartowa złożona z 8 graczy

112 M. Ochmański, *50 lat Klubu Sportowego „Lewart”...*, dz. cyt., s. 5.

113 Tamże.

Lubartowianki i tylko 3 z Lewartu”¹¹⁴. Jako uznana przez związek sportowy drużyna, Lewart mógł uczestniczyć w rozgrywkach ligowych. Przywileju tego nie miała Lubartowianka, „postanowiono więc jej najlepszymi zawodnikami wzmocnić Lewart. Wszystkich niemal zawodników zgłoszono do Lewartu”¹¹⁵. Sama Lubartowianka istniała tylko do 1925 roku.

W tym krótkim, ale szczegółowym opisie widzimy narodziny klubu w małym podlubelskim miasteczku. Z naszego punktu widzenia jego waga nie bierze się z samego faktu powołania drużyny. Fragment wydaje się istotny po pierwsze dlatego, że jest zapisem tego szczególnego momentu, kiedy w społecznej i fizycznej przestrzeni miasteczka pojawił się nowy sposób spędzania wolnego czasu, pojęcia, skądinąd dla większości mieszkańców półrolniczego Lubartowa, zapewne zupełnie abstrakcyjnego. Historyk klubu uwiecznił chwilę, gdy idea sportu, znajdująca się jeszcze niedawno nawet nie poza murami (*desportes*) miasteczka, tylko gdzieś daleko za horyzontem, wkracza nieśmiało w granice jego terytorium. Oto w mikroskali widzimy proces implementacji pomysłu na aktywność fizyczną, który narodził się w dziewiętnastowiecznej Wielkiej Brytanii, i w ciągu kilku dziesięcioleci miał zyskać popularność i niezliczonych naśladowców na całym świecie. W drugiej połowie tego stulecia i na początku następnego całą Europę, a także kolonie brytyjskie pokryła sieć klubów sportowych wzorowanych na tych angielskich. Angielskie były rozwiązania organizacyjne, przepisy, a także terminologia, która przetrwała w wielu językach do dnia dzisiejszego. Powstawały kluby piłkarskie, wioślarskie, kolarskie, organizowały się kluby szermiercze. Symbolem tego wielkiego ruchu

¹¹⁴ Tamże, s. 6.

¹¹⁵ Tamże.

i jego punktem kulminacyjnym stało się reaktywowanie idei olimpijskiej w nowoczesnej formie poprzez organizację I Nowożytnych Igrzysk Olimpijskich w Atenach w 1896 roku. Powstanie lubartowskiego klubu wpisywało się w ten w zasadzie globalny trend. Fakt, że nastąpiło to dopiero w latach 20., był uwarunkowany szeregiem przyczyn, spośród których niebagatelną był dystans cywilizacyjny dzielący prowincjonalne miasteczko od dużych ośrodków. Swoje znaczenie miał też niewątpliwie stosunek przedstawicieli administracji imperium rosyjskiego do sportu i organizacji zrzeszających sportowców.

Dokładna data powstania klubu jest z punktu widzenia naszych rozważań rzeczą drugorzędną. Znacznie ważniejsza wydaje się treść zawarta w tej i setkach podobnych inicjatyw podejmowanych na ziemiach polskich w tym okresie. Patrząc na działania lubartowskich entuzjastów sportu w pierwszych latach niepodległości, rozpoznajemy w nich motywy i schematy działania o charakterze niemal uniwersalnym, w mniejszym lub większym stopniu obecne wszędzie tam, gdzie decydowano się uprawiać sport w ramach ustalonych form organizacyjnych. Podstawą całej tej działalności i jej tłem jest „dzikie boisko”. Ono stanowiło właściwy punkt wyjścia dla zorganizowanych form sportu. „Dzikie boisko”, jak dowodziliśmy w poprzednim rozdziale, wypełnia spontaniczna i niepoddająca się kontroli aktywność sportowa. Jej granice są nie do końca sprecyzowane, umowne, a ona sama odznacza się nietrwałością i wrażliwością na wpływ czynników zewnętrznych – np. pogody albo elementów krajobrazu. Ale przede wszystkim jest wyrazem oddolności – materializującej się w danym miejscu potrzeby zabawy.

Zatem kiedy Antoni Gojdan tworzył klub, rejestrował go w związku piłkarskim i zgłaszał do rozgrywek po wcześniejszym włączeniu zawodników konkurencyjnej drużyny, to działania te

nie były tylko zestawem administracyjnych czy organizacyjnych posunięć. Oznaczały także zagospodarowywanie wcześniejszej spontanicznej aktywności sportowej. Właściwą „dzikim drużynom” niestałość zastępowano trwałością organizacji. Dokonywało się też istotne przesunięcie w tym, co można by nazwać umocowaniem drużyny. Po pierwsze angażowali się w nią mieszkańcy miasta ciesząc się autorytetem, jak nauczyciel czy urzędnik. Wzmacniało to drużynę w oczach lokalnej społeczności. Po drugie, nabywała sankcji o charakterze ponadlokalnym. Dzięki rejestracji w związku piłkarskim i uczestnictwie w rozgrywkach ligowych zyskiwała nowe punkty odniesienia, zaczynała funkcjonować w szerszym planie. Ligowe mecze wiązały się też z odmiennym niż w przypadku dzikich drużyn powiązaniem aktywności sportowej z czasem – mecze rozgrywane były już nie w zależności od nadarzającej się okazji, ale odbywały się zgodnie z narzuconym harmonogramem. W konsekwencji powołania klubu rywalizacja opierała nie tylko na doraźnych regułach wewnątrzgrupowych – zawieranym „tu i teraz” porozumieniu samych zawodników, które w każdej chwili mogło stracić moc. Spajany on był również rygorami, wymaganiami i zobowiązaniami zewnętrznymi. Klub, chociaż musiał przyjąć obce przestrzeni „dzikiego boiska” ramy organizacyjne, nie powstawał na pewno w kontrze do niego. Rozpatrując problem pod kątem reguł stojących u podstaw nieorganizowanej aktywności sportowej, należałoby mówić raczej o pewnej transformacji, a nie burzeniu. Lokalny klub był sukcesorem takich dzikich drużyn nie tylko dlatego, że przejmował ich zawodników, ale z powodu dzielenia z nimi podstawowych zasad: reguły dobrowolności udziału oraz oddolności inicjatywy.

Zauważmy, że wszystkie działania mają miejsce na jednym poziomie i dotyczą tej samej lokalnej społeczności. Jeżeli

Warszawski Okręgowy

WOJEWODZKI PODOKRĘGOWY

W niedzielę dn. 30-IX 28 r. o godz. 3 p. p.

ODBEDZIE SIĘ

MECZ PIŁKARSKI

O MISTRZOSTWO

MIEJSCOWOŚCI

GKS — P

GRAJEWÓ

Ceny biletów: 1.50 zł. 75 gr.; dla uczącej się młodzieży 30 gr.

Druk. A. M. Pion

Zwiazek PIŁKI NOŻNEJ

REG w BIAŁYMSTOKU

p. NA BOISKU przy ul. RUDZKIEJ

ZIE SIĘ

KI NOŻNEJ

WO PODOKRĘGU

EDZY

DWIWF

KOLNO

BUFET NA MIEJSCU

wprowadzany jest kontekst ponadlokalny, to jako rezultat inicjatywy ukierunkowanej z małego miasteczka do zewnątrz, a nie na odwrót. Klubu nie tworzył żaden wysłannik z (jakiegokolwiek) centrali, przedstawiciel organizacji wojewódzkiej czy przysłany działacz. Oczywiście biegających za piłką chłopców i organizujących życie sportowe urzędników albo nauczycieli dzieliło co najmniej kilka szczebli w lokalnej hierarchii. Niemniej obie grupy składały się z „tutejszych”, a ich pomysły na spędzanie wolnego czasu rodziły się we wspólnej i oswojonej przestrzeni i z nią się potem wiązały w postaci użytkowanego przez zespół boiska.

Miejsca, w których drużyna rozgrywała swoje mecze, były być może najlepszą ilustracją oddolnego charakteru aktywności sportowej w małym miasteczku – osadzenia jej głównie w sieci lokalnych interakcji. Jak wspomnieliśmy, opisywany na początku rozdziału stadion „na Popówce” nie był pierwszym boiskiem użytkowanym przez Lewart. Początkowo zespół rozgrywał mecze dokładnie w tych samych lokalizacjach, gdzie spotykały się dzikie drużyny („Wszystkie swoje mecze, nawet mistrzowskie, rozgrywa »Lewart« na pastwisku miejskim lub na plantach koło toru kolejowego”¹¹⁶). Ale dwa lata po założeniu klubu nastąpiła zmiana:

Dzięki ofiarności części społeczeństwa, które w 1925 roku opodatkowało się dobrowolną składką na rzecz klubu, za zebrane pieniądze p. Gojdan Antoni wydzierżawia plac przy ul. Lipowej od p. Webera. Czynem społecznym zawodników i wiernych kibiców plac ten zostaje ogrodzony¹¹⁷.

116 Tamże.

117 Tamże, s. 7.

Jednak kilka akapitów dalej dowiadujemy się, że „nie jest to jednak boisko z prawdziwego zdarzenia, bo w ciągu tygodnia jest targowiskiem miejskim, wysprzątane przez graczy staje się boiskiem”. W cytowanym fragmencie zwraca uwagę w pierwszym rzędzie waga osobistego zaangażowania i samowystarczalności mieszkańców miasteczka (głównie działaczy i samych zawodników) przy tworzeniu infrastruktury. Jest to być może jeszcze lepiej widoczne w przypadku innych materialnych aspektów funkcjonowania drużyny: zadania zawodników nie ograniczały się tylko do treningów i pojedynków z innymi zespołami: „zawodnicy sami kupowali sobie stroje i buty piłkarskie za własne pieniądze, sami je prali i reperowali. Niektórzy zawodnicy na mecze chodzili piechotą i piechotą wracali do domu”. Podobnie wsparcie kibiców, przynajmniej tych bardziej zamożnych, nie polegało tylko na dopingowaniu podczas meczu:

Dużej pomocy finansowej przez długi czas okresu międzywojennego udziela grający w jego składzie hrabia Zamoyski Michał z Kozłówki. Doktor Maurycy Silberman opiekował się (bezpłatnie) zdrowiem zawodników, różne lekarstwa prezentował farmaceuta mgr Walencik, transport przy meczach wyjazdowych zapewniała firma przewozowa „Derecki i spółka”, buty piłkarskie w czynie społecznym, jakbyśmy to nazwali dziś, wykonywali dla klubu miejscowi szewcy (...), o sprawy wyżywienia dbał właściciel wędliniarni Belcarz Czesław, kiedy zawodnicy wyjeżdżali poza teren Lubartowa, natomiast w Lubartowie obiadanymi z własnej restauracji częstował ich Derecki Adam¹¹⁸.

118 Tamże, s. 6.

Opis wsparcia udzielanego klubowi przez mieszkańców został zapewne odmalowany w nieco zbyt jasnych barwach. Trudno spodziewać się, że pomoc była przez cały czas istnienia drużyny taka sama i nie zdarzały się w tym względzie problemy. Nie to jest tu jednak najważniejsze. Wartość cytowanego fragmentu polega głównie na tym, że znakomicie oddaje schemat działania entuzjastów sportu w warunkach prowincjonalnego miasteczka w dwudziestoleciu międzywojennym. ŁKS – Łomżyński Klub Sportowy założony w 1928 roku radził sobie podobnie, o czym pisze lokalny historyk:

By opłacić przejazd zawodników na zawody do innych miast (głównie piłkarzy na mecze ligowe) zabierano ze sobą kibiców, którzy płacili za przejazd i możliwość spotkania na wyjeździe. Byli wśród nich i ludzie starsi, czasem niewiasty. Trzeba im było dać miejsca siedzące na ławkach kosztem graczy, którzy jechali cały czas stojąc. Ale inaczej nie byłoby kibiców i możliwości zapłacenia za transport. (...) Poważnym problemem było kupienie nowej piłki, nie mówiąc o komplecie koszulek, a tym bardziej butów piłkarskich. A ŁKS miał trzy pełne drużyny futbolowe oraz inne liczne sekcje sportowe. Były okresy, kiedy na mecze wypożyczano „korki” od zaprzyjaźnionego ŻKS „Gwiazda”. Innym razem po jednym meczu z 33. Pułkiem Piechoty kilka par butów przeznaczonych do skasowania wyprosił W. Cieśluk, do których któryś z kibiców dorobił korki¹¹⁹.

Lubartów i Łomża nie były wyjątkami. Ten sam zestaw metod znajdziemy i wcześniej, i później w wielu innych miejscach. Źródła boisk

119 H. Pestka, *Łomżyński Klub Sportowy...*, dz. cyt., s. 20.

oraz odbywających się na nich rozgrywek tkwiły w entuzjazmie pierwszych małomiasteczkowych sportowców. Traktowanie ich jednak jako po prostu odbicia tego oddolnego zaangażowania byłoby zbyt daleko idącym uproszczeniem. Stanowiły bowiem przede wszystkim pochodną zderzenia rodzących się aspiracji w zakresie form spędzania wolnego czasu oraz materialnych możliwości – zarówno na poziomie konkretnych osób, jak i lokalnej społeczności jako całości. W sytuacji, kiedy te zasoby były stosunkowo niewielkie, kluczowa stawała się zdolność samoorganizacji, wykorzystywania nadarzających się okazji oraz adaptacji zastanych elementów. W ten sposób funkcję boiska mogło spełniać pastwisko albo miejski targ. Prowizoryczne stadiony wraz z grającymi na nich zrzeszonymi w klubach zawodnikami zaczynały z wolna zaznaczać swoją obecność w krajobrazie mniejszych i większych miejscowości. Nawet jeśli kluby nie były zjawiskiem powszechnym i nie zawsze przyciągały tłumy kibiców, a ich baza materialna była licha, to niosły ze sobą nowy model spędzania wolnego czasu. Jego fundamentalnymi zasadami były dobrowolność, niezależność i brak odniesień do utylitarnych celów, zaś powiązanie z danym miejscem nie następowało w efekcie decyzji administracyjnej podjętej na poziomie ponadlokalnym ani jako wynik odgórnego nacisku. Wpływało z autentycznej, oddolnej potrzeby. Ujęcie różnych form aktywności fizycznej w ramy organizacyjne – kluby czy organizacje wyższego rzędu, takie jak związki sportowe, było – jak się wydaje – krokiem najzupełniej naturalnym, wypływających z oczekiwań i aspiracji lokalnych społeczności.

Wojna była dla sportu w Polsce, jak zresztą dla każdej sfery życia społecznego, kataklizmem. Większe jeszcze od dewastacji infrastruktury znaczenie miały straty osobowe wśród sportowców i działaczy. Jednak samego konceptu sportu jako formy

aktywności wojna oczywiście zniszczyć nie zdołała. Przetrwał, a jego konkretyzacje w postaci reguł, przepisów, struktur organizacyjnych, wreszcie obiektów lub tego, co z nich zostało, stanowiły w 1945 roku gotowy do wzorzec do zastosowania. Zatem stadion w Łomży, którego tużpowojenny stan opisywaliśmy wcześniej, mógł być zniszczony bombardowaniem i zaminowany, ale nie odwiodło to członków klubu od wznowienia treningów i szukania zastępczego boiska. Ich spontaniczne działanie było właśnie wyrazem zakorzenienia idei i wynikało z potrzeby kontynuacji działalności sportowej według przedwojennych schematów organizacyjnych.

Pisząc o tradycjach przedwojennych, które stanowią bilans otwarcia dla interesującej nas w tej książce epoki, powinniśmy zaznaczyć, że obok sportu odziedziczono jeszcze jedną składową kultury fizycznej – wychowanie fizyczne powiązane z przysposobieniem wojskowym. Nie było to zjawisko w żadnym wypadku specyficznie polskie. Nie narodziło się też w 1918 roku, chociaż na pewno okres międzywojenny nadał mu nową dynamikę. Swoje powstanie zawdzięczało narodzinom nowoczesnego państwa narodowego i samo w sobie było zarazem produktem i narzędziem nabierającej tempa modernizacji. Kluczowym elementem była idea wykorzystania kultury fizycznej w służbie państwa. Jako taki pomysł zakorzeniony był w datujących się na XIX wiek, a głównie jego drugą połowę, lękach o swój obiekt, obierających kondycję fizyczną i moralną całych społeczeństw, w centrum umieszczając strach przed degeneracją.

Debata na temat degeneracji ogniskowała się na problemie „krzepkiego ciała”. Choć pojęcie „degeneracji” było notorycznie płynne i nigdy precyzyjnie nieokreślone (było przecież



Mecz piłki nożnej w Tarnawatce, 1928 rok.

wyrazem rozproszonych lęków, znaczącym głównie dzięki emocjom, jakie wzbudzało, i wysiłkom, do jakich mobilizowało, a nie neutralnym terminem naukowym odsyłającym do określonego zbioru pokrewnych zjawisk) – snuło się ono wokół zatrwającej wizji pozbawionego energii życiowej, niewydolnego, niezdolnego do wysiłku, wątlęgo i sflaczałego ciała¹²⁰.

Narodziny oraz upowszechnienie się w XIX wieku ćwiczeń fizycznych, w szczególności zaś gimnastyki, należy uznać za naturalną konsekwencję wskazanych wyżej lęków i zdefiniowania problemów z nimi związanych. Warto podkreślić, że na tle innych powstających ówczesnie i później pomysłów na zapobieganie fizycznej słabości, koncept ten wyróżniał się swoim umiarkowaniem w kształtowaniu idealnie przeciętnego ciała. Jego nosicielem były figury efektywnego robotnika i sprawnego

120 Z. Bauman, *Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności*, Toruń 1995, s. 79.

żołnierza. Jak łatwo się domyślić, były to nie tyle osobne jednostki, co dwie komplementarne oblicza jednej postaci – człowieka zaprojektowanego wedle, jak to ujął Bauman „wytwórczo-wojskowego wzorca”. Choć oboje funkcje były istotne, to wydaje się, że model skrojony był bardziej z myślą o skutecznej armii niż produktywnej sile roboczej. W tej sytuacji militaryzacja wychowania fizycznego stawała się logicznym krokiem państwa dbającego o stan swoich sił zbrojnych.

W międzywojennej Polsce powiązanie kultury fizycznej z celami militarnymi stało się szczególnie wyraźne po 1926 roku, a sam zamach majowy był dla ludzi z nią związanych bardzo istotną cezurą. Lecz sprzężenie wychowania fizycznego z przysposobieniem wojskowym i podporządkowanie go wojsku miało miejsce także wcześniej. Symptomatyczne, że to właśnie w Ministerstwie Spraw Wojskowych (MSW) przygotowano dwa projekty ustaw regulujących kwestie wychowania fizycznego: *Ustawę o obowiązkowym wychowaniu fizycznym i o powszechnym przysposobieniu do obrony Rzeczypospolitej* z 1921 roku oraz przedłożoną trzy lata później *Ustawę o powszechnym obowiązku wychowania fizycznego młodzieży i o przysposobieniu wojskowym*. Ustawy ostatecznie nie weszły w życie, ale już ich tytuły sugerują utylitarny charakter wychowania fizycznego. Znalazło to potwierdzenie w treści dokumentów. Na przykład wedle projektu przygotowanego przez MSW w końcu 1924 roku przysposobienie wojskowe miało być obowiązkowym przedmiotem szkolnym dla chłopców i nieobowiązkowym dla dziewcząt¹²¹. O ścisłym powiązaniu wychowania fizycznego z wojskiem świadczy także sposób funkcjonowania powołanej 25 kwietnia 1925 roku Rady Naczelnej

121 R. Szubert, *Kultura fizyczna w przemianach wsi polskiej...*, dz. cyt., s. 62.

Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Rada formalnie działała przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, „jednak w związku z tym, że kierownictwo rady składało się głównie z przedstawicieli MSW, sprawy powszechnego wychowania fizycznego były przez ten organ traktowane marginalnie”¹²².

Istotna zmiana jakościowa, jeśli chodzi o zarządzanie kulturą fizyczną, nastąpiła już po zamachu majowym. Obóz sanacyjny, w tym sam Józef Piłsudski, przykładał dużą wagę do rozwoju kultury fizycznej. Przy czym piłsudczycy byli zdecydowanymi orędownikami znacznie silniejszego powiązania jej programowo i organizacyjnie z wojskiem. Wyrazem takiego podejścia było utworzenie w 1927 roku Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego (PUWFiPW). Odgrywał on rolę centralnego organu administracji państwowej zajmującego się sprawami wychowania fizycznego, przysposobienia wojskowego oraz sportu. Urząd przetrwał do wybuchu wojny. To o tyle istotne, że jego funkcjonowanie miało zasadniczy wpływ na ukształtowanie się modelu kultury fizycznej – zarówno wychowania fizycznego, jak i sportu – nad którym PUWFiPW również sprawował pieczę, a który odznaczał się daleko posuniętą militarystką. Odbывało się to na poziomie treści i celów do osiągnięcia, ale także, co zrozumiałe, w odniesieniu do kadr. W znacznej części kadry te rekrutowały się właśnie spośród wojskowych. Wspominamy o tym także dlatego, że po pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej ci ludzie odegrają ważną rolę w odbudowie sportu i wychowania fizycznego.

122 Tamże; zob. też: L. Szymański, *Kultura fizyczna w polityce II Rzeczypospolitej*, Wrocław 1995.

Stworzony po zamachu majowym system kultury fizycznej miał obejmować cały kraj – zatem i duże miasta, i prowincjonalne ośrodki. W opisywanym wcześniej szerzej Lubartowie na słaby ślad obecności tego modelu natrafiamy, kiedy historyk klubu lapidarnie odnotowuje, że „w 1935 r. pobudowano stadion sportowy PW i WF na Popówce – Wincentów”. To ten sam stadion, który we wspomnieniach byłych zawodników jawi się jako efekt oddolnych działań. Mamy zatem dwa przeciwstawne obrazy: z jednej strony niemal spontanicznie powstające boisko, z drugiej – „stadion PW i WF” – nazwę jednoznacznie wiążącą obiekt z utylitarnie zorientowaną kulturą fizyczną. Dysponujemy zbyt małą ilością danych, by z całą pewnością wyjaśnić istniejącą tu sprzeczność. Wydaje się jednak, że jest ona w dużym stopniu pozorna. Po pierwsze dlatego, że nadanie takiej a nie innej nazwy mogło wynikać wyłącznie z porządku organizacyjnego, w którym całość kultury fizycznej, w tym sport, podlegała terenowym instancjom PUWFiPW, a samo określenie było automatycznie związane z inicjatywami w tym zakresie, szczególnie jeśli miały charakter infrastrukturalny. Po drugie, nazwa sugerująca odgórny patronat nad stadionem mogła nie mieć nic wspólnego z skalą zaangażowania instytucji państwa w budowę obiektu.

Historia Łomżyńskiego Klubu Sportowego, rozgrywająca się w tym samym czasie, może pomóc zrozumieć to zjawisko, aczkolwiek w Łomży miało ono swoją specyfikę poprzez stałą w niej obecność jednostki wojskowej – 33. Pułku Piechoty. Już od 1931 roku generał Czesław Młot-Fijałkowski intensywnie pracował tu nad konsolidacją ruchu sportowego pod swoją egidą. W tymże roku pojawiła się u niego delegacja ŁKS z prośbą o pomoc przy splantowaniu terenu pod boisko na rzeką Narew. W relacji Stefana Ruska, który był członkiem owej delegacji, w dyskusji

pojawiła się propozycja generała fuzji ŁKS z drużyną 33. Pułku Piechoty. Generał zaproponował również nową nazwę: ŁKS Legion. Sprawa okazała się już przesądzona na wyższym szczeblu – gotowy statut klubu przywieziono z Warszawy, oficerowie dywizji i 33. pułku, wraz z generałem gremialnie zapisywali się do klubu. W „Przeglądzie Łomżyńskim” generał informował: „Uzgodnienia postulatów poszczególnych klubów są w pełnym toku. Ułożono listę członków przyszłego zarządu, dobierając ludzi znanych na tutejszym terenie, sprawnych organizatorów”¹²³. Do grona organizacji, które miały współtworzyć nowy klub ŁKS Legion, dołączyła powstała w 1932 roku sanacyjna organizacja młodzieżowa Legion Młodych. Proponowane zmiany statutu i fuzji z Legionem Młodych spotkały się z dużym oporem członków klubu, ale mimo to przejęcie klubu odbyło się zgodnie z planem, o czym świadczyć może nie tylko nazwa, ale skład zarządu, do którego jako prezes honorowy wszedł generał Młot-Fijałkowski, a prezesem został oficer 33. Pułku Piechoty, major Stefan Komendera. Zmiany organizacyjne miały swoje przełożenie na stan infrastruktury klubu: otrzymał obszerny lokal z dużą salą i sześcioma mniejszymi pomieszczeniami, z sekretariatem i szatnią z woźnym. Siedziba klubu mieściła się w nowym centrum miasta, a jego otwarcie miało wielce uroczysty charakter. Z pewnością sytuacja łomżyńskich sportowców była wyjątkowa dzięki obecności w życiu miasta dużej jednostki wojskowej. Warunki, jakie uzyskali dzięki patronatowi wojska, pozwoliły na rozwój klubu i przełożyły się na późniejsze wyniki sportowe.

123 „Przegląd Łomżyński” 1934, nr 1, s. 4; cyt. za: H. Pestka, *Łomżyński Klub Sportowy...*, dz. cyt., s. 22.

W owym czasie, w większości mniejszych miast i miasteczek życie sportowe jeśli kwitło, to nie na takim poziomie rozwoju organizacyjnego i infrastruktury i nie dzięki pomocy państwa. Zdecydowanie mizerna była sytuacja na wsi. Dobrą ilustrację mogą stanowić podejmowane w dwudziestoleciu próby wprowadzania tam kultury fizycznej. Pod koniec 1936 roku Rada Naukowa Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego powołała komisję, której celem było wprowadzenie kultury fizycznej w zorganizowanej formie w pięciu gminach powiatu piotrkowskiego. Wykonanie tego eksperymentalnego projektu zaplanowano na lata 1938–1941. Z oczywistych powodów nie doczekał się realizacji. Wybuch wojny nie tłumaczy jednak wszystkiego. Podobnie nikle były bowiem rezultaty działania powołanych wcześniej komisji do spraw kultury fizycznej na wsi. Z kolei przysposobienie wojskowe, chociaż formalnie przeznaczone było dla kilku grup wiekowych, na terenach wiejskich obejmowało przede wszystkim najmłodszych. Tylko oni dysponowali na tyle dużym marginesem wolnego czasu, by w ogóle myśleć o udziale formach aktywności odciągających od pracy w gospodarstwie¹²⁴. Zmierzamy do tego, że rozpatrując sytuację kultury fizycznej na polskiej wsi, można mówić o jej głównie deklaracyjnym charakterze. Zasoby jakimi dysponował PUWFiPW – zarówno te ludzkie, jak i finansowe – z całą pewnością nie wystarczały do realizacji wszystkich zaplanowanych zamierzeń. W tym sensie zapewne niejednokrotnie zdarzało się tak, że powszechne wychowanie fizyczne i przysposobienie wojskowe było w większym stopniu rzeczywistością wytworzonych przez instytucje dokumentów niż prowincjonalnych boisk.

124 R. Szubert, *Kultura fizyczna w przemianach wsi polskiej...*, dz. cyt., s. 62–63.

Jak krytycznie nie ocenialibyśmy polityki w zakresie kultury fizycznej II Rzeczypospolitej, nie ulega wątpliwości, że stworzony został wówczas pewien jej zrąb – w sensie instytucjonalnym, materialnym i koncepcyjnym. Na zawartość tego spadku znaczny i niemal jednoznacznie negatywny wpływ miała wojna. Nie przekreśliła ona jednak w całości tego dorobku. W bilansie otwarcia polskiej kultury fizycznej po 1945 roku obok poważnie uszczuplonej wojną i okupacją bazy materialnej, należy uwzględnić też odziedziczone po okresie międzywojennym czynniki niematerialne – idee decydujące w końcu o kształcie sportowych aren i wypełniające je treścią. Mające swoje źródła jeszcze w wieku XIX i rozwijane w pierwszych czterech dekadach następnego stulecia pomysły dotyczące kultury fizycznej składały się na gotowy do wykorzystania, a przy tym rozpoznany i w dużej mierze przyswojony *modus operandi*. Naturalnie i prawie automatycznie stały się zatem punktem odniesienia przy organizowaniu kultury fizycznej w pierwszym okresie po zakończeniu działań wojennych.

Stadion na peryferiach

Pierwszy raz Bolesław Hejduk przyjechał do Sulechowa w czerwcu 1946 roku. Miał wówczas dwadzieścia sześć lat i właśnie przerwał naukę w Studium Wychowania Fizycznego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, by podjąć pracę nauczyciela w sulechowskim Liceum Pedagogicznym. Jak wspominał w pamiętniku:

Po pewnym czasie władze oświatowe zaproponowały nam, studentom, wyjazd na ziemie zachodnie, obiecując, że po 2 latach pracy otrzymamy płatne urlopy na dokończenie studiów. Do wyjazdu nie trzeba nas było długo namawiać¹²⁵.

Kiedy na dworcu wysiadał z pociągu, mógł czuć się niezbyt pewnie. Był tam pierwszy raz i zupełnie nie znał miasteczka. Ale w podobnej sytuacji znajdowali się niemal wszyscy jego mieszkańcy. Bez wyjątku nowi, przyjeżdżający z różnych zakątków kraju. Nowa była też jego nazwa, oficjalnie nadana miesiąc wcześniej. Tuż po wojnie Sulechów nazywano Cilichowem, a jeszcze wcześniej – Züllichau. Sulechów leżał na tzw. Ziemiach Odzyskanych, niecałe dwadzieścia kilometrów na północny-zachód od Zielonej Góry i w momencie przyjazdu nauczyciela wciąż jeszcze nosił wyraźne ślady przejścia frontu:

125 B. Hejduk „Rocznik 1920”, *Trudne początki*, dz. cyt., s. 145.

Miasto zdawało się być pogrążone we śnie. Na wyludnionych ulicach najczęściej można było spotkać bezpańskie zgłodniałe psy i koty. Idąc samotnie, mijalem wypalone domy, kikuty kominów, kopce gruzów – to wszystko zdawało się upiornie straszyć tych, którzy ośmielali się tu przybyć, zamieszkać i organizować życie od nowa¹²⁶.

Na szczęście dla autora sam budynek szkoły, w której miał pracować, nie uległ zniszczeniu. Ale już urządzenia sportowe, a więc to, co z racji wykonywanego zawodu interesowało go najbardziej, nie były w najlepszym stanie:

Po dokonaniu dokładnej lustracji miałem obraz stanu faktycznego: stara, bardzo niska sala gimnastyczna o wymiarach 10×20 m, o zniszczonej podłodze i względnie dużo wolnego miejsca otaczającego szkołę¹²⁷.

W narożniku [sali gimnastycznej] stał żeliwny piec do centralnego ogrzewania. Nie było żadnych urządzeń, sprzętu, przyborów¹²⁸.

Ten stan wyjściowy sportowej infrastruktury sportowej nie był w ówczesnej sytuacji niczym nadzwyczajnym. Na tle warunków panujących w miasteczku mógł nawet uchodzić za nienajgorszy. Doświadczenia niedawno zakończonej okupacji i działań wojennych z całą pewnością obniżały pułap wymagań i oczekiwań.

126 Tenże, *Reminiscencje z pracy w LP* [Liceum Pedagogicznym], (on-line:) http://sulech.net/show.php?products_id=41 (dostęp 3.08.2016).

127 Tenże, *Trudne początki*, dz. cyt., s. 147.

128 Tenże, *Reminiscencje z pracy w LP* [Liceum Pedagogicznym], dz. cyt.

Zatem nasz nauczyciel bardziej cieszył się, że budynek szkoły i internat zachowały się w nienaruszonym stanie i że miał do dyspozycji jakąkolwiek salę gimnastyczną, niż martwił faktem braku w niej podłogi albo sprzętu sportowego.

Przytoczony wyżej opis początków pracy nauczyciela wuefu w małym, zniszczonym wojną miasteczku położonym na ziemiach zachodnich mówi o skrawku rzeczywistości pierwszych powojennych lat. Podobnie jak omawiany wcześniej lubartowski stadion „na Popówce”, liceum pedagogiczne, do którego przyjeżdża nowy nauczyciel wuefu, to jednostkowy przypadek, punkt na mapie – ważny jako składnik ówczesnego codziennego życia tego konkretnego miasteczka. Lecz z perspektywy badacza zajmującego się szerokimi zjawiskami, np. dziejami kultury fizycznej w Peerelu albo historią Polski (obojętnie: społeczną, kulturową czy polityczną), w okresie powojennym prowizoryczne boisko czy pojedyncza, konkretna szkoła nie są szczególnie istotne. W najlepszym razie spełniają funkcję poręcznego materiału ilustracyjnego albo exemplów wspierających wnioski oparte głównie na treściach wytworzonych w centrach decyzyjnych – co najmniej na poziomie województwa, ale przeważnie kraju. W takim ujęciu szkolna sala gimnastyczna znajduje się gdzieś na samym końcu łańcucha zapoczątkowanego w rządowych albo partyjnych gabinetach. Miejscem dla dokładnych opisów zniszczeń infrastruktury sportowej czy rysowania linii wapnem podarowanym przez jednego z kibiców staje się lokalna kronika, opracowania przez związanych z daną miejscowością pasjonatów historii albo samych uczestników tych wydarzeń. Narracje te z reguły funkcjonują w swego rodzaju obiegu zamkniętym. Tworzone przez mieszkańców danej miejscowości na potrzeby lokalnej społeczności – tu i teraz opowiadają o tym, co „tu i wtedy”.

Wychodzimy z założenia, że potencjał tkwiący w relacjach takich jak powyższa znacznie przekracza ich zwyczajowe użycie. Pojedynczy przypadek poprzez swoje zanurzenie w prowincjonalnej codzienności i operowanie na poziomie detalicznych składników rzeczywistości – w tym także tych materialnych – stwarza szansę wzbogacenie obrazu kultury fizycznej w Peerelu. Wydaje się przy tym, że takie podejście sprawdza się szczególnie dobrze w przypadku stosunkowo już nieźle rozpoznanej przez historyków sportu jego pierwszej dekady (do 1956 roku). Nie sugerujemy, że przywołane przez nas relacje oddają w pełni specyfikę prowincjonalnego sportu. Nie upieramy się też, że mogą pretendować do roli reprezentatywnych przykładów. Ich wartość polega przede wszystkim na tym, iż wskazują na co najmniej kilka istotnych problemów wartych omówienia, a także umieszczenia w szerszym, ponadlokalnym kontekście.

Zaczniemy od samego autora pamiętnika i dość, przyznajmy, niezwykłych jak na dzisiejsze standardy okoliczności uzyskania przez niego posady. Propozycję pracy na Ziemiach Zachodnich otrzymał mniej więcej w połowie studiów. Z dnia na dzień ze studenta przedzierzgnął się w pełnoprawnego nauczyciela. Oczywiście edukację miał w przyszłości uzupełnić, nie zmienia to jednak faktu, że podjął pracę jeszcze w trakcie nauki. Jednak zapewne nie przyszło mu nawet do głowy, by wyjazd do pracy traktować w kategoriach straty. Zarówno dla niego samego, jak i pozostałych kolegów i koleżanek była to raczej otwierająca się niespodziewanie szansa na szybkie usamodzielnienie. Bez specjalnych wahań ofertę przyjęli, chociaż przecież wiązała się z wyjazdem właściwie w nieznaną i zgodę na odgrywanie roli pionierów na terenach, które nie cieszyły się wówczas najlepszą sławą. Nie tylko dla nich

była to dobra wiadomość. Z ulgą zapewne przyjęła ją zarówno dyrekcja liceum w Sulechowie, jak i dyrektorzy wielu innych placówek, do których trafili przysłani z Poznania studenci. Polska w pierwszych powojennych latach była bowiem krajem niemal pozbawionym specjalistów z dziedziny kultury fizycznej – nauczycieli, instruktorów, trenerów. Według różnych szacunków tuż po II wojnie światowej było w kraju zaledwie od dwustu do pięciuset nauczycieli wychowania fizycznego, a nie wszyscy spośród nich decydowali się na pracę w szkołach¹²⁹. W tym okresie uczelnie szkolące kadry kultury fizycznej były dopiero w fazie organizacji. Pierwsze studia wychowania fizycznego powołano dość szybko, bo już w 1945 roku, we wspomnianym już Poznaniu oraz na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. W roku akademickim 1946/47 reaktywowano Akademię Wychowania Fizycznego w Warszawie. W tym samym roku zainaugurowało działalność Studium Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Wrocławskim i Politechnice Wrocławskiej. Jednak na efekty – gotowych do pracy absolwentów trzeba było czekać co najmniej kilka lat. W takiej sytuacji mniej dziwi decyzja o wysłaniu do szkół studentów w najlepszym razie nie w pełni przygotowanych do zawodu.

Niepełne wykształcenie nie martwiło ani samych świeżo upieczonych nauczycieli, ani też nie stanowiło pewnie większego problemu dla dyrekcji poszczególnych szkół. Głównym kłopotem władz oświatowych, większym nawet od kiepskiej bazy materialnej szkolnictwa w tym okresie, był brak nauczycieli wszystkich przedmiotów. Jak nietrudno się domyślić w znacznie gorszym położeniu

129 L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1980*, Wrocław 1996, s. 31.

znajdowały się szkoły w niewielkich ośrodkach, a szczególnie małe, kilkuklasowe wiejskie placówki. Jak wspominała była nauczycielka, rozpoczynając pracę pod koniec lat 40.:

W tym czasie był wielki głód nauczycieli. Inspektorzy przyjmowali wszystkich, kto tylko się trafił. Mnie do tego zawodu namówił kierownik szkoły, który pochodził z naszej wsi. (...) Inspektor miał nieobsadzoną jednoklasówkę i tam mnie wysłał.(...) Nie miałam zupełnie pojęcia o pracy¹³⁰.

Widoczny w ostatnim zdaniu samokrytycyzm mógł nie być pozabawiony podstaw, zważywszy, że autorka nie miała wówczas jeszcze szesnastu lat.

W takiej sytuacji, można się domyślać, że poważniejszym powodem do zmartwień od wykształcenia nauczyciela, którego udało się namówić do przyjazdu, mogła być obawa, że natychmiast wyjedzie szukać szczęścia gdzieś dalej. Podjęcie decyzji o związaniu się z danym miejscem znacząco ułatwiało zapewnienie nowo zatrudnionemu komfortowego zakwaterowania. Wobec permanentnych deficytów w tym względzie, obietnica mieszkania jako argument przy wyborze danego miejsca pracy odgrywała istotną rolę właściwie przez całą epokę. Lecz w drugiej połowie lat 40., w obliczu dewastacji dużej części zasobów mieszkaniowych kraju, miała szczególną wagę. Świadomy był tego zapewne także dyrektor liceum w Sulechowie. Podczas pierwszej wizyty w szkole, jeszcze przed objęciem posady, Hejduka zapewniono, że otrzyma przylegające do internatu samodzielne mieszkanie. Było to dla niego o tyle

130 *Gospodyni z maturą, pam. nr 4693, w: Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki, dz. cyt., s. 202.*

ważne, że wkrótce miał się ożenić. Kiedy jednak wrócił do szkoły tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego, czekające go mieszkanie odbiegało od tego deklarowanego (choć na pewno nie odbiegało od warunków, w jakich mieszkali świeżo zatrudniani nauczyciele):

Ponownie do Sulechowa przyjechałem 30 sierpnia 1946 roku. Mimo że byłem po ślubie, nie otrzymałem przyobiecanego mieszkania. Ulokowano mnie w skromnie urządzonej pokojku w internacie męskim. Ubikacje, umywalnia wspólne z młodzieżą. Zawiedziony pomyślałem, jak tutaj ułożyć się życie, gdy za miesiąc na stałe przyjedzie moja żona?¹³¹

Nauczyciel z Sulechowa, mimo że otrzymane lokum było dalekie od jego oczekiwań, nie znajdował się w najgorszej sytuacji. Gdyby trafił na przykład do małej wiejskiej szkoły gdzieś w województwie białostockim, lubelskim czy warszawskim nie przysłoby mu do głowy, by narzekać na brak własnej łazienki i ubikacji. Bowiem niemal na pewno zarówno mieszkanie, jak i sam budynek szkoły byłyby pozbawione takich udogodnień. Istniałaby ponadto spora szansa, że budynek zbudowany jest z drewna, a jedyne źródło światła stanowi lampa naftowa, podobnie jak we wszystkich pozostałych domach. Z kolei aby wydostać się z wioski, by na przykład obejrzeć przedstawienie w teatrze znajdującym się w mieście wojewódzkim, nie wystarczy pójść na stację kolejową, ale trzeba odbyć podróż, którą trafniej byłoby nazywać wyprawą. Tak jak w przypadku pewnego młodego nauczyciela, który w pierwszej połowie lat 50. podjął pracę w szkole w województwie olsztyńskim: „Raz byliśmy w teatrze w Olsztynie. Taki wyjazd pochłonał

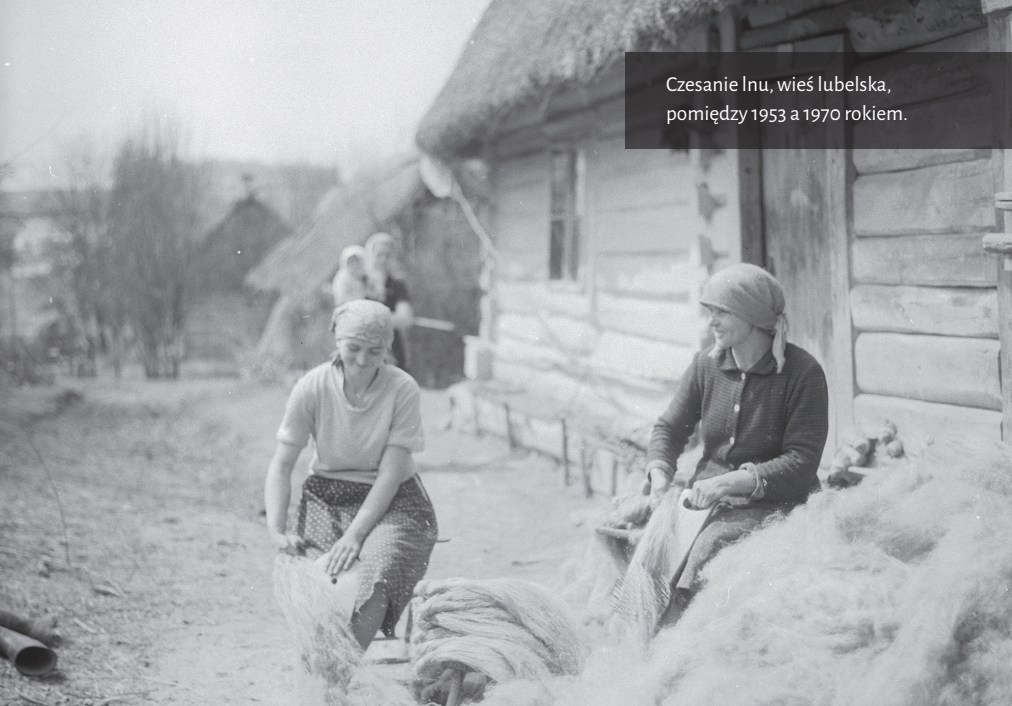
131 B. Hejduk, *Reminiscencje z pracy w LP* [Liceum Pedagogicznym], dz. cyt.

wiele czasu i pieniędzy. Wróciliśmy na drugi dzień diabelnie przemęczeni i wprost z drogi trzeba było iść na lekcje¹³². Warto nadmienić, że w miejscowości, w której pracował, nie było jeszcze elektryczności, a najbliższe miasteczko znajdowało się wprawdzie w odległości zaledwie sześciu kilometrów, lecz nie kursował do niego żaden autobus.

Jak zatem widać, mamy tu do czynienia z pewną skalą peryferyjności ściśle powiązaną z poziomem cywilizacyjnym. Dla jednego nauczyciela problemem jest wspólna łazienka i mały pokój, dla drugiego – brak światła, kina i trudności z wydostaniem się z wioski. W katalogu zidentyfikowanych przez niego braków łazienka się w ogóle nie pojawia, sytuując się zapewne poza horyzontem wymagań. Mimo tak istotnych różnic w doświadczeniu, wspólne jest dla nich dostrzeganie rozziwu pomiędzy oczekiwaniami a stanem faktycznym materialnego otoczenia.

Kluczowa dla naszych rozważań, operujących na poziomie lokalnego mikroświata – boiska, szkoły, wsi czy miasteczka – jest odpowiedź na pytanie, jaki związek zachodzi pomiędzy tymi deklaracjami a realnym działaniem i jakie ewentualne decyzje warunkują? Czytając pamiętniki, odkrywamy, że losy tych dwóch nauczycieli mają przynajmniej jeden punkt styczny. To, co ich łączy, nie wybija się na pierwszy plan, jest schowane gdzieś w tle, ale ma podstawowe znaczenie w kontekście osadzenia człowieka w materialnej rzeczywistości w omawianym okresie. Zapewnia bowiem właściwy fundament wszelkich innych decyzji, ruchów,

132 *Orka na ugorze, pam. nr 4234*, w: *W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy*, dz. cyt., s. 363.



posunąć czy negocjacji. Ta postawa wobec materialności – mieszkania, łazienki, wyboistej drogi do miasta, elektryczności etc. – jest dla obydwu naszych bohaterów odmienna w szczegółach, jednak co do swej istoty taka sama.

Otóż nauczyciel z Sulechowa ostatecznie w szkole został i nie przeszkodziły mu w tym nie najlepsze warunki mieszkaniowe na początku (związał się zresztą i z liceum, i z miasteczkiem na długie lata). Z kolei drugi z pamiętnikarzy wprawdzie po jakimś czasie przeniósł się do innego województwa, ale tylko po to, by pracować w wiejskiej szkole w miejscowości bez elektryczności i położonej jeszcze dalej od najbliższego miasta niż poprzednia.

Żaden z nich nie tylko nie wyjechał, nie uciekł i, przynajmniej nic o tym nie wiemy, nie zmienił od razu miejsca i typu pracy. Bez wątpienia przyczyny pozostania w danym miejscu albo akceptacji

zastanych warunków mogły być i pewnie były złożone. Posiadamy zbyt mało informacji, by je wszystkie zrekonstruować. Nie ma powodu też, by przypuszczać, że wszyscy zatrudnieni w peryferyjnych miejscowościach wykazywali się taką wytrwałością – wielu wybierało prace w większych ośrodkach (problem ten w sposób szczególnie wyraźny występował na przykład w przypadku personelu medycznego). Z drugiej strony wydaje się, że tożsame w swej treści decyzje naszych dwóch nauczycieli były pochodnymi właściwych pierwszym latom powojennym relacji z materialnym otoczeniem.

Nie mamy powodu wątpić w szczerść opinii pamiętnikarzy, znajdują one zresztą potwierdzenie w innych źródłach o charakterze osobistym. Niedostatki infrastruktury (w tym mieszkaniowej) bez wątpienia stanowiły istotny problem codziennego życia i odczuwanie ich jako dyskomfortu nie powinno dziwić, szczególnie, że opisywane były z perspektywy czasu. Ale na poziomie decyzji, jednorazowych faktów, w których odtworzeniu upływ czasu właściwy pisaniu pamiętników nie ma tak dużego znaczenia, kwestia ta wygląda nieco inaczej. Dowodzi naszym zdaniem, że te braki, jakkolwiek dolegliwe, stanowiły po prostu integralną część życia codziennego. Innymi słowy, mieściły się w sferze oczywistości. Brak prądu albo bieżącej wody przestawał być szokujący, jeśli samemu dorastało się we wsi bez takich udogodnień albo mieszkało w miasteczku znajdującym się jeszcze niedawno na linii frontu. Przypomnijmy sobie wieś Przytuły-Las w powiecie łomżyńskim, w której wychowywał się Staszek Niciński. Została zelektryfikowana dopiero w 1970 roku, a pojawienie się regularnego połączenia autobusowego z Jedwabnem, a potem z Łomżą w połowie lat 60. stanowiło milowy krok w życiu mieszkańców. Młodsze pokolenie mogło dzięki temu na przykład dojeżdżać do

szkoły średniej lub do pracy w miasteczku. „Pekaes” był dobrodziejstwem, ale na tyle nowym, że ludzie nie byli od niego bezwarunkowo uzależnieni. Kiedy często „nie zabierał” albo po prostu nie przyjechał z powodu trudnych warunków na drodze, trzeba było ruszać w drogę pieszo kilka albo nawet kilkanaście kilometrów. Pierwszym miejscem pracy Staszka, o którym pamiętamy, że został na początku lat 60. nauczycielem, była mała kurpiowska wieś Baba. Nie było w niej oczywiście prądu, a nauczyciel otrzymał służbowe mieszkanie w postaci pokoiku u gospodarzy w drewnianej chałupie. Kolejna praca – w miasteczku Kolno – to także służbowe mieszkanie, tym razem samodzielny pokój nad szkołą (prąd był, ale toaleta na podwórzu).

Pod koniec lat 40., wspomnianych przez nauczyciela z Sulechowa, wciąż obecna w codzienności była wojna. Z jednej strony w postaci wszechobecnej przemocy, ale trwała też przecieź w swoich upiornych materializacjach – szczególnego rodzaju pomnikach – kikutach pojedynczych budynków, spalonych wsiach, masowych grobach, zrównanych z ziemią połaciach wielkich miast. Żywa pamięć okupacji i działań wojennych, na każdym kroku uobecniata przestrzennym chaosem, jak się wydaje, skutecznie powstrzymywała przed pochopnym opuszczeniem szkoły w poniemieckim miasteczku z tak błałego powodu jak współdzielenie łazienki. Traktowanie infrastrukturalnych braków jako naturalnych składników powojennej rzeczywistości jest jeszcze lepiej widoczne w odniesieniu do zdewastowanych lub zaniebdanych urządzeń sportowych. Podnoszenie ich z ruiny albo budowa zupełnie nowych nie znajdowały się wśród priorytetów inwestycyjnych. Podobnie zresztą jak nakłady na kulturę fizyczną w ogóle. Sytuację w pierwszym powojennym okresie trafnie podsumował Leonard Szymański:

Do 1947 r. na wychowanie fizyczne i sport łożono jedynie nikome subwencje, przede wszystkim z budżetu Ministerstwa Obrony Narodowej, przy którym działał utworzony w styczniu 1946 r. Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego. Niewielkie dotacje na kulturę fizyczną przewidywano też w 3-letnim planie gospodarczym (1947–1949). Dopiero korekta planu w czasie jego realizacji zwiększyła kredyty na tę działalność, ale i tak były one w stosunku do ogromnych potrzeb niewystarczające. (...). W województwach wykorzystywano wówczas na cele wf i sportu nadwyżki budżetowe, środki samorządów terytorialnych, organizowano też czyny społeczne itp. Była to wprawdzie pomoc ograniczona, pozwoliła jednak na odbudowanie wielu obiektów, uruchomienie produkcji sprzętu sportowego itp. W sumie nakłady inwestycyjne na kulturę fizyczną nie przekraczały jednak 0,05% całości państwowych środków inwestycyjnych. Pierwsze konkretniejsze dane statystyczne, dotyczące budownictwa sportowego, pochodzą z 1949 r. (31 XII) i wskazują na znaczny już postęp w przywracaniu do życia obiektów sportowych¹³³.

Warto jednak pamiętać, że jeżeli już finansowano budownictwo sportowe, to z reguły były to urzędnienia najtańsze w budowie, a tym samym najprostsze. Jak przekonuje A. Nowakowski: „Najwięcej przybyło prostych boisk piłkarskich, najmniej sali gimnastycznych, ogródków jordanowskich i ślizgawek”¹³⁴. Zauważona tu dysproporcja pomiędzy liczbą stosunkowo łatwych do wybudowania boisk (dodajmy: najczęściej piłkarskich bądź do

133 L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej...*, dz. cyt., s. 29.

134 A. Nowakowski, *Zarządzanie kulturą fizyczną w Polsce...*, dz. cyt., s. 41.

siatkówki), a wymagających znacznych nakładów finansowych sal gimnastycznych, w istotny wpływało na dobór dyscyplin, ale przede wszystkim na sezonowość rekreacji fizycznej. Ponadto w znaczący sposób ograniczało możliwości oddawania się jej w okresie jesienno-zimowym. Wynikające z braku zadaszonych obiektów sportowych uzależnienie od pogody będzie jedną z najbardziej trwałych cech sportu w peryferyjnych ośrodkach przez właściwie cały Peerel, w szczególności na wsi. Z reguły obiekt sportowy będzie w nich tożsamy z nienajlepszej jakości boiskiem piłkarskim.

To, że kultura fizyczna zamykała katalog wydatków państwa, jak się wydaje, poza być może samym środowiskiem sportowym, nie budziło większych kontrowersji. Miał tego świadomość także nauczyciel z Sulechowa, kiedy wprost stwierdzał w pamiętniku: „Z miejsca zdałem sobie sprawę, że muszę coś zrobić dla wychowania fizycznego, nie licząc na żadną pomoc finansową ze strony władz oświatowych”. Ale jednocześnie przyjmował tę sytuację jako coś zupełnie naturalnego i zrozumiałego samo przez się: „W hierarchii potrzeb były istotnie pilniejsze sprawy. Brakowało ławek, krzeseł, stołów, łóżek, szyb itp.”. Tym samym wpisywał się w powszechne zapatrywania na to, jakie miejsce w kolejności wydatków przypadają kulturze fizycznej. Niejako przy okazji zaś wskazywał jej rzeczywistą rangę i w życiu codziennym, i w polityce państwa. Dla wychodzącego z wojny społeczeństwa możliwość uprawiania sportu czy podziwiania zmagania na stadionie nie stanowiła najpilniejszej potrzeby. Już niedługo, po wyeliminowaniu wszelkich rzeczywistych i wyobrażonych rywali, polscy komuniści dostrzegą potencjał sportu jako jednego z instrumentów propagandy. Jednak w pierwszych trzech–czterech latach zajmowały ich zupełnie inne problemy niż poprawianie kondycji polskiej kultury fizycznej albo

narzucenie jej własnego modelu organizacyjnego. Nawet gdyby chcieli to zrobić, nie mieli żadnych instrumentów do przeprowadzenia takiego zamierzenia. Nie chodziło tu nawet o problemy z finansowaniem, chociaż i one grały pewną rolę. Ważniejsze było to, że polscy komuniści nie dysponowali własnymi kadrami, które mogłyby kulturą fizyczną zarządzać, a w konsekwencji nie wypracowali żadnej spójnej wizji jej rozwoju. A wreszcie, co najistotniejsze, w pierwszych latach powojennych sport był dla jej przywódców w praktyce kwestią marginalną. Nawet w ZWM, którego domeną jako młodzieżowej przybudówki partii miały być sprawy sportu i kultury fizycznej, „występowało zjawisko lekceważenia tej dziedziny lub wprost ignorowania jej”¹³⁵.

Nie rozporządzając kadrą wykwalifikowanych działaczy i trenerów, a także wobec braku koncepcji organizacji kultury fizycznej, sięgnięto do formalnych rozwiązań wypracowanych w Polsce międzywojennej. Jak zauważył Leonard Szymański: „W starej formie miały się jednak rozwijać nowe treści”¹³⁶. Fakt uczynienia z negacji dokonań dwudziestolecia jednego z filarów legitymizacji władzy komunistów w Polsce nie stanowił żadnej przeszkody wobec praktycznych zalet wprowadzanego modelu.

Przede wszystkim dokonano, podobnie jak w latach 1927–1939, ścisłego powiązania wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego, a zarządzanie tą strukturą powierzono wojsku. Podstawę prawną stanowiły przygotowane w Ministerstwie Obrony Narodowej jeszcze w maju i czerwcu 1945 roku, a przyjęte przez

135 J. Chełmecki, *Działalność Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w latach 1946–1948*, w: *Z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, t. II, dz. cyt., s. 159–160.

136 L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 13.



Ćwiczenia gimnastyczne dziewcząt ze szkoły podstawowej w Mońkach, 1949 rok.

rząd 10 sierpnia tego samego roku dekrety o „powszechnym obowiązku wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego” oraz o „utworzeniu urzędów i rad wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego”¹³⁷. Na mocy przyjętych dekretów powołano jako organ centralny Państwowy Urząd Kultury Fizycznej i Przysposobienia Wojskowego. PUWFiPW podlegał bezpośrednio MON. W terenie działały Wojewódzkie Urzędy WF i PW. Podlegały one centrali w Warszawie, ale znajdowały się także pod nadzorem właściwych Dowództw Okręgów Wojskowych. Powiatowe i miejskie Urzędy WF i PW podporządkowane urzędowi wojewódzkim miały koordynować swoje działania z Rejonowymi Komendami Uzupełnień. Do zadań PUWFiPW należało szkolenie

137 Tenże, *Parlament polski wobec problemów kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1980*, Wrocław 1990, s. 11.

kadr instruktorskich, wydawanie rozporządzeń, nadzór oraz doradztwo w zakresie powszechnego wychowania fizycznego i turystyki, a także kuratela nad sportem poprzez kontrolę Związku Polskich Związków Sportowych, prowadzenie działalności społeczno-wychowawczej w związkach sportowych i nadzór nad kontaktami zagranicznymi polskich sportowców.

Projekty rządowe spotkały się ze zdecydowanym sprzeciwem ludzi związanych ze sportem a także organizacji młodzieżowych (z wyjątkiem ZWM, który projekt poparł), a także działaczy związanych z PPS. Krytykę wywoływało głównie podporządkowanie kultury fizycznej państwu, a nie organizacjom społecznym, a także militaryzacja wychowania fizycznego. Sformułowano szereg kontrpropozycji. Reprezentatywny jest tutaj głos Mieczysława Stattera – lidera środowiska skupionego wokół krakowskiego „Startu”, który 27 lipca 1945 roku na łamach tego czasopisma w głośnym memoriale postulował powierzenie wychowania fizycznego „kierownictwu kompetentnemu i społecznemu”, oddzielenie wychowania fizycznego od przysposobienia wojskowego, przedstawił także szczegółowy projekt reorganizacji przedwojennego PUWFiPW¹³⁸. Ostra krytyka nie przeszkodziła jednak PPR w przeforsowaniu swojej koncepcji i 16 stycznia 1946 roku dekrety weszły w życie. Tak jak gwałtownie protestowano przeciwko ich wprowadzeniu, tak szybko środowiska związane z kulturą fizyczną zaakceptowały ramy jej funkcjonowania, narysowane przez dekrety. W dużej mierze taka postawa wynikała z satysfakcji, że udało się ująć kulturę fizyczną w jakiejkolwiek ramy instytucjonalne, gdyż dalsze przeciąganie rozwiązania problemu zarządzania nią groziło całkowitym chaosem organizacyjnym.

138 „Start” 1945, nr 4 (23 VII), s. 3.

Była także spowodowana pewnymi ustępstwami ze strony władz wobec przedwojennych działaczy sportowych. Gesty te z jednej strony stanowiły parawan dla przygotowywanych kolejnych zmian organizacyjnych, z drugiej zaś były po prostu koniecznością. Bo- wiem, jak już wspominaliśmy, polscy komuniści nie dysponowali wykwalifikowanymi kadrami działaczy sportowych. Z uwagi na to zmiany organizacyjne nie mogły być zbyt gwałtowne. Konieczne stało się po prostu akceptowanie zakładanych przez przedwojennych działaczy struktur, a zwłaszcza włączanie ich do instytucji tworzonych przez nowe władze. I tak na czele PUWFiPW stanął znany przedwojenny sportowiec i działacz, człowiek ceniony w środowisku sportowym – Tadeusz Kuchar – zaś pracami Państwowego Rady WF i PW, organu, który miał reprezentować czynnik społeczny w sporcie kierował inny autorytet – Zygmunt Gilewicz. W PUWFiPW zatrudnienie znalazło liczne grono absolwentów utworzonego w 1929 roku Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego (od 1938 roku Akademia Wychowania Fizycznego) i sanacyjnych oficerów. Ich rodowód jeszcze wówczas nikomu nie przeszkadzał. Podobnie było w strukturach terenowych. Działacz sportowy Wacław Rogalewski, wspominając rok 1945, pisał:

Ówczesny starosta odkomenderował do pracy w tym nowym wydziale dwóch pracowników, chorążych rez. Pawłowskiego i St. Krzoskę, którzy, nawiasem mówiąc, mieli w tym zakresie duże doświadczenie, zważywszy, że przed wojną prowadzili zajęcia PWiWF w miejscowych szkołach średnich¹³⁹.

139 W. Rogalewski, *Posadzone przeze mnie tuje potężnie się rozkrzewiły*, w: *Sport robotniczy: opracowania, dokumenty, materiały*, red. A. Wohl, t. V, Warszawa 1970, s. 206–207.

To sięganie po przedwojennych specjalistów i korzystanie z ich doświadczeń na niższych szczeblach w strukturach terenowych miało charakter zupełnie naturalnej potrzeby odwołania się do uznanych w danym środowisku autorytetów i kontynuowania rozpoczętej jeszcze przed wojną pracy¹⁴⁰.

W istocie bowiem reaktywowanie sportu, szczególnie w jego wydaniu wyczynowym, w pierwszych latach po zakończeniu działań wojennych było w dużej mierze domeną ludzi zajmujących się tą działalnością jeszcze w dwudziestoleciu. Przede wszystkim zaś odbywało się prawie niezależnie od działań władz, których oferta w tym względzie była, jak się przekonaliśmy, nader uboga. W takiej sytuacji tworzone ówczesnie instytucje zarządzające kulturą fizyczną można traktować jako nadbudowane na odtwarzającym się samorzućnym ruchu sportowym. Patrząc zaś na to zjawisko z perspektywy sportowców, w czasach powojennego chaosu dla reaktywujących klub albo zakładających nową drużynę kwestia odgórnego usankcjonowania tej działalności nie miała kluczowego znaczenia. Liczyła się sama możliwość wybiegnięcia na boisko czy stadion i oddania się ulubionej rozrywce. Czasami najważniejsze było prostu odnalezienie kolegów i koleżanek, z którymi grało się jeszcze przed wojną.

Za swoisty fenomen uznać można szybkość odradzania się życia sportowego. Właściwie następowało to wraz z przesuwaniem

140 A. Skrzypkowski, wspominając początki swojej pracy w LZS, napisał: „Próbowałem odnaleźć dawnych działaczy ‘Sokoła’, organizacji bardzo popularnej w wielu wielkopolskich wioskach przed II wojną światową. Nieraz warto było zachęcić tych działaczy, aby posłużyli swoim bogatym doświadczeniem młodym aktywistom LZS-u”. Wart podkreślenia jest fakt, że wspomnienia te dotyczą lat 1949–1950, kiedy przyjazny klimat dla działaczy przedwojennych był już przeszłością; A. Skrzypkowski, *Pierwsze kroki*, w: *Sport robotniczy...*, dz. cyt., t. IV, s. 256.

się frontu w latach 1944–1945. Samorządnie powstawały pierwsze organizacje sportowe, rozgrywano pierwsze mecze. Początkowo ich organizatorem było wojsko, a publiczność przyglądała się boiskowym zmaganiom miejscowych drużyn z drużynami złożonymi z wojskowych:

Już na pierwszych wyzwolonych terenach, w województwach: białostockim, lubelskim, rzeszowskim i warszawskim (...) zaczął rozwijać się ruch sportowy. Pierwszym organizatorem tego ruchu był Dom Żołnierza Polskiego w Lublinie, przy którym powstało kilka sekcji sportowych, a z nich następnie stworzono Wojskowy Klub Sportowy Lublinianka. Szczególną popularnością cieszyła się piłka nożna. Wiele towarzyskich spotkań rozegrano ze stacjonującymi w owym czasie na tych terenach jednostkami wojsk radzieckich¹⁴¹.

Pierwszym oficjalnymi zawodami rozegranymi na ziemiach polskich był mecz bokserski w Lublinie, który odbył się 2 września 1944 roku¹⁴². Takie spontanicznie organizowane zawody sportowe odbywały się nie tylko w dużych miastach. Organizowano je również w mniejszych ośrodkach. Najlepszym dowodem jest tutaj opisywany już na kartach tej książki Lubartów. W sierpniu 1944 roku rozegrano tam pierwszy mecz piłki nożnej a przeciwnikiem Lewartu była drużyna złożona ze stacjonujących w miasteczku żołnierzy I Armii Wojska Polskiego. Co ciekawe, w zespole wojskowych wystąpił Kazimierz Górski, późniejszy trener mistrzów

141 A. Gutowski, *Drogi rozwoju kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1956*, Warszawa 1965, s. 15.

142 A. Nowakowski, *Zarządzanie kulturą fizyczną w Polsce...*, dz. cyt., s. 33.

olimpijskich w piłce nożnej z Monachium i zdobywców trzeciego miejsca na Mistrzostwach Świata w 1974 roku.

Klub w Lubartowie reaktywowali w dużej mierze ludzie związani z nim jeszcze przed wojną. Włączanie się do organizowania życia sportowego działaczy i sportowcy czynnych w okresie międzywojennym stało się zresztą regułą w całym właściwie kraju. To oni byli animatorami kultury fizycznej w pierwszych latach po wojnie. Aleksander Gutowski, z właściwym dla narracji o tym okresie optymizmem, pisał:

Zatem już w okresie lubelskim zarysował się model organizacyjny ruchu sportowego, oparty w zasadzie na doświadczeniach okresu przedwojennego. Dająca o sobie znać potrzeba społeczna znalazła oparcie w energii, inicjatywie i aktywności kadry działaczy i organizatorów, wychowawców fizycznych i czynnych sportowców. Nie szczędzono wysiłków dla odrodzenia ruchu, nie zrażano się żadnymi trudnościami – brakiem sprzętu, zniszczeniem urządzeń, pustą kasą¹⁴³.

Ludzie związani jeszcze przed wojną ze sportem i kulturą fizyczną rozpoczęli tworzenie pierwszych struktur organizacyjnych. W tym okresie była to w zasadzie działalność samorządowa i niekoordynowana przez instytucje administracji państwowej. Często wówczas obserwujemy powstawanie swego rodzaju inicjatyw prywatnych – sportowcy i działacze zwoływali zebrania i wykorzystując różne dostępne kanały informacyjne, starali się zintegrować na nowo rozbite podczas wojny środowiska. Celem tych, nierzadko

143 A. Gutowski, *Drogi rozwoju kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 15.

improwizowanych, działań było jak najszybsze reaktywowanie struktur i przywrócenie stanu z roku 1939, tak by możliwe stało się prowadzenie normalnej pracy szkoleniowej czy rozwijanie działalności rekreacyjnej. Ciekawym przykładem metod stosowanych przy odtwarzaniu organizacji sportowych, a jednocześnie iście pionierskiego charakteru podejmowanych działań, jest ogłoszenie, które ukazało się w „Przeglądzie Sportowym” w styczniu 1946 roku:

Janina Kurkowska-Spychajowa, wielokrotna mistrzyni świata w strzelaniu z łuku, po powrocie z obozu i krótkim wypoczynku wróciła do życia sportowego. Pragnąc powołać do życia Polski Związek Łuczników, wzywa wszystkich zawodników, sędziów i organizatorów z terenu całej Polski do jak najszybszego podania swych adresów p.a. Warszawa, Saska Kępa, ul. Berezyńska 34 m. 5¹⁴⁴.

Już w 1945 roku rozpoczęły działalność pierwsze kluby i organizacje sportowe, głównie te działające pręcznie w okresie międzywojennym, takie jak YMCA i Sokół, których nie sposób zaliczyć w poczet zwolenników instalowanego w powojennej Polsce systemu władzy. Reaktywowano także związki sportowe, organizacyjną podstawę funkcjonowania sportu do 1939 roku. Organizowano mecze międzymiastowe, powołano także klasy rozgrywkowe w piłce nożnej. W pierwszych miesiącach 1946 roku odbyły się mistrzostwa Polski w hokeju na lodzie, narciarstwie, tenisie stołowym, a także zimowe mistrzostwa Polski w lekkiej atletyce.

Ten samorządny, oddolny ruch sportowy najbardziej widoczny był w dużych miastach, gdzie i przed 1939 rokiem istniały

144 „Przegląd Sportowy” 1946, nr 2 (7 I).

BOISKO SPORTOWE DOMU

NIEDZIELA, dnia 28 kwi

ZAWODY PI

O mistrzostwo klasy

K. S. LEWART

LUBARTÓW

Godzina 13¹⁵

PRZED

K. S. LEWART I-B

numerowana zł. 40. Stojące zł. 20. Wojskowi do sierżanta włącznie i
ła się bez względu na pogodę.

ŻOŁNIERZA ul. Okopowa

etnia 1946 r., godz. 15

KI NOŻNEJ

A Lub. O. Z. P. N.

K. S. SPOŁEM

LUBLIN

MECZ

Godzina 13¹⁵

K. S. SPOŁEM I-B

Wstęp szkolny zŁ. 20. Członkowie klubu „Społem” po okazaniu legitymacji wstęp wolny.

Publiczność proszona jest o sportowe zachowanie się.

30246

VII

najsilniejsze organizacje sportowe: w Krakowie, Warszawie, Katowicach i Bydgoszczy¹⁴⁵. Nawet jeśli baza materialna była tam zniszczona, a kadry uszczuplone przez wojnę, istniały zwykle dość bogate tradycje, czasami liczące już kilka dziesięcioleci, pamięć odnoszonych w dwudziestoleciu sukcesów, a wreszcie przywiązanie samych mieszkańców miasta do swoich organizacji sportowych. Wszystkie te elementy czyniły odradzanie się działalności sportowej rzeczą właściwie naturalną. Stadion sportowy w dużym ośrodku mógł zostać zrównany z ziemią, ale nawet jeśli nie istniał fizycznie, to jako pewna idea wpisany był po prostu w wielkomiejski krajobraz. Tym samym w dużym mieście mieszkańcy, a przynajmniej jakaś ich część, uznalaby brak stadionu za sytuację anormalną. Warto przy tym zaznaczyć, że na sportowcach i kibicach nie zamykał się zestaw użytkowników stadionu. Dochodził tu jeszcze jeden punkt odniesienia, którego zlekceważyć nie sposób. Chodzi mianowicie o obecność różnego typu instytucji państwa (administracji państwowej, sportowej, wojska etc.), które być może nie miały spójnego projektu organizacji sportu i nie interesowały w sposób szczególny kulturą fizyczną, dysponowały jednak środkami wystarczającymi, by reaktywować bazę sportową, tak by odpowiadała ich doraźnym celom.

W Warszawie główna sportowa arena miasta – Stadion Wojska Polskiego, tak jak wszystkie obiekty Legii (korty tenisowe, pływalnia), uległ znacznej dewastacji w latach 1944–1945. Mimo poważnych zniszczeń, sportowcy wrócili tam bardzo szybko. Początkowo byli to piłkarze. Kazimierz Górski, który, jak pamiętamy, latem 1944 roku grał towarzysko z Lewartem w Lubartowie,

145 L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 13.

dotarł jako żołnierz do Warszawy. Wiosną 1945 roku brał udział w remontowaniu obiektu:

Nasz pułk, wśród zajęć porządkowych na terenie zniszczonego miasta, miał zadanie doprowadzić do użytku Stadion Wojska Polskiego, który zastaliśmy poważnie zdewastowany. Renowacji wymagała płyta boiska, nosząca ślady stanowisk artyleryjskich, zniszczone były częściowo trybuny, a także znajdujące się pod nimi pomieszczenia. W najlepszym stosunkowo stanie zachował się tzw. domek tenisowy, który stał się naszą główną bazą¹⁴⁶.

Prace, w których uczestniczył Górski, w gruncie rzeczy o charakterze doraźnym, miały na celu przygotowanie boiska do pierwszego meczu. Jego data nie była w żadnym razie przypadkowa i dowodzi, że już wówczas komuniści mieli świadomość propagandowej roli sportu:

Postanowiono go rozegrać w dniu 1 maja, po raz pierwszy obchodzonego wtedy święta robotniczego. Przy tym na naszym boisku, które z dużym nakładem sił doprowadzone zostało do jako takiego porządku. Pracowaliśmy ochotniczo, wspierani przez żołnierzy z innych jednostek stacjonujących w Warszawie, a także młodzież szkolną, zjawiającą się po lekcjach na stadionie. Do prac porządkowych używano również jeńców niemieckich¹⁴⁷.

146 K. Górski, *Pół wieku z piłką*, Warszawa 1985, s. 35.

147 Tamże, s. 36.

Polityczny i propagandowy wymiar wydarzenia odgrywał tu swoją rolę – z renowacją obejmującą najpotrzebniejsze prace trzeba było zdążyć przed ważnym dla nowych władz świętem. Z naszego punktu widzenia nie to wydaje się jednak w tym fragmencie najistotniejsze. Interesujące jest przede wszystkim, jak obiekt sportowy w stolicy jest doprowadzany do stanu umożliwiającego użytkowanie. Zadanie realizują różne grupy: od pracujących „ochotniczo” wojskowych, przez pomagającą młodzież szkolną po jeńców niemieckich, których motywacja do pracy była przynajmniej częściowo inna niż dwóch poprzednich grup. Skomponowanie takiego, dość przypadkowego zespołu budowniczych można traktować jako odzwierciedlenie powojennego chaosu, doraźnego charakteru podejmowanych działań, a wreszcie i przytłaczającego ogromu zniszczeń. Z drugiej strony ten fragment wspomnień późniejszego wybitnego trenera pokazuje, że już w kilka miesięcy po zajęciu kluczowego ośrodka, nawet jeśli bardziej niż miasto przypominał pogorzelsko, możliwe było zmobilizowanie sił i środków umożliwiających takie przygotowanie zniszczonego stadionu, by można było na nim rozgrać mecz. Warto jednocześnie zauważyć, że później prace tak na samym stadionie, jak i pozostałych obiektach kontynuowano i można było z nich korzystać już w 1946 roku.

Jak widać, w przypadku sportu w dużym ośrodku, odbudowa życia sportowego miała swoje szczególne uwarunkowania. Stadion funkcjonował jako składnik większych całości różnego typu. Powojenna odbudowa mogła być, jak w przypadku tego warszawskiego, uwikłana w politykę. Ale z drugiej strony nie była w żadnym razie aktem wyłącznie politycznym. Odzwierciedlała w gruncie rzeczy powszechną w takim mieście jak Warszawa potrzebę uczestniczenia w sportowym świecie. Przecież ludzie

ściągaający tłumnie na pierwsze mecze na nowo otwartym stadionie nie robili tego pod przymusem. Przychodzili pchani ciekawością i złaknieni atrakcyjnej rozrywki. W jeszcze większym stopniu dotyczy to sportowców. Oni tworzyli kluby czy reaktywowali związki sportowe (jak w przykładzie z łucznikami) z autentycznej potrzeby kontynuowania działalności, czyli – powrotu do normalności. Ze względu na okoliczności w dużej mierze było to działanie spontaniczne i oddolne.

W małych, peryferyjnych ośrodkach zasada działania była na pierwszy rzut oka podobna. Tam też w pierwszych powojennych latach kluczowe znaczenie zyskiwała rodząca się lokalnie inicjatywa, działania cechowała spontaniczność, a ich materialne efekty w postaci na przykład odbudowanej infrastruktury sportowej stanowiły efekt współdziałania różnych aktorów. Poczynania te, tak w centrach, jak i na peryferiach, przenikała potrzeba powrotu do normalności, manifestowana z jednej strony dążeniem do uporządkowania przestrzeni, z drugiej wypełnieniem jej treścią – w tym wypadku aktywności sportowej.

Podobieństwo ogólnych zasad i motywacji nie oznaczało jednak, że sposoby działania w obu przestrzeniach były identyczne. W rzeczywistości wiele je dzieliło. Prowincjonalna oddolność wypełniona był inną treścią. To przesunięcie, chociaż może sprawiać wrażenie niewielkiego, jest jednak znaczące. Mimo że służyło tym samym celom – zapewnieniu warunków umożliwiających rekreację fizyczną bądź uprawianie sportu – wykorzystywane na prowincji instrumentarium było odmienne od tego właściwego dużym ośrodkom. W przywołanych przykładach odradzania się wielkomiejskiego sportu odnajdujemy tak charakterystyczną dla okresu tużpowojennego improwizację w działaniu. Brak tu wypracowanych schematów, procedur,

a przede wszystkim – środków finansowych. Sięga się zatem takie środki, jakie są aktualnie do dyspozycji. Ale jednocześnie mówiąc o uwarunkowaniach tej aktywności, warto pamiętać, że mimo wszystko miała relatywnie solidne oparcie. Kiedy Janina Kurkowska-Spychajowa próbowała reaktywować związek sportowy, publikując ogłoszenie w największej sportowej gazecie, starała się uruchomić tę całą tradycję, którą zbudowano jeszcze przed wojną. Z kolei przy remoncie stadionu piłkarskiego w Warszawie, w którym uczestniczył Kazimierz Górski, mobilizowano zasoby przynależne już czasom powojennym, wykorzystując przy tym zapal entuzjastów sportu. Doprowadzenie stadionu do stanu pozwalającego na rozgranie meczu stało się możliwe dzięki zaangażowaniu wojska, młodzieży szkolnej i zmuszonych do pracy jeńców.

W Sulechowie nikomu nie przyszłoby do głowy, by odbudowywać przyszkolne urządzenia przy pomocy wojska, o wykorzystaniu niemieckich jeńców nie wspominając. Z kolei propozycja odwołania się do przedwojennych tradycji w poniemieckim miasteczku tuż po wojnie brzmiałaby raczej jak ponury żart. W identycznej sytuacji były tysiące innych miejscowości, z tą tylko różnicą, że w części z nich potencjalni entuzjaści sportu nie mogli odwołać się do dorobku przedwojennego, nie dlatego że miejsce zmieniło przynależność państwową, ale z uwagi na fakt, że taka spuścizna po prostu nie istniała.

Obiekty sportowe – i w małej wsi, i w mieście wojewódzkim – oplatają właściwe dla miejsca sieci zależności, wiążą one ze sobą grupy ludzi, są punktami odniesienia w przestrzeni. I najważniejsze: z perspektywy zwykłego człowieka są konkretnymi materializacjami idei sportu. To w nich zakotwicza się jego potoczne, codzienne rozumienie: to znaczy, że są to miejsca, gdzie można

grać, uprawiać sport, kibicować. Instytucja sprawcza jest z tego punktu obserwacyjnego mniej istotna niż określona przez codzienność funkcja. I to właśnie ten ogólny pomysł, potocznie rozumiany jako „sport” (niezależnie czy nazwany właśnie sportem, czy ogólnie kultura fizyczna, czy wreszcie szkolnym wychowaniem fizycznym), przelewany jest w świat materialny w odmienny sposób w centrach i na peryferiach.

Różnica pomiędzy stadionem peryferyjnym i tym położonym w centrum (i być może jest to różnica pomiędzy centrum a peryferiami w ogóle) polegała na dostępnej palecie możliwości i zasobów. Rolę, jaką w dużych ośrodkach mógł pełnić klub sportowy, związek, uczelnia albo wojsko, w małym mieście albo na wsi musiał przejąć miejscowy animator albo wąska grupka entuzjastów. Widzimy to doskonale na przykładzie Bolesława Hejduka. Nauczyciela z Sulechowa zostawiliśmy w momencie przyjazdu do miasteczka i objęcia posady w Liceum Pedagogicznym. Duże wrażenie zrobił na nim nienaruszony budynek szkoły. Nieco mniejsze przyznane mieszkanie. Jednak przedmiotem jego największej troski były urządzenia sportowe, jakie zastał na miejscu: zdestawowana sala gimnastyczna, brak boisk i sprzętu. Z miejsca też zdał sobie sprawę, że nie może liczyć na pomoc z zewnątrz. Jeśli chciał posiadać swój „stadion”, musiał sięgnąć do zestawu środków obecnych w przestrzeni, w której się aktualnie znajdował: „Powstała śmiała decyzja: jak najszybciej należy razem z młodzieżą przystąpić do rozbudowy urządzeń dla potrzeb wychowania fizycznego. (...) Nie ukrywam, że pracy było w bród, ale i entuzjazmu do niej nie brakowało”. Tuż po rozpoczęciu roku szkolnego młody nauczyciel zwołał zebranie, na którym powołano szkolne koło sportowe. W jego ramach przygotowało plan budowy urządzeń sportowych. Jak relacjonował po latach:

Budowa boiska ruszyła już po dwóch dniach. Apel do kolegów zreagowany przez Zarząd i wywieszony na tablicy ogłoszeń nawoływał m.in., aby miejscowi uczniowie wypożyczyli na okres dwóch tygodni łopaty, grabie, kilofy, taczki itp. Dało to zdumiewający wynik. Ochotnicza kolumna robotnicza (około trzydziestu pięciu osób) mogła już następnego dnia rozpocząć budowę boisk do siatkówki i koszykówki. (...) Pamiętam, że wiele łopat i grabi zostało za zgodą właścicieli podarowane szkole z myślą o późniejszych pracach. Było to dla nas ważne, ponieważ w okresie powojennym w sklepach nie można było kupić żadnego potrzebnego sprzętu, wszystko należało zorganizować we własnym zakresie. Zapał, z jakim rozpoczęto budowę, udzielał się coraz szerszym kręgom młodzieży. Ktoś znalazł na strychu zniszczoną siatkę do tenisa, którą dziewczęta zreperowały i dopasowały zgodnie z wymiarami boiska do siatkówki, inni postarali się o linkę stalową, paru chłopców z pobliskich gruzów wydobyło dwa słupy cementowe, które do dziś świetnie służą do gry w siatkówkę. Każdy starał się, jak mógł. (...) W omawianym roku 1946/47 mój SKS, który rozrósł się już do około dwustuosobowej organizacji, nie tylko zdołał wszystkie zaplanowane prace wykonać, ale dodatkowo powstały jeszcze dwie rzutnie do kuli i dysku. (...) Dla przykładu wspomnę o tablicach do koszykówki wykonanych ze starych podłóg, z których deski zwożono do Sulechowa z całej okolicy. Obręcz chłopcy zrobili przy pomocy miejscowego kowala, znosząc znalezione w gruzach żelazne pręty w takiej ilości, że reszta została na własność mistrza kowadła, jako ekwiwalent za pomoc w robocie. Podobnym systemem powstały bramki do piłki nożnej (belki z rozbiórki) oraz inne urządzenia. Z dużą radością powitaliśmy pewnego

popołudnia grupę uczniów, którzy przywieźli wozem z sąsiedniej wsi (Kije) konia z łękami i kozła gimnastycznego. Przrzędy te były obdarte ze skóry i zardzewiały. Po mieściu zostały ślicznie odnowione i obite płótnem ze starego namiotu. Zrobił to uczeń Lisowski, który podczas okupacji pracował jako pomocnik tapicerski.

Sala gimnastyczna także wymagała generalnego uporządkowania. Wprawiono szyby, założono na okna druciane siatki, zreperowano podłogę, wmontowano 10 drabinek szwedzkich znalezionych w magazynie szwedzkim¹⁴⁸.

Przy analizie tego dość obszernego fragmentu pamiętnika warto na wstępie zwrócić uwagę na jego wymiar dyskursywny. Choć sam autor zapewne nie zdawał sobie z tego sprawy, odnaleźć w jego słowach można charakterystyczny sposób tworzenia narracji o okresie tużpowojennym. Rozpatrując stronę retoryczną zacytowanych wspomnień, rozpoznajemy w nich swego rodzaju „kombatanckie” zacięcie. Jest ono obecne zarówno w literaturze wspomnieniowej, jak i opracowaniach fachowych. Okres pierwszych powojennych lat jawi się wedle tych ujęć jako czas niemal nieskrępowanej oddolnej inicjatywy, entuzjazmu i spontanicznej odbudowy. Wyłania się z tych przekazów obraz niemal idylliczny – pełny oddanych sprawie działaczy oraz zaangażowanych amatorów ruchu na świeżym powietrzu. Chodzi nam tu o wskazanie pewnego dyskursywnego schematu, który pewnie często stosowano bezwiednie albo nawet w dobrej wierze, ale który nie był niewinny. Szczególnie kiedy stosowano go nie tylko do pierwszych dwóch–trzech lat po wojnie, ale przenoszono też na lata

148 B. Hejduk „Rocznik 1920”, *Trudne początki*, dz. cyt., s. 147.

1948–1956, okres również naznaczony entuzjazmem, ale już zupełnie innego rodzaju, okazywanym w jakże odmiennym kontekście. Płynący z nich pozytywny przekaz ewidentnie upraszcza złożoną rzeczywistość tego okresu. Wygładzanie ostrych konturów odnosi się głównie do realiów politycznych epoki. Oddolne działanie na rzecz lokalnej społeczności dzieli bardzo cienka granica od entuzjastycznego wspierania ludowego państwa. W podlegających selekcji i redakcji pamiętnikach jest ona czasami trudna do uchwycenia. Nie bez znaczenia jest tu też postawa samych piszących. Biorąc pod uwagę fakt, że przygotowywali swoje pamiętniki jako odpowiedzi na ogłoszone w prasie konkursy, należy przypuszczać, że autocenzura stanowiła integralną część ich warsztatu pisarskiego. W ten sposób teksty mówiące o codzienności epoki przynajmniej w jakiejś części stawały się wehikułami propagandy – nie chodziło przy tym o odgrywanie roli jej nachalnych pasów transmisyjnych, ale o dyskursywne osvajanie ideologii i instytucji państwa komunistycznego – przede wszystkim w odniesieniu do epoki stalinizmu.

Nie zmienia to jednak faktu, że źródła te składają się na cenny materiał dokumentacyjny. Ich podstawowym walorem jest skupienie na detalu, odtwarzanie drobnych fragmentów rzeczywistości i pokazywanie ich w dużym przybliżeniu. Jako całość prezentują obraz nieostry, ale na poziomie pojedynczych opisów, czasami zdań odznaczają się wartościową z punktu widzenia historyka życia codziennego precyzją.

Z taką właśnie sytuacją mamy do czynienia w przypadku pamiętnika nauczyciela wychowania fizycznego z Sulechowa. Otrzymujemy opis być może zbyt optymistyczny w swojej wymowie, ale jednocześnie bogaty w szczegóły, bo operujący na poziomie pojedynczego przypadku. Z naszego punktu widzenia najważniejsze

w tym fragmencie jest uchwycenie tego, jak działanie łączyło się z materialnym otoczeniem sportu, jak dokonywał się wcześniej zasygnalizowany już proces wlewania idei w fizyczne jej ramy.

Przed wszystkim przedsięwzięcie miało charakter lokalny w ścisłym sensie. Wszystko odbywało się w granicach jednego, izolowanego mikroświata. Nie występowały w zasadzie jakiegokolwiek odniesienia zewnętrzne. Jeżeli uznalibyśmy, że urządzenia sportowe są materializacjami pewnej siatki powiązań i zależności, to w omawianym przypadku urywała się ona gdzieś tuż za rogatkami miasta. Oddolność działań była tu ściśle powiązana z samowystarczalnością. Budowano zatem urządzenia sportowe przy pomocy dostępnych w najbliższej okolicy, ograniczonych zasobów. Ich wpisywanie w tkankę miejską nie przychodziło z zewnątrz, ale przeprowadzane było własnymi siłami. Prace remontowe wykonywali sami uczniowie pod kierunkiem pełnego zapалу nauczyciela. Wznoszenie tej dość prostej, ale spełniającej swoje zadania infrastruktury można traktować jak przykład swoistego powojennego „recyklingu”. Gruzowiska stawały się rezerwuarem materiałów do wykorzystania. I tak wydobyte z nich betonowe słupy z powodzeniem sprawdziły się jako elementy boiska do siatkówki, a „zwożone z całej okolicy” deski podłogowe przerebione mogły zostać na tablice do koszykówki. W sytuacji braków podstawowych narzędzi i materiałów budowa nawet nieskomplikowanych urządzeń nie mogła opierać się na samym entuzjazmie. Zapał musiał zostać poparty dużą dozą operatywności. Na pewno sprzyjała jej charakterystyczna dla okresu tużpowojennego niestabilność materialnego otoczenia. I nie chodzi tu wyłącznie o zniszczenia wojenne, ale również niepewny albo nieustalony status własności. Koń z lękami i kozioł gimnastyczny zostały po prostu „znalezione” w sąsiedniej wsi. Nie należały do nikogo,

wchodziły w skład tej całej masy rzeczy – wielkiego rozproszonego magazynu, z którego można było nieodpłatnie i bez konsekwencji czerpać, jeśli zachodziła taka potrzeba. Mamy tu do czynienia z bezpośrednim powiązaniem działania z fizycznym otoczeniem. Umowność i zapośredniczenie w zasadzie nie występują. Nikt nie spisuje umów, plany tworzone są *ad hoc* i wdrażane niemal z dnia na dzień, żaden urząd nie ingeruje w tok prac. Nade wszystko jednak – całe przedsięwzięcie odbywało się bez podstawowego zwykle pośrednika – pieniędzy. Autor nigdzie nie wspomina, że coś zostało zakupione. Transakcja, jeśli się pojawia, ma charakter wyłącznie wymienny – kiedy uczniowie w zamian za pomoc w wykonaniu obręczy do koszykówki przekazują miejscowemu kowalowi żelazne pręty wydobyte z gruzów. Ale już niezbędne do wykonania robót narzędzie zostają po prostu podarowane przez mieszkańców miasteczka. Niebagatelne znaczenie miały także umiejętności samych uczniów – dziewczęta naprawiają znaną gdzieś na strychu siatkę, jeden z chłopców – w czasie wojny pracujący jako pomocnik tapicera – we własnym zakresie reperuje przyrządy gimnastyczne.

Tworzenie przestrzeni sportu w peryferyjnych miejscowościach w omawianym okresie miało z całą pewnością swoją specyfikę, różną od tej wielkomiejskiej. Stadion był obiektem lokalnym nie tylko w takim sensie, że przyciągał wyłącznie mieszkańców samej miejscowości i ewentualnie najbliższej okolicy, ale przede wszystkim z tego względu, że do jego powstania angażowano dostępne na miejscu środki – to, co znajdowało się na wyciągnięcie ręki.

Na dwóch zdjęciach z Dobczyc pod Krakowem widzimy mężczyzn i chłopców równających teren powstającego stadionu reaktywowanego po wojnie klubu „Raba” i, wielce prawdopodobne,



Dobczyce, stadion KS „Raba” w 1946 roku.

tych samych chłopców w sportowych trykotach, gotowych do rozegrania meczu. Znaczenie tych fotografii pogłębia następująca notka prasowa:

W dniu 19 VIII b.r. [1946] w ramach Jubileuszu 25-lecia istnienia koła sportowego „Raba” Dobczyce odbyło się poświęcenie nowego stadionu w Dobczycach. Po podniesieniu na maszt flagi Narodowej przez przedstawiciela starostwa, przy wtórze Hymnu Narodowego, odegranego przez miejską orkiestrę, rozegrała drużyna gospodarzy spotkanie towarzyskie z KS Dalin z Myślenic z wynikiem 0:3. Ilość widzów, jak na stosunki w powiecie, była niebywała i wynosiła ponad 1000 osób, co przy ogólnej liczbie mieszkańców 2000 stanowi swojego rodzaju rekord¹⁴⁹.

Wspólna praca przy budowie stadionu, potem rzeczywiście wspólne przeżywanie towarzyskiego i sportowego wydarzenia. Stadiony takie jak w Dobczycach i wielu innych małych miasteczkach czy wsiach były umocowane nie tyle w ogólnie nakreślonej „społeczności lokalnej”, co w ludziach identyfikowalnych z nazwiska i umocowane w relacjach między nimi. Budowa takiego stadionu brała się zarówno z autentycznej potrzeby fizycznej rekreacji, jak i chęci posiadania miejsca do wspólnego – wspólnotowego spędzania wolnego czasu, nawet jeśli niekoniecznie był on przeznaczony na sport. Tak jak na przykład w położonej w województwie lubelskim niewielkiej wsi Wohyń. Autorka pracy magisterskiej

149 Cyt. za: S. Biegun, *Rozwój i funkcja wychowawcza sportu wiejskiego w województwie krakowskim w latach 1945–1960*, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego w Krakowie 1960, mps, s. 37.

poświęconej aktywności fizycznej mieszkańców wybranych wsi powiatu radzyńskiego, przytaczała wspomnienia miejscowego animatora sportu:

W pierwszych latach powojennych sport był jedyną bardzo popularną i ulubioną rozrywką mieszkańców Wohynia. Społeczeństwo czynem społecznym wygospodarowało niewielki plac, gdzie urządzono boisko sportowe. Tutaj skupiało się całe życie kulturalne mieszkańców wsi, niezależnie od płci i wieku¹⁵⁰.

Stadion stawał się czymś więcej niż jedynie miejscem rekreacji fizycznej, zaczynał pełnić rolę miejscowej agory, a jego wydzielenie było równoznaczne z powstaniem nowej przestrzeni publicznej i uwzględnieniem w niej kategorii czasu wolnego.

Aktywny udział przynajmniej części mieszkańców i przychyłność albo chociaż milcząca zgoda większości były kluczowe dla powstania nawet takiego niewielkiego boiska jak to w Wohyniu. Lista lokalnych aktorów zaangażowanych w tworzenie przestrzeni fizycznej rekreacji nie kończyła się bynajmniej na nich. W tych pierwszych powojennych latach istotnym wsparciem dla oddolnej inicjatywy mogły być zakłady pracy – o ile istniały w danej miejscowości. Początki Klubu Sportowego Metal w Węgierskiej Górcie, stosunkowo dużej wsi położonej niedaleko Żywca, wyglądały w ten sposób, że już w październiku 1945 roku miejscowy animator sportu założył sekcję sportową przy świetlicy Zakładu Mechanicznego. Uprawiano trzy dyscypliny – lekką atletykę, siatkówkę i narciarstwo. Natomiast po

150 A. Lipińska, *Sport w świadomości mieszkańców wsi na podstawie wybranych wsi w powiecie Radzyń Podlaski*, AWF Warszawa 1973, mps, s. 28.

odbudowaniu ze zniszczeń wojennych zakład udostępnia utworzonemu kołu sportowemu lokal na zebrania oraz treningi, a także kupuje potrzebny sprzęt. Warto wspomnieć, że wieś nie posiadała przed wojną żadnej sportowej bazy materialnej. Po wojnie stworzone zostały one właśnie dzięki pomocy wspomnianego zakładu. W 1948 roku jego kierownictwo przekazało teren, na którym jeszcze w tym samym roku powstało boisko. Z kolei w budynku przeznaczonym przed wojną na emaliernię urządzono salę sportową. Wcześniej jej funkcję spełniała zakładowa stołówka. W Węgierskiej Górze zorganizowana aktywność sportowa zapoczątkowana została dopiero po wojnie. Z kolei w nieodległym powiatowym Żywcu patronat zakładów papierniczych pomógł w odrodzeniu się klubu przedwojennego. W mieście tym działał RKS Czarni-Zabłocie. W 1945 roku został reaktywowany jako RKS Zabłocie. W rok później pod opiekę wzięły go Żywieckie Zakłady Papiernicze, a nazwę klubu zmieniono na Żywiecki Papierniczy Klub Sportowy Zabłocie-Żywiec. Jedną z bezpośrednich konsekwencji nowego patronatu było odstąpienie przez zakład części swojego terenu i przeznaczenie go na boisko sportowe oraz dwa korty tenisowe (w rezultacie powstała sekcja tenisa ziemnego)¹⁵¹.

Schemat działania zaobserwowany w opisanych tu peryferyjnych miejscowościach można odnaleźć w wielu im podobnych. Wszędzie inicjowanie zorganizowanej działalności sportowej na pierwszy plan wymagało co najmniej uwzględniania lokalnego kontekstu, a najczęściej bazowania na miejscowych zasobach i odpowiednie usytuowanie jej w sieci zależności sięgających nie dalej niż granice powiatu.

151 M. Deptuła, *Wychowanie fizyczne i sport w Żywiecczyźnie w latach 1945–1974, oraz główne determinanty jego rozwoju*, AWF Kraków 1977, mps, s. 113.

I tak na przykład we wsi Czarnochowice położonej koło Wieliczki wiosną–latem 1945 roku reaktywowano działający od pierwszej połowy lat 20. klub piłkarski. Drużynie pomagali mieszkańcy wsi – jak przekonywał autor pracy poświęconej klubowi – jego skarbnik wydał pokwitowania na siedem tysięcy złotych (przy czym nie wszystkie datki były odnotowywane). Dorzucił się też prezes spółdzielni rolniczej z Wieliczki, przekazując trzydzieści kilogramów mąki, czterdzieści kilogramów ziemniaków i pięć kilogramów sera. Z kolei mieszkający we wsi szewcy nieodpłatnie przekazali zawodnikom buty, w których mogli zagrać w pierwszym po wojnie meczu, zaplanowanym na 30 lipca 1945 roku. Poza tym środki na działanie zespołu pozyskiwali sami jego członkowie, tak samo zresztą, jak czynili to przed wojną – organizując biletowane przedstawienia¹⁵². W zbliżony sposób z powojennymi deficytami sprzętu radzono sobie w oddalonym o kilkaset kilometrów Kolnie, małym, powiatowym miasteczku w województwie białostockim. Jeden z organizatorów sportu w Kolnie i opiekun drużyny piłkarskiej, Henryk Szczęsny, wspominał, że w pierwszym rozegranym w miasteczku meczu: „starsi” przeciw „młodszym”, „zawodnicy grali we własnych strojach i butach”. Jego dom stał się punktem zbiórek dla grających („Tu u mnie w pokoju [przedtem mieścił się tu warsztat szewski], zbierali się chłopcy, gdy szli na boisko pograć w piłkę”). Dzięki temu, że był szewcem, zawodnicy mieli w czym wybiec na boisko. Po latach relacjonował: „Ja wspólnie z kolegami, którzy ściągali skórę skąd się dało, wykonywaliśmy w moim warsztacie pierwsze buty piłkarskie. Całą pierwszą drużynę wtedy

152 A. Cholewa, *Powstanie i działalność klubu sportowego na przykładzie wsi Czarnochowice w latach 1923–1946*, AWF Kraków 1978, mps, s. 34–35.

obułem”¹⁵³. Jakże cenne musiały być to buty, jeśli przypomnimy sobie, jak trudno było w owym czasie o jakiekolwiek obuwie. Co warte podkreślenia, biegający w 1945 roku za piłką w Kolnie młodzi ludzie nie tworzyli jeszcze oficjalnej drużyny miejskiej.

Były trudności z przychodzeniem zawodników na treningi. Klubu jako takiego zaraz po wojnie w Kolnie nie było. Ot zbierali się chłopcy i szli na boisko pokopać piłkę. (...) Pierwsze nasze spotkania (zawodników) odbywały się w warsztacie Henryka Szczęsnego. Sprzęt każdy przechowywał w swoim domu¹⁵⁴.

Widzimy zatem na tym przykładzie swego rodzaju etap przejściowy między „dzikim boiskiem” i „dziką drużyną” a stadionem i zorganizowanym klubem. Był to najczęściej pewien proces, który zresztą przebiegał podobnie przed wojną. Mogliśmy to obserwować na przykładzie powstającego w latach 20. Lewartu. Schemat działań wydaje się co najmniej zbliżony. Zbierający się na „dzikim boisku” entuzjaści sportu rekreacyjne kopanie piłki zaczynają traktować coraz bardziej serio. Znajduje to swoje odzwierciedlenie w świecie rzeczy – gromadzą sprzęt sportowy, nie wystarcza im już granie we własnych butach – podejmują próby zdobycia lub samodzielnego wykonania sprzętu. Jeżeli taka początkowo sporadyczna aktywność sportowa zaczynała nabierać znamion regularności, a stworzone *ad hoc* boisko integrowało pewną stałą lub rosnącą liczbę mieszkańców miasteczka lub wsi, krokiem

153 Henryk Szczęsny – relacja, w: J. Kleczyński, *Zarys dziejów KKS „Orzeł” Kolno*, AWF Warszawa 1973, mps. b.n.s.

154 Mieczysław Rainko – relacja, w: tamże, b.n.s.

niejako naturalnym stawało się przejście do zorganizowanych form sportu. Oznaczało to sformalizowanie samorządnej wcześniejszej aktywności. W sensie instytucjonalnym jej istotę stanowiła rejestracja we właściwych instytucjach. Ale potrzebna była również swoista sankcja wewnętrzna. Jej najbardziej widocznym znakiem było włączenie aktywności sportowej w przestrzenny układ danej miejscowości – wytyczenie miejsca do uprawiania dyscypliny: stadionu, zbudowanie sali gimnastycznej albo przekazanie budynku na cele sportowe. Kluczową postacią w procesie zyskiwania takiego lokalnego uznania był miejscowy animator sportu – obdarzony autorytetem członek lokalnej społeczności, siłą swego poważania mającego źródła w codzienności zapewniający klubowi możliwości rozwoju. Kimś takim w przedwojennym Lubartowie był Antoni Gojdan, pomysłodawca Lewartu, a na co dzień pracownik urzędu skarbowego. Z analogiczną sytuacją tuż po wojnie mamy do czynienia w przypadku małopolskiego Juszczyna. Położoną koło Suchej Beskidzkiej wieś przywoływaliśmy przy okazji omawiania fenomenu „dzikich boisk”. Opisywane w jednym z artykułów w lokalnej prasie „uganianie się po polach i ogrodach grupki chłopców za piłką”, jak się okazało, było wstępem do wypracowania bardziej stabilnych ram sportu tej wsi. Juszczynscy entuzjaści piłki nożnej nie posiadali ani sprzętu sportowego („Grano [...] zazwyczaj w codziennie noszonej odzieży, zwykłych butach skórzanych, gumowych, filcowych i często na bosaka”), ani – przeganiani przez gospodarzy – własnego miejsca („Gospodarze pędzili «harcowników» ze swych posiadłości, ale jak upilnować dryblasów”). Sytuację zmieniło dopiero znalezienie opiekuna:

Najbezpieczniejszym miejscem gry w piłkę dla chłopów z Juszczyna był ogród Edwarda Gigonia. Jako jeden

z pierwszych w tym środowisku dostrzegając, że sport to coś więcej niż tylko zwykłe bieganie za piłką. Uznał, iż jest autentyczna potrzeba fizycznego i zdrowego wyzycia się młodzieży, a zarazem kulturalna i wychowawcza forma spędzenia wolnego czasu. Był przekonany, że sport może być szansą nie tylko dla młodych, ale i dla całego środowiska¹⁵⁵.

Wkrótce powstało koło, a potem Ludowy Zespół Sportowy Naroże, którego Gigoń był wieloletnim, dziś można nawet powiedzieć legendarnym, prezesem. Stroje sportowe kupiono ze środków zebranych podczas organizowanych przez klub potańcówek. A buty piłkarskie, podobnie jak w Kolnie, Lubartowie albo Czarnochowicach, wykonał miejscowy szewc.

Najważniejszą jednak kwestią dla graczy było posiadanie własnego boiska. I tu z pomocą przyszli sami mieszkańcy: przekazali pół hektara może nie najlepszych gruntów, bo kamienistych, zarośniętych nieużytków, niemniej, dzięki pracy samych zawodników, wybudowano na nich prosty stadion¹⁵⁶. Jakość boiska pozostawiała zapewne wiele do życzenia, ale raczej nie odbiegała od przeciętnych warunków panujących na obiektach w małych miejscowościach. Jak pamiętamy, przedwojenny jeszcze stadion Lewartu znajdował się na zaadaptowanej dla potrzeb piłkarzy łąki. Podobnie wyglądał pierwszy kolneński stadion piłkarski – do 1934 roku mecze rozgrywano na oddalonej o trzy kilometry od miast łące na Rozgarcie. Łomżyński Klub Sportowy, zanim powstał stadion nad Narwią, grał na terenie

155 M. Gałka, A. Warta, *Działalność sportowa na wsi jako czynnik integracji społecznej...*, dz. cyt., s. 23.

156 Tamże, s. 24.

obiekty 33. Pułku Piechoty – piaszczystym placu, który służył głównie treningom kawalerzystów. Opisywane wcześniej boisko klubu w Żywcu, utworzone na terenach przekazanych przez zakłady papiernicze, „było trudne do przygotowania, bo leżało na terenach podmokłych”¹⁵⁷.

Uwidacznia się tu pewna szczególna cecha peryferyjnych obiektów sportowych – wiele spośród nich do złudzenia przypominało „dzikie boiska”. I w istocie granica pomiędzy jednym a drugim wydaje się nadzwyczaj płynna. Przy czym nie była to tylko domena pierwszych lat powojennych, lecz stosunkowo trwała właściwość prowincjonalnej infrastruktury sportowej. Oczywiście jej stan, także w małych ośrodkach, ulegał systematycznej poprawie. Trudno jednak mówić tu o wyjątkowej dynamice zmian. Na bazę materialną kultury fizycznej składały się zwykle proste albo prymitywne także w ówczesnej skali oceny urządzenia. Co warte zaznaczenia, sport, także ten w formie zorganizowanej, uprawiano niemal wyłącznie na otwartej przestrzeni. Sale gimnastyczne w szkołach w małych miasteczkach i wsiach należały do rzadkości, a jeśli istniały, to były to najczęściej tzw. sale zastępcze. Taka sytuacja była najbardziej powszechna do połowy lat 60., kiedy to zaczęto budować szkoły „tysiąclatki”. W Lubartowie, który był przecież miastem powiatowym i w związku z tym lokalnym centrum, pierwsza niewielka sala gimnastyczna powstała właśnie wtedy. W mniejszych miejscowościach, na przykład w Jedwabnem w powiecie łomżyńskim, szkolna sala gimnastyczna powstała dopiero w latach 90.

Obiekty otwarte też zwykle nie odznaczały się nadzwyczajną jakością. Jak pamiętamy, we wspomnianym Lubartowie stadion

157 M. Deptuła, *Wychowanie fizyczne i sport w Żywiecczyźnie...*, dz. cyt., s. 113.

piłkarski, a w zasadzie boisko, przed wojną i tuż po niej znajdował się na łące udostępnianej przez sympatyka zespołu. Jeśli wierzyć pamięci dawnych zawodników, było ono dobrej jakości, a może po prostu tylko spełniało ich ówczesne, niewygórowane wymagania. Nie można było za to marzyć o żadnej dodatkowej infrastrukturze. W połowie lat 50. Lewart przeniósł się na stadion w znacznie bardziej dogodnej dla kibiców i zawodników lokalizacji. Odtąd drużyna trenowała i rozgrywała mecze w znajdującym się w centrum miasteczka parku pałacowym. Położenie było z całą pewnością bardziej prestiżowe, ale warunki dla zawodników bardzo podobne do tych „na Popówce”. Na stadionie nie było ani szatni, ani łazienek. Tych ostatnich nie zbudowano bynajmniej nie z powodu jakiejś nieuwagi czy złej woli, po prostu w tym okresie w miasteczku nie było jeszcze kanalizacji i wodociągu. Jak wspominał były zawodnik: „A później, jak już stadion był, a jeszcze tego baraku nie było, to na dworze przebieraliśmy się. Albo B. przysyłał ciężarówkę, na samochodzie przebieraliśmy się, do stawu lecieliśmy się umyć i ktoś ubrania pilnował”. W pewnym momencie, w latach 60. zawodnicy zimą mogli korzystać z łaźni miejskiej, co wspominali jako duże udogodnienie:

Urząd miasta tam nasz załatwił jakoś, bo wtedy to z góry szły te polecenia. To my szliśmy do parku rozbieraliśmy się. I tam już było blisko do parku, nad Wieprz [biegaliśmy]. I z powrotem do łaźni, każdy się wykąpał, bo w Lubartowie nikt nie miał wody, tu nie było kanalizacji¹⁵⁸.

158 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Kąpanie się po treningu czy meczu w otwartym zbiorniku wodnym nie było zdaje się niczym nadzwyczajnym. Inny zawodnik Lewartu a później także trener, związany z klubem w tym samym czasie, wspominał, że po meczach we Włodawie zespół kąpał się w Bugu przepływającym w sąsiedztwie miasteczka.

Na infrastrukturę sportową małych miejscowości składały się zwykle zupełnie podstawowe urządzenia:

Boisko (przeciętne) to było normalne pole, wyrównane równo albo i nierówno. U nas w Kolnie nie było gdzie grać, to grali w Wincencie. Tam gdzieś znaleźli polanę i tam grali. Ale to piach był. A w Jedwabnem? Klepisko. Albo w Wiźnie? Piłka do wody wpadała, to jeden działacz zawsze w Łódce siedział na rzece i piłki łapał. A bramki? Stawiano tyczki pozbijane, bez siatek. Linie malowane były na ceglasto, na czarno, czym było. Na łąkach grano...¹⁵⁹

Podobne warunki panowały na wielu innych boiskach amatorskich lokalnych zespołów. Nie powinno więc dziwić, że dla zawodników lubartowskiego Lewartu motywacją do awansu z niższej ligi było także i to, by uniknąć gry na fatalnych boiskach: „Elizówka: Wjeżdżało się w tą drogę i na dole mieli takie boisko. To tak jakby w polu. Jeszcze K. (...) mówi: tu musimy wygrać, bo gdzie po takich dziurach będziemy... [grać]”¹⁶⁰.

159 Bronisław Szymański, wywiad z 21.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

160 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Z kolei w innej miejscowości, gdzie drużyna jeździła rozgrywać ligowe mecze, boisko, które normalnie było łąką, nie do końca tę funkcję traciło nawet na czas zawodów: „W Sokole Adamów graliśmy na takiej łące, przedzielony taki rów, a tam krowy się pasły, takie krążki elegancko... ja chciałem uderzyć. Jak się prze-wróciłem! Cały [byłem brudny]. Spodenki śmierzdzą...”¹⁶¹.

Dla niejednej wiejskiej drużyny piłki nożnej takie surowe warunki są codziennością także i współcześnie, co pokazuje chociażby nakręcony w 2014 roku dokument *Biało-czerwoni z Chrzęstawy*. Film Krystiana Kamińskiego, mimo pozornie humorystycznej wymowy, jest w gruncie rzeczy hołdem złożonym prawdziwie amatorskiemu sportowi, wierze w jego autoteliczną istotę i autentycznemu zaangażowaniu lokalnego działacza – twórcy klubu. Tłem heroicznej niekiedy walki tego ostatniego o utrzymanie zespołu są klubowe urządzenia sportowe, jakby wyjęte z przywoływanych wcześniej wspomnień: kiepskiej jakości szatnie zawodników i położone na wiejskiej łące boisko, które tuż przed ważnym meczem zostaje zryte przez dziki. Doprowadzenie go do stanu umożliwiającego rozgranie spotkania nie jest rzeczą prostą. Problem musi być rozwiązany przez samych członków klubu. W takiej sytuacji naprawienie szkód staje się poważnym przedsięwzięciem – na pewno nie dzieje się to automatycznie. Wymaga za to wiele zachodu od jedyne go faktycznie zaangażowanego działacza – prezesa Bohdana Kwaśniaka¹⁶².

W swojej charakterystyce peryferyjne obiekty sportowe w znacznej mierze przypominały „dzikie boiska”. Były do nich podobne po

161 Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

162 *Biało-czerwoni z Chrzęstawy*, reż. K. Kamiński, Polska 2014.



Mecz piłkarski w Konarzycach koło Łomży, sierpień 1988 roku.

pierwsze poprzez swoją zależność od otoczenia przyrodniczego – możliwość niespodziewanego zniszczenia przez zwierzęta albo zalania wodami przepływającej nieopodal rzeki. W ten sposób sytuowały się gdzieś na *continuum* pomiędzy otoczeniem przyrodniczym a postulowanym ideałem sportowej areny, uosabianej przez wielkomiejskie stadiony. Po drugie, w przeciwieństwie do aren wielkomiejskich, były najczęściej, znów podobnie jak „dzikie boiska” słabe w sensie materialnym. Brak oparcia w betonie, stali, a nawet zimnym nasypie, pojedyncze ławki zamiast ich rzędów, staw zastępujący łazienki – wszystko to miało znaczenie. Wiązało się po prostu ze znacznie większą podatnością na ingerencje albo wprost zniszczenia. Mniejsza w tej chwili o motywy takich działań – do nich jeszcze powrócimy w dalszej części. Stadion, który był nim właściwie tylko z nazwy, bo składało się na niego wytyczone

na łące boisko i być może kilka ławek, znacznie łatwiej dawało się przekształcić na pole uprawne albo przeznaczyć pod nową zabudowę niż taki otoczony trybunami i ogrodzony wysokim płotem.

Minimalizm prowincjonalnych aren sportowych w Peerelu w dużej mierze wynikał z chronicznego braku finansów. Nie był to bynajmniej problem właściwy okresowi tuż po zakończeniu wojny. Był on wypadkową ogólnej sytuacji gospodarczej w kolejnych dekadach epoki oraz struktury organizacji i sposobu finansowania lokalnego sportu.

Stadiony na peryferiach, choć to oczywiście określenie na wyrost, prezentowały się zatem skromnie, bo podobnie jak „dzikie boiska” tworzone je własnymi siłami przy wykorzystaniu ograniczonego zestawu środków. W większości relacji działaczy LZS na temat tworzenia przestrzeni sportowej w ramach przecież sportu zorganizowanego przewijają się wątki, w których rozpoznajemy te same mechanizmy, wedle których działał tuż po wojnie nauczyciel w sulechowskim liceum: powodzenie przedsięwzięcia zależało od pomysłowości i wytrwałości samych budowniczych, a także umiejętności wykorzystania tego, co oferowała okolica ich zamieszkania. Na boisko do piłki siatkowej nie trzeba było dużego placu, wystarczyło go wyrównać i przygotować słupki do siatki. To wszystko można było wykonać samemu, narzędziami dostępnymi w każdym gospodarstwie i przy pomocy umiejętności każdego młodego mężczyzny w owym czasie.

Granice wielu podobnych urządzeń sportowych były rzecz jasna bardziej niż umowne. Mogły zostać w jednej chwili zniesione. Sport podobnie zresztą jak sama kategoria czasu wolnego, do której w końcu przynależał, wnikał na peryferia, w szczególności na wieś bardzo powoli. Wytyczenie najprostszego boiska bywało traktowane jako marnowanie ziemi – trudna do zrozumienia

fanaberia. Było tak chociażby w opisywanym wcześniej Juszczynie, gdzie powstający stadion wywoływał sprzeciw: „Niektórzy mieszkańcy (...) oburzali się na sportowców. Jak można kawałek cennego pola przeznaczyć na wariatów uganających się za piłką. Bo i w tych stronach sportowcy w strojach gimnastycznych wywoływali zgorszenie”¹⁶³. A gdy już go zbudowano, stał się przyczyną zatargów między sportowcami a gospodarzami, bo sąsiadował z polami uprawnymi. Naturalnie piłkę często wykopywano w zagony, co doprowadzało do konfliktów z ich właścicielami. Znalazły one nawet swój finał w sądzie, a LZS płacił kary za zniszczone plony¹⁶⁴.

Kiepski stan „stadionów na peryferiach” miał także i tę przyczynę, że jeżeli w ogóle powstawały, przeznaczano na nie grunty kompletnie nieprzydatne z gospodarskiego punktu widzenia. Mogliśmy to obserwować na przykładzie Juszczyna w drugiej połowie lat 40. Z kolei na przeludnionej Sądeckczyźnie „wiejskie boiska sportowe na terenach pastwisk i nieużytków w momencie aktywizacji gospodarczej regionu, a głównie w latach 1960–1962, były prawie masowo zamieniane na użytki rolne”¹⁶⁵. Podobną sytuację we wsi położonej niedaleko Tomaszowa Lubelskiego opisuje autor nadesłanego na konkurs pamiątnika:

Wiosną 1960 r. zaczęliśmy grać w siatkówkę w niedzielę i w święta. Na boisku nigdy nie starczyło miejsca dla chętnych

163 *Nie potrzeba Salomona...*, cyt. za: M. Galka, A. Warta, *Działalność sportowa na wsi jako czynnik integracji społecznej...*, dz. cyt., s. 25.

164 Tamże, s. 25.

165 R. Aleksander, *Wychowanie fizyczne i sport w regionie sądeckim na tle przemian społeczno-ekonomicznych w okresie XXX-ecia PRL*, Zakład Nauk Politycznych, AWF Kraków 1976, mps, s. 172.



PCR w Wojnowie koło Bydgoszczy. W tle budynek stołówki zakładowej ze świetlicą na piętrze, 1976 rok.

do gry. Kierownik szkoły nie mógł znieść, że koło szkoły grano w siatkówkę, i pewnego razu zaorał boisko pod samą szkołę, siejąc tam gorczycę¹⁶⁶.

Udało się uzyskać nowe boisko, ale pod względem jakości znacznie odbiegało od poprzedniego: „Wprawdzie GRN przydzieliła nam

166 *Za dużo „okazji” z wódką, pam. nr 3393, w: W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy, dz. cyt., s. 380.*

kawałek pola pod boisko, ale było ono nierówne, nad stawem, gdzie piłka leciała do wody¹⁶⁷. Autorka pracy poświęconej sportowi wiejskiemu w województwie krakowskim gorzko podsumowała sytuację w zakresie infrastruktury na terenach wiejskich:

Z chwilą przeprowadzenia reformy rolnej zapomniano o wydzieleniu terenów pod przyszłe urządzenia sportowe, nie więc dziwnego, że LZS-y napotykały i nadal napotykają na mnóstwo trudności związanych z uzyskiwaniem terenów pod boisko. Chłopstwo naszego województwa gospodarujące na małej ilości ziemi zbyt mocno jest przywiązane do niej, dlatego większość boisk sportowych powstaje na nieużytkach i na terenach zalewowych w pobliżu rzek. (...) Wylewy rzek całkowicie niszczą te boiska, co stwarza konieczność corocznych ich remontów¹⁶⁸.

Nawet jednak boiska powstałe w PGR-ach, gdzie żaden chłop nie czyhał na ziemię, nie były uprzywilejowane: w miejscowości Poryte-Jabłoń w powiecie zambrowskim już w 1953 roku boisko LZS-u zostało zabrane pod zabudowę. Badający sytuację w 1971 roku powiatowy inspektor wychowania fizycznego przy Powiatowym Ośrodku Metodycznym raportował:

PGR nigdy nie udzielało pomocy Kołu ani w transporcie czy też środkach finansowych. W okresie letnim młodzież dźwiga sztangę na podwórku, w jesiennym w stodole. Młodzież

167 Tamże, s. 375.

168 S. Biegun, *Rozwój i funkcja wychowawcza sportu wiejskiego w województwie krakowskim...*, dz. cyt.

nie może korzystać ze świetlicy PGR, gdyż została zamieniona na magazyn zboża.

Ten sam inspektor odwiedził również wieś Nowy Borek: „Podczas wizji lokalnej boiska na miejscu stwierdziłem, że (...) jak dotychczas największą korzyść czerpie z niego sołtys, wypasając na nim swoje krowy”¹⁶⁹.

Nie były to bynajmniej odosobnione przypadki, a urządzenia sportowe likwidowano nie tylko w na wsi, ale też w małych miastach. W powiatowym Zambrowie klub sportowy (powołany z połączenia dwóch poprzednich klubów) działający od 1957 roku radził sobie nieźle w piłkarskich rozgrywkach ligowych do mniej więcej połowy lat 60. Miał duże wsparcie w istniejącym tu zakładzie włókienniczym, będącym jedną ze sztandarowych inwestycji planu sześcioletniego. Można by sądzić, że ten istotny propagandowy fakt i jego znaczenie dla lokalnych władz partyjnych będzie stanowić wieczystą gwarancję dla klubu. Teren boiska okazał się jednak cennym placem pod zabudowę, w związku z czym piłkarze mogli już rozgrywać mecze już tylko na wyjazdach. Było to początkiem pasma niepowodzeń drużyny¹⁷⁰.

Wygospodarowanie przestrzeni dla aktywności sportowej – wydzielenie jej z przestrzeni wspólnej, czasowe lub trwałe przejęcie i naznaczenie jej odmiennego charakteru zajmowało bez wątpienia jedno z czołowych miejsc w zestawie problemów lokalnego działacza sportowego. O ile brak trudności z obiektami na wolnym powietrzu dawało się często rozwiązać, to znacznie

169 W. Slaby, *Spółeczna charakterystyka LZSów powiatu zambrowskiego*, AWF Warszawa, 1973, mps, s. 101, 108.

170 K. Dąbrowski, *Sport w świadomości robotników i pracowników Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie*, AWF Warszawa 1974, mps, s. 20.



Zambrów, grudzień 1973 roku.

większym zmartwieniem było znalezienie miejsca do odbywania treningów w miesiącach zimowych. Tak jak wspominaliśmy wcześniej, sytuacja, jeśli chodzi o zamknięte obiekty sportowe w małych peryferyjnych miejscowościach, była niemal przez cały Peerel daleka od oczekiwań lokalnego środowiska sportowego, które z dekady na dekadę miało przecież coraz lepsze wyobrażenie tego, jak wygląda porządna infrastruktura sportowa.

Nauczyciel z Sulechowa mógł uważać się za prawdziwego szczęściarza ze swoją zdewastowaną salą gimnastyczną w zestawieniu z nauczycielami szkoły rolniczej w Karolowie, których w 1957 roku odwiedził dziennikarz „Przeglądu Sportowego”. Ze zdumieniem odnotowywał:

Wyobraźcie sobie, że w Karolowie 800 uczniów do potrzeb wf dysponuje tylko „kajutą” o wymiarach 8×12 m.

(...) W lecie to jeszcze jako tako, ale w zimie?

Zobaczmy jak obecnie, w zimie wygląda taka lekcja?

Klasa rozbija się na dwie części. Chłopcy ustępują dziewczynom we wspomnianej salce, a sami ćwiczą na mrozie, na ośnieżonym boisku. O jakiejś realizacji programu nie ma w takich warunkach mowy. Trochę marszobiegu, „ruchawki” gimnastycznej, a potem piłka nożna. Z boku stoi zmarznięty nauczyciel, Stanisław Kozłowski.

Rozmowa nasza schodzi oczywiście na temat lekcji.

Co będzie, jak przyjdą większe mrozy albo „chlapa”? Wtedy pozostają tylko pogadanki sportowe w klasach, a w najlepszym wypadku tenis stołowy. Żeby trochę więcej śniegu, to by można jeździć na nartach.

W tym czasie, kiedy chłopcy „grzeją się: przy piłce (...) – dziewczęta z nauczycielką (...) na czele cisną się w salce. Cóż na takiej małej powierzchni ćwiczebnej można zrobić z grupą ponad 20 dziewcząt.

(...) Nauczycieli trzyma jednak przy „życiu” nadzieja budującej się nowej sali zastępczej i nadzieja... wiosny. Na wiosnę nikt nie ma wpływu, ale z zasady przychodzi ona na czas. Z salą zastępczą jest odwrotnie. Wszyscy mają na nią wpływ, ale nie można się doczekać jej uruchomienia¹⁷¹.

Problem z obiektami zamkniętymi można było ominąć tak, jak robili to nauczyciele w opisywanej szkole średniej – organizując zajęcia na przyszkolnych boiskach. Jazda na nartach, o której wzmiankuje powyższy fragment, oprócz sprzyjającej pogody wymagała także pewnej determinacji ze strony nauczyciela.

171 „Przegląd Sportowy. Wydanie dla wsi” 1957, nr 5 (29 I), s. 2.

Zakładamy przy tym, że był to nauczyciel przygotowany do prowadzenia zajęć wychowania fizycznego. Waldemar Kosowski, który w latach 70. zaczął pracę w liceum ogólnokształcącym w Kolnie, propagował, w dużej mierze z konieczności, narciarstwo biegowe:

Zimą trzeba było coś z dziećmi robić, a ja miałem dużo zapału, byłem młody (tuż po AWF). Sali gimnastycznej z prawdziwego zdarzenia w ogólniaku nie było, a dzieci w szkole było dużo. Warunki zmuszały, żeby z tymi dziećmi wyjść na zewnątrz.

Kosowski organizował więc krótkie wycieczki („Do Wiszałek i z powrotem do szkoły to było ok. trzech–czterech kilometrów, akurat na przebieżkę na w-f”). Efektem tej wymuszonej sytuacji było powstanie świetnej drużyny biathlonowej w kolneńskim liceum, która mogła trenować już według planu:

Do Kozła nad Pisą się jechało na nartach – to było przy szosie, z Kolna w jedną stronę było osiem kilometrów. Tam była restauracja – zachodziło się na herbatkę, odpoczynek i wracało się do szkoły. To zajmowało około trzech godzin¹⁷².

Podobnie znakomite warunki terenowe były w Szczepieszynie, gdzie jednak w pierwszym okresie powojennym rozwój sekcji narciarskiej w miejscowym klubie zablokował brak sprzętu. Powtórna próba zaszczepienia tej dyscypliny podjął nauczyciel w-f. Sukcesy na Mistrzostwach Województwa Lubelskiego zachęciły

172 Waldemar Kosowski, wywiad z 23.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

młodzież do trenowania, więc „na jednej parze nart startowało kilku zawodników na różnych dystansach”¹⁷³.

Zawodnicy klubów z miejscowości, gdzie nie wybudowano żadnych obiektów sportowych lub wzniesiono tylko niewielkie sale, jak na przykład w Lubartowie, okres zimowy wykorzystywali na kondycyjne przygotowanie do sezonu. Byli zawodnik „Lewartu” grający w latach 60.: „Siłowe treningi to się odbywają w zimie. Śnieg po pas, górka, dołek, (...) szybciej, wolniej, szybciej, wolniej. Szukało się kondycji”¹⁷⁴. Nie każdemu jednak starczało zapалу, by biegać zimą po ośnieżonych łąkach. Sezonowy rytm uprawiania dużej części dyscyplin mógł skutecznie zniechęcać do treningów. Jak przekonuje autor pracy na temat sportu w powiecie gorlickim, na początku lat 70. wcześniej prężnie rozwijająca się siatkówka znika ze sportowego krajobrazu powiatu, a powodem jest brak sali do treningów w zimie¹⁷⁵.

Na ogół jednak lokalni działacze, mając świadomość infrastrukturalnych niedostatków, realistycznie oceniali jej możliwości. Ta generalnie trzeźwa ocena sytuacji miała dwie praktyczne konsekwencje. Po pierwsze zatem wiązała się z opisywanym wcześniej pogodzeniem się z sezonowością aktywności sportowej. Po drugie – dostosowaniem się do istniejących możliwości lokalowych. W związku z tym wybierano takie dyscypliny, które nie wymagały wiele miejsca albo stałej i przygotowanej specjalnie dla niej aranżacji przestrzeni, tak jak opisany biathlon w Kolnie czy kolarstwo w tym samym mieście. Między innymi w materialnych

173 A. Świergoń, *Powstanie i działalność LKS „Roztocze” w Szczepieszynie w latach 1925–1990*, AWF Kraków 1999, s. 17.

174 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

175 R. Grygowicz, *Rozwój sportu wiejskiego na terenie gminy Gorlice w latach 1969–1990*, AWF Kraków 1990, s. 27.

właściwościach należy upatrywać sukcesu, jaki w Lubartowie odniósł tenis stołowy. Pole gry tej dyscypliny odznacza się bowiem bardzo pożądaną w warunkach deficytów przestrzeni elastycznością. Stoły można było sprawnie i szybko rozłożyć i po zaraz po treningu usunąć, pozostawiając pomieszczenie w pierwotnym stanie. Ich okresowe przenoszenie z miejsca na miejsce też nie stanowiło większego problemu. Lech Wójcik, trener i działacz, który wprowadzał w Lubartowie kolarstwo a potem tenis stołowy i był wieloletnim opiekunem pingpongistów, wspominał:

Treningi na początku [w latach 60.] odbywały się w różnych miejscach, w świetlicach lubartowskich, m.in. w prefabecie, w PZGS-ie na jednym stole. Odbywały się też treningi w Domu Dziecka [przy Pałacu Zamoyskich w Kozłówce] i w innych miejscach, takich jak liceum – na małej sali gimnastycznej. Ponieważ nie mieliśmy stałego miejsca, żeby trenować, to odbywał się w różnych miejscach.

Jego córka, a jednocześnie znakomita zawodniczka, Małgorzata Kanar, opowiada:

Później takim miejscem głównym rozgrywania meczów też to była ta tzw. „Górka” – w budynku na placu koło Ratusza, (...) po schodkach wchodziło się na tzw. „Górkę”. I tam stał jeden stół.

[L.Wójcik:] [Tam] mieściły się: ZMW, ZMP, ZSMP później, ZMW, harcerstwo, Powiatowa Rada LZS-u. I tam była też taka świetlica, gdzie mieścił się stół i można było grać. Jeszcze wcześniej w tym miejscu była modelarnia lotnicza. I to było takie miejsce zaraz po wojnie w Lubartowie, gdzie się odbywały zabawy, wesela itd.

[M. Kanar:] Później, po Górcie, graliśmy trochę, kilka stołów było rozstawionych w tzw. „Strażaku” [budynek Straży Pożarnej].

[L. Wójcik:] W „Strażaku” mieliśmy już bardzo dobre warunki, bo to była sala widowiskowa, duża, można było tam postawić cztery–pięć stołów. No i jak były mecze tzw. klasy międzywojewódzkiej, gdzie przyjeżdżały drużyny takie jak Cracovia, z Rzeszowa, Polna Przemyśl, Błękitni Kielce. to już dużo ludzi przychodziło.

[M. Kanar:] To mógł być 1974–1975 rok.

[L. Wójcik:] Dopiero w 1978 roku władze wojewódzkie dały nam tzw. pawilon typu „Pilawa”, który do dziś stoi¹⁷⁶.

W krótkiej wymianie zdań między ojcem a córką kwestia materialnej specyfiki konkretnej dyscypliny – tenisa stołowego – odgrywa oczywiście istotną rolę. Jednak ich wypowiedzi niosą znacznie bogatszą treść. Wyłania się z nich bardziej zniuansowany obraz relacji pomiędzy przestrzenią a sportem w peryferyjnym ośrodku. Uwagę zwraca przede wszystkim znaczna niestabilność tego układu – zawodnicy rozstawiali stół/stoły tam, gdzie akurat istniała taka możliwość. W związku z tym trenowali i grali w różnych budynkach, długo nie posiadali swojego własnego miejsca, korzystając z użyczonych albo współdzielonych pomieszczeń. W pewnym sensie powielali schemat właściwy powstawaniu „dzikich boisk”. Nie chodzi przy tym o podobieństwa typów aktywności czy sposobu wewnętrznej organizacji – pod tym względem mamy do czynienia z dwoma odmiennymi porządkami: z jednej strony niezwiązani żadnymi rygorami młodzi ludzie, z drugiej: trenujący

176 Lech Wójcik, Małgorzata Kanar, wywiad z 24.04.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

regularnie półprofesjonalni zawodnicy. Ale jeśli bierzemy pod uwagę odniesienia do porządku zewnętrznego – ucieleśnionego w rzeczach, w obiektach, funkcjach przypisanych fragmentom przestrzeni – wówczas podobieństwa są bardzo wyraźne. Tak jak biegający za piłką po łące chłopcy, zawodnicy odnoszącego sukcesu klubu muszą osiąść umiejętność wpasowania się w otaczający ich krajobraz. Sceneria jest inna, ale zasada działania ta sama: można trenować, ale pod warunkiem, że przestrzeń zmienia swoje funkcje tylko okresowo – sport może w nią ingerować, o ile nie zakłóca jej podstawowej funkcji.

Próby adaptacji przestrzeni do własnych potrzeb nie zawsze kończyły się sukcesem. W Kolnie w pierwszej połowie lat 50. grupa chłopców i młodych mężczyzn zapragnęła sprawdzić się w podnoszeniu ciężarów. Początki były skromne – z braku innego sprzętu dźwigano siedemnastokilogramowy odważnik z przemysłowej wagi, następnie samochodową oś z kołami, aż wreszcie doczekano się sztangi przekazanej przez Zarząd Wojewódzki LZS. Treningi odbywały się m.in. w biurze LZS. Powierzchnię do ćwiczeń uzyskiwano w ten sposób, że biurka przesuwano pod ścianę i ćwiczone na wolnej przestrzeni. Niestety, pomieszczenie było przystosowane głównie do potrzeb urzędników, niekoniecznie odpowiadało zaś wymaganiom, które powinny spełniać siłownie. W konsekwencji jeden z treningów skończył się dość niefortunnie, bo spadająca sztanga połamala podłogę w biurze¹⁷⁷.

Zarówno pingpongiści z Lubartowa, jak i sztangiści z Kolna, mimo ewidentnych problemów powodowanych przez oporną materialność prowincjonalnej infrastruktury, mogli mówić

177 Antoni Połomski, wywiad z 20.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

o pewnym szczęściu. Ćwiczyli wszak w ogrzewanych pomieszczeniach, w budynkach, o których stan techniczny nie musieli się martwić. Mniej mieli go sztangiści z LZS Podgórze Gorlice trenujący w połowie lat 70. W ramach sekcji ćwiczyło dwadzieścia pięć osób, w większości juniorzy. Treningi odbywały się w udostępnionych przez miasto dwóch pomieszczeniach w budynku przeznaczonym do rozbiórki. Nie miały ogrzewania, nie było w nich także prądu i wody. Chyba tylko niezwykłą determinacją sportowców (wynikającą być może z młodego wieku) można tłumaczyć fakt korzystania z obiektu przez dwa lata. Poprawa warunków przyszła w 1979 roku, kiedy oddano do użytku nową siłownię. Do tego czasu jednak, także ze względu na jakość poprzedniej sali, liczba trenujących zdążyła spaść¹⁷⁸. Decyzja o wybudowaniu siłowni była na pewno spóźniona, nie zmienia to jednak faktu, że obiekt w końcu powstał i odpowiadał na artykułowane uprzednio potrzeby sportowców. Podkreślamy ten aspekt, by zaznaczyć, że nie można mówić w odniesieniu do peryferyjnych ośrodków o całkowitej stagnacji, jeśli chodzi o rozwój infrastruktury sportowej. Tenisiści stołowi z Lubartowa przez kilkanaście lat nie mogli znaleźć stałej siedziby. Jednak z przytoczonych wyżej wypowiedzi wynika, że warunki do treningów systematycznie się poprawiały. Prawdziwym przełomem stało się, wspomniane przez Lecha Wójcika, uzyskanie pawilonu typu „Pilawa”. Służący do dziś tenisistom stołowym i taekwondokom drewniany budynek trudno uznać za imponujący obiekt sportowy. Oznaczał jednak istotną zmianę jakościową – zawodnicy sekcji zyskiwali własne miejsce, w sensie zajmowanej przestrzeni zyskiwali tak cenną niezależność. W kontekście naszych

178 R. Grygowicz, *Rozwój sportu wiejskiego na terenie gminy Gorlice...*, s. 51, 53.

rozważań szczególnie ciekawa wydaje sam proces wznoszenia pawilonu. Jak wspominał Lech Wójcik, który odgrywał w całym tym przedsięwzięciu rolę kluczową (sytuacja też w jakiejś mierze oddaje jego znaczenie dla sportu w miasteczku w ogóle):

To jest pawilon typu siłownia. Takich sto czy ileś w Pilawie wyprodukowali i tak porozrzucali po Polsce. Przywieźli kiedyś elementy, który to był rok...? [1978] Elementy te zostawili na tym placu gdzie pawilon jest [i powiedzieli:] róbcie sobie. No to Czerski był naczelnikiem. Mówi: „Dobra, my wam zrobimy podmurówkę, podłączymy światło, ciepło, to tamto, resztę załatwianie sobie”. (...) Jeździłem pięć czy dziesięć razy i załatwiliśmy, że WOSiR zapłacił za budowę. Te elementy to kosztowały sześćset tysięcy na tamte pieniądze i postawienie go mniej więcej tyle kosztowało¹⁷⁹.

Zatem mamy taką oto sytuację, że wprawdzie budynek został przekazany przez organ o znaczeniu ponadlokalnym (zapewne Zarząd Wojewódzki LZS), lecz jednocześnie podarunkowi daleko było od kompletności. Władze wojewódzkie zastosowały metodę rozpropagowaną przez sieć Ikea, na długo przed otwarciem w Polsce pierwszego sklepu szwedzkiej firmy. Ostatecznie pawilon stanął dzięki zaangażowaniu miejscowych aktorów – przede wszystkim determinacji działacza sportowego i jego umiejętności znajdowania właściwych protektorów.

W przestrzeni pawilonu łączyły się dwa plany – ten „tutejszy” i ponadlokalny. Oddolność spletała się z centralnymi projektami,

179 Lech Wójcik, Małgorzata Kanar, wywiad z 24.04.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

miejscowe działanie z ogólnokrajową polityką. Na ich przecięciu tworzyły się warunki umożliwiające powstanie obiektu. Rozpatrując rzecz na poziome praktyki życia codziennego, oznaczało to wiązanie ze sobą działań podejmowanych przez różnych aktorów oraz ich efektów. Aktywność aktorów sytuowała się w zachodzących na siebie w mniejszym lub większym stopniu podzbiorach. Często pozostając dla siebie nawzajem (i dla nas) anonimowi, przyczyniali się do wcielenia ulotnej idei (sportu) w oporną materialność infrastruktury.

Rekonstrukcja całej siatki powiązań działających aktorów i szczegóły ich poczynañ nie jest już możliwa z perspektywy czasu, który od nich upłynął. Niemniej można wskazać, że cały ten układ, tak jak miał swój centralny punkt w przestrzeni – obiekt sportowy (w tym przypadku pawilon typu „Pilawa”), tak posiadał swoją postać centralną. Przy czym kiedy używamy tego określenia, nie chodzi nam bynajmniej o kogoś znajdującego się na szczycie jakichkolwiek hierarchii, uruchamiającego swymi idącymi z góry decyzjami mechanizm transferujący te wyroki w dół i przyoblekający je w międzyczasie w materialną formę. Taka wertykalna, a przy tym hierarchiczna optyka, jest oczywiście łatwiejsza do zastosowania, wymaga bowiem jedynie transplantacji modelu wyjaśniania zawartego *implicite* w podstawowych dla historyka dziejów najnowszych źródłach – aktach wytworzonych przez rozmaite organy administracji państwowej. Ma jednak swoją cenę – oznacza poruszanie się w rzeczywistości, w której role zostały już rozdane: definiuje się mianowicie kierunek i wektor oddziaływań, ustalając pionową zależność między autorem działań a odbiorcą.

W niniejszej pracy proponujemy podejście, w którym aktorzy nie zajmują stopni na drabinie zależności, nie tworzą też pasa

transmisyjnego decyzji. Traktujemy ich jako zbiorowość do pewnego stopnia chaotyczną, a na pewno rozproszoną, w ramach której tworzą się mniej lub bardziej trwałe relacje. W tym rozproszeniu upatrujemy nie zagrożenie, ale przeciwnie: ogromną szansę. Stwarza bowiem możliwość opisanego usytuowania „stadionu” w codzienności peryferii. Jeśli z takiej perspektywy spojrzymy na proces budowy pawilonu „Pilawa”, to postacią kluczową (co nie oznacza, że nieistotną w całym układzie), przestanie być aktor usytuowany na szczycie drabiny (urzędnik lub etatowy działacz odpowiedniego organu, który wytycza kierunek), ale ten, który na placu budowy wiąże różnego typu nici, tak by stworzyć konkretną materializację idei sportu. Naszym zdaniem tę integracyjną funkcję spełnia lokalny działacz sportowy. Widzimy to doskonale w przypadku Lecha Wójcika. Oczywiście to nie on zaprojektował pawilon, nie on zdecydował o jego produkcji, w końcu kto inny przysłał elementy do złożenia, a jeszcze inni aktorzy udostępniili miejsce i wzniesli obiekt. Nie zmienia to jednak faktu, że właśnie Wójcik „jeździł pięć czy dziesięć razy” – zapewne do wojewódzkiego Lublina – i że udało mu się „załatwić” finansowanie. Działacz sportowy albo po prostu miejscowy entuzjasta sportu w istocie wprowadzał porządek w chaotycznej przestrzeni, z potencjalnie użytecznych aktorów czyniąc działające podmioty, dopasowywał do siebie poszczególne elementy, układał zdarzenia w sekwencję, którą wieńczyło stworzenie warunków do uprawiania danej dyscypliny sportu (tu: tenisa stołowego). Jak zatem nasz działacz wiązał ze sobą te różne nici, jak sprawiał, że spotykały się one i spletały w przestrzeni sportowego obiektu? Odpowiedź, przynajmniej częściowo, zawarta jest w określeniu, które sam w pewnym momencie używa. Kiedy bowiem mówi „załatwiliśmy”, to w gruncie rzeczy posługuje się

słowem-symbolem epoki. W pojęciu „załatwiania” ogniskuje się charakterystyczne dla Peerelu napięcie między potrzebami a ich zaspokajaniem. W tle natomiast jest zawsze świat rzeczy, których to napięcie dotyczy. Ten występujący w różnych, zależnych od okoliczności wariantach mechanizm, był często jedyną drogą zdobywania reglamentowanych, trudno dostępnych dóbr lub usług. Funkcjonował tym samym jako jedna z zasad organizujących życie codzienne, wchodząc w skład indywidualnych oraz zbiorowych strategii przystosowawczych. Definiował sposób poruszania się w labiryncie peerelowskiej rzeczywistości: tak społecznej jak instytucjonalnej. Na poziomie praktyki był sztuką zawierania sojuszy i budowania wokół siebie sieci użytecznych relacji – zupełnie niespektakularnych, codziennych, w zasadzie przyziemnych. Zwyczajnych w takim samym dokładnie stopniu, jak przedmioty tych zabiegów. Zarazem wymagał dużej dozy cierpliwości i uporu. W przypadku lubartowskiego działacza te ostatnie, jak się wydaje, miały znaczenie porównywalne do jego umiejętności negocjacyjnych.

„Organizowano” i „załatwiano”, co nie wyczerpuje oczywiście palety możliwości w zakresie uporządkowywania materialnej rzeczywistości w warunkach niestabilnych reguł i permanentnych niedoborów. „Załatwianie” było reprezentatywne dla zespołu działań odnoszących się do materialności przede wszystkim dlatego, że sytuowało się gdzieś na nieostrej granicy między formalnym a nieformalnym. Było usankcjonowanym siłą powszechności illegalizmem. Nawet jeśli konkretne posunięcia miały charakter co najmniej „nieoficjalny”, nie należy wyciągać z tego wniosku, że podejmowane były w organizacyjnej próżni. Kiedy Lech Wójcik czynił starania o wzniesienie „Pilawy”, to odbywało się to jednak w ramach pewnego schematu. Nie ulega



Zebrań Rady Powiatowej LZS w Lubartowie, 1975 rok.
Na mównicy Lech Wójcik.

wątpliwości, że daleko mu było do perfekcji, że odznaczał się niewydolnością i dla osiągnięcia celu wymagał sporego wysiłku ze strony działacza lub samych sportowców. Mimo swoich ewidentnych braków składał się na ramę, w której funkcjonował peryferyjny sport. To właśnie głównie uwarunkowania organizacyjne mieliśmy na myśli, pisząc wyżej o „ponadlokalnym kontekście” peryferyjnego sportu. Ten porządkujący zestaw reguł pochodził, co oczywiste, z zewnątrz, z „centrali”. Był prawną i instytucjonalną emanacją pomysłu państwa na kulturę fizyczną.

Nie jest naszym celem przedstawianie w tej książce szczegółów organizacji kultury fizycznej w Peerelu. W pewnym sensie zwalnia nas z tego obowiązku stan literatury przedmiotu. Tematyka

ta jest bowiem już w dużym stopniu zbadana i opisana przez specjalistów – historyków sportu. Dokładną charakterystykę poszczególnych problemów, jak i ujęcia syntetyczne, znajdują się w cytowanych już przez nas wcześniej pracach m.in. Leonarda Szymańskiego, Artura Pasko, Marka Ordylowskiego, Piotra Godlewskiego czy Andrzeja Nowakowskiego. Patrząc na organizację kultury fizycznej z perspektywy peryferyjnego boiska i związanych z nim aktorów (sportowców, działaczy, publiczności), chcielibyśmy zwrócić jedynie uwagę na najważniejsze elementy jej charakterystyki mające bezpośredni wpływ na codzienność aktywności sportowej w małych miejscowościach.

Podstawą całego systemu było bezwzględne podporządkowanie kultury fizycznej państwu, zresztą w takim samym mniej więcej stopniu jak wielu innych obszarów życia społecznego. Sport i wychowanie fizyczne miały do odegrania swoją rolę polityczną (o czym szerzej w kolejnym rozdziale). Warunkiem podstawowym wykorzystania ich przez państwo było rzecz jasna jej opanowanie na poziomie instytucji i zarządzania. Wprowadzony w Peerelu system podlegał zmianom na przestrzeni lat, lecz jego zasadniczy rdzeń pozostawał niezmienny. Charakteryzowała go daleko posunięta centralizacja i hierarchiczny układ. Stworzono centralny urząd zajmujący się kulturą fizyczną oraz turystyką i jego terenowe organy. Zmieniały się jego nazwy i szczegółowy podział kompetencji. W latach 1950–1960 działał jako Główny Komitet Kultury Fizycznej, później Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki, od 1978 – Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu oraz osobno Główny Komitet Turystyki, od 1985 – ponownie Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki. Jego funkcja pozostawała jednak zasadniczo taka sama i została sprecyzowana w mocy *Ustawie o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu*

z 1949 roku. GKKF (i jego następcy) był „państwowym organem planowania, kierownictwa i kontroli całokształtu spraw kultury fizycznej i sportu”¹⁸⁰.

Dla działających oficjalnie klubów sportowych kluczowe znaczenie miał wprowadzony przez komunistów system finansowania sportu. Istnienie takich klubów sprzężono z miejscem lub typem pracy (w przypadku wsi). Utworzono szereg tzw. zrzeszeń sportowych zgrupowanych w kilku pionach. I tak na przykład swój pion miało wojsko, MSW (milicja), wyodrębniony został także sport akademicki (Akademickie Zrzeszenie Sportowe). Najważniejszym, obejmujących pracowników zakładów przemysłowych był tzw. pion związkowy (podporządkowany KCZZ). Ze względu na liczbę członków miał stać się fundamentem tak masowego, jak i zawodniczego sportu. Rolę drugiego filaru upowszechnienia kultury fizycznej upatrywano w sporcie wiejskim. To właśnie z myślą o wsi i małych miastach w 1952 roku utworzono Zrzeszenie „Ludowe Zespoły Sportowe”. Same LZS-y powstawały już od 1946 roku, początkowo pod opieką Związku Samopomocy Chłopskiej. Poszczególne drużyny miały swoich opiekunów. W dużych ośrodkach, gdzie istniały zatrudniające wielu pracowników wielkie zakłady przemysłowe albo np. ważne jednostki wojskowe, tworzyły się warunki sprzyjające powstawaniu silnych klubów. Bogaty opiekun (dziś powiedzielibyśmy raczej: sponsor) pozwalał zawodnikom na trening w komfortowych warunkach i dostatnie, jak na warunki Peerelu życie. Jak wspominał Włodzimierz Lubański:

180 Ustawa z dnia 30 grudnia 1949 r. o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu, w: *Dokumenty i uchwały w dziedzinie kultury fizycznej (do dnia 1 IX 1954 r.)*, Warszawa 1954, s. 23.

W tym okresie Górnik Zabrze był zespołem prowadzonym w sposób zawodowy. Dlaczego w sposób zawodowy? Bo to nie była amatorszczyzna. Byliśmy pod fantastyczną opieką górnictwa. Mieliśmy zapewnione wszystko do tego, żeby profesjonalnie przygotować się do meczy zarówno ligowych, jak i międzynarodowych. Mieliśmy możliwość treningu na dobrych boiskach, mieliśmy świetną opiekę, mogliśmy spokojnie skupić się tylko na grze. Przygotowanie do meczów pucharowych – wyjazd na dziesięciodniowe zgrupowanie nie był żadnym problemem. A przecież to nie jest takie proste, zorganizować dziesięciodniowe przygotowania. Przypominam sobie przed meczami z Duklą Praga w Pucharze Europy na Stadionie Śląskim, pojechaliliśmy na dziesięć dni do Chorzowa, mieszkaliśmy w hotelu i przygotowywaliśmy się na stadionie do tego meczu pucharowego. To były naprawdę bardzo dobre warunki¹⁸¹.

Sportowcy byli formalnie amatorami, ale faktycznie z zakładem pracy mieli do czynienia tylko podczas otrzymywania wypłaty lub okolicznościowych spotkań. I znów oddajmy głos Lubańskiemu: „Miałem etat górnika strzałowego dołowego, ale na dół nie zjeżdżałem. Przychodziłem do kopalni raz w miesiącu – podpisać listę płac i pobrać pensję”¹⁸².

W małych miejscowościach i niewielkich klubach sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Co oczywiste, nie można było liczyć na możnych protektorów i znaczne środki na prowadzenie

181 W. Lubański, *Życie jak dobry mecz. Włodzimierz Lubański w rozmowie z Michałem Olszańskim*, Kraków 2016, s. 40.

182 Włodzimierz Lubański, *Włodek, nie chciałbyś grać u nas w Realu?*, (wywiad M. Okońskiego z W. Lubańskim), „Gazeta Wyborcza”, 4 czerwca 2016, (on-line:) <http://wyborcza.pl/magazyn/1,124059,20180762,wlodzimierz-lubanski-wlodek-nie-chcialbys-grac-u-nas-w-real.html> (dostęp: 06.08.2016).

działalności. Problem stanowiła także niestabilność wsparcia. W warunkach miasteczka lub wsi istniejący model organizacyjny sportu przybierał właściwą warunkom lokalnym formę – zależną od zasobów, jakie były do dyspozycji. Dla sportu wiejskiego (i częściowo małomiasteczkowego) czas względnej finansowej stabilizacji nastał wraz z objęciem patronatu nad LZS-ami przez „Służbę Polsce” w 1956 roku. Ale był to okres bardzo krótki – PO „SP” jako jeden z symboli stalinizmu w Polsce została zlikwidowana na fali przemian Października ’56. Jednak w przekroju całej epoki za regułę należałoby raczej uznać szukanie wsparcia wszędzie tam, gdzie było to możliwe: „Lewart był jako LZS, jako Budowlani. (...) Szukało się federacji, które mają pieniądze”¹⁸³. Nie chodziło przy tym zazwyczaj o kompleksowe wsparcie (o takim, jakie mieli piłkarze we wspomnianym przez Lubańskiego Górnika, nikt nawet nie marzył). Liczyła się każda jego forma:

No bo to zależy, jak władze, jakim okiem. Jak ktoś jest pasjonatem, wiadomo, pomoże. Inny, żeby chociaż kłód pod nogi nie rzucił, ale żeby się jakoś z tym zgodził, to już było dobrze. Dobrze było, pewien okres był taki, jak zakłady objęły patronat. Że na przykład huta miała autokar, miała wtedy dać autokar, Prefabet-autokar. Już się nie płaciło za transport¹⁸⁴.

Czasem idee i zapal sportowego entuzjasty, jakim był na przykład Waldemar Kosowski, nauczyciel z Kolna, mogły wpisać się w istniejące zapotrzebowanie na sportowy sukces lokalnej organizacji

183 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

184 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

partyjnej lub w personalne ambicje partyjnego lub sportowego działacza i zdolności negocjacyjne nie były potrzebne, choć schemat, czyli sytuacja audyencji i udzielenia zgody, był ten sam:

Poszedłem do tego sekretarza, który mnie ściągnął do tego ogólniaka, i mówię, że my byśmy zaczęli zabawę z narciarstwem. On na to: co wam trzeba? Więc mówię: kilkanaście par nart, wiązania, buty. On na to: ile to może kosztować? – Nie wiem... Wtedy mówi: zamawiajcie, kupujcie, zapłaci się za to. Super było! Dzisiaj nie mają takiego sprzętu, jak ja wtedy dostałem. Złego słowa dziś nie mogę powiedzieć na tamten ustrój (z perspektywy trenera-nauczyciela): jak miałem wyniki, miałem wszystko. Warunki do pracy na ówczesne czasy miałem naprawdę dobre. Na co chcieliśmy, na to dostawaliśmy – na sprzęt, na wyjazdy. Nawet z Niemiec – z NRF za dewizy chciano mi sprowadzić karabinki do biathlonu, które u nas miała tylko kadra narodowa. Dzieciaki miały piękne dresy z tutejszych zakładów dziewiarskich. Wyjazdy były finansowane. My mieliśmy nartorolki nawet do treningu latem! Na sprzęt dostaliśmy w jednym roku ponad sto tysięcy złotych (nauczyciel zarabiał przeciętnie tysiąc pięćset złotych wtedy). Tylko trzeba było chcieć. To wszystko zależało od człowieka – od tego, żeby ktoś tym się zajął¹⁸⁵.

Oczywiście nic nie działo się tu automatycznie. Ważne było zaangażowanie sportowych działaczy, którzy umożliwiali splecenie interesu klubu z finansami zakładu pracy lub administracji

185 Waldemar Kosowski, wywiad z 23.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

terenowej. W przypadku „Lewartu” taką rolę w pewnym okresie spełniał nieżyjący już Stanisław Wyczęsany:

[S. Barczak:] To był taki człowiek, że on był od wszystkiego.

[J. Tomala:] Tak, że chodził do skutku. Po parę złotych. (...)

[S. Barczak:] A, deklaracje! Opodatkowanie na koszt Lewartu. Pięć złotych. (...) I tak naciskał na tych dyrektorów czy prezesów. Np. czy prefabet, czy jajczarnia. No było dużo zakładów: WZGS, huta, później była Garbarnia, to sporo ludzi tu pracowało. Niech każdy rzuci po te dwa, trzy czy pięć złotych to była... To tak, jak Motor miał w FSC. Pracowało dziesięć tysięcy ludzi. Przyjmowali go do pracy, musiał podpisać deklarację i Motor był potęgą¹⁸⁶.

Ta wymiana zdań unaocznia, jak ważna dla zorganizowanej działalności sportowej była oddolna, bezinteresowna praca ludzi związanych z klubem. Ale cenna jest też z innego powodu. Precyzyjnie mianowicie pokazuje, jaki dystans dzieli wojewódzki Lublin od powiatowego Lubartowa. Różnica polega nie tyle na oddaleniu mniejszego ośrodka od większego (dzieli je ledwie trzydzieści kilometrów), ile na dostępie do zasobów. „Motor” był największym klubem w regionie przede wszystkim ze względu na wsparcie potężnych jak na warunki wschodniej Polski zakładów – Fabryki Samochodów Ciężarowych. Zawodnicy z prowincjonalnego miasteczka poruszali się w zupełnie innym otoczeniu. Stabilnego projektora zastępowały im doraźnie zawierane sojusze; pewne źródło

186 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora. Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

finansowania – łączone ze sobą różne, najczęściej bezgotówkowe metody wsparcia, wreszcie pracę etatowych kadr – własny wysiłek pozbawiony finansowej gratyfikacji.

Właściwy peerelowskiemu peryferiom stan infrastrukturalnych niedostatków gorzko, ale trafnie podsumował nauczyciel i działacz z województwa krakowskiego, piszący swój pamiętnik w latach 70.:

Czym jesteśmy z naszymi GS-mi lub małym spółdzielniami pracy przy tych gigantach [przykłady Oświęcimia i Mielca]. Czy za kilka tysięcy złotych, które można wydobyć w ciągu roku z naszych mini-zakładów, można realizować nasze marzenia? Marzenia i konieczność czasu. To bardzo dobrze, że buduje się dużo, że powstają z akcji sumienności i gospodarności nowe i piękne obiekty sportowe. Tylko chcielibyśmy, aby przy podziale środków państwowych, przy podziale dochodu narodowego pamiętano, że my też jesteśmy obywatelami, którzy wypracowali pewną część tego dochodu i też coś nam się należy¹⁸⁷.

Pracujący społecznie entuzjaści byli w takich warunkach niezbędnym elementem całej układanki. Dodatkowo ich działalność wymagała nie tylko poświęcenia własnego czasu, ale też pewnej kreatywności. Przykładem niech będzie tu wspomniany przez lubartowskich piłkarzy, kierownik drużyny z lat 60. i 70., Józef Kobyłka:

Jakim on był kibicem! Kibicem i działaczem. Przecież on za to nic nie miał. Był tylko strażnikiem w Banku Narodowym.

187 T. Święch „Abe”, *Nie jest za późno*, w: *Pamiętniki wychowawców fizycznych*, dz. cyt., s. 160.

(...) Lewart, żeby podreperować sytuację finansową (...) urządził zabawy w parku. Była podłoga. No i wódkę można było sprzedawać. To on poszedł na to. Bo on był hutnikiem, u nas była huta [szkła]. Nadmuchał ćwiartek z bardzo grubym dnem. I ćwiartka, i do zwrotu, ćwiartka i do zwrotu. A potem mówił: „Aleśmy zaoszczędzili!”. Bo już tam było nie dwieście pięćdziesiąt gramów tylko dwieście. Specjalnie takie nadmuchał¹⁸⁸.

Z perspektywy zaangażowanych w życie klubu mieszkańców miasteczka czy wsi było to postępowanie zupełnie naturalne i zgodne z obowiązującymi regułami gry. Oznaczało wykorzystanie różnych nadarzających się okazji, wyświadczenie sobie wzajemnych przysług, wreszcie działanie na rzecz dobra wspólnego, a więc też własnego.

Nie wolno nam zapomnieć o aktorach, a raczej aktorkach, trzeciego planu: matkach, żonach, dziewczętach, które nigdy oficjalnie nie zasłużyły na miano „działacza sportowego”. Czasem pisze się o nich „duchy opiekuńcze”, tak jak o Hannie i Marcie Dymowskich, które tuż po wojnie społecznie prowadziły sekretariat Łomżyńskiego Klubu Sportowego, załatwiały transport na mecze wyjazdowe, kasowały bilety, jeździły na mecze jako „opieka medyczna”, organizowały zabawy klubowe, prowadziły kronikę. Bardzo rzadko i konkretnie wspomina się te stałe i niezbędne przysługi, bez których trudno wyobrazić sobie ostateczne wyjście drużyny piłkarskiej czy jakiegokolwiek innego zawodnika na stadion. Historyk klubu pisze dalej:

188 Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

„Buty wyczyszczone, kostium wyprany i odprasowany. KaŜdy z nas wstydziłby się kolegów, przychodząc ze sprzętem nieprzygotowanym”, wspominał Kazimierz Kaczyński. Stroje początkowo prała jego żona, pani Lucyna Kaczyńska¹⁸⁹.

Owe początki wyglądały wszędzie podobnie – zawsze znalazła się jakaś matka lub żona, która prała trykoty i getry całej drużynie. Przy tym swoim stałym zaangażowaniu – opiece nad sportowcami, niekoniecznie musiała oddawać się tradycyjnie pojmowanemu kibicowaniu. Nie musiała oglądać meczów ani chodzić na boisko, żeby mówić o drużynie jako „własnej”. Tak jak szewcy, którzy zrobili dla własnej drużyny buty, czy dziewczęta, które uszyły pierwsze klubowe koszulki.

„Własny” dla wielu członków społeczności, ale przede wszystkim dla samych sportowców, był również stadion, przy budowie którego nierzadko pracowali. Kapitałne tego świadectwo dał były lubartowski piłkarz i działacz Tadeusz Guz, kiedy wspominając lata swojej gry mówił:

Szliśmy pijani, na weselu, na zabawie się było w Nowodworze, w Annoborze, w Chlewiskach. Żaden z nas drzewka nie zламаł, żaden z nas nie ruszył śmietniczki, bo na to burmistrz będzie musiał dać później pieniądze, nie będzie [ich] później, [i] na klub nic nie da¹⁹⁰.

Jest w tej wypowiedzi, zawarta głęboka troska o wspólne dobro – klub. Uczucie, które towarzyszy zapewne narratorowi przez całe

189 H. Pestka, *Łomżyński Klub Sportowy...*, dz. cyt., s. 44.

190 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

życie. Kiedy był młodym chłopakiem, objawiała się ta dbałość o los zespołu wstrzymywaniem się od dewastacji. Wiele lat później, gdy już sam nie grał, a i ludowa Polska stała się, wprawdzie wciąż nieodległą, ale jednak przeszłością, przybrała nieco inną formę, dostosowaną do nowych czasów:

Pojechałem z zespołem do Kurowa. Przegraliśmy bardzo wysoko. Śmieję się, że to chłopki niechłopki. Ale ja patrzę, a moich dziewięciu chłopaków gra w korkotrampkach, i to podartych! Chodziłem tydzień czasu od sklepu do sklepu, wtedy powstawały te prywatne sklepy. Woziłem ich swoim fiatem do Lublina do sklepu, żeby sobie buty kupili. Kupiłem trzynaście par butów. M. na bramce wtedy stał, kupiłem mu rękawice bramkarskie, bo nie miał¹⁹¹.

Z obydwu wypowiedzi przebija nie tylko osobiste zaangażowanie i autentyczne przejęcie losami drużyny, ale także znajomość obecnych w przestrzeni miasteczka zależności – wspomnianego tu powiązania indywidualnych, prywatnych decyzji i posunięć aktorów instytucjonalnych.

Znakomitą ilustracją nakładania się na siebie różnych planów w przestrzeni lokalnego stadionu sportowego jest fragment wspomnień innego zawodnika lubartowskiego Lewartu. Stanisław Barczak w latach 60. był obrońcą w Lewarcie, a jednocześnie z zawodu hydraulikiem. Więc kiedy w drugiej połowie tej dekadzie w Lubartowie zakładano sieć wodociągową, pojawił się pomysł, by wyposażyć w łazienki także budynki przy stadionie:

191 Tamże.

Taki tu mieszkał, taki Kral był, aptekarz. Mówi: „Panie Stasiu, może by pan zrobił”. Ja mówię, żeby tylko były pieniądze na materiał, to ja za darmo to zrobię. To ze cztery dni, tam było dwóch gospodarzy, mi pomogli. Tośmy dwa bojlerzy uczepili elektryczne, no i natryski, już można się było kąpać¹⁹².

Mamy w opisanej sytuacji bardzo ciekawe połączenie dwóch planów. Oto z jednej strony jest związany z klubem zawodnik, który nieodpłatnie wykonuje prace na stadionie (w języku epoki nazwane zostałoby to „czynem społecznym”). Ale patrząc z drugiej strony – jego niewątpliwie chwalebny czyn nie mógłby w ogóle zaistnieć bez odgórnej decyzji o wyposażeniu powiatowego miasteczka w sieć wodociągową. W sensie cywilizacyjnym był to krok milowy. Korzystał z niego, dzięki zapobiegliwości ludzi z nim związanych, także klub. Jednocześnie jednak trzeba mieć na uwadze, że woda z kranów w lubartowskich domach nie popłynęła za sprawą lokalnych aktywistów. Zdecydowanie przekraczało to ich możliwości. Była to domena państwa i jego instytucji. Na tym przykładzie doskonale widać, że małe miejscowości mogły borykać się z niedostatecznym finansowaniem, mogły znajdować się w znacznej odległości centrów decyzyjnych i pozostawać na marginesie ich zainteresowania, jednak nie były samotnymi wyspami. Ogólnokrajowa polityka nie zatrzymywała się na ich rogatkach, lecz wpływała na kształt życia codziennego jednostek i społeczności. „Prowincjonalizm” w tym wypadku

192 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

znaczył i wyrażał się w skali wzajemnego dopasowywania lokalnych warunków (zasad społecznego współżycia, kultury i materialności itd.) do aktualnej ideologii, wymagań politycznych i administracyjnych.

Nowy człowiek na nowym stadionie

Wczesną jesienią 1951 roku wieś Zagościniec w ówczesnym województwie warszawskim odwiedziła ekipa Polskiej Kroniki Filmowej. Nagrano materiał, którego głównymi bohaterami byli sportowcy miejscowego LZS-u. Z komentarza towarzyszącego temu krótkiemu, trwającego niespełna półtorej minuty obrazu, dowiadujemy się, iż:

Pięćdziesięciu członków Ludowego Zespołu Sportowego (...) podjęło piękne zobowiązanie pierwszomajowe. Wspólnymi siłami uprawią ziemię Heleny Lipskiej – wdowy, której mąż zginął w obozie oświęcimskim. Robota idzie, aż serce rośnie!¹⁹³

Opisowi towarzyszą roześmiane twarze pracujących sportowców ubranych w dresy z wystającymi spod nich białymi kołnierzykami i znacznych rozmiarów emblematami naszytymi na bluzach. W kolejnym ujęciu widzimy tych samych tryskających radością młodych ludzi wkopujących w ziemię piłkarską bramkę. Jak informuje lektor: „Starczy jeszcze sił i zapału na zrobienie własnego boiska dla Zespołu. O ileż lepiej idą pierwsze ćwiczenia

193 Polska Kronika Filmowa 21/51, (on-line:) <http://www.repozytorium.fn.org.pl/?q=pl/node/7085>, (dostęp: 17.09.2016).

na własnym boisku”. Następnie kamera pokazuje ćwiczących samodzielnie i pod okiem instruktora już na swoim obiekcie. Pracują i wykonują ćwiczenia zarówno chłopcy, jak i dziewczęta. Materiał kończy się stwierdzeniem-hasłem: „Ludowe Zespoły Sportowe – sport wiejski to jeden z czynników zmieniających oblicze polskiej wsi”, zilustrowanym ujęciem beztrzesko odbijających piłkę młodych atletów.

W tym krótkim materiale wchodzącym w skład jednego z wydań kroniki odnajdujemy ślady zjawiska, któremu poświęciliśmy poprzedni rozdział. Kamera filmowa pokazuje spontaniczne działania podejmowane przez entuzjastycznie usposobionych sportowców. Jednak nie potrzeba wielkiej przenikliwości ani głębokiej wiedzy historycznej, by spostrzec, że oddolność pokazana w kronice z początku lat 50. ubrana została w zupełnie inny kostium niż ta, która była udziałem chociażby nauczyciela z Sulechowa czy lubartowskich piłkarzy. Mamy tu w istocie do czynienia z przekazem ściśle propagandowym, pokazującym pewien wykreowany obraz w sposób typowy dla mediów końca lat 40. oraz pierwszej połowy następnej dekady.

W poprzednim rozdziale sport na peryferiach ukazywał się jako wyraz autentycznej potrzeby zmęczonego wojną społeczeństwa oraz forma zabawy. Ten obraz jest oczywiście prawdziwy, w szczególności w odniesieniu do pierwszych powojennych lat. Jednak kiedy zaczynamy przyglądać się roli i usytuowaniu sportu w życiu codziennym na przełomie lat 40. i 50., z łatwością dostrzeżemy, że daleko mu do kompletności. Że skupiając się na oddolności, obserwujemy tylko jedno ze skrzydeł dyptyku – to utrzymane w zdecydowanie jaśniejszych barwach. Odbicie drugiego, znacznie mniej optymistycznego w wymowie, stanowi omówiony na wstępie materiał przygotowany na potrzeby

Polskiej Kroniki Filmowej. Wyświetlana przed seansami filmów fabularnych w cieszących się wówczas ogromną popularnością kinach – stałych i objazdowych – była kronika jednym ze sztandarowych przykładów nachalnej i wszechobecnej propagandy. Metodycznie i jednocześnie w sposób wyzbyty wszelkiej subtelności fałszowała opisywaną rzeczywistość. Widzimy tego przykład chociażby w ubiorze pokazanych w materiale filmowym sportowców. Ich jednolite sportowe dresy z nieodłącznym emblematem LZS-u przynależały w większym stopniu do świata filmowej fikcji niż codzienności przeciętnego wiejskiego zespołu sportowego. Jednak zarazem powstające w epoce stalinizmu kroniki filmowe odznaczały się swoistą autentycznością. Były prawdziwe w tym sensie, że pokazywały, niejednokrotnie dość szczerze, uwarunkowane ideologicznie projekty oraz ich postulowane efekty. Relacjonowany fragment ma niewątpliwie taki właśnie charakter. Zarówno w warstwie wizualnej, jak i tekstowej stanowi przykład politycznego manifestu. W tym momencie nie ma znaczenia, czy film oddaje rzeczywistość, czy nie. Liczy się zawarta w nim intencja. A ta jest bardzo jasna i wyrażona *explicite* głosem Andrzeja Łapickiego: sport ma stać się jednym z czynników realizowanej pod skrzydłami państwa zmiany. Oto wśród tysięcy scen dokonującej się rewolucji znajduje się miejsce dla jeszcze jednej – peryferyjnego boiska. A do milionów jej emisariuszy dołącza grupa roześmianych wiejskich sportowców.

Materialność peryferyjnego sportu w pierwszej dekadzie Pelerelu, tak jak zresztą często i później, bywała mało imponująca. Przeciętny małomiasteczkowy, a jeszcze bardziej wiejski stadion, taki na przykład, jak ten pokazany w materiale PKF z Zagosińca, spełniał zwykle zupełnie podstawowe wymagania. Jednak z punktu widzenia komunistycznych władz ich fizyczna forma czy

standard wyposażenia były problemami drugorzędnymi. Liczyło się przede wszystkim to, że w ogóle istniały.

Zdobywanie władzy i umacnianie przez partię komunistyczną monopolistycznej pozycji było procesem wielowątkowym i przyjmowało różne oblicza. Przede wszystkim polegało na bezpardonowym eliminowaniu rzeczywistych, potencjalnych lub tylko wyobrażonych rywali. Wiązało się też z gwałtownymi, niekonsultowanymi społecznie zmianami w prawie, tworzeniem nowego instytucjonalnego ładu i poddawaniu ścisłej kontroli rozmaitych, cieszących się dotąd względną autonomią obszarów życia społecznego, takich jak na przykład sport. Działania dyscyplinujące i represyjne tworzyły tylko jedną stronę medalu. Obok nich komuniści mieli w repertuarze również coś, co moglibyśmy nazwać projektem pozytywnym. Jego celem było zarazem przekształcanie społeczeństwa zgodnie z oczekiwaniami władz oraz legitymizowanie, a co najmniej oswajanie ich poczynań. W praktyce chodziło o stworzenie jasnych punktów odniesienia, które spełniałyby funkcję swoistych „śluz” – obszarów, w których ideologię można by splatać z codziennością i na ich bazie budować pozytywną identyfikację z nowym systemem politycznym i z jego ideologią. Oczywiście te projektowane „strefy styku” między władzą a społeczeństwem miały różny charakter – wiązały się np. z awansem cywilizacyjnym (elektryfikacja i mechanizacja) i/lub ekonomicznym i społecznym, odgórnymi przekształceniami drabiny społecznej (likwidacja warstwy ziemiańskiej i reforma rolna). Jesteśmy zdania, że pośród licznych mechanizmów służących oswajaniu komunistycznej władzy szczególne miejsce zajmowało integrowanie ideologii z przestrzenią rozumianą bardzo dosłownie – jako materialne ramy życia codziennego, tak w sferze prywatnej, jak i publicznej. W związku z tym stawiamy tu tezę,

że jednym z najważniejszych aspektów dokonującej się zmiany były istotne przesunięcia w ramach zastanej infrastruktury życia codziennego, jej zasadnicze przekształcenia oraz redefinicje. Były one rzecz jasna powiązane ze stosowaną wówczas swoistą inżynierią społeczną. Jednocześnie ten związek nie oznaczał po prostu odbijania zmian przez materialność lub jej funkcjonowania w charakterze niemego ich świadka. Z perspektywy odbiorców tych działań należałoby raczej mówić o współtworzeniu projektowanej rzeczywistości przez świat rzeczy, o występowaniu w roli aktora mającego wpływ na tę rzeczywistość.

W sposób najłatwiejszy do dostrzeżenia czyniły to wielkie inwestycje miejskie (lub miastotwórcze) firmowane przez państwo. Budowane niejednokrotnie z rozmachem, ingerowały w zastany układ przestrzeni lub tworzyły w niej swój własny, nowy porządek. Pojedyncze budowle (jak Pałac Kultury i Nauki albo Stadion Dziesięciolecia w Warszawie), całe założenia urbanistyczne (MDM czy Nowa Huta), wielkie zakłady przemysłowe składały się na „pozytywną” infrastrukturę totalitarnego państwa. Jednocześnie spełniały funkcję politycznej manifestacji: znak opanowania przestrzeni publicznej oraz – do pewnego stopnia – prywatnej. Na wsi nowe formy porządkowania nie były, co oczywiste, tak spektakularne, ale prawdopodobnie jeszcze głębiej ingerowały w tradycyjny układ przestrzeni. Kluczową rolę odgrywały tu efekty reformy rolnej, oznaczające nowy podział gruntów oraz istotną transformację funkcji dotąd integralnej części wiejskiego krajobrazu – zabudowań dworskich. Jednak największym *novum* w układzie przestrzennym wielu polskich wsi było wprowadzenie nieznanych wcześniej form gospodarowania – Państwowych Gospodarstw Rolnych i spółdzielni produkcyjnych. O ile te drugie okazały się efemerydami zmiecionymi przez Październik’56,



Uroczyste otwarcie II Międzynarodowych Igrzysk Sportowych Młodzieży na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, 1 sierpnia 1955 roku.

o tyle PGR-y wrosły na trwale w krajobraz wsi i jako punkty w przestrzeni istnieją do dziś, chociaż od początku lat 90. z dwóch ich funkcji – miejsca zamieszkania i pracy – zachowana została tylko ta pierwsza.

Obok tych w istocie wielkoskalowych przedsięwzięć legitymizacja władzy w przestrzeni przybierała także formy, które można by określić jako kameralne bądź punktowe, a niejednokrotnie tylko tymczasowe. Brak im było rozmachu oraz trwałości wielkich budów, ale podobnie jak one funkcjonowały jako ośrodki ideologicznego oddziaływania.

Taką rolę bez wątpienia spełniały na prowincji, szczególnie na wsi, świetlice organizacji młodzieżowych, po części także kina. Do tej kategorii zaliczały się wreszcie obiekty sportowe, czyli w warunkach peryferii zazwyczaj proste boiska sportowe. Aktywność sportowa miała stać się jedną z form pracy kulturalnej na wsi.

Jak przekonywaliśmy wcześniej, boiska były bardzo często przejawem autentycznego zainteresowania sportem części mieszkańców danej miejscowości. Z reguły nastolatków i w olbrzymiej większości chłopców. Ale równocześnie stanowiły fragment politycznego w swej istocie projektu – służyły w założeniu zdobywaniu poparcia, a same w sobie stanowiły manifestację obecności państwa w najbliższej mieszkańcom przestrzeni. W codzienności peryferyjnej kultury fizycznej te dwie motywacje musiały ze sobą współistnieć. Wywiedzione z odmiennych kontekstów i porządków spotykały się w tym samym miejscu – polu gry, sali gimnastycznej, trasy wyścigu kolarskiego albo lekkoatletycznej rzutni. Państwo zresztą nie dysponowało odpowiednimi środkami, by samodzielnie wprowadzać sport na prowincję. Oddolność, nieodpłatna praca samych sportowców była warunkiem koniecznym powstania w małych miejscowościach przestrzeni sportowych. Z drugiej strony sam entuzjazm dla sportu nie zawsze wystarczał. A warto pamiętać, że przecież w wielu wsiach idea budowy boiska była mieszkańcom całkowicie obca. W praktyce wyglądało to w ten sposób, że impuls często przychodził z zewnątrz. Podstawową, bazową materialność sportu – swoisty punkt wyjścia do dalszych działań – zapewniały struktury ulokowane na poziomie powiatu albo województwa. Świetnie ilustruje to fragment wspomnień młodego działacza dotyczący drugiej połowy lat 50.:

Pewnego dnia przywiozłem z LZS piłkę i siatkę. Całe niedzielne popołudnia spędzaliśmy na boisku szkolnym. Na jednym z zebrań gromadzkich poprosiliśmy o kawałek ziemi na boisko. Zgodzono się chętnie i zaraz po zebraniu poszliśmy na działkę gromadzką, gdzie wytyczono nam około 200 arów.

Ponieważ ziemia była nierówna, postanowiliśmy ją zaorać i zwałować. Pierwszy założyłem konia i wyszedłem do pracy na boisku. Niebawem przyjechał Mietek, Jacek, Jurek Sadeluk, który uciekł z własnego pola bez wiedzy ojca, i Rysiek.

Jedni orali, drudzy pojechali po żółty piasek na skocznię, a reszta, którzy przyszli pieszo, kopali skocznię, zbierali kamienie i wyrównywali teren. Nie zabrakło również dzieci szkolnych i kierownika szkoły.

Do pośpiechu w urządzeniu boiska przyczyniła się lokalizacja zawodów okręgowych LZS w naszej gromadzie. Toteż dosłownie nie spano. Jednej nocy wykombinowaliśmy z lasu słupki. W inne noce duże żerdzie na ogrodzenie i ogrodzi-
liśmy boisko¹⁹⁴.

Widzimy tu znane z poprzedniego rozdziału prawdopodobnie zupełnie autentyczne zaangażowanie młodych mieszkańców wsi w budowę prymitywnego obiektu sportowego. Tyle tylko, że jak doskonale widać, ani ta grupa nastolatków, ani ich rodzinna miejscowość nie byli zawieszeni w próżni, funkcjonowali w szerszym instytucjonalnym kontekście. Sportowcy amatorzy, aby zbudować stadion, wykorzystali dostępne na miejscu zasoby, jednak cały proces został uruchomiony przez przedmioty, które nie pochodziły z najbliższej ich przestrzeni. Ponadlokalny i w gruncie rzeczy polityczny kontekst opisanych wydarzeń zostaje wprowadzony już w pierwszym zdaniu, kiedy autor pamiętnika pisze: „Pewnego dnia przywiozłem z LZS piłkę i siatkę”. Wydaje się to mało istotnym detalem, w opowieści zostaje zupełnie zdominowane przez

194 *Dole i niedole działacza, pam nr 4944*, w: *W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy*, dz. cyt., s. 457.

opis prac wykonanych przez młodych sportowców. Niemniej, to właśnie ten moment przywiezienia gdzieś z lokalnej „centrali” sprzętu sportowego nadaje sens całemu przedsięwzięciu. Warto odnotować, że klamrą zamykającą sekwencję zdarzeń, finalnym efektem prac staje się inny element ponadlokalnego kontekstu – gminna spartakiada.

Kluczową postacią dla inicjowania lub podtrzymywania aktywności sportowej był działający na danym terenie działacz sportowy. To właśnie on mógł zapewnić bazowe wyposażenie, takie jak piłka czy siatka, a także zapoczątkować aktywność sportową. Wreszcie, nadawał jej wymiar ponadlokalny, na przykład organizując spartakiady. Sposób, w jaki się to odbywało w praktyce, dość dobrze oddał jeden z naszych rozmówców, dziś siedemdziesięcioletni były działacz i sędzia piłkarski z Podlasia:

Przyjeżdżam na wieś, dowiaduję się wcześniej, że tam jest dużo młodzieży, a oni nic nie robią, żadnej świetlicy. A były takie place wiejskie. Tu można zrobić boisko do piłki siatkowej. Chłopcy, dam wam siatkę, piłkę, zorganizujcie się. Ja przyjadę, wybierzemy zarząd, powołamy klub i będziemy mieli takie koło: Ludowy Zespół Sportowy. Sami się trenowali¹⁹⁵.

Z cytowanych wspomnień wylania się obraz konkretnej, przyziemnej, a przez to autentycznej sytuacji. Fragment pokazuje też, jak sądzimy, stopień jej skomplikowania oraz niejednoznaczność. Działacze sportowi – czy byli szczerymi miłośnikami sportu, czy też zobowiązywał ich do tego etat, wykonywali swoją

195 Antoni Połomski, wywiad z 20.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.



misję propagowania kultury fizycznej. Jednocześnie, czy byli tego bardziej lub mniej świadomi, służyli rozpropagowywaniu wzorców wchodzących w skład wychowawczej polityki państwa, a także jego strategii legitymizacyjnych. W ich działaniu, podobnie jak w przestrzeni obiektu sportowego, łączyły się dwa plany – ten o przeważnie ogólnokrajowym zasięgu, związany z politycznymi pryncypiami, oraz całkowicie lokalny, stawiający w centrum po prostu dobrą rozrywkę na świeżym powietrzu. Przewaga jednego nad drugim była często kwestią miejscowych uwarunkowań, zapatrywać samego działacza i stopnia zewnętrznego nacisku.

Nie należy ulegać jednak złudzeniu, że ten ostatni element – pewien narzucony z zewnątrz model kultury fizycznej, wzorec wykorzystywania przestrzeni aktywności sportowej – rozpływał się gdzieś w peryferyjnej rzeczywistości. Lansowany przez państwo pomysł na kulturę fizyczną, szczególnie w latach 1948/49–1956

nie mógł zostać po prostu zignorowany i może nie w takim zakresie, jak w przypadku dużych ośrodków, ale znalazł swoje miejsce w ramach prowincjonalnego stadionu.

Kwestią o znaczeniu zupełnie podstawowym jest uchwycenie istoty ingerencji państwa komunistycznego w przestrzeń sportowej areny, widzianej przez pryzmat lokowanych tam treści oraz mechanizmów za to odpowiedzialnych. Jesteśmy zdania, że podstawowym zabiegiem, w najszerszym zakresie zrealizowanym w pierwszej połowie lat 50., była daleko posunięta kontekstualizacja sportu. W skrócie rzecz ujmując, operacja polegała na próbie włączenia w obręb przestrzeni tradycyjnie przypisanej zabawie, a zatem pozostającej poza troskami zwykłego życia, problemów do niego przynależnych, z ideologiczną agitacją włącznie. Być może najbardziej charakterystycznym dla epoki stalinowskiej było zatem ściśle powiązanie aktywności sportowej ze sferą obowiązków, z tym co można nazwać za Huizingą „życiem potocznym”, wyznaczenie boisku roli obszaru wychowania zgodnego z ideologicznymi pryncypiami nowego porządku. Sport miał pełnić rolę jednego z narzędzi kształtowania jednostki.

W założeniu pedagogów komunistycznych wychowanie fizyczne i sport funkcjonowały jako integralna część systemu, którego celem było wykreowanie tzw. „nowego człowieka”. W *Uchwale Biura Politycznego KC PZPR w sprawie kultury fizycznej z 8 września 1949*, która, jako najważniejszy partyjny dokument w tej materii, stanowiła drogowskaz dla ludzi zajmujących się kulturą fizyczną, czytamy:

W procesie tego wychowania [nowego człowieka] niezwykle ważną rolę spełniają wychowanie fizyczne i sport, które przez podnoszenie sprawności fizycznej i stanu zdrowia narodu

przysposabiają go do wydajnej pracy i obrony Ludowej Ojczyzny.

Dalej uchwała głosi:

Polska (...) winna być krajem zdrowych i mocnych ludzi, radujących się życiem, którym wychowanie fizyczne i sport wyrobią siłę woli, opanowanie i odwagę, wytrzymałość na trudy i umiejętność zespołowego życia i wysiłku, ludzi przygotowanych do pracy dla Ludowej Ojczyzny i do obrony w razie potrzeby jej granic¹⁹⁶.

Tym samym rozwój fizyczny został podporządkowany zadaniom, które stawiano przed tym nowo kreowanym obywatelem. Nie chodziło już wyłącznie o radość i przyjemność płynącą z uprawiania ćwiczeń fizycznych. Wychowanie fizyczne i sport zyskały walor czysto utylitarny. W jakiejś mierze odarto je zatem z tych elementów, które stanowiły o ich atrakcyjności. Miały służyć przygotowaniu nie tylko zdrowych, ale przede wszystkim efektywnych i świadomych zadań, jakie przed nimi stawia państwo, robotników i żołnierzy. Oznaczało to, że sport i wychowanie fizyczne zostały nierozzerwalnie splecione z przygotowaniem do pracy zawodowej i przygotowaniem wojskowym. Zgodnie z ideologicznym przekazem zacierały się granice pomiędzy tymi trzema sferami życia. Przyglądając się przekazom medialnym i dokumentom programowym dotyczącym polskiej kultury fizycznej, trudno właściwie orzec, gdzie kończy się sport, a zaczyna przygotowanie zawodowe i trening żołnierza. Jak zauważa Vassil Girginov, dokonała się tu

196 *Dokumenty i uchwały w dziedzinie kultury fizycznej...*, dz. cyt., s. 19.

znacząca transformacja roli sportu: prawo ludzi do aktywności fizycznej i udziału w życiu sportowym stało się obowiązkiem¹⁹⁷.

I tak w programie zawodów pojawiły się nowe konkurencje. Prowadzono pojedynki szermiercze na bagnety, ustanawiano rekordy w rzucie granatem, a tor przeszkód (jedną z prób na odznakę SPO, która była podstawą wychowania fizycznego – o niej samej patrz niżej) nie żołnierze wcale, ale cywile pokonywali z karabinem w dłoni, za ostatnią przeszkodę mając manekiny, które należało przebić bagnetem¹⁹⁸. Konkurencją pływacką był z kolei wyścig w pełnym umundurowaniu, także z karabinem w dłoni. Zewnętrzna rzeczywistość wkraczała na stadiony, niszcząc to, co Huizinga określił mianem „świętego kręgu zabawy” (gry), wprowadzała tu nowe reguły i normy zachowań¹⁹⁹. W tej sytuacji nie może dziwić, że w 1955 roku na przykład LZS w powiecie gorlickim miał w swoim posiadaniu tylko dziesięć piłek do siatkówki, dwie do koszykówki i osiem par butów narciarskich, a jednocześnie dysponował trzydziestoma pięcioma granatami²⁰⁰.

Ale w tym samym czasie sport opuszczał za ciasne już widać ramy stadionu (widowiska sportowego) i zasiedlał inne obszary. Na placach budów, w kopalniach czy zakładach przemysłowych propagowano rywalizację w iście sportowym stylu i szeroko stosowano terminologię zaczerpniętą z języka sportowego. Ustanawiano i pobijano kolejne rekordy produkcji, a przedsięwzięcia te same

197 V. Girginov, *Totalitarian sport: Towards an Understanding of its Logic, Practice and Legacy*, „Totalitarian Movements and Political Religions” 2004, t. 5, nr 1, s. 38.

198 *Sprawy do Pracy i Obrony. Regulamin część I*, Warszawa 1951, s. 125–126.

199 Por. J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa 1985.

200 W. Moklak, *Spoleczna charakterystyka wybranych kół LZS powiatu gorlickiego*, AWF Warszawa 1966, mps, s. 28.

w sobie przyjmowały postać widowisk sportowych. W efekcie rodzili się nowi mistrzowie, tytuły zdobywając już jednak nie na boisku, rzutni czy bieżni, ale np. wznosząc nowy gmach²⁰¹.

Te implikacje wzajemnego powiązania szły dość daleko. Otóż same wychowanie fizyczne i sport miały stać rodzajami fabryk produkujących według określonych standardów jakościowych i norm ilościowych. Podstawą polskiego wychowania fizycznego były wprowadzone formalnie w roku 1950, wzorowane na radzieckich, odznaki sprawności fizycznej – Sprawny do Pracy i Obrony (SPO) – dla dorosłych i Bądź Sprawny do Pracy i Obrony (BSPO) – dla dzieci i młodzieży. Odznaki dzieliły się na poszczególne stopnie, a te z kolei na kategorie wiekowe. Zdobyć odznaki uzależnione było od wypełnienia norm ustalonych dla każdej dyscypliny wchodzącej w skład próby na SPO²⁰². Podobnie systemem norm objęto także sport wyczynowy. Sportowcom nadawano klasy na podstawie wyników, jakie osiągalni na oficjalnych zawodach²⁰³. Zastosowanie jednolitej klasyfikacji było próbą ustalenia jakiegoś metaschematu, który obejmowałby cały sport i umożliwił jego racjonalne opisanie. Okazało się to zadaniem niewykonalnym. Wielu dyscyplin po prostu nie można było w taki sposób sklasyfikować. O ile w przypadku wychowania fizycznego wprowadzenie norm było jeszcze możliwe, o tyle w sporcie po prostu przeczyło jego istocie. Stąd nie przyniosło spodziewanych rezultatów.

Normy jakościowe stanowiły jeden element opisywanego zjawiska, drugim, wydaje się, ważniejszym było osiąganianie standardów

201 „Sportowiec” 1952, nr 24 (18 VI), s. 5.

202 *Sprawny do Pracy i Obrony. Regulamin część I*, dz. cyt.

203 A. Gutowski, *Drogi rozwoju kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 77.

ilościowych. Tym samym dochodzimy do jednego z najważniejszych zagadnień kultury fizycznej w Polsce omawianego okresu i komunistycznej kultury fizycznej w ogóle, tzn. kwestii tzw. masowości wychowania fizycznego i sportu. „Umasowienie” kultury fizycznej było jednym z naczelných hasel propagandy komunistycznej epoki stalinizmu. Bolesław Bierut w liście wysłanym do GKKF z okazji wręczenia mu pierwszej, honorowej odznaki SPO napisał:

Umasowienie sportu, objęcie wychowaniem fizycznym najszerszych rzesz ludzi pracy miast i wsi, a zwłaszcza młodzieży – stanowi nie tylko poważny czynnik poprawy stanu zdrowia ludności, ale czyni ją również zdolną i sprawną do wielkich zadań stojących przed narodem polskim na Jego drodze do nowego życia do wzmacniania siły, dobrobytu i kultury Polski Ludowej²⁰⁴.

W założeniu doskonalenie sprawności fizycznej, oczywiście w wersji lansowanej przez państwo, powinno objąć całe społeczeństwo. Masowy, rekreacyjny sport i wychowanie fizyczne miały umożliwić wychowanie zdrowych, pełnych radości życia, a przede wszystkim „sprawnych do pracy i obrony” ludzi. Warto przy tym zauważyć, że tak zdecydowane pozycjonowanie kultury fizycznej jako czynnika formującego efektywnego robotnika i żołnierza było głównie domeną stalinizmu. Rzecz jasna obecność tego hasła będziemy mogli obserwować i później, jednak wyłącznie w postaci słabego echa pierwotnego zamierzenia.

Znacznie dłuższy żywot miał inny aspekt upowszechnienia kultury fizycznej, rozumianej jako czynny i bierny udział w wydarzeniu

204 „Kultura Fizyczna” 1951, nr 1, s. 3.

sportowym. Chodzi mianowicie o przeprowadzaną w przestrzeni stadionu próbę redefinicji dnia świątecznego, a patrząc szerzej – kształtowania konkurencyjnych wobec uświęconych tradycją norm zachowania i obyczajów. Trzeba tu jednocześnie zaznaczyć, że zabieg ten dotyczył przede wszystkim wsi, gdzie sport, tak jak inne formy działalności kulturalnej firmowanej przez państwo, był czymś niemal zupełnie nieznanym.

Zamierzenie to oddaje doskonale jeden z fragmentów kroniki filmowej pochodzący z 1950 roku. Niemal dokładnie na rok przed wizytą w Zagościńcu ekipa PKF przyjechała do wsi Kania w województwie szczecińskim. Początek materiału to utrzymana w hurraoptymistycznej atmosferze prezentacja działającej we wsi spółdzielni produkcyjnej. Z pierwszych słów lektora dowiadujemy się, że: „Spółdzielnia produkcyjna im. Prezydenta Bieruta we wsi Kania (...) przoduje w akcji omlotów jesiennych, tak jak poprzednio wyróżniała się w akcji siewnej i żniwnej”. Wyliczanie sukcesów i zalet spółdzielni kończy zdanie: „Jakże się zmienia obraz naszej wsi. Znikły wąskie, ubogie zagony. Na rozległych łąkach maszyny wyręczają człowieka w najcięższej pracy”. Komentarzowi towarzyszy obraz rolników siejących przy pomocy traktorów. W kolejnym ujęciu także widzimy traktor, ale tym razem zamienia się w pojazd pasażerski, na przyczepie jadą mieszkańcy wsi – zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Pada wówczas, z naszego punktu widzenia, kluczowe dla całej relacji zdanie: „A w niedzielę wycieczka do sąsiedniego Starkowa – mecz futbolowy między dwoma Ludowymi Zespołami Sportowymi”. I już za chwilę kamera rejestruje biegających na boisku zawodników, co zostaje opatrzone komentarzem: „Jak świat światem nie widziała polska wieś boisk sportowych. Dzisiaj setki



Siedziba Klubu Prasy i Książki „Ruch”
w Matyldowie koło Sochaczewa, 1974 rok.

ludowych zespołów podnoszą kulturę fizyczną, zdobywają wieś dla sportu”²⁰⁵.

Widzimy tu zarówno zaplanowaną dla stadionu rolę do odegrania w przestrzeni, jak i sposób jej funkcjonowania. Wszystko dzieje się niemal mimochodem, kronika przedstawia w skrócie zwykły porządek rzeczy – po wypełnionym ciężką pracą tygodniu następuje niedzielny odpoczynek. Roześmiani sportowcy i kibice uczestniczą w sportowym święcie. W rzeczywistości mamy tu do czynienia z wyestetyzowaniem, łagodną odsłoną bezpardonowej wówczas walki z Kościołem katolickim. Sport występuje tu w roli pozytywnej w założeniu alternatywy wobec niedzielnego nabożeństwa. Kościół jako miejsce integracji wspólnoty lokalnej miał, wedle tej propagandowej wizji, zastępować inne przestrzenie – kino, świetlica i właśnie stadion sportowy, a szerzej: widowisko sportowe. Mimo stwarzania pozorów naturalności była to poważna ingerencja w obszar wiejskich rytuałów, czego świadomość mieli działacze sportowi, a także postronni mieszkańcy wsi. Kiedy zatem cytowany wcześniej pamiętnikarz, opisujący budowę stadionu w swojej wsi, wspomina w pewnym momencie, że „zdarzało się często, że chłopaki niby to chodzili do kościoła na majowe nabożeństwo, a cały czas grali w piłkę”, to z jednej strony pokazuje, jak w praktyce mogła wyglądać realizacja projektu, ale jednocześnie daje dowód, że ma świadomość przekraczania wewnętrznych dla społeczności norm.

Podobnie rzecz się miała z innymi nowymi, wprowadzanymi przez państwo miejscami spędzania czasu wolnego. I tak na przykład na początku lat 60. młody, wówczas dwudziestodwuletni

205 Polska Kronika Filmowa 38/50, (on-line:) <http://www.repozytorium.fn.org.pl/?q=pl/node/6558> (dostęp: 15.09.2016).

rolnik, a zarazem działacz ZMW z województwa warszawskiego opisywał własne oraz swojej sympatii dylematy związane z pójściem do kina:

Potem po gościnie nie było zabawy jak zawsze, bo w parafii była misja, księża nie pozwolili. Byli tacy, co wieczorem chcieli śpiewać pod figurką majowe pieśni. Zastanawialiśmy się, czy śpiewać, czy iść do kina, bo akurat przyjechało. W końcu poszliśmy do kina, chociaż Reni było nieswojo odchodzić od figurki. Rozumiałem ją, bo i we mnie pokutują jeszcze głęboko zakorzenione obyczaje i przyzwyczajenia²⁰⁶.

Jak wspomnieliśmy, to wyzwanie rzucone przez państwo tyleż Kościołowi katolickiemu, co tradycyjnym więzom spajającym lokalne społeczności, było projektem realizowanym właściwie przez całą omawianą epokę. Szczególne nasilenie tych wysiłków miało miejsce w związku z obchodami Millenium Chrztu Polski i konkurencyjnych wobec nich państwowych uroczystości Tysiąclecia Państwa Polskiego. Atmosferę tej rywalizacji, a po części też świadomość braku skuteczności stosowanych metod, oddał w swoim pamiętniku rolnik z województwa krakowskiego:

22 II. Już drugi miesiąc chodzi po domach milenijny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Gromadzą się tłumy ludzi. Czasem 40 osób, czasem 70 i więcej. To zależy, do kogo idzie. (...) Modły trwają przez trzy godziny i kończą się o dziewiątej wieczór. Idą przeważnie starsi. Młodzież przychodzi do klubu. Dziś obraz jest w sąsiedztwie Domu

206 *Wychowanek Uniwersytetu Ludowego, pam. nr 4562, dz. cyt., s. 253.*

Kultury i dziś w klubie ma być przedostatni wykład z cyklu wykładów w ramach Uniwersytetu Powszechnego ZMW. (...) Wszyscy zastanawiamy się: będzie wykład czy nie? Kierowniczka uniwersytetu z góry orzekła, że wykładu nie będzie, ludzie nie przyjdą. Na uroczystość przyjechał ksiądz. Istotnie, w klubie było pusto. (...) Punktualnie o 6 było 18 młodych słuchaczy. Niewiele. Ale dyskusja była pasjonująca²⁰⁷.

Propagowane przez państwo transformacje dotyczące sposobu świętowania, szczególnie spędzania niedzieli, spotykały się ze zdecydowanym oporem szczególnie starszego pokolenia. Jeden z pamiętnikarzy, zaangażowany „partyjny” działacz wspominał (była to druga połowa lat 60.):

Na pytanie, co jest powodem, że pani zabrania Rysiowi uczęszczać na treningi, usłyszałem odpowiedź, że nie ma czasu. „A czy w dni wolne od pracy też nie ma czasu?” – zapytałem. „W dni wolne od pracy Rysiu ma siedzieć w domu” – twarde stawiała troskliwa mamusia²⁰⁸.

Ingerencja w tradycję, jakiej ośrodkiem miały być nowe placówki kulturalne, a wśród nich boisko, polegało także na propagowaniu zmian obyczajowych niezwiązanych bezpośrednio z religijnością. Na pierwszy plan wybijały się tu próby modyfikacji trybu funkcjonowania kobiet w przestrzeni publicznej. W założeniu

207 *Pamiętniki Polaków 1918–1978: antologia pamiętnikarstwa polskiego*, 3, dz. cyt., s. 308–309.

208 *78-letnia babcia nie może uwierzyć, w: Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Nowe Zawody. Pamiętniki*, Warszawa 1969, s. 535–536.

upowszechnienie sportu miało objąć również kobiety. O ile ćwiczenia fizyczne mężczyzn mieściły się jakoś w horyzoncie wyobrażeń, to udział w nich kobiet znajdował się zdecydowanie poza nim. Chłopiec, a nawet młody mężczyzna, biegający w stroju gimnastycznym nie wzbudzał wielkiej sensacji. Ubrana w krótkie spodenki kobieta stawała się obiektem zgorszenia. Istotę zamierzenia dobrze oddał Andrzej Wohl, kiedy w pracy opublikowanej w latach 70., przyjmował postawę rzecznika zachodzących zmian i pisał, że uprawianie sportu przez dziewczęta na wsi oznaczało

wejście w konflikt z rodzicami, narażenie się na potępienie ze strony wioskowej opinii publicznej, pamiętliwej i mściwej. Udział ten oznaczał decyzję wielu dziesiątków tysięcy dziewcząt i kobiet wiejskich przekroczenia granicy, która oddzielała to, co na wsi było nowe i postępowe od tego, co było tradycyjne, zaskorupiałe i nierzadko wsteczne. Była to więc w istocie rewolucja obyczajowa na wsi dokonywana za pośrednictwem sportu²⁰⁹.

Gdy pozostawał socjologiem, formułował interesujące i trafne, choć oczywiście skażone językiem epoki, diagnozy sytuacji:

Jeszcze w latach pięćdziesiątych, a nawet na początku sześćdziesiątych, wyjście na boisko dziewczyny wiejskiej w dresie wywoływało nierzadko oburzenie i protesty wśród starszych kobiet wiejskich, a czasem i drwiny ze strony ich własnych kolegów. Odstraszało to wiele dziewcząt od sportu. Trzeba było znacznej odwagi, by mimo zakazu rodziców oraz

209 A. Wohl, *Sport wiejski a przeobrażenia wsi polskiej*, dz. cyt., s. 114.

sprzeciwu otoczenia zaangażować się w uprawianie sportu. Ten fakt stwierdzono w toku badań prowadzonych w wielu rejonach kraju, często nawet nieopodal Warszawy²¹⁰.

Chodzenie w ubiorze sportowym po wsi mogło być przejawem trzech postaw: aktem sporej odwagi (o czym pisze Wohl), manifestacją polityczną (jeśli należało się np. do ZMP) albo widowym znakiem przynależności do świata dużego miasta (tzw. letnicy albo dzieci rolników uczące się w mieście). Jak się wydaje, jeśli chodzi o ubiór, a ściśle akceptację dla odsłaniania ciała, występowała pewna różnica w podejściu między małym miastem a wsią. Dobrze oddał to lubartowski pamiętnikarz Mirosław Derecki, wspominając swoje kąpiele w Wieprzu w latach 50.:

Z biegiem lat zacząłem coraz częściej zaglądać na „żydowską plażę”. Wynikało to z prostej przyczyny. O ile „elemka” była głównie domeną mężczyzn, to „żydowska plaża” obfitowała w atrakcyjne dziewczyny we wchodzących właśnie w modę dwuczęściowych kostiumach zwanych „bikini”. Rej wodziły tutaj nasze licealne koleżanki – Marysia Śpiewakówna i Marysia Dąbrowska. Zresztą, ku zgorszeniu miejscowych dewotek, które perorowały z oburzeniem, że dawniej kobiety kąpały się w Wieprzu „wstydliwie”, w nocnych koszulach po pięty (w dodatku w miejscach, gdzie nie mogli ich podglądać mężczyźni!). Fakt, że jeszcze na początku lat pięćdziesiątych zdarzało się zobaczyć dziewczęta z Chlewisz [wsi położonej niedaleko Lubartowa] pływające się w tego rodzaju „strojach”²¹¹.

210 Tamże, s. 113.

211 M. Derecki, *Mój Lubartów*, dz. cyt., s. 137.

Jedynym chyba aspektem upowszechniania sportu i propagowanych przesunięć w zakresie mapy czasu wolnego (świętowania), który spotkał się z przychylnością części mieszkańców peryferii, był fakt stworzenia alternatywy dla baru czy gospody. Pijaństwo stanowiło istotny problem nie tylko prowincji, ale całego kraju. Inna rzecz, że w wielu miejscach wspólne biesiadowanie było jedyną formą rozrywki. Opisujać sytuację w swojej wsi w połowie lat 50. młody pamiętnikarz zanotował:

Czas tak monotonnie płynie, że nawet pisać nie ma o czym. Nie ma chyba wioski gorszej od tej, na której ja muszę mieszkać. A najgorsze są zimowe wieczory, bo w dzień czas upływa przy pracy. A wieczorem dosłownie nie ma się czym zająć. Gdy było na wsi koło ZMP, to jeszcze choć trochę człowiek się tym zajmował, teraz jedyną rozrywką to chyba kieliszek wódki, ale i to jest niemożliwe, bo do spółdzielni jest aż trzy kilometry²¹².

W aktywności sportowej szczególnie kobiety upatrywały szansy na odciążenie od wódki: „wolę, żeby piłkę kopał, niż pił wódkę”²¹³. Takim też zresztą argumentem posługiwali się sami działacze sportowi. Jak pisał cytowany wyżej pamiętnikarz, zapewne nieco zbyt optymistycznie oceniając zbawienny wpływ sportu na nawyki młodzieży: „Podczas treningu z gimnastyki przyrządowej nikt nie pomyślał o wódce, zaś po stracie przyrządów gimnastycznych chłopcy elzetesowcy zaczęli się rozpijać”²¹⁴.

212 *Żonie sprzeciwiać się nie sposób, pam.* 4125, w: *Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki*, dz. cyt., s. 597.

213 B. Krawczyk, *O specyfice sportu wiejskiego (propozycje socjologicznej tematyki badawczej)*, „Roczniki Naukowe AWF w Warszawie” 1962, t. 1.

214 *78-letnia babcia nie może uwierzyć*, dz. cyt., s. 536.

Mimo że sport niewątpliwie przenikał na peryferia, to zakładany poziom jego upowszechnienia był niemożliwy do osiągnięcia. Dość szybko okazało się, że jego „umasowienie” miało w głównej mierze charakter retoryczny. I to w podwójnym sensie. Po pierwsze zatem, w pierwszej połowie lat 50., kiedy presja na osiągnięcie spektakularnych efektów upowszechnienia była najsilniejsza, odnosiło się do pewnej wykreowanej statystycznie rzeczywistości bardzo luźno powiązanej z faktycznym, czynnym udziałem w kulturze fizycznej. Najważniejszym miernikiem upowszechnienia była liczba zdobytych odznak SPO. Ponieważ liczbę odznak objęto planowaniem, by osiągnąć wyznaczone normy, stosowano naciski administracyjne albo po prostu fałszowano statystykę²¹⁵. Podobnie działo się, jeśli chodzi o liczbę uczestników życia sportowego, w różnych jego formach. Nie tylko w Polsce, ale w skali całego bloku sowieckiego mamy do czynienia z inicjowaną przez władze swego rodzaju rywalizacją pomiędzy organizacjami sportowymi, której przedmiotem była między innymi liczba zmobilizowanych do aktywności fizycznej²¹⁶. Wielka presja na poprawianie wyników pracy organizacyjnej owocowała zawyżaniem liczby członków organizacji sportowych. Skala dokonywanych statystycznych oszustw albo co najmniej naginania rzeczywistości w pełni ujawniła się po 1956 roku, kiedy np. liczba członków LZS drastycznie spadła.

Upowszechnienie amatorskiego sportu było deklarowanym celem przez niemal cały Peerel. Jednak podobnie jak w okresie stalinizmu, deklaracje niewiele miały wspólnego z rzeczywistością. W latach 60., po gwałtownym spadku w okresie 1955–1956,

215 A. Gutowski, *Drogi rozwoju kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 77.

216 V. Girginov, *Totalitarian sport...*, dz. cyt., s. 45.



Zawody w przeciąganiu liny podczas odbywającej się pod patronatem „Dziennika Ludowego” imprezy popularyzującej sport na wsi, wieś Przytyk, 1971 rok.

w dalszym ciągu wzrastała liczba zrzeszonych w organizacjach kultury fizycznej i członków klubów. Włodzimierz Reczek optymistycznie szacował, że między 1966 a 1970 nastąpił wzrost upowszechniania kultury fizycznej z 8% do 15% całej populacji. W ocenie Leonarda Szymańskiego był to szacunek zdecydowanie zawyżony²¹⁷. Istotnym problemem był też niewielki odsetek rzeczywiście uprawiających sport pośród wszystkich zrzeszonych:

217 L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 77.

W organizacjach sportowych ćwiczyło zaledwie około 33% stowarzyszonych, a na przykład w TKKF, zrzeszającym prawie milion osób, ćwiczyło według Drąždzewskiego tylko 16%. Odróżnienie zatem rzeczywistości od statystycznej fikcji jest sprawą niezwykle trudną²¹⁸.

Podobnie rzecz się miała z faktyczną aktywnością sportową kobiet. Oceniając sytuację w tym względzie na początku lat 60. na wsi, Barbara Krawczyk pisała:

I choć poszczególne koła LZS legitymują się niewielkim procentem członkiń, to jednak nie jest to jednoznaczne z czynnym uprawianiem przez nie jakiegokolwiek dyscypliny sportowej. (...) Jeśli bowiem koło wykazuje tylko takie sekcje jak piłka nożna, podnoszenie ciężarów, siatkówka, a jednocześnie uwidacznia w rejestrze członków 5 kobiet, to jest pewne, iż udział tych kobiet w życiu sportowym jest raczej fikcyjny. Wiadomo, że kobiety nie grają w piłkę nożną, ani nie podnoszą ciężarów, a ilość zawodniczek w drużynie siatkowej umożliwiającą regularny trening wynosi minimum 12 osób. (...) Kobiety należące do LZS bardzo często nie uprawiają sportu, a zajmują się tam pracą organizacyjną bądź działalnością kulturalno-oświatową. (...) I tak w LZS Kamienica, gdzie dziewczęta stanowią blisko 50% ogółu członków, są one aktywne wyłącznie w artystycznych sekcjach: tanecznej, chóralnej, dramatycznej²¹⁹.

218 Tamże.

219 B. Krawczyk, *O specyfice sportu wiejskiego...*, dz. cyt., t. 1, s. 286.

Potwierdzenie socjologicznej analizy warszawskiej badaczki znajdujemy w późniejszej o dziesięć lat wypowiedzi respondentki zamieszkałej na wsi w województwie lubelskim: „Nie uprawiałam sportu i nie uprawiam. Nie mam na to czasu, poza tym środowisko wiejskie nieprzychylnie by się odnosiło do takiego faktu. W młodości zajmowałam się sportem jedynie w szkole na lekcjach gimnastyki”²²⁰.

Jak zatem widać, upowszechnienie rozumiane jako zmiana nawyków w zakresie aktywności fizycznej pozostało właściwie pustym hasłem. Tyle że jego forsowanie nie wiązało się jedynie z osiągnięciem deklarowanego celu. W odniesieniu do epoki stalinowskiej masowość była tyleż domeną statystyki, co kwestią wizualną. Ujawnia się tu drugie znaczenie retorycznego wymiaru upowszechniania kultury fizycznej. Organizowane z wielką pompą imprezy sportowe, w których brało udział setki, a w dużych ośrodkach tysiące uczestników, stanowiły przykład spektakli propagandowych. Taki charakter miały organizowane co roku z rozmachem Biegi Narodowe, Marsze Szlakami Zwycięstw czy akcja nauki pływania. Taka też była funkcja defilad i pokazów gimnastycznych. Otoczone troską ze strony władz i szeroko nagłaśniane przez prasę były one w istocie reżyserowanym rytuałem. Traktowane były przez uczestniczącą w niej dzieci i młodzież jako kolejny narzucony z góry obowiązek, a efekty, jak pamiętamy z rozdziału pierwszego, mijały się z oficjalnie głoszonymi celami zachęty do kultur fizycznej.

W przestrzeń sportowej areny i widowiska sportowego zupełnie bezpośrednio wprowadzono politykę i propagandową retorykę,

220 C. Derylak, *Sport w świadomości mieszkańców wsi na podstawie wybranych wsi powiatu lubartowskiego*, AWF Warszawa 1973, mps, s. 77.

i to upolitycznienie występowało w dwóch zasadniczych odsłonach. Po pierwsze państwo i ideologia wkraczała na stadiony w zupełnie dosłowny i niepowiązany ze sportem sposób. Arena sportowa stała się w Peerelu przestrzenią politycznych oraz ideologicznych rytuałów. Bardziej spektakularnie wyglądało to na wielkich obiektach w aglomeracjach miejskich, gdzie na wielkich stadionach w obecności firmowane przez władze spektakle związane z obchodami rocznic, świąt państwowych (na czele z 1 Maja) albo uroczystości dotyczące określonych grup zawodowych (np. dożynki centralne lub wojewódzkie). Organizowane były z wielką pompą, transmitowane przez radio, a później także telewizję. Okazały obiekty sportowe, na czele ze Stadionem Dziesięciolecia, stawały się doskonałą scenografią dla masowych imprez propagandowych.

Ale warto pamiętać, że identyczny mechanizm występował także tam, gdzie wielkich stadionów nie było, a funkcję przestrzeni dla sportu i rekreacji spełniał zwykły plac albo kawałek łąki. Tak jak sportowcy dziarsko maszerowali w pierwszomajowych pochodach w wielkich miastach, tak w małych miasteczkach prezentowali się na wiecach, na „obchodach”.

Lokalna administracja wykorzystywała, wzorem władz centralnych, miejscowe stadiony do rytuałów niezwiązanych ze sportową aktywnością. Wzorem dożynek centralnych organizowano na nich dożynki gminne, powiatowe lub, jak w Mońkach w późnych latach 70., „Święto Ziemniaka”, czyli dożynki ziemniaczane. Ich część oficjalna, poważna, obfitująca w symbolikę państwowo-ideologiczną toczyła się na płycie stadionu. Pokazy sprzętu rolniczego, tańce zespołów ludowych, festyny, handlowe kiermasze były kontynuacją święta i odbywały się w tym samym miejscu, pomiędzy bramkami. Na „świętą murawę” wkraczali profani.



Święto Ziemniaka w Mońkach, 1977 rok.

Nawet jeśli symboliczna przemoc, jaka się w tym momencie dokonywała, nie była aż tak istotna dla sportowców, to jej wymiar materialny był dla nich bolesny. Jak wiemy, stan nawierzchni pola gry jest dla zawodników kluczowy, a był on przedmiotem kosztownych zabiegów entuzjastów sportu wszędzie i zawsze, jak pamiętamy choćby z rozdziału o „dzikich boiskach”. Nawet jeżeli miałyby to być łąka lub klepisko, nawet jeśli tylko żuźlowa bieżnia, to zawsze jej nawierzchnia była obiektem troski, zawsze mogła być ulepszona i wkładano w to dużo wysiłku. Władze lokalne, organizując swoje rytuały w tym miejscu, wykorzystywały jego kapitał społeczny, jakim było budowane wokół sportowych zmagani poczucie wspólnoty mieszkańców. Rzecz jasna, najczęściej było to zarazem jedyne miejsce w małej miejscowości, gdzie można było urządzić tego typu uroczystość czy imprezę. W ten sposób codzienność małego miasteczka łączyła się z wielkimi politycznymi celami.

Z punktu widzenia polityki państwa takie imprezy miały charakter legitymizacyjny i przynajmniej w teorii miały być wyrazem poparcia dla jego władz. Z perspektywy ich zwykłych uczestników





Pochód pierwszomajowy w Lubartowie,
lata siedemdziesiąte.

wyglądało to oczywiście nieco inaczej. Brali w nich udział na pewno zadeklarowani zwolennicy systemu. Lecz dla większości był to po prostu jeden z obowiązków do wykonania, niespecjalnie lubiany, ale z drugiej strony nieodznaczający się szczególną dolegliwością. Wreszcie warto pamiętać, że dla przynajmniej części ich uczestników pionowy układ odniesienia (władza–społeczeństwo) miał znaczenie zupełnie drugorzędne. Pierwszoplanowy okazywał się niejednokrotnie jego lokalny wymiar. Szczególnie dla sportowców był to sposób na zaistnienie w przestrzeni miejscowości, zaprezentowanie innym mieszkańcom swojej pasji i wyjątkowości:

Ludzie narzekają, że to zmuszali. A kiedyś to był każdy zadowolony, że się pokazał, każdy chciał zaimponować. Sekretarz przychodzi i mówi: „Bronek, przywieź mi 50 ludzi na obchody”. Brało się samochody, wypłaciło ludziom diety i każdy jechał. Potem były jakieś tańce...²²¹

Sportowiec występował w stroju swojej drużyny, w towarzystwie innych zawodników, ze sztandarem klubu. Udział w takim pochodzie z jego perspektywy mógł mieć niewiele wspólnego z deklaracjami politycznymi (choć dla postronnego obserwatora odgrywał taką rolę), łączył się raczej z manifestacją własnego stylu życia, tak przecież różnego od zwyczajów większości osób zgromadzonych na trasie pochodu albo na stadionie.

Oprócz bezpośredniego wykorzystania obiektu sportowego w charakterze sceny zaplanowanych ogólnie uroczystości czy

221 Bronisław Szymański, wywiad z 21.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

politycznych rytuałów retorykę propagandową wszczepiano również w samą rywalizację sportową. Należy przy tym zaznaczyć, że dotyczyło to na znacznie większą skalę wielkich wydarzeń sportowych odbywających się w dużych ośrodkach miejskich.

Przestrzeń widowiska stawiała się miejscem ekspozycji hasel i wezwań, a także propagowania kultu przywódców, w pierwszej połowie lat 50., w szczególności Bolesława Bieruta i Józefa Stalina. Imprezą o szczególnym znaczeniu był wówczas Wyścig Pokoju. Stopień nasilenia propagandy w przypadku tego wydarzenia znakomicie oddaje Marek Ordyłowski:

KC PZPR w 1950 r. polecił wszystkim Komitetom Wojewódzkim dołożyć wszelkich starań „...by zainteresowanie wyścigiem wielotysięcznych mas zgromadzonych na trasie zostało w pełni wykorzystane dla szerokiej popularyzacji hasel światowego Komitetu Obrońców Pokoju w sprawie zakazu broni atomowej, hasel przyjaźni i braterstwa z ZSRR i krajami demokracji ludowej, hasel solidarności z walczącym o pokój ludem pracującym państw kapitalistycznych – oraz dla propagowania odbywającego się w tym czasie Tygodnia Oświaty, Książki i Prasy, popularyzacji Trybuny Ludu i miejscowego organu partii”. Instrukcja nakazywała zaktywizowanie komitetów powiatowych PZPR i terenowych komitetów Obrońców Pokoju, natomiast słowem nie wspominała np. o popularyzacji sportu rowerowego²²².

222 M. Ordyłowski, *Wielkie imprezy sportowe jako kampanie propagandowe PZPR w latach 1949–1956*, w: *Z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, red. B. Woltmann, t. 5, Gorzów Wlkp. 2002, s. 351–352.

W przypadku Wyścigu Pokoju ekspozycja haseł politycznych trwała aż do połowy lat 70., kiedy zastąpiły je reklamy²²³. Stanowi on najbardziej znany przykład oddziaływania politycznego poprzez wielkie wydarzenia sportowe. Rolę takich nośników propagandy mieli pełnić zresztą także wybitni zawodnicy. Byli instrumentalnie i często bez swojej wiedzy wykorzystywani przez propagandę. Ich wizerunki służyły wspieraniu generalnych założeń ustroju lub konkretnych posunięć władz. I tak na przykład tekst, w którym Zygmunt Chychła dziękował państwu za pomoc i opiekę po zdobyciu tytułu mistrza Europy w 1951 roku, powstał jeszcze przed jego wyjazdem na turniej do Mediolanu i bynajmniej nie został napisany przez przyszłego mistrza olimpijskiego. W prasie wydawanej w okresie stalinizmu nawet najprostsze znaki przynależne normalnym relacjom międzyludzkim nabierały szczególnego politycznego znaczenia. Uściśnięcie dłoni przez zawodników przed rozpoczęciem rywalizacji, a obdarzanie się uśmiechem po jej zakończeniu interpretowane było w kategoriach przyjaźni między narodami. Wybitni zawodnicy, może nie w tak jaskrawy sposób, byli wykorzystywani politycznie także i później. Przedstawiciele władz nie tylko chętnie się z nimi spotykali, fotografowali oraz przyznawali im wysokie odznaczenia państwowe, ale również nakłaniali do aktywności politycznej. W ten sposób w skład Patriotycznej Rady Ocalania Narodowego, organizacji politycznej powstałej w czasie stanu wojennego, weszła Irena Szewińska czy Jan Tomaszewski, a Ryszard Szurkowski został posłem na sejm PRL (w 1985 roku).

Należy przy tym pamiętać, że propagandowe wykorzystywanie sportowców nie odbywało się mimochodem czy „przy okazji”, ale

223 J. Ferenc, *Sport w służbie polityki. Wyścig Pokoju 1948–1989*, Warszawa 2008, s. 148.

było jednym z przejawów szerszego planu legitymizacji poprzez sport wyczynowy.

To, że projekt „umasowienia sportu” nie przyniósł efektów, tylko w części wynikało z błędów w organizacji całego przedsięwzięcia. Przyczyny niepowodzenia miały źródło w przyjętych strategiach – początkowo tylko w praktyce instytucji na niższych szczeblach organizacji kultury fizycznej, a od pewnego momentu – faktycznej polityce państwa wobec sportu. W teorii sport wyczynowy miał być pochodną sportu rekreacyjnego. Spośród szerokich rzesz uprawiających sport rekreacyjny wyłaniać się powinny jednostki szczególnie uzdolnione. Między obydwoma szczeblami w założeniu powinna istnieć harmonia, a pierwszeństwo przypadać masowej kulturze fizycznej jako obejmującej ogół obywateli państwa. Tak głosiła teoria, lecz praktyka znacznie od niej odbiegała. Wkrótce miało się okazać, że upowszechnienie aktywności fizycznej to zadanie drugorzędne. Tym, co przede wszystkim skupiało uwagę działaczy na wszystkich szczeblach, był sport wyczynowy. Działo się tak zarówno na poziomie sportu szkolnego²²⁴, jak i zrzeszeń sportowych. Zrzeszenia zaniedbywały koła prowadzące zajęcia w zakresie rekreacji ruchowej, gros środków przeznaczając na rozwój jednostek sportu wyczynowego²²⁵. A wreszcie dotyczyło to także sportu na poziomie państwa, sportu reprezentacyjnego. To faworyzowanie sportu wyczynowego kosztem rekreacyjnego, widoczne od początku do końca omawianego okresu, stało się jeszcze bardziej jaskrawe po nieudanych dla polskiej ekipy Igrzyskach Olimpijskich w Helsinkach w 1952 roku. Trzeba jednocześnie przyznać, że dawanie pierwszeństwa sportowi zawodniczemu

224 A. Gutowski, *Drogi rozwoju kultury fizycznej w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 97.

225 Tamże, s. 90–91.

odpowiadało pewnym oczekiwaniom społecznym – ludzie chcieli oglądać widowiska na wysokim poziomie, a wraz z rozwojem mediów oczekiwania te stawały się coraz większe²²⁶. Choć oczywiście motywacja obu stron była zgoła odmienna.

W zamyśle władz sport miał być czynnikiem legitymizującym państwo, a samo widowisko sportowe, które stanowi jego kwintesencję – przestrzenią akceptacji ustroju. Szczególnie istotne były tu występy reprezentantów kraju w meczach międzypaństwowych, na imprezach rangi mistrzowskiej i Igrzyskach Olimpijskich. Zadaniem sportu było budowanie identyfikacji, tworzenie więzi pomiędzy widzami a instytucją, którą reprezentowali oklaskiwani sportowcy. Zawody sportowe stawały się doskonałą okazją dołączenia „przyjemnego z pożytecznym”. Imprezy sportowe, szczególnie te najwyższej rangi, jak coroczny Wyścig Pokoju, pozwalały w kontekście atrakcyjnych zmagania sportowców prezentować treści polityczne, lansować propagandowe wzorce.

Jak się miało okazać, mobilizowanie poparcia poprzez sport zawodniczy, chociaż włożono w to wiele energii i przeznaczono niemałe środki finansowe, nie było wcale takie proste. Główny problem polegał na tym, że widowisko sportowe, tzn. wszyscy jego aktorzy – zarówno ci rywalizujący na boisku, torze czy bieżni, jak i przypatrujący się tym zmaganiom z wysokości trybun, nie może być w pełni kontrolowane²²⁷. Nieprzewidywalność, niepewność, to, co Huizinga określił mianem „napięcia”, są immanentnymi cechami widowiska sportowego, które decydują

226 L. Szymański, *Kultura fizyczna i turystyka w Polsce Ludowej 1944–1989*, Wrocław 2004, s. 52.

227 R. Edelman, *Serious Fun. A History of Spectator Sports in the USSR*, New York–Oxford 1993, s. 108.

o jego atrakcyjności. W istocie widowiska sportowe – mecze, wyścigi, zawody lekkoatletyczne – stały się też dzięki temu jednymi z nielicznych publicznych przestrzeni wolności, swobody wyrażania opinii²²⁸.

Widowiska sportowe budowały „wspólnotę uczestniczących”, ale odbywało się to najczęściej wokół innych wartości i symboli niż te lansowane przez władze i nierzadko były właśnie manifestacją braku akceptacji dla nich. W istocie widowisko sportowe mogło zamienić się w miejsce zbiorowej kontestacji ustroju i propagandowych haseł. To zjawisko najbardziej chyba widoczne było podczas Mistrzostw Europy w boksie, które odbyły się w Warszawie w maju 1953 roku. Ten moment jednego z największych triumfów polskiego sportu w historii powojennej (Polacy zdobyli pięć złotych i dwa srebrne medale) był jednocześnie czasem patriotycznego uniesienia, manifestacją przywiązania do ojczyzny, ale bynajmniej nie tej ludowej. Maria Dąbrowska tak opisywała to wydarzenie:

Trudno opisać choćby tylko uchem chwyтany nastrój sali. Entuzjazm dla zawodników polskich wyrażany krzykiem i oklaskami można tylko porównać do huku morza w czasie sztormu. To było ogłuszające. A kiedy po piątym zwycięstwie wielotysięczny tłum zaczął gromowym głosem: „Jeszcze Polska nie zginęła” – i śpiewał, jak my nigdy nie śpiewamy – łzy pociekły mi z oczu i na usta cisnęły się słowa: „A kiedy śpiewa chór, drży serce wroga”. Zrozumiałam, że to „pod

228 Tamże. Autor wprawdzie opisuje sytuację w Związku Radzieckim, ale jego spostrzeżenia można z powodzeniem zastosować do sytuacji w Polsce w omawianym okresie.

boks” naród odkuwa się za wszystkie swoje upokorzenia. Śmieszne, ale to była wielka manifestacja patriotyczna²²⁹.

Słowa wybitnej pisarki potwierdzał Artur Starewicz, ówczesny kierownik Wydziału Propagandy Masowej KC PZPR, chociaż zachowanie publiczności oceniał z zupełnie innej perspektywy:

Zachowanie się sali, mimo naszych dużych wysiłków, do końca nie było właściwe. Charakterystyczna jest dwulicowość w postawie wielu osób spośród publiczności, które jawnie manifestowały swoje reakcyjne sympatie, tak długo jak nie czuły w pobliżu obecności grupy komunistów inaczej reagujących, gdy orientowały się w sytuacji, z miejsca zmieniały front, oklaskiwały zawodników radzieckich i z krajów demokracji ludowej. Fakty tego rodzaju zaobserwowano na skalę masową, przy czym nie tylko wśród obcej nam publiczności, ale również wśród młodzieży, wojskowych, wyższych pracowników państwowych itp. Postawa aktywu partyjnego i ZMP na Sali (prócz 300–400 towarzyszy, którzy przychodzili specjalnie poinstruowani) była b. mało aktywna, nie odczuwało się jego obecności szczególnie w momentach drażliwych politycznie. Ton na skutek tego nadawała nieraz niezbyt liczna, ale znacznie bardziej aktywna reakcyjna hołota²³⁰.

Ze zdecydowanie najmniejszą przychylnością kibiców spotykali się zawodnicy radzieccy. Można to było obserwować nie tylko

229 M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1945–1965*, Warszawa 1996, s. 388.

230 M. Ordyłowski, *Wielkie imprezy sportowe jako kampanie propagandowe PZPR...*, dz. cyt., s. 354.

na wspomnianych mistrzostwa Europy w boksie, ale także przy innych okazjach. Pisząca do Fali '49, popularnego wówczas programu radiowego, słuchaczka narzekała na zachowania kibiców podczas rozegranego w Warszawie meczu piłkarskiego pomiędzy miejscowym CWKS [Legia] a Dynamem Tbilisi:

Wracając wcześniej z meczu, gdyż już nie mógł wytrzymać, słysząc te ordynarne, obelżywe słowa, które padały w stronę piłkarzy sowieckich. Niektóre osoby zachowywały się wprost skandalicznie. Mianowicie rzucali w graczy Dynamo jabłkami, ogryzkami i nawet butelkami. (...) Krzyczeli, że polskim graczom specjalnie nie kazali wbijać bramek, że wszystko to lipa²³¹.

Kiedy z kolei w 1957 roku podczas odbywającego się w Warszawie ostatniego etapu Wyścigu Pokoju na Stadion Dziesięciolecia wjeżdżał samotnie rosyjski kolarz Anatolij Czerepowicz, jego finiszowi towarzyszyły gwizdy publiczności wypełniającej szczególnie trybuny olbrzymiego obiektu²³². W sensie politycznym przestrzeń widowiska sportowego była mieczem obosiecznym. Mogła zostać wykorzystana propagandowo, ale też posłużyć do politycznej manifestacji. W latach 50. jej siła oddziaływania była jeszcze stosunkowo niewielka – ograniczała się wyłącznie do osób zgromadzonych na danym stadionie. Ale później, za sprawą rozpowszechnienia telewizji, sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Dwa-dzieścia albo trzydzieści lat wcześniej gest, jaki na moskiewskich

231 *Księga listów PRL-u. Część pierwsza 1951–1956*, red. G. Sołtysiak, Warszawa 2004, s. 50.

232 J. Ferenc, *Sport w służbie polityki...*, dz. cyt., s. 213.

Łużnikach w 1980 roku wykonał Władysław Kozakiewicz, może nie przeszedłby bez echa (o ile w ówczesnej sytuacji politycznej zawodnik odważyłby się na jego wykonanie), ale stałby się co najwyżej podawaną z ust do ust opowieścią. Telewizja sprawiła, że jego świadkami stały się miliony ludzi, a „gest Kozakiewicza” nabrał znaczenia symbolicznego. Obraz ten dotarł też do niejednej małej miejscowości, podobnie jak wiele innych transmisji sportowych.

Wielkie wydarzenia sportowe, może z wyjątkiem wyścigów kolarskich, były (i tak pozostało do dziś) domeną dużych ośrodków. Do tych prowincjonalnych trafiały głównie poprzez środki masowego przekazu: relacje prasowe, transmisje radiowe i wreszcie, najpóźniej, telewizyjne. W ten sposób docierały informacje o sukcesach i porażkach. Wydaje się, że to właśnie media masowe miały decydujący wpływ na przenikanie opisywanej tu strategii postawienia na sport wyczynowy do najdalszych rejonów Polski. Niewątpliwie została ona na peryferiach zaszczerpiona i zaakceptowana, jednak bynajmniej nie w charakterze elementu legitymizującego instytucje państwa i jego ideologię. Przyswojono ją przede wszystkim jako z jednej strony propozycję atrakcyjnej formy spędzania czasu wolnego, z drugiej zaś jako kuszącą perspektywę zmiany stylu życia: pójścia w ślady podziwianych sportowych herosów i określenia swojej pozycji w ramach lokalnej społeczności właśnie w oparciu o nowy czynnik – wyczynowy sport.

Rowerem w świat

W 1974 roku w Lubartowie odbywała się kolejna edycja Wyścigu po Ziemi Lubartowskiej. Pośród wielu innych zawodników na starcie stanął również Janusz Pożak – wówczas niespełna dwudziestoletni zawodnik miejscowego LZS-u. Pochodził z oddalonej o kilka kilometrów od Lubartowa wsi Nowodwór. Miał już za sobą pierwsze sukcesy, ale nie był jeszcze szerzej znany. Jak wspominał, lubartowski wyścig był tylko jednym z wielu organizowanych w tamtym okresie na terenie całego województwa. Zawodnicy ścigali się na podobnych lub niższej rangi zawodach w niemal każdym mieście powiatowym: np. w Krasnymstawie, Radzyniu Podlaskim, Włodawie, Kraśniku oraz w samym Lublinie. Województwo lubelskie nie było przy tym żadnym wyjątkiem – setki podobnych imprez organizowano w całym kraju. Te lokalne wyścigi przyciągały liczne grono zawodników oraz cieszyły się sporym zainteresowaniem kibiców obserwujących rywalizację na trasie. Na wspomnianych zawodach w Lubartowie musiało być ich nawet więcej niż zazwyczaj. Przyjechali bowiem nie tylko kolarze z terenu województwa, ale przedstawiciele dobrych klubów z innych regionów kraju. Przede wszystkim zaś na starcie stanęli członkowie kadry narodowej, przygotowujący się do wyścigu dookoła Bułgarii: m.in. Stanisław Szozda, Wojciech Matusik i Edward Barcik. Po emocjonujących trzech etapach, dość nieoczekiwanie, biorąc pod uwagę klasę rywali, Pożak wyścig wygrał. Sukces miał oczywiście swój wymiar czysto sportowy – w pokonanym

polu pozostawił doskonałych zawodników. Lecz jego znaczenie, rozpatrywane w lokalnym kontekście peryferyjnego miasteczka, wykraczało, jak się wydaje, poza sam osiągnięty wynik. Pożak nie wygrał z jakimiś anonimowymi reprezentantami kraju, których umiejętności potrafili docenić jedynie znawcy kolarstwa. Ich nazwiska brzmiały znajomo zarówno stałym czytelnikom rubryk sportowych, jak i tym mieszkańcom miasteczka i jego okolic, którzy nie interesowali się na co dzień sportem.

Wojciech Matusiak miał w dorobku szereg sukcesów, m.in. wygraną w Tour de Pologne, startował też na Igrzyskach Olimpijskich w Meksyku (1968). Edward Barcik był mistrzem Polski, a zaledwie dwa lata przed lubartowskim wyścigiem zdobył w Monachium olimpijski medal w jeździe drużynowej na czas. Razem z nim w zespole jechał wówczas Stanisław Szozda, bezsprzecznie najbardziej znany z całej trójki rywalizującej z Pożakiem na lubartowskich drogach. Szozda był jednym ze sportowców o statusie ogólnopolskiego idola. Obok Ryszarda Szurkowskiego stał się symbolem polskiego kolarstwa lat 70. Medal olimpijski, znów srebrny, zdobył jeszcze na kolejnych igrzyskach w Montrealu, laury przywoził też z mistrzostw świata.

Oczywiście wszystkie te sukcesy wpływały na popularność wymienionych kolarzy. Bohaterami masowej wyobraźni stawali się jednak przede wszystkim dzięki wyścigowi odbywającemu się w kraju. Bowiem Szozda, podobnie jak Szurkowski, a wcześniej Królak, swoją pozycję pierwszej wielkości gwiazdy sportu zawdzięczał znakomitej postawie na trasie imprezy-symbolu peerelowskiego sportu: Wyścigu Pokoju.

Zawody, o których wspominaliśmy już w rozdziale poprzednim, po raz pierwszy odbyły się w 1948 roku. Jak wiemy, w założeniu Wyścig Pokoju miał odgrywać rolę wielkiej, rozłożonej



XIV edycja Wyścigu Pokoju – zawodnicy jeżdżący na
płytkę Stadionu Dziesięciolecia, 1961 rok.

w czasie manifestacji politycznej. Jednak to, co z perspektywy władz było projektem politycznym, wcale nie musiało tak wyglądać z punktu widzenia widzów zgromadzonych na trasie. Na pewno zdawali sobie sprawę z propagandowego wymiaru wydarzenia. Wydaje się jednak, że wszelkie elementy wiążące wyścig z ideologią oraz polityką były traktowane jako element scenerii, zespół rekwizytów, na których dobór przeciętny widz nie miał żadnego wpływu, a ich obecność trzeba było po prostu przyjąć do wiadomości. W oczach tak zawodników, jak i kibiców istota wyścigu leżała bowiem nie tam, gdzie widzieliby ją partyjni decydenci. Dla widzów był przede wszystkim wielkim, dość dobrze zorganizowanym wydarzeniem sportowym, w którym istotne były same zmagania na szosie oraz powstała wokół nich „święteczna” atmosfera. Dopingowano „swoich”, przyglądano się, dramatycznej nierzadko, walce na trasie, podziwiano umiejętności i wytrzymałość kolarzy. To wszystko było również

wydarzeniem towarzyskim, wspólnotowym. Rzecz jasna, ten aspekt i związane z nim emocje wykorzystywano w propagandzie. Bogdan Tuszyński, dziennikarz, którego nazwisko nieodłącznie kojarzy się z Wyścigiem Pokoju, tak wspominał rok 1954:

Kiedy więc 2 maja 1954 roku Mieczysław Wilczewski wygrał 1. etap dookoła Warszawy (...) – istny szal radości wstrząsnął milionami kibiców. (...) Na ulicach i placach naszych miast i miasteczek z wielkich gigantofonów płyną radiowe meldunki z Wielkiego Wyścigu. Na Marszałkowskiej, przy redakcji „Życia Warszawy” na placu Defilad, w godzinach zakończenia etapów – zamiera ruch. Sukcesy i wieści z wyścigu autentycznie interesują i angażują całe społeczeństwo. (...) Losy naszego ‘chrabąszcza’ – Elka Grabowskiego na trasie wyścigu – śledziły już nie tylko pensjonarki, ale dzieci, mamy i babcie²³³.

Relacje Tuszyńskiego – te z trasy, a także te wspomnieniowe – nasycone są emocjami kibiców, które z jednej strony Wyścig Pokoju wywoływał, ale też które sam reporter umiejętnie podsycił. W przywołanym tu fragmencie, który jest jednocześnie wspomnieniem i reprezentacją oficjalnego dyskursu epoki na temat tej sztandarowej imprezy, ujawnia się przy okazji informacja o pewnej istotnej cesze owego wydarzenia sportowego: dla rozchodzenia się informacji o wynikach na trasie kluczowe w tej dekadzie jest radio. To za jego pośrednictwem można dowiedzieć się, jaki jest aktualny stan rywalizacji albo kto wygrał dany etap, jako że bezpośrednie śledzenie finiszu było przywilejem stosunkowo

233 B. Tuszyński, *Wyścig Pokoju 1948–1988*, Warszawa 1989, s. 98–99.

niewielkiej grupy widzów. Tę specyfikę uczestnictwa w święcie sportowym, jakim niewątpliwie był Wyścig Pokoju, jeszcze lepiej być może uchwycił Leopold Tyrmand w swoim *Złym*. Głównym walorem tej po dziś dzień popularnej powieści nie jest bynajmniej jej nazbyt dydaktycznie wybrzmiewający fabularny wątek, ale mistrzowskie opisy codzienności Warszawy pierwszej połowy lat 50. Wpisywał się w nią także Wyścig Pokoju:

Ulicami ciężko było jechać. Małe, srebrnoniebieskie auta radiowe z umieszczonymi na dachach megafonami rozsiewały eks-cytujące meldunki z trasy wyścigu Warszawa–Berlin–Praga, biegły ku nim gromady ludzi na oślep, przez rozpędzone pojazdami jezdnie, gwałcąc przepisy ruchu, ryzykując wypadki i wywołując nieprzytomne wyzviska wychylonych z okienek szoferów. Obelgi urywały się zresztą w pół słowa, gdyż szoferzy tonęli od razu w rewelacjach nadawanego komunikatu: ich wyobrażenia zaczynała pracować nie gorzej od silników ich wozów, przed oczami przesuwająca im się wizja szosy, na której sześciu chłopców w białoczerwonych koszulkach z orłem na piersiach walczy w kurzu i znoju z obezwładniającym zmęczeniem, opornymi pedałami, nie kończąc się przestrzenią i kilkudziesięciu innymi chłopcami w innych koszulkach, równie jak oni pożądającymi zwycięstwa. Twarze szoferów łagodniały, oczy zachodziły marzycielstwem, westchnienia unosiły im pierś i ruszali z miejsca, przebacząc tym, którzy wycisnęli z nich zgrzyt nagłego hamowania i sekundę przeżalonego bicia serca²³⁴.

234 L. Tyrmand, *Zły*, Warszawa 2011, s. 674.

Oba te fragmenty sygnalizują początki rewolucji, jaka w drugiej połowie ubiegłego wieku dokonała się w sposobach uczestnictwa widzów w największych zawodach sportowych i szerzej w kulturze masowej. Zarówno dziennikarz sportowy, jak i autor *Złęgo* pokazują nam istotę tego dokonującego się na ich oczach procesu: oto znaczna część mieszkańców kraju uzyskała dostęp do stosunkowo szybkich informacji o sportowych wydarzeniach, a przede wszystkim, dzięki bezpośredniej transmisji, możliwe stało się bieżące uczestnictwo, aktualne, emocjonalne przeżycie sportowego widowiska. Przywołane przykłady dotyczyły wielkich miast, ale istotą zmiany było to, że te zjawiska pojawiły się na prowincji. Tu także ludzie zbierali się najpierw przy radiowych odbiornikach, a w późniejszych latach przed telewizorem, by śledzić zmagania sportowców. Pracujący w PGR ma Ziemiach Zachodnich pamiętnikarz relacjonował, jak kibicował kolarzom podczas Wyścigu Pokoju w 1961 roku:

Zaczął się znowu Wyścig Pokoju. Bardzo się tym co roku pasjonuję i przeżywam na równi z naszymi kolarzami zwycięstwa czy porażki. Słucham prawie wszystkich komunikatów. W tym roku to żeśmy nawet na ten czas przenieśli radio do biura i w odpowiedniej chwili włączali radioodbiornik, żeby wysłuchać komunikatu²³⁵.

Śledzenie wydarzeń sportowych było głównie męską rozrywką. Wyścig Pokoju przyciągał jednak przed radioodbiornik również niejedną kobietę. Jak zanotowała mieszkająca na wsi w województwie koszalińskim dwudziestosiedmioletnia wówczas

235 *Kulturę można stworzyć w każdym miejscu, pam. nr 2490, w: Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki, dz. cyt., s. 340.*

pamiętnikarka (a cytat ten jest swoją drogą także ciekawym przykładem dość nieporadnej autocenzury):

[1 V 1962] Bardzo zajmuje mnie kolarski wyścig pokoju. Uciekam po kryjomu z pola i słucham każdego sprawozdania radiowego z poszczególnych etapów. Jestem w siódmym niebie, że nasi kolarze tak świetną zajęli pozycję w tym roku, a oszalałbym chyba z radości, gdyby na przyszły rok pokonali Rosjan. Nie mam nic przeciwko nim. Nawet bardzo podoba mi się Sajdhużin, ale to było naprawdę piękne zwycięstwo²³⁶.

Znamienne i nieprzypadkowe jest przesunięcie czasowe występujące między przytaczanymi tu wypowiedziami dotyczącymi z jednej strony przestrzeni wielkowiejskiej, a z drugiej terenów wiejskich. Podczas gdy w połowie lat 50. albo posiadanie radioodbiorników w dużym ośrodku znajdowało się już w sferze oczywistości, w większości peryferyjnych wsi było dopiero pieśnią przyszłości. Proces elektryfikacji wsi ruszył wprawdzie właśnie w latach 50., ale na jego zakończenie trzeba było jeszcze poczekać. Łaknący radiowych audycji mogli jedynie słuchać radiowęzła („toczki”, „kołchoźniki” montowane były w większości na wsi) lub kupić zestaw do konstrukcji tzw. radia na kryształki (detektorowego), niewymagającego zasilania elektrycznego, do którego trzeba było używać słuchawek, więc odbiór pozostawał bardzo indywidualizowany²³⁷. Radia na baterie były drogie, a i bateria starczała co najwyżej na tydzień. Jednak wszędzie tam, gdzie podłączono

236 *Nie będę cichą gąską*, pam. nr 3864, w: *Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki*, dz. cyt., s. 689.

237 Zdzisław Kurkowski, relacja nierejestrowana, Konorzycze k. Łomży, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan.

prąd elektryczny, w ślad za nim niemal natychmiast pojawiały się kupowane prywatnie radioodbiorniki. Kolejny etap – zakup telewizora – w początkach lat 60. był bardzo odległą perspektywą: „Na razie nie mamy jeszcze radia, tylko głośnik. Chcemy więc sobie jeszcze radio kupić, a o telewizorze to nawet nie marzymy. W naszej wiosce też jeszcze nie ma żadnego telewizora”²³⁸ [trzydziestotrzyletni rolnik z województwa zielonogórskiego, 1962 rok].

Pierwsi wiejscy radiosłuchacze odgrywali w pewnym sensie rolę pionierów. A już z całą pewnością tak ich przedstawiała propaganda – reprezentowali przecież awangardę modernizacji, której symbolem była elektryfikacja i wszystko, co się z nią wiązało lub miało w przyszłości wiązać. Poza dyskursem propagandy istniały też i fakty, które świadczyły o tym, że niejednokrotnie w rodzinach wiejskich radio postrzegano jako niepotrzebną fanaberię. Młody rolnik z województwa krakowskiego narzekał, że kiedy pod koniec lat 50. elektryfikowano ich wieś, ojczym był najpierw przeciwny zakładaniu tzw. „siły” (trójfazowego prądu elektrycznego potrzebnego przy zasilaniu maszyn), „później nie oponował już przeciwko zakupowi silnika i maszyn (...), ale aparat radiowy musiałem w tajemnicy przed nim kupić i nigdy potem nie uznał, że to rzecz potrzebna”²³⁹.

Drugim poważnym wyzwaniem mogły okazać się właściwości stosowanego sprzętu:

Codziennie wieczorami [w październiku 1956 roku] schodzili się do nas co światlejsi rolnicy, aby wysłuchać wiadomości

238 *Kulturę można stworzyć w każdym miejscu, pam. nr 2490, dz. cyt., s. 341.*

239 *Cena dziedzictwa, pam. nr 2011, dz. cyt., s. 108.*

przez radio. Z braku większej ilości słuchawek ja słuchałem i potem opowiadałem. Po dzienniku z Warszawy słuchaliśmy „Głosu Ameryki”. Później chłopci do północy na swój sposób komentowali zasłyszane wieści²⁴⁰.

Zarówno w ostatnim przytoczonym fragmencie, jak wcześniej-szych dotyczących śledzenia wydarzeń sportowych tym, co zwraca uwagę w pierwszym rzędzie, jest sposób słuchania płynących z radia informacji. Wytwarza się szczególny rodzaj odbioru treści – jeszcze nie prywatny, ale już nie całkiem publiczny. Zgromadzeni przy radioodbiorniku kibice z PGR-u na pewno nie przypominali widzów kroniki filmowej wyświetlanej na początku lat 50. (co nie znaczy, że radio sprawiło, że nagle zaczęli unikać objazdowych kin). Z drugiej strony bardzo daleko im do młodych ludzi z lat 80. nagrywających na radiomagnetofony „Kasprzaki” piosenki prezentowane w „Trójce” albo do rodziny oglądającej mecz reprezentacji piłkarskiej na nieudanych mistrzostwach świata w Meksyku. Tworzenie się takich „prywatno-publicznych” audytoriów, które w latach 50. możemy obserwować w przypadku radiowych, a w następnej dekadzie telewizyjnych programów telewizyjnych, było w znacznym stopniu pochodną stopnia upowszechnienia urządzeń RTV. Szczególnie widoczne było to w odniesieniu do stosunkowo drogich telewizorów. Korzystano albo z uprzejmości sąsiadów, którzy odbiornik kupili, albo z instytucji kultury zlokalizowanych w danej miejscowości. Jak wskazywaliśmy w rozdziale pierwszym, taką funkcję spełniała na ogół szkoła. Na początku lat 60. mieszkanka jednej ze wsi w województwie krakowskim podkreślała:

240 *Awanse i porażki, pam. nr 3612, w: W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy, dz. cyt., s. 539.*



Szkola posiada radio i telewizor z wydziału oświaty, z których korzystają dzieci szkolne, młodzież wiejska, jak również my, starsi mieszkańcy wsi. (...) Teraz uczęszczam na telewizor, ile mam czasu. Po pierwsze, jest to rozrywka, a po drugie, nasza wiedza. Człowiek podziwia niektóre audycje. Ulubiona moja audycją jest audycja pt.: *Kobra* w każdy czwartek. Co czwartek zwołuję sąsiadki i razem idziemy na audycje telewizyjne. Z początku, pierwszy raz, nie bardzo chciały iść, ale teraz to one mnie często wołają²⁴¹.

241 *W kieracie obowiązków, pam. nr 4125, w: Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki, dz. cyt., s. 157.*

Wydaje się jednak, że w przypadku kibicowania sportowcom deficyty sprzętu tylko częściowo wyjaśniają gromadzenie się przy odbiornikach radiowych czy zbiorowe zasiadanie przed telewizorem. Niemniej istotna mogła być, obserwowana przecież także i dziś, potrzeba wspólnego przeżywania atmosfery sportowego święta, dzielenia towarzyszącymi mu emocjami – radością z sukcesu lub roztrząsaniem przyczyn porażki. Te zawiązywane przy radioodbiorniku czy telewizorze miniaudytoria nie mogły się oczywiście równać wielotysięcznym tłumom na stadionach. Lecz pod pewnym względem spełniały tę samą wspólnotową funkcję, a do tego chłoneły i oswajały rodzący się gdzieś daleko, w przestrzeni wielkomiejskiego stadionu wzorzec osobowy – figurę „wybitnego sportowca”.

Kiedy Janusz Pożak stawał na starcie Wyścigu po Ziemi Lubarowskiej, paradygmat kultury fizycznej, który zawarty był w przywołanej przez nas na wstępie poprzedniego rozdziału kronice filmowej, od dawna już nie obowiązywał. Ćwiczący na zbudowanym własnymi siłami boisku młodzi sportowcy z Zagościńca byli przede wszystkim przedstawicielami komunistycznej odmiany *l'homme moyen* – „człowieka średniego” Queteleta²⁴². Mieli znaczenie jako część większej całości, a oczekiwano od nich nie tyle bicia rekordów sportowych, co spełniania pewnych minimów sportowej sprawności. Na układ odniesienia, w którym zostali umieszczeni, składały się wymagania życia codziennego, postawa ideowa (powiązana z ideologią komunistyczną), zdolność do efektywnej pracy oraz służby wojskowej. W sensie praktycznym rdzeniem

242 Por. L. Grue, A. Heiberg, *Notes on the History of Normality – Reflections on the Work of Quetelet and Galton*, „Scandinavian Journal of Disability Research” 2006, vol. 8(4), s. 232–246.

takiego modelu było tzw. umasowienie kultury fizycznej, czyli w istocie maksymalne upowszechnienie rekreacji fizycznej. Jak wskazywaliśmy w poprzednim rozdziale, pomysł został dość szybko zarzucony i od 1952 roku państwo znacznie łaskawszym okiem zaczęło spoglądać na sport kwalifikowany. Przy czym faworyzowanie wyczynu nie może być rozpatrywane wyłącznie w kategoriach odgórnego, politycznego projektu. W istocie ta długofalowa strategia była społecznie akceptowana, a nawet oczekiwana. Rekreacja fizyczna jako pewien model spędzania czasu wolnego i sposób dbania o zdrowie przez ludzi w różnym wieku w Peerelu właściwie nigdy nie zaistniała na szerszą skalę. Punktem odniesienia zbiorowych wyobrażeń nie było ani pokonywanie własnych słabości (tak charakterystyczne dla współczesnych konceptualizacji amatorskiego sportu), ani budowanie kondycji potrzebnej w życiu codziennym (właściwe dla stalinizmu), lecz figura sportowca-herosa dystansującego rywali w sportowej walce. Apogeum takiej konceptualizacji kultury fizycznej możemy obserwować właśnie mniej więcej w okresie, kiedy Janusz Pożak wygrywa Wyścig po Ziemi Lubartowskiej. W roku jego triumfu cała Polska żyła znakomitym występem reprezentacji piłkarskiej na Mistrzostwach Świata w Niemczech. Dwa lata wcześniej polscy sportowcy przywieźli z igrzysk w Monachium dwadzieścia jeden medali, a na kolejnych – w Montrealu – jeszcze poprawili ten wynik, wracając z dwudziestoma sześcioma krążkami i zajmując szóste miejsce w klasyfikacji medalowej. Pierwsza połowa lat 70. to także czas triumfów kolarzy. Ryszard Szurkowski wygrywał Wyścig Pokoju w 1970, 1971, 1973 i 1975, a Stanisław Szozda, jak już wspominaliśmy – w 1972 roku. W połowie lat 70. mamy do czynienia z punktem kulminacyjnym zjawiska, które obserwować możemy już od pierwszej połowy lat 50. Wówczas rolę bohaterów

pierwszej wielkości spełniali pięściarze Feliksa Stamma, nieco później kibiców elektryzowały występy lekkoatletów prowadzonych przez Jana Mulaka. Mecz tzw. „wunderteamu” z reprezentacją Stanów Zjednoczonych w sierpniu 1958 roku stał się w Polsce wielkim wydarzeniem, a na Stadionie Dziesięciolecia zmaganiom sportowców przypatrywało się sto tysięcy kibiców. Wreszcie od końca lat 60. datują się sukcesy polskich piłkarzy – najpierw drużyn klubowych – Górnika Zabrze i Legii Warszawa, a potem reprezentacji narodowej już w latach 70.

Młodzi ludzie chcieli szczerze powtarzać sukcesy tych wszystkich zawodników, o których mogli przeczytać w gazecie, posłuchać w radio, a od pewnego momentu także obejrzeć w telewizji. Dzięki mediom masowym wybitny sportowiec stawał się nawet jeśli nie namacalny, to z pewnością bliższy. Nastoletni entuzjaści sportu już nie tylko z wielkomiejskich ulic i dzielnic, ale także z małych wiosek marzyli o tym, by samemu stać się takimi idolami – zostać wymienionym z nazwiska w prasie albo może nawet pojawić się w relacji radiowej. Włodzimierz Lubański wspominał, jakim przeżyciem była dla niego pierwsza wzmianka o jego grze w gazecie:

Pamiętam też pierwszy artykuł w śląskiej prasie na mój temat – w „Sporcie Śląskim”. Ukazał się po turnieju, który rozgrywaliśmy w Katowicach. Jako najmłodszy jego uczestnik strzeliłem wówczas kilka bramek i na drugi dzień ukazał się ten artykuł podkreślający moje umiejętności, talent i niesamowitą umiejętność strzelania bramek. Jaki ja byłem szczęśliwy, że moje nazwisko pojawiło się pierwszy raz w prasie! Byłem tak dumny, że pozwoliłem sobie na to, by jadąc do szkoły, w pociągu, otwierać ten „Sport Śląski” i pokazywać



Janusz Pożak (przyjmuje gratulacje) podczas finału plebiscytu na dziesięciu najlepszych sportowców Ludowych Zespołów Sportowych w 1979 roku.

kolegom: popatrzcie, tutaj o mnie piszą. Oczywiście pochwaliłem się też moim rodzicom²⁴³.

Sława, jaka była udziałem Królaka, Szozdy, Szurkowskiego czy Mytnika, i rozgłos samej największej imprezy kolarskiej bloku wschodniego działały na wyobraźnię młodych kolarzy. Jak zaznacza Pożak: „Każdy marzył, żeby w tym Wyścigu Pokoju pojechać, żeby to *Halo, halo, tu helikopter!* mówili”²⁴⁴. Lubartowski kolarz

243 W. Lubański, *Życie jak dobry mecz...*, dz. cyt., s. 56.

244 Janusz Pożak, wywiad 2.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

zresztą swoje marzenie spełnił. Dwukrotnie znalazł się w składzie polskiej reprezentacji: w 1978 i 1981 roku. Doświadczył wtedy, jak wielką popularnością cieszył się Wyścig Pokoju i startujący w nim zawodnicy:

Pamiętam mój pierwszy Wyścig, w 1978 roku. Podczas etapu do Jeleniej Góry wygrałem wszystkie lotne finisze. (...) W hotelu, w którym mieszkaliśmy [w Jeleniej Górze], dostałem killkanaście albo killkadziesiąt listów. Tak to było popularne²⁴⁵.

Osiągnął niewątpliwy sukces. Chociaż nie był gwiazdą na miarę Królaka czy Szurkowskiego, wszedł do elitarnej grupy – bardzo mocnej wówczas reprezentacji Polski w kolarstwie. Jeździł na międzynarodowe imprezy kolarskie (za swój największy sukces uważa drugie miejsce w mocno obsadzonym wyścigu dookoła Anglii), został mistrzem Polski w wyścigu ze startu wspólnego (1980 rok). Innymi słowy – osiągnął poziom dostępny dla wąskiej grupy najwybitniejszych sportowców i właściwy jej status.

Oczywiście większość uprawiających sport młodych ludzi nie mogło liczyć na takie sukcesy. Zatrzymywali się zazwyczaj na jakimś etapie sportowej kariery. Niezależnie jednak, jaki poziom ostatecznie osiągnęli, jednym z elementów, które skłaniały ich do uprawiania wyczynowego sportu, był zawarta w nim szansa na osiągnięcie wyższego statusu. I niejeden z nich, dzięki własnej determinacji i wsparciu otoczenia, takiego awansu doświadczał. W większości przypadków miał ów awans wymiar przede wszystkim lokalny. Odbывające się w małych miejscowościach imprezy sportowe, np. organizowane na fali popularności Wyścigu Pokoju

245 Tamże.

zawody o zasięgu wojewódzkim lub powiatowym, kreowały własnych bohaterów. Takie lokalne imprezy sportowe cieszyły się autentycznym zainteresowaniem mieszkańców miasteczek i ich okolic. Odgrywały one rolę prowincjonalnych odpowiedników wielkich ogólnopolskich wydarzeń. Ponadto konkurencja była niewielka z powodu nikłej oferty innych wydarzeń w regionie i do pewnego momentu niewielkiej dostępności telewizji. Andrzej Orłowski, trener związany z Kolnem, a wcześniej zawodnik z pobliskiego, nieco większego miasteczka Zambrów, wspomina:

Jak ci kolarze jechali z Białegostoku, przez Łomżę, Zambrów do Kolna – jak ludzie witali, jaki aplauz, jakie kwiaty, i było to ważne dla zawodników. Tak jak piosenkarz wychodzi na scenę i witają go oklaskami, a nie wygwizdują²⁴⁶.

Młodzi sportowcy uczestniczący w takich zawodach mieli dzięki osiąganym sukcesom możliwość wyróżnienia się w danej społeczności. Lokalni sportowcy, nawet jeśli nie byli podziwiani, na pewno stawali się rozpoznawalni. Wyróżniał ich już sam zestaw rekwizytów przynależnych sportowi kwalifikowanemu. W przypadku piłkarzy takim ważnym elementem identyfikacji i auto-identyfikacji był sportowy strój w barwach klubu i z naszytym jego herbem. Nie były to zwykle wyszukane wzory, ale nie od tego przecież zależał ich ładunek symboliczny. W przypadku lubartowskiego Lewartu, kiedy grał w nim cytowany już uprzednio Tadeusz Guz: „to były przeważnie niebieskie koszulki, spodenki białe, i emblemat Lewartu”; „Dla mnie to było zaszczytem, jak

246 Andrzej Orłowski, wywiad z 29.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

wybiegałem z koszulką Lewartu”²⁴⁷. Obuwie piłkarzy – specjalistyczne „korki” – miały funkcję przede wszystkim praktyczną, ale na aspirantach i „trampkarzach” robiły duże wrażenie. Jeszcze większe wrażenie na widzach robili trenujący kolarze. Ja wspominał Jan Bordzoł, pochodzący z Nowodworu (z tej samej wsi, w której dorastał Pożak), ścigający się w latach sześćdziesiątych:

Przez ten rower poznałem bardzo wielu ludzi, byłem zauważalny. (...) Ktoś tam pokazywał palcem: o kolarz jedzie; jeszcze nie wiadomo, kto to był, ale już pokazywali.

Trenujących w małych miejscowościach kolarzy wyróżniał już sam sprzęt, na jakim jeździli, i niecodzienny, sportowy ubiór:

Może to trochę wygląda jak chwalenie się. Ale było coś takiego: kurde, „kolarz!”, „rower!”. No i ubrany zawsze inaczej, ciuchy już miałeś takie trochę [inne]²⁴⁸.

Takie reakcje po części wynikały zapewne z używania zaawansowanego i niedostępnego dla przeciętnego człowieka sportowego sprzętu (roweru wyścigowego). Dodatkowo, w odróżnieniu od piłkarzy szlifujących formę na zamkniętym i położonym najczęściej gdzieś na uboczu boisku, kolarze wdzierali się ze swoimi technicznie zaawansowanymi rowerami w rytm codziennego życia – trenowali wszak na publicznych drogach.

247 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

248 Jan Bordzoł, wywiad z 25.04.2014, Nowodwór, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.



Wyścig kolarski na ulicach Lubartowa, lata 50.

Niezależnie od rodzaju dyscypliny, wyczynowe uprawianie sportu wiązało się z osiągnięciem ponadprzeciętnego statusu w świecie małego miasta lub wsi. Jego oznaką mogło być na przykład nieco inne traktowanie przez nauczycieli. We wspomnieniach do dziś powtarza się wątek „specjalnego traktowania”: „Wszyscy o wszystkim wiedzieli. Ja chodziłem do zawodówki. Nauczyciele byli kibicami. Wiedzieli, że w poniedziałek już jestem po wyścigu, to tam bardzo nie dokuczali”²⁴⁹.

Czasami korzyści miały bardziej wymierny charakter (choć z całą pewnością nie było to regułą) – zawodnicy miejscowego klubu mogli na przykład liczyć na przychylność urzędników przy przydzielaniu mieszkania.

249 Tamże.

Najczęstszą formą uznania był po prostu podziw ze strony otoczenia. Jak relacjonuje Tadeusz Guz:

Ja mam brata [kuzyna], mówi: „Słuchaj, jak ty grałeś w piłkę i twój ojciec, to my byliśmy tak uważani w Skrobowie [ludzie mówili], bo twój kuzyn gra mecz”. A jeździliśmy grać i do Kozłówki, cały Skrobów [wtedy] szedł na piechotę, bo Heńka brat gra albo Wacka brat gra. [A po dobrym meczu ludzie mówili:] „Ale ci mecz wyszedł, ale zagrałeś”. Ja, jak dziś Lewandowski [śmiech]²⁵⁰.

Swoistą formą gratyfikacji dla wyróżniających się zawodników (dotyczyło to w szczególności piłkarzy) było „stawianie” posiłków bądź alkoholu w miejscowej restauracji, w której spotykano się po meczu²⁵¹.

Dodać trzeba, że ten wysoki status wśród miejscowych okupiony był często olbrzymim wysiłkiem, a uprawianie sportu na wysokim poziomie wymagało wielkiej determinacji. Najczęściej zawodnicy z małych miast i otaczających je wsi musieli łączyć sport z nauką i pracą. Jak wspominał Stanisław Barczak, obrońca w drużynie Lewartu, pracujący na co dzień jako hydraulik:

Zacząłem pracować, miałem szesnaście lat, [w] 1960 roku, na LSM-ie w Lublinie. (...) W pewnym momencie było tak:

250 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

251 Antoni Połomski, wywiad z 20.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki; Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora; Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

od 7.00 do 15.00 w pracy. Później albo się coś zjadło, albo nie, leciało się na prywatkę, trzeba było zarobić. A o 19.00 na trening jeszcze [w Lubartowie]. I tak cztery razy na trening i w niedzielę wyjazd [na mecz]. I tak parę lat na okrągło. Trzeba było mieć końskie zdrowie²⁵².

W przypadku sportowców pochodzących ze wsi poważnym problemem mógł być także stan infrastruktury drogowej i pogoda:

Jak tak na zdrowy rozum pomyśleć, ile to musiało być wytrwałości w człowieku... (...) Trzymałem rower u kolegi w Lubartowie. Jak przychodził marzec, kwiecień, dochodziłem w jakichś butach nieprzemakalnych [z Nowodworu], bo (...) śnieg dopiero ginał pod koniec kwietnia, w maju. Nie dało się dojechać do Lubartowa, bo nie było szosy przecież. (...) I miedzami się szło, tam gdzie można było przejść, i dopiero [u niego] się przebierałem. Jego matka to była druga naszą matką. Bo ona nam i jeść zrobiła, i taki punkt [spotkań] był u niego w domu²⁵³.

Z warunkami pogodowymi, nawet bardzo trudnymi, można było sobie jednak poradzić i na przykład zbyt przewiewny dres „uszczelnić” wkładanymi pod niego gazetami²⁵⁴. Znacznie poważniejszy problem stanowił podstawowy sprzęt każdego

252 Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

253 Jan Bordoń, wywiad z 25.04.2014, Nowodwór, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

254 Janusz Pożak, wywiad z 2.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

kolarza – rower. Młody zawodnik w małym miasteczku w latach 50., 60. i 70. zaczynał zazwyczaj na swoim lub pożyczonym, najczęściej zbyt dużym rowerze. W Kolnie legendarny w tym mieście Bronisław Nerko w pierwszych swoich wyścigach we wczesnych latach 50. startował na rowerze „balonowie” z drewnianą ramą. Na tym samym, na którym rozwoził pocztę jako miejscowy listonosz²⁵⁵. Początki Janusza Pożaka to zupełnie niedopasowany rower z ramą już nie drewnianą, ale z kolei skrzywioną. Ci, którzy się wybili, zapracowali na rowery kupowane przez kluby – Huragany, a potem Jaguary. Jakkolwiek były one lepsze od pierwszych rowerów, okazywały się zawodne i nieodpowiadające wymaganiom zawodników. Praktyka była taka, że sportowcy na różne sposoby starali się zdobywać lepsze (zagraniczne) części i z nich składali rowery. Jak relacjonował przywoływany Jan Bordzół:

Na polskim rowerze nie dało się jeździć i to wszyscy wiedzieli. Ale czasy były takie, że rachunek musiał się zgadzać. Dawali nam normalnie Jaguary ze sklepu i nierozpakowane w ogóle wieźliśmy do Warszawy. Tam oddawało się je za pół ceny tym wszystkim, którzy handlowali sprzętem włoskim, japońskim. (...) Za taki rower (...) można było kupić siodełko i pedały. Żeby dobry rower złożyć, trzeba było sprzedać kilka rowerów. Na sprzęt zagraniczny nie było rachunków, po prostu człowiek sam to załatwiał²⁵⁶.

255 Tamże.

256 Jan Bordzół, wywiad z 25.04.2014, Nowodwór, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Chłopcy z Kolna i Zambrowa wyprawiali się po części do Warszawy, do słynnego Stanisława Królaka, który w latach 60. miał sklep rowerowy. Jechali, a jakże, rowerami. Samo pokonanie około stu pięćdziesięciu kilometrów nie było dla nich niczym wielkim, to były dystanse treningowe. Wyprawa do stolicy była jednak czymś więcej niż przekroczeniem dalekich granic swojego miasteczka czy powiatu.

Jakikolwiek by był, rower i dosłownie, i metaforycznie pomagał opuścić granice małego miasta i powiatu. Stawał się narzędziem umożliwiającym wyrwanie się w świat. Jest to warte podkreślenia o tyle, że wielu spośród kolarzy z miejscowości, którym się przyglądamy, pochodziło ze wsi położonych w ich okolicach. Pierwszą i – jak się wydaje – najtrudniejszą do sforsowania granicą był płot własnego gospodarstwa. Rodzice niechętnie patrzyli na nowe zajęcie synów, którzy zamiast pomagać w pracy, spędzali po kilka godzin na treningach. Wychodzenie na trening przybierało najczęściej postać ucieczki:

W dzień, kiedy można pracować, ja musiałem zasuwać na trening. Ja np. miałem z ojcem tak, że musiałem go czasami okłamać. Miałem trochę problemów z matematyką – mówiłem, że zostaję na kółko matematyczne. W tym czasie gdzieś tam chowałem teczkę i jechałem (bo później już dojeżdżałem do szkoły rowerem wyścigowym) i jechałem na trening. Czasami nie w stroju sportowym (...), chyba że sobie gdzieś spodenki przemyciłem. (...) Pamiętam, że był taki Wyścig po Ziemi Lubelskiej dla juniorów i (...) poprosiłem ojca, żebym mógł zobaczyć, jak koledzy się ścigają. Bo ja w tym czasie musiałem „parkiet” zrywać, obornik. I nie mogłem wystartować, mimo że byłem tutaj najlepszym kolarzem na Lubelszczyźnie

i liczącym się w kraju. (...) Musiałem coś tam zrobić, jakieś tam porządki, [pokazać] że lekcje mam zrobione, wtedy mogłem się na chwilę wyrwać na trening²⁵⁷.

Stosunek najbliższych zmieniały najczęściej pierwsze większe sukcesy. Ich najlepszym potwierdzeniem było wymienienie nazwiska młodego sportowca w miejscowej gazecie:

W ogóle im [rodzicom] się w głowie nie mieściło, że chłopak, syn rolnika może codziennie trzy–cztery godziny przejechać się rowerem. (...) Dopiero, jak widzieli sukcesy, prasa, zmieniłi podejście. No bo to coś następuje, że człowiek się cieszy, jak przeczyta, jak się pochwali przed sąsiadem. Pamiętam, jak już zacząłem wygrywać. Ojciec brał gazetę w rękę i szedł do mleczarni [gdzie mógł pochwalić się sukcesami syna]. Ale to było już później²⁵⁸.

Właściwie trudno dodać coś więcej do powyższej wypowiedzi. Można ją uzupełnić o fakty, takie jak ten, że nie tylko na wsi rodziny zajmowały się rolnictwem. W małych miastach, na ich skrajach, również duża część gospodarstw miała charakter rolniczy i z tego się utrzymymano. Takim miasteczkiem było Kolno, Jedwabne, Zambrów, jeżeli tylko wymieniać przykłady w promieniu dwudziestu kilometrów. W mentalności starszego pokolenia mieszkańców wsi czy prowincjonalnego miasteczka nie było miejsca

257 Janusz Pożak, wywiad z 2.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

258 Jan Bordzół, wywiad z 25.04.2014, Nowodwór, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

na sport, czyli na wielogodzinną, codzienną aktywność fizyczną nieprzynoszącą wymiernej (tj. materialnej) korzyści. Nie była to praca i nie był to odpoczynek, bo za taki uważano po prostu brak wysiłku fizycznego. Sport był więc elementem innego stylu życia i jako taki trudno, żeby był bez zastrzeżeń zaakceptowany przez starsze pokolenia²⁵⁹.

Rower z uwagi na specyfikę dyscypliny – udział w wyścigach w różnych częściach województwa i kraju – dawał szanse na stosunkowo częste wyjazdy – poznawanie nowych miejsc i ludzi. Do dziś kolarze, nawet ci, których przygoda ze ściganiem skończyła się po kilku latach, wysoko cenią sobie właśnie ten aspekt swojej aktywności sportowej. Jak mówił Andrzej Orłowski, opowiadając o zawodach w Gdańsku: „Gdzie ja bym do Gdańska pojechał? Jak?! Po co?!”. W podobnym tonie wypowiadał się jego rówieśnik z Lubartowa Jan Bordzół: „Dzięki temu, że się ścigałem, to w każdym większym mieście w Polsce byłem, wszystkie góry przejechałem dokładnie, parę razy (...) byłem też nad morzem”.

Wyjazd ze wsi czy miasteczka do dużego miasta w celach innych niż zarobkowe czy typowo edukacyjne był swoistą aberracją, w każdym razie czymś niezwykle rzadkim. Wizyty w górach czy nad morzem też nie należały zapewne do częstych. Uczestniczący w wyścigach młody kolarz poszerzał horyzont znanego sobie świata, poznawał nowych ludzi, wreszcie – przeżywał przygodę niedostępną dla jego rówieśników, którzy zostali w rodzinnej miejscowości. Nie bez znaczenia bywało także i to, że przy okazji zawodów można było „dobrze zjeść” (co akurat w kolarstwie jest bardzo ważne), ale również miało walory poznawcze. Ten aspekt

259 *O problemie czasu wolnego na wsi w PRL*, zob.: E. Szpak, *Mentalność ludności wiejskiej w PRL...*, dz. cyt., s. 138–161.



Przed treningiem kolarskim. Na zdjęciu Andrzej Orłowski (trener) i Sławomir Milewski (w środku), wieś Ptaki k. Kolna, połowa lat siedemdziesiątych.

podkreślają obaj cytowani wcześniej zawodnicy. Jak wspominał kolarz z Kolna:

Przykładowo w domu się jadło kielbasę i to, co było. Natomiast jak się pojechało na wyścig... Na wyścigu było lepsze jedzenie: pomidory, kaczki, czekolady. Rzeczy, których w domu się nie spotykało²⁶⁰.

Posilić można się było także dzięki otrzymywanym dietom:

²⁶⁰ Andrzej Orłowski, wywiad z 29.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.

Pamiętam – trzynaście złotych wynosiła dieta dzienna. Można było za nią sporo zjeść. (...) Kolarz to nie biegacz. (...) Zjadło się dwa drugie [dania] i się od razu jechało, bo to nie przeszkadza. A jeszcze taka restauracja „Masarska”, taka była w Lubartowie, to się zjadło dwa drugie [dania], flaki, poleciało się jeszcze po dziesięć ciastek dodatkowych. (...) I te trzynaście złotych wystarczyło²⁶¹.

Warunki, w jakich zawodnicy podróżowali na zawody, trudno uznać za komfortowe. Młodzi kolarze często korzystali po prostu z kolei i kursowych autobusów – a cała sztuka polegała na przekonaniu kierowcy, że kolarz sam zamontuje rower na dachu jelcza, a lakier pozostanie nienaruszony²⁶². Wyjazdy na wyścigi w odległych miejscowościach wymagały od nich często sporej wytrwałości, pomysłowości i brawury. Janusz Pożak tak wspomina swoją podróż na mistrzostwa Polski w latach 70.:

Z klubu nie miał kto jechać. Wziąłem rower, wsiałem do pociągu do Krakowa, z Krakowa do pociągu do Zakopanego. Przyjechałem, nie miałem gdzie spać. Wszedłem do domu, który się budował, przez okno takie deskami zabite, położyłem sobie dresy itd. na podłodze, przespałem się. Dobrze że nikt tam nie wszedł... Rano (...) jakąś jajecznicę zjadłem i wystartowałem w Mistrzostwach Polski²⁶³.

261 Jan Bordzół, wywiad z 25.04.2014, Nowodwór, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

262 Tamże.

263 Janusz Pożak, wywiad 2.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Z jednej więc strony kolarze przejeżdżali setki kilometrów w bezpośredniej okolicy swego miasteczka – na treningach szosowych czy przełajowych. Dzięki tym ostatnim znali każdą piędź ziemi w sąsiednich lasach i łąkach, każdy wystający korzeń i kamień. Wiedzieli, gdzie późną jesienią może być cienki lód, a gdzie błoto. W ten sposób zakreślali szerzej granice geograficzne swojej miejscowości – wielokrotnie ją objeżdżając, okrążając, powtarzając trasy. Wciąż jednak byli u siebie, a trening kończył się powrotem do domu. Wyjazdy na zawody oraz po części rowerowe były wyjściem poza swojskość i poza dotychczasowe życie. Do dziś nasi rozmówcy są tego świadomi i podkreślają to w wywiadach.

To małomiasteczkowe „otwieranie okna na świat” było obecne także w innych dyscyplinach. Mogło przyjmować dość spektakularną postać, jak w przypadku lubartowskich tenisistów stołowych, którzy w 1974 roku udali się na wizytę do Korei Północnej. O tym, że było to ważne wydarzenie, przekonuje kronika klubowa – zdjęcia z wyjazdu są w niej eksponowane i zajmują kilka stron. Z kolei rewizyta pingpongistów koreańskich była wydarzeniem w życiu miasta. Sala domu kultury, w której rozegrano towarzyski mecz, pękała w szwach²⁶⁴. Z całą pewnością ta polsko-koreańska wymiana była uwarunkowana politycznie. Z drugiej jednak strony, w sensie czysto sportowym, dla pingpongistów była to bardzo dobra okazja do podpatrzenia metod stosowanych przez świetnych wówczas zawodników koreańskich.

Piłkarze natomiast rywalizowali zazwyczaj w obrębie własnego województwa. Miejscowości, do których jeżdżono, dzieliły się na

264 Lech Wójcik, Małgorzata Kanar, wywiad z 24.04.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

te mniej i bardziej ważne – było to pochodną wielkości danego ośrodka i siły grającej tam drużyny. Jak wspominał zawodnik z Lubartowa:

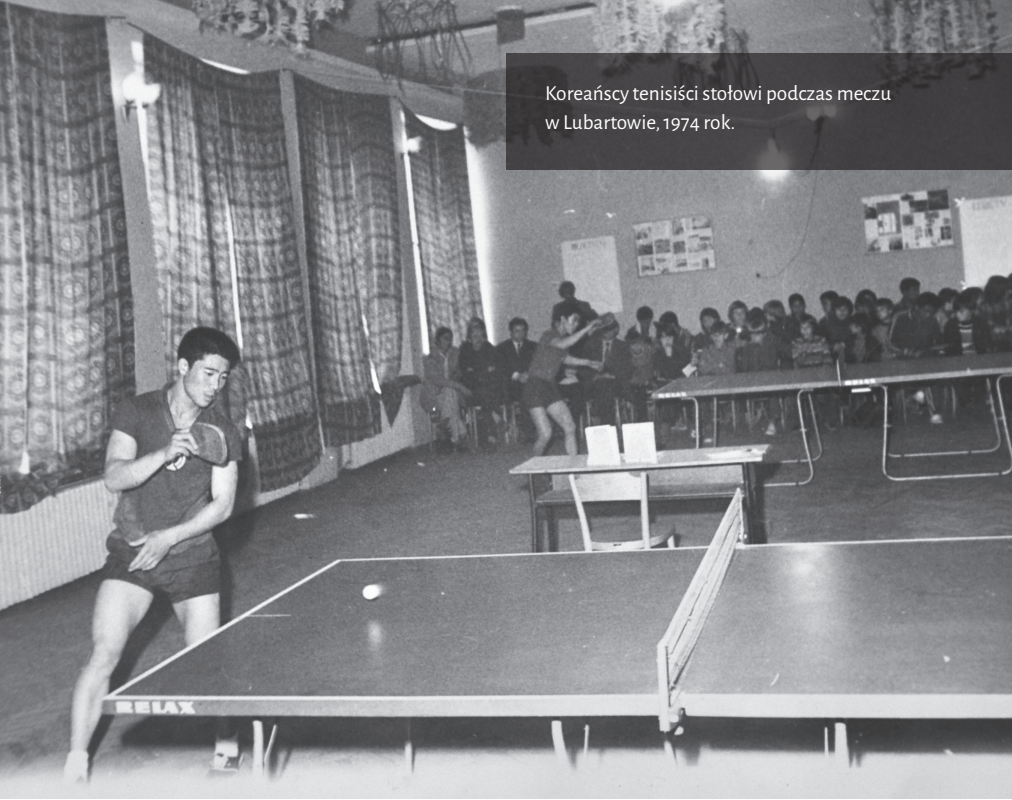
Trafiało się, że się przegrywało głupie mecze. Ale jak trzeba było... Z tymi większymi miastami to był taki priorytet, żeby ich ogrywać. No bo gdzieby... Mobilizowaliśmy się. Puławy, Zamość to były większe miasta. Powiedzmy Chełm nawet. Ale jak tam te inne takie... się jeździło do Stoczka Łukowskiego pamiętam – to była wieś, do Milanowa – to była wieś, to się tam olewało²⁶⁵.

Co warto podkreślić, jeżdżono również na obozy i zgrupowania – czasami odbywały się w najbliższej okolicy, ale np. piłkarze Lewartu w latach 60. i 70. odwiedzili m.in. Karpacz czy Mrągowo. O ile w przypadku sportu indywidualnego, jakim było kolarstwo, możliwe było samodzielne podróżowanie koleją lub komunikacją samochodową, o tyle przedstawiciele dyscyplin drużynowych potrzebowali transportu specjalnie dla nich zorganizowanego. W pierwszych dekadach PRL podróżowano zazwyczaj otwartymi samochodami („na pace”), zabezpieczonymi ewentualnie plandeką. Z biegiem czasu (w latach 70.) ciężarowe samochody zostały zastąpione przez autobusy. Szczególnie w początkowym okresie zdobycie takiego samochodu nie było rzeczą prostą – stanowiło jedno z najważniejszych zadań stojących przed działaczami sportowymi²⁶⁶.

265 Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

266 Zob.: A. Wierzbicki, *40 lat Klubu Sportowego „Orzeł” Kolno*, praca magisterska, mps.; J. Kleczyński, *Zarys dziejów KKS „Orzeł” Kolno*, dz. cyt.

Koreańscy tenisiści stołowi podczas meczu
w Lubartowie, 1974 rok.



Wyjazdy na zawody były wyjściem poza swojskość i poza dotychczasowe życie. Sukcesy sportowe budowały zaś nie tylko doraźnie wyższą pozycję towarzyską, ale w połączeniu ze wzbudzonymi aspiracjami mogły prowadzić do awansu społecznego. Socjolodzy nazywają to mobilnością wertykalną: kiedy „wywołane i utrwalone w czasie kariery sportowej aspiracje do końca zostają zrealizowane po jej zakończeniu”²⁶⁷. Empiryczne badania socjologów późnego Peerelu dotyczyły co prawda przede wszystkim zawodników osiągających wysoki pułap w karierze sportowej, ale

267 A. Pawlak, *Jednostka w kulturze fizycznej*, w: *Sociologia kultury fizycznej*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1995, s. 246.

wyduje się, że wnioski wyciągnięte z analizy karier olimpijczyków można ekstrapolować na środowisko sportowców poziomu „powiatowego”. Byli zawodnicy olimpijscy, w większości wywodzący się ze środowisk robotniczych, wykonywali mianowicie głównie „zawody inteligenckie”, a ich „awans społeczny (w układzie międzypokoleniowym) został wzmocniony przez małżeństwa z przedstawicielami inteligencji i utrwalony w strukturze inteligenckich zawodów ich dzieci”²⁶⁸. Sportowiec wywodzący się ze wsi lub małego miasteczka, dzięki swoim osiągnięciom w skali województwa, mógł liczyć nie tylko na dalszy rozwój kariery sportowej (np. w ramach transferów), co przecież nie zawsze było w jego zasięgu, ale przy odrobinie własnych starań mógł szybko odnaleźć się w nowych, lepszych warunkach społecznych i materialnych świadczących o awansie. Biografie lokalnych sportowców wypełniają fakty świadczące o zwrotach w życiorysach. Oto uczniowie zasadniczych szkół zawodowych po osiągnięciu sukcesów sportowych realizują się w innym kierunku: zdają egzaminy maturalne, podejmują kursy trenerskie, pedagogiczne, kształcą się na uczelniach wychowania fizycznego, pracują w zawodach takich jak nauczyciel, instruktor kulturalno-oświatowy lub etatowy działacz sportowy. Ważnym elementem tego awansu są również dobra materialne, np. mieszkania, które otrzymują zasłużeń dla regionu zawodnicy.

Sport kwalifikowany uprawiany na najniższym nawet szczeblu otwierał podobne możliwości dla szerszego kręgu bezpośrednio zaangażowanych osób. Trenerzy, sędziowie, działacze społeczni – wszyscy mieli szansę wspiać się na wyższy poziom w ramach organizacji sportowych. Jak podkreślali socjolodzy, w grupie

268 Tamże.

działaczy społecznych sport mógł być czynnikiem „wzmacniającym lub ozdabiającym posiadaną pozycję pozasportową”, ale również działał jako „siła napędowa awansu ludzi o stosunkowo niskim położeniu społeczno-zawodowym”²⁶⁹. Jakikolwiek byłby to ruch – czy o jeden stopień w górę (od małego do dużego klubu, od gminy do powiatu), czy wyżej – zawsze był wyjściem od peryferii do centrum, w stronę symbolicznych „światła miasta”.

Światła miasta

Zajrzyjmy wraz z Augustynem Górką, studentem Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, który w 1963 roku przygotowuje się do napisania pracy magisterskiej, do wsi Lipnica Mała. Wybrał ją na studium przypadku, aby zbadać środowisko wychowawcze uczniów szkoły podstawowej. W tymże roku wieś zajmuje powierzchnię dwudziestu kilometrów kwadratowych; w czterystu pięćdziesięciu dwóch domach, z których 80% to chaty drewniane, zamieszkuje trzy tysiące czterystu pięćdziesięciu siedmiu mieszkańców. Warunki geograficzne nie są dla mieszkańców wsi korzystne: na mało urodzajnej glebie uprawiać mogą owies, ziemniaki i jęczmień. Gospodarstwa zaliczają się według ówczesnego podziału do małych i średnich. Wiele młodych rodzin ma trudności z utrzymaniem się z rolnictwa i znaczna ich liczba wyjeżdża na Śląsk lub do Nowego Targu, gdzie w 1955 roku otwarto kombinat przemysłu skórzanego. Licznie wyjeżdżają również młodszy – po siedmioklasowej szkole podstawowej udają się do liceum w Jabłonce lub do szkół zawodowych w Nowym Targu. We wsi są aż trzy szkoły podstawowe, bo dzieci jest dużo – uczniowie rekrutują się z wyżu, w którym między 1948 a 1959 rokiem rodziło się w Polsce około siedmiuset tysięcy dzieci rocznie. W Lipnicy w 1963 roku nie ma jeszcze elektryczności, brak stałej opieki lekarskiej czy felczerskiej. Jest biblioteka gromadzka, świetlica, w której można znaleźć czasopisma, a raz w tygodniu przyjeżdża kino objazdowe z Jabłonki. Kulturę i propagandę głoszą – dosłownie – głośniki

(nie radioodbiorniki) zainstalowane w trzystu dwudziestu domach. Augustyn Górka lakonicznie stwierdza, że we wsi istnieją wszelkie właściwe formy społecznej aktywności, mianowicie: PZPR, ZMW, ZHP oraz Kółko Rolnicze. Można domniemywać, że prócz ZHP obecnego w szkołach członkowie pozostałych organizacji to dorośli mieszkańcy, a aktywność społeczną tego rodzaju przejawia głównie tzw. „inteligencja pracująca”, którą we wsi stanowi trzynaście osób – nauczyciele. Są tu również, jak zauważa student, „półinteligenci” w liczbie jedenastu, do których zaliczył pracowników Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, Poczty i Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej²⁷⁰.

Magistrant zbadał dokładnie sto rodzin z Lipnicy i na podstawie wywiadów, ankiet, analizy szkolnych kart zdrowia i obserwacji ustalił kolejne interesujące fakty, które przybliżają nam społeczny obraz wsi²⁷¹. Spośród badanych rodzin 86% stanowią rodziny pełne. Nieco ponad połowa utrzymuje się wyłącznie z gospodarstwa. W ok. 20% rodzin ojciec albo starsze rodzeństwo dodatkowo pracują poza gospodarstwem, a tylko w 5% rodzin pracuje zawodowo matka. Nie znamy niestety kryteriów doboru próby badawczej, choć wysoce prawdopodobna wydaje się praca w szkole lub w wymienionych organach administracji. Mężczyźni pracujący poza gospodarstwem zaliczają się do powiększającej się w owym czasie w kraju grupy chłoporobotników.

270 A. Górka, *Rodzina wiejska jako środowisko wychowawcze i jej oddziaływanie na stan zachowania się ucznia, postępy w nauce oraz stan zdrowia i sprawność fizyczną. Na podstawie materiałów zebranych w szkołach podstawowych nr 2, 3 w Lipnicy Małej*, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego w Krakowie, Kraków 1963/64, mps, s. 12.

271 Autor prowadził badania, kierując się wskaźnikami J. Pietera, *Poznanie środowiska wychowawczego*, Kraków 1960.

Spśród badanych rodzin 28% posiada sześcioro i więcej dzieci, 26% – czworo dzieci, 16% – pięcioro, 14% – troje, 16% – dwoje i mniej. Na podstawie obserwacji student ustalił, że ponad połowa rodzin mieszka w dwuizbowych (wliczając w to kuchnię), drewnianych chałupach, 37% zamieszkuje w trzech izbach. W osiemdziesięciu siedmiu rodzinach jedno łóżko musi pomieścić dwie osoby. Wieś, jak wiadomo, nie posiada elektryczności, nie ma też kanalizacji. W gospodarstwach nie zabezpiecza się również studni przed zanieczyszczeniami. Według autora pracy magisterskiej jedna trzecia badanych rodzin ma mieszkania brudne, kolejna – brudne i ciemne. W ankietach na temat korzystania z dostępnych dóbr kultury aż 59% badanych dorosłych twierdzi, że czyta gazety, czasopisma i książki. Ten wynik wydaje się rezultatem uległości respondentów wobec propagowanej normy niż odzwierciedleniem rzeczywistego stanu. Bardziej wiarygodna – w świetle informacji o ogólnej liczbie głośników („taczek”, „kołchoźników”) we wsi – może być odpowiedź na pytanie o posiadanie tego nośnika kultury, na którą pozytywnie odpowiedziało 21% badanych rodzin. Podobnie wiarygodnie brzmi stwierdzenie, że 10% rodziców chodzi do kina, które przyjeżdża do wsi.

Prowincjonalny charakter Lipnicy Małej wydaje się oczywisty z racji jej geograficznego usytuowania. Dla porównania przypomnijmy sobie rodzinną wieś Stanisława, bohatera naszego pierwszego rozdziału. Przytuły-Las, mimo że leżą na północno-wschodnim Mazowszu, w 1963 roku również nie były jeszcze zelektryfikowane. Standardem była drewniana, trzyizbowa chałupa, choć możliwości, jakie wiązały się z kupnem przywożonej z byłych Prus cegły, sprawiły, że niektórych gospodarzy stać było na budowę domu murowanego. Autor pracy o Lipnicy nie wspomina o ważnym wskaźniku rozwoju miejscowości, jakim jest

komunikacja – w szczególności z lokalnymi centrami administracji i życia społecznego. Wiemy, że z oddalonej od ok. dziewięć kilometrów Jabłonki, siedziby gminy, przyjeżdżało do Lipnicy kino i do Jabłonki dzieci szły uczyć się w liceum ogólnokształcącym. Przytuły-Las oraz sąsiednie Przytuły dzielił podobny dystans od Jedwabnego – miasteczka, w którym było liceum, urząd gminy, administracja GS i gdzie odbywał się cotygodniowy duży targ. Dziewięciokilometrowa odległość w każdym przypadku i w różnym czasie mogła znaczyć coś innego. Pokonanie jej pieszo, rowerem lub zaprzęgiem konnym wyznaczało granice kontaktu z miastem: czas, jakiego wymagała podróż tam i z powrotem, był długi, a przy tym przecież tak cenny przy trybie pracy obowiązującym na wsi. Podobnie cenny dla ucznia, który przeniósł się do internatu szkolnego i przy sześciodniowym tygodniu pracy rzadko mógł sobie pozwolić na odwiedziny w rodzinnej wsi. Dlatego to kino z Jabłonki przyjeżdżało do Lipnicy, tak jak kino z Jedwabnego do Przytuł, a nie odwrotnie – widzowie do kina. Byłby to z ich strony kosztochłonny wysiłek, przy tym niewspółmierny do korzyści. Rozrywkę można było osiągnąć na wsi taniej i na wiele innych, bardziej uznanych, tradycyjnych, sposobów. Ruch w stronę lokalnego centrum odbywał się więc przy potrzebach uzasadnionym pracą, zdrowiem, edukacją – słowem, kiedy trzeba było załatwić poważne, życiowe sprawy. Sytuacja zmieniała się, kiedy pojawiało się połączenie autobusowe. Względnie tania, a przede wszystkim szybka i pozwalająca na samodzielność np. kobietom czy młodzieży komunikacja nadawała nowy sens podróży do miasteczka. Taka zmiana następowała jednak wolno i nie wszędzie w tym samym czasie. Tak samo zresztą jak elektryfikacja wsi. Im dalej od głównego, starego szlaku komunikacyjnego leżała dana miejscowość, tym później pojawiał się tam autobus i prąd.

Nie bez przyczyny jako wyznacznik cywilizacyjnego rozwoju poszczególnych województw i całego kraju podawano w rocznikach statystycznych kilometry utwardzonych dróg. W powojennej Polsce inwestycje planu sześcioletniego miały zniwelować olbrzymie różnice gospodarcze i cywilizacyjne między regionami. Dla mieszkańców licznych małych miejscowości i ich okolic, tak jak dla wymienionego Nowego Targu, nowo powstałe zakłady stanowiły szansę, z której mogło skorzystać młode pokolenie uciekające z przeludnionej wsi. Za budowanymi fabrykami szła poprawa infrastruktury komunikacyjnej, oświatowej i kulturalnej. Najbliższe wsie były wchłaniane przez rozrastające się miasto, ale już w dalszej odległości od niego istniały miejscowości, w których nic się nie zmieniło z powodu braku regularnych kontaktów z powstającym centrum. Ci, którzy nie zdecydowali się wyjazd z rodzinnej miejscowości do pracy w owym ośrodku, żyli niejako w równoległym świecie. Choć zawsze, i tutaj również, było jakieś inne lokalne centrum. Dla Przytuł-Lasu były to Przytuły, dla nich – Jedwabne, a dla Jedwabnego – Łomża. Dla Lipnicy Małej – Jabłonka, a dla Jabłonki – Nowy Targ, i tak dalej. Dla nas istotne są jednak nie punkty na mapie ani nawet hierarchia relacji (wielkości, poziomu infrastruktury itp.), ale to, co między nimi: wysiłek wymagany do pokonania odległości po to, by z peryferii przenieść się dosłownie i metaforycznie do centrum. Przenieść się, by nie zniwelować, ale każdorazowo anulować kulturowy dystans. Dystans mógł jednocześnie rosnąć, nie tylko z odległością, bo ta była niezmienna, ale wraz z upływem czasu, kiedy jedne miejscowości łączyła już brukowana kamieniami lub asfaltowa droga i połączenie autobusowe lub kolejowe, a mieszkańcy innych zdani byli na własne środki transportu. Na początku lat 60. niektórych młodych mieszkańców wsi stać już



Tyszowce na Lubelszczyźnie, 1968 rok – na pierwszym planie drewniana chata kryta strzechą, w tle murowany dom jednorodzinny

było na szybki środek lokomocji – motocykl. Był to duży krok w pokonaniu dystansu przestrzeni i choć wysoce indywidualny, mógł stanowić potencjał pokonywania dystansu kulturowego i początek zmian w danej miejscowości.

Istotnym elementem przemian należącym do materialnej infrastruktury modernizującego się kraju, a będącym, podobnie jak droga i połączenie autobusowe, poza intencjonalną sprawczością mieszkańców, była instalacja elektryczna. Mimo że elektryfikacja postępowała w niektórych regionach kraju niezwykle wolno,

przyczyniając się do pogłębiania statusu peryferyjności tam, gdzie docierała później, była powodem dumy władz Peerelu. Podobnie jak powszechna oświata.

W pierwszej połowie lat 60. na wieś i do małych miasteczek na uboczu wkracza szeroką ławą pokolenie nauczycieli o chłopskim pochodzeniu, wykształconych przez rosnące potrzeby edukacji i zaplanowanej rewolucji kulturowej. Byłaby ona niemożliwa bez czynnika komunikacyjnego, jakim są sami ludzie. Augustyn Górka, wkrótce absolwent krakowskiej Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego, być może nie dostał pracy w Lipnicy Małej, a skierowany został do innej wioski lub małego miasteczka. Podobnie jak Staszek Niciński, który po liceum pedagogicznym trafił do małej puszcząńskiej wsi Baba; podobnie jak Halina, która swoją pierwszą pracę zaczęła w Nieławicach wśród wiskich bagien. Dzięki nim w kulturę wsi wkraczają wzorce postaw i zachowań, które z uwagi na pozycję społeczną przekazujących je osób powodują bardzo powolną, ale jednak postępującą erozję chłopskiego stylu życia. Styl życia, tak jak go zdefiniował Andrzej Siciński i jego współpracownicy w latach 70. (później prowadzący szeroko zakrojone badania na ten temat), nie jest równoznaczny z poziomem życia, mimo że zachodzi między nimi ścisła zależność: poziom życia, czyli możliwości ekonomiczne, wyznacza horyzont potrzeb. Styl życia określany jest natomiast przez rodzaj potrzeb, które realizowane są w codziennym zachowaniu jednostek lub grup²⁷². O przemianach stylu życia decydują dwa typy zmian, pisał Siciński:

272 A. Siciński, *Styl życia – problemy pojęciowe i teoretyczne*, w: *Styl życia. Konceptje, propozycje*, red. A. Siciński, Warszawa 1976, s. 15.

Zmiany społeczno-ekonomiczne, demograficzne, ekologiczne itp., tj. zmiany „zewnętrzne” wobec jednostek ludzkich, dotyczące warunków, w jakich działać będą te jednostki

oraz

zmiany ocen, postaw, akceptowanych treści itp. – a więc związane ze świadomością indywidualną i społeczną²⁷³.

„Chłopski styl życia” określony był przede wszystkim przez stosunek do ziemi i wynikający z niego stosunek do pracy, którego charakterystycznym aspektem była pełna dyspozycyjność wszystkich członków rodziny wobec gospodarstwa. Konsekwencją była specyficzna forma wypoczynku i wymiar czasu wolnego od pracy.

W tradycyjnej kulturze charakterystycznym rysem czasu wolnego było przebywanie „w domu”, „przy gospodarstwie” w zasięgu przestrzennym i organizacyjnym gospodarstwa. Czas wolny był, ze względu na dyspozycyjność pracy, bardzo ograniczony, nie mógł kolidować z obowiązkami jednostki jako członka rodzinnej wspólnoty pracy, mógł być wykorzystany tylko według obowiązujących w społeczności lokalnej norm, właściwych dla danej grupy wieku,

pisała Eugenia Jagiełło-Łysiowa²⁷⁴.

273 A. Siciński, *Hipotetyczne perspektywy przemian stylu życia*, w: tegoż, *Styl życia. Koncepcje, propozycje*, dz. cyt., s. 351.

274 E. Jagiełło-Łysiowa, *Elementy stylów życia ludności wiejskiej. Próba diagnozy społecznej i prognozy*, w: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, red. A. Siciński, Warszawa 1978, s. 94–95.

W wypadku nauczycieli czas wolny jest wyraźnie oddzielony od ściśle określonych godzin pracy. „Zawód” zatem daje gwarancję rzeczywistego uwolnienia czasu poza pracą, a do tego zawód taki jak nauczyciel obiecuje awans społeczny i prestiż – to ważny dla procesu akulturacji przekaz, który płynął z codziennej obserwacji życia nauczycieli wiejskich. Istnieje nieświęteczny – poza kalendarzem świąt kościelnych, a nawet oficjalnych świąt państwowych – „czas wolny”, a odpoczynek może polegać na aktywności fizycznej, i nie jest to wyłącznie przywilej wieku dziecięcego – to komunikat kulturowy, który już wyraźnie kolidował z chłopskim stylem życia. Dziecięca potrzeba aktywności fizycznej i zabawy wpisywała się w tradycyjną kulturę wsi, ale podobne potrzeby starszej młodzieży i osób dorosłych stanowiły już element obyczaju i kultury obcej: „pańskiej” i „miejskiej”. A z braku odniesienia do „pańskiej” rzeczywistości w powojennej Polsce – tożsamej po prostu z „miejską”.

Jak podkreślali ówczesni socjologowie (i jak się wydaje, ma to miejsce nadal w naukach społecznych i historii), podział na „miasto” i „wieś” był istotną zmienną w badaniach polskiego społeczeństwa. Jednocześnie jako rama analityczna z wyłącznie tymi dwiema kategoriami nie wydaje się wystarczający, kiedy dochodzi do konfrontacji z empirycznymi danymi. Nie ma tu bowiem miejsca na małe miasta, które trudno pomieścić w jednej kategorii. Ich materialna i społeczna tkanka mogła mieć w różnej skali cechy wspólne z dużymi ośrodkami miejskimi (np. podstawowy obraz układu przestrzennego, lokalizacja jednostek administracji, obecność inteligencji itd.), ale i z osadami wiejskimi (np. uprawa przez mieszkańców roli i hodowla zwierząt, wspólna z wiejską obrzędowość czy niuanse mentalności). Dlatego w naszych rozważaniach potraktowaliśmy na równi

społeczności administracyjnych miast i wsi, postrzegając je w układzie zarysowanym przez infrastrukturalne zapóźnienie w stosunku do lepiej rozwiniętych w danych okresie regionów kraju i do lokalnych centrów decyzyjnych i kulturotwórczych (cywilizacyjnych). Ta dygresja jest konieczna, żeby ustalić perspektywę naszej interpretacji procesu akulturacji, który z udziałem kultury fizycznej i sportu dokonywał się na prowincji: „miejski” styl życia reprezentowany przez grono nauczycieli czy innych przedstawicieli inteligencji był owym stylem życia lepszego nie tylko na wsi, ale też w małym miasteczku.

Miejską rozrywką była w oczach tradycyjnej społeczności aktywność fizyczna uprawiana dla przyjemności i w wolnym czasie, a w szczególności sport ujęty w ramy formalnej dyscypliny, dotąd nieznanej. Jak pisał na początku lat 70. Zbigniew Krawczyk:

Sport wiejski staje się elementem całokształtu przeobrażeń wsi. W świadomości zarówno zaangażowanych w sporcie, jak też w świadomości starszego pokolenia wsi, które w sporcie nie uczestniczy, traktowany on jest jako synonim czy wskaźnik przyswojenia systemu wartości będącego udziałem ludności miejskiej²⁷⁵.

Najważniejszymi aktorami na tej arenie są na początku procesu przemian nauczyciele i uczniowie – dzieci i młodzież: jednostki i grupy rówieśnicze w szkołach, internatach, organizacjach młodzieżowych. Równie istotną rolę odgrywają rodzice, nie tylko wspierający nowego typu aktywności czy pozwalający na nie, ale

275 Z. Krawczyk, *Sport jako czynnik akulturacji*, w: *Sport w społeczeństwie współczesnym*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1973, s. 179, 180.



też ci, którzy tego nie akceptują. Wszyscy wpływają na kształt sytuacji, niezależnie od intencji i poziomu skuteczności swoich działań. Sytuacja jest zmienna w czasie i przestrzeni, ponieważ stan przemian kulturowych jest różny w różnych częściach kraju: te elementy stylu życia, które widoczne są w Poznańskim czy na Śląsku już przed wojną, włączając w to oczywiście kulturę fizyczną

i sport, pojawiają się w na wsi Białostocczyzny czy w Lubelskiem dopiero na początku lat 60. lub nawet 70.

Nauczyciele nowego pokolenia w ciągu całego Peerelu pełnią swoją rolę również bardziej bezpośrednio – poszukując wśród dzieci i młodzieży sportowych talentów. Początkujący młodzi zawodnicy są przez trenerów symbolicznie wykradani z domów: zaangażowanie w treningi – czasowe i fizyczne – jest trudne do pogodzenia z tym, jak rodzice widzą rolę подростка w gospodarstwie jeszcze nawet w latach 70.

Jednocześnie młodzież wie, że sport to gra warta świeczki, bo już pierwsze zawody dają przedsmak przygody poza opłotkami rodzinnej wsi. Kiedy zmienia się polityka państwa – umasowienie sportu od lat 60. jest już priorytetem bardziej w teorii, a w praktyce wspierani są indywidualni sportowcy rokujący nadzieje na coraz lepsze osiągnięcia, na wyczyn – młodzież przekonuje się, że zaangażowanie w sport może jednostkę wyróżnić z tłumu szybko i wyraziście, tu i teraz.

W dekadzie Gierka jeszcze wyraźniej widać, jak dużą wagę władza przykładła do sportu wyczynowego i wyżej opisany stan trwać już będzie do końca Peerelu. W tym samym czasie zachodzą na polskiej wsi przeobrażenia, które w jeszcze inny sposób zmieniają status sportu w kulturze i mentalności prowincji. Są to przemiany fundamentalne, dotyczące stosunku do ziemi i do pracy na niej. Młode pokolenie gospodarzy zaczyna przyjmować postawę producenta:

Ziemia obecnie poprzez fascynację techniką i cywilizacją jest dla młodych chłopów warsztatem – mówią „ziemia produkuje”. A starsi, w tym moja matka, mówiła: „pamiętaj synu, że ziemia rodzi”

– mówił w połowie lat 70. pisarz Julian Kawalec²⁷⁶. „Zawód: rolnik” – tak w tym okresie przedstawiać się chce młody gospodarz i mówi tym samym wiele o swoim, być może w części postulowanym, ale jakże różnym stylu życia od tego, jaki charakteryzował pokolenie jego rodziców.

W warunkach tych gospodarstw, gdzie już przekroczono pewien próg materialnego bytu i gdzie praca przestała być wartością autoteliczną, zaczynają działać, jak się wydaje, ze wzmożoną siłą, czynniki humanistyczne, hamujące pracowitość ponad siłę; zaczyna występować oszczędzanie sił, co określa się stereotypowo jako „mieć coś z życia”²⁷⁷.

Presja ze strony młodszego pokolenia (jeśli wiąże ono ze wsią swoje plany życiowe) działa w kierunku modernizacji. Ta przemiana stylu życia od chłopskości do wiejskości (poza sprawami związanymi unowocześnianiem gospodarstwa) wiąże się przede wszystkim z racjonalnym dążeniem do poprawy warunków życia i warunków higienicznych, a także do uatrakcyjnienia treści czasu wolnego. Stare treści związane z chłopską obyczajowością koegzystują z nowymi elementami stylu życia – odpowiadającymi najbardziej zjawiskom ujętym w typologii jako „styl masowy”²⁷⁸.

276 Archiwum Polskiego Radia w Warszawie, *Czas pokoleń – sprawy społeczne*, 1976, sygn. 15546/1, cyt. za: E. Szpak, *Mentalność ludności wiejskiej w PRL...*, dz. cyt., s. 129.

277 E. Jagiełło-Lysiowa, *Elementy stylów życia ludności wiejskiej...*, dz. cyt., s. 111; tejże, *Zawód rolnika oraz czas wolny w świadomości starszego i młodszego pokolenia wsi*, „Wies Współczesna” 1960, nr 12; 1961, nr 1.

278 A. Jawłowska, A. Pawełczyńska, *Mechanizmy makrospołeczne a zróżnicowania stylu życia*, w: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, dz. cyt., s. 262.

Stylem masowym nazwali badacze potrzeby kształtowane pod wpływem mediów – kolorowej prasy i telewizji. Mając swój rosnący udział w wypełnianiu czasu wolnego, formowały obraz życia, który nadal, a także, identyfikowany był w powszechnym dyskursie jako „miejski”. „Miejskość – wiejskość” króluje w zestawie par opozycyjnych wartości, wokół których, według badaczy z zespołu Sycylińskiego, tworzyły się bądź realizowane bądź jedynie pożądane lub odrzucane style życia lat 70. Oprócz nich były to: tradycjonalizm – nowoczesność, aktywność kulturalna – konsumpcja kulturalna, posiadanie – samorealizacja²⁷⁹.

Pod wpływem mediów, ale także wskutek zewnętrznych warunków: postępującej mechanizacji w rolnictwie, poprawy infrastruktury komunikacyjnej, lepszego zaopatrzenia materialnego i wielu innych czynników stanowiących o modernizacji, ale również tych kwestii, które w gospodarce niedoboru podkreślały różnice między wielkim miastem i prowincją, młodzież i dorośli mieszkańcy wsi zaczęli postrzegać siebie w inny sposób. Wzrosły ich aspiracje i zmieniły się potrzeby. Wśród nich poczesne miejsce, zaraz po dobrach materialnych, zajęła potrzeba posiadania rzeczywiście wolnego – czyli oderwanego od miejsca pracy i od kalendarza świątecznego – czasu, i w większym, niż dotychczas, wymiarze. Propagowane przez media formy rekreacji sportowej, właściwej stylowi wielkomiejskiemu, wkraczają na wieś w innej konfiguracji, niż to miało miejsce w latach forsowanego upowszechniania kultury fizycznej: przede wszystkim są wyborem, a do tego mogą być wyborem ludzi dorosłych. W dyskursie publicznym sport pojawia się w kontekście konsumpcji i dobrostanu jednostki, a nie powinności obywatelskich, tak jak to było w latach 50.

279 Tamże, s. 209.

Posiadanie rowerów przez całą rodzinę, piłki, ringo lub kometki jest kwestią indywidualnej decyzji i manifestem stylu życia oraz oczywiście statusu materialnego. Z drugiej strony trudno jednak stwierdzić, że owo posiadanie rzeczy przekłada się na popularność kultury fizycznej wyrażaną w mierzalnych faktach i liczbach. Nie traktuje się już sportu jako fanaberii, zagrożenia obyczajów czy marnotrawienia czasu, ale nie przekłada się to na powszechną praktykę. Badania czasu wolnego tak na prowincji, jak i w wielkich miastach wskazywały, że lata 70. to tryumfalny pochód telewizji, która wśród form spędzania wolnego czasu na trwałe zajęła pierwsze miejsce. Jest to więc poszerzony horyzont możliwości, korzystniejsze kulturowe uwarunkowania dla tych jednostek, które podejmują aktywność sportową, często ukierunkowując ją na wyczyn. Telewizja ma w tym swój duży wkład, ponieważ, prócz ukazywania „miejskiego” stylu życia, motywuje do uprawiania sportu. Bohaterowie wielkich wydarzeń sportowych, takich jak Wyścig Pokoju czy igrzyska olimpijskie, stają się bohaterami masowej wyobraźni, szczególnie młodego pokolenia.

Z drugiej strony pamiętajmy, że w latach 70. aktorem w tej społecznej sytuacji jest nadal państwo i partia, które mają plany wobec społeczeństwa i narzędzia, żeby kształtować styl życia swoich obywateli:

Zrozumiałe więc, że założenia polityki społecznej w dziedzinie masowej kultury fizycznej i turystyki wyprowadzamy z generalnych celów społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, które w ciągu dwóch dekad przewidują zbudowanie w Polsce rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego. Rozwinięte społeczeństwo socjalistyczne to etap jakościowo wyższego poziomu zaspokajania potrzeb społeczeństwa,

co wyrazi się w wyższym poziomie życia oraz upowszechnianiu się socjalistycznego sposobu życia, w stworzeniu warunków do kształtowania wielostronnie rozwiniętej osobowości²⁸⁰.

W *Programie rozwoju kultury fizycznej w latach 1976–1990* stworzonym w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Turystyki zakładano:

Sukcesywne zaspokajanie na coraz wyższym poziomie wzrastającego zapotrzebowania społeczeństwa na różne formy kultury fizycznej i turystyki, tak aby w perspektywie lat 90. uczynić je powszechnym zjawiskiem determinującym kulturę spędzania czasu wolnego²⁸¹.

Dążenie państwowych instytucji do wpisania kultury fizycznej i sportu w postaci rekreacji w wolny czas Polaków znajdowało odzwierciedlenie w wielu dokumentach i przedsięwzięciach, widocznych także w przestrzeni małych miejscowości. Poza odbywającymi się tu imprezami masowymi, poza inwestycjami w sport szkolny („Boisko w każdej wsi”), powstawały na przykład wypożyczalnie sprzętu sportowego i turystycznego. Głównie tam, gdzie ów turystyczny potencjał istniał. Tak jak w Pińczowie, niewielkim, dziesięciotysięcznym miasteczku w województwie kieleckim położonym nad rzeką Nidą, powstał Ośrodek Sportu i Rekreacji, w którym do 1978 roku zbudowano przystań, pawilon sportowy z bazą

280 A. Izydorczyk, *Założenia polityki społecznej w dziedzinie masowej kultury fizycznej i turystyki*, „Zeszyt Naukowy AWF w Krakowie, Wydz. Turystyki i Rekreacji” 1978, t. 16, s. 9.

281 Tamże, s. 12.

noclegową i wypożyczalnią sprzętu sportowo-rekreacyjnego letniego i zimowego (śpiwory, łóżka polowe, namioty) oraz stadion z trybuną, z którego korzystały miejscowe szkoły i KS Nida²⁸². Jak pokazywaliśmy to wcześniej, tego typu przedsięwzięcia raczej nie miały szans na realizację, jeżeli lokalni działacze, politycy, urzędnicy lub wszyscy razem nie wykazali się pomysłowością w zdobywaniu środków i/lub umiejętnościami utrzymywania się na korzystnej pozycji w towarzysko-administracyjnych strukturach władzy na wyższych szczeblach.

Nowo powstająca infrastruktura niekoniecznie korespondowała z praktyką życia codziennego mieszkańców i odwrotnie. O ile turystyka zyskiwała na popularności nawet wśród mieszkańców wsi i jej popularność stale rosła, o tyle poziom rekreacyjnej aktywności sportowej Polaków budził ciągle troskę specjalistów od kultury fizycznej – naukowców i działaczy odpowiednich instytucji. Badania ludzi w wieku produkcyjnym w miastach wojewódzkich Polski wschodniej: mieszkańców Lublina, Białej-Podlaskiej i Zamościa, przeprowadzone w okresie 1979–1983 wykazywały, że w próbie badanych sześciu tysięcy stu osiemdziesięciu dziewięciu osób średnia ilość czasu wolnego wahała się od dwóch do czterech godzin dziennie. Respondenci wyrażali poczucie deficytu czasu z powodu „sytuacji w handlu” (to już przecież epoka najgłębszego kryzysu i wszechobecnych kolejek) oraz obowiązków rodzinnych, następnie wielozmianowego systemu pracy. Czas wolny wypełniało głównie oglądanie telewizji, praca na działce lub w ogródku, kino. Nie inaczej wyglądał czas wolny mieszkańców prowincji, tak wtedy, jak i kilka lat wcześniej. Badaczka, która zgłębiała ten temat, ubolewała, że

282 A. Dynia, *Stan i perspektywy rozwoju kultury fizycznej w Pińczowie*, AWF w Krakowie, Kraków 1979, mps.

respondenci mają słabo rozbudzone i rozwinięte potrzeby i zainteresowania rekreacyjne. Rekreacja jest na ogół uznawana przez respondentów jako wartościowa z punktu widzenia zdrowia i higieny osobistej, ale mimo to nie ma to przełożenia na praktykę²⁸³.

16,7% respondentów z wymienionych miast twierdziło, że uprawia jakąś formę ruchu, w co wliczone zostały również spacery, a 53,5% przyznawało, że nie uczestniczy w żadnej formie rekreacji ruchowej.

Wiele podobnych badań w latach 70. prowadzono wśród młodzieży. Pedagogów interesował budżet czasu uczniów w świetle środowiska ich pochodzenia oraz jego wykorzystanie. Wnioski przedstawiały nadal bezsprzecznie gorszą w tym zakresie sytuację młodzieży wiejskiej (od ósmej klasy), dla której, w przeciwieństwie do dzieci „pracowników umysłowych” i robotników, dni wolne, niedziele i ferie były dniami najcięższej pracy i największych obciążeń²⁸⁴. Czas wolny młodzieży kurczył się także proporcjonalnie do rosnącej odległości od miejsca zamieszkania do szkoły. Dojazdy uczniów do szkół średnich – autobusami, pociągami podmiejskimi – to charakterystyczna w tym czasie cecha codzienności prowincji. Badacze stwierdzali:

Dzieci chłopów, chłoporobotników i robotników wykwalifikowanych przeznaczają na naukę tyle samo czasu, co dzieci z innych grup społecznych, ale osiągają to relatywnie

283 D. Nałęcka, *Rekreacja ruchowa w strukturze czasu wolnego różnych środowisk społecznych*, w: *Współczesne uwarunkowania rekreacji i turystyki. Materiały z konferencji z okazji X-lecia Wydziału Turystyki i Rekreacji AWF w Krakowie*, Kraków 1987, s. 96.

284 Z. Kwieciński, *Budżet czasu uczniów a ich środowisko*, Warszawa 1979, s. 79.



Na boisku szkolnym, Ostrów Lubelski, 1977 rok.

większym kosztem: przy znacznych stratach czasu na dojazd, małym wymiarze czasu wolnego, krótszym śnie i krótszych przeciętnie innych czynnościach, realizujących zainteresowania indywidualne²⁸⁵.

W budżecie czasu wolnego uczniów sport zajmował trzecie, po oglądaniu telewizji i chodzeniu do kina oraz lekturze, miejsce *ex aequo* ze spacerami i randkami. Jako główną formę spędzania

285 Tamże, s. 60.

czasu wolnego wskazywali go jednak uczniowie zasadniczych szkół zawodowych, techników i zasadniczych szkół rolniczych (od 49 do 44,4%)²⁸⁶. Miało to wyraźny związek z faktem, że były to szkoły zmaskulinizowane i często funkcjonowały pod patronatem zakładów przemysłowych, gdzie istniały sportowe kluby. Wśród preferencji uczniów liceów ogólnokształcących i zawodowych, gdzie dominowały dziewczęta, sport znalazł się na odległej pozycji.

Uczestnictwo kobiet w kulturze fizycznej było przedmiotem wyraźnej politycznej troski komunistów na przestrzeni całego Peerelu. Usilnie próbowano doprowadzić do swoistego równouprawnienia kobiet w tym względzie. Kulturowe uwarunkowania, o wiele poważniejsze niż nawet kwestia ilości czasu wolnego, powodowały, że udział w masowym sporcie kobiet nigdy nie osiągnął poziomu satysfakcjonującego władze organizacji sportowych i instytucji państwowych, mimo kolejnej rewolucji obyczajowej, która w latach 70. dotarła nawet na najdalsze peryferia, a symbolizowała ją spódniczka mini. W sporcie kwalifikowanym sytuacja była już jednak inna. W szkołach średnich, których było dużo więcej niż we wcześniejszych dekadach, uczyło się więcej młodzieży wiejskiej, w tym dziewcząt, spośród których można było rekrutować nowe talenty. Czytelniczki „Filipinki” czy „Na Przełaj” – młodzieżowych czasopism docierających wówczas do wiejskich świetlic i bibliotek – nie wstydziły się już włożyć dresu czy szortów. Nawet jeśli rywalizowały tylko w skali sportu szkolnego, to ich sukcesy były zauważalne, a one same stawały się przedmiotem dumy lokalnej społeczności, tak jak choćby drużyna biathlonistek z liceum w Kolnie, która wygrywała zawody na poziomie kraju.

286 Tamże, s. 40.

W 1985 roku amerykański „Newsweek” wybrał na jedną z wrześniowych okładek fotografię Chrisa Niedenthala, przedstawiającą aktorkę Dorotę Stalińską w czarnym trykocie, dżinsowych szortach i getrach, skaczącą przez skakankę. W tle widać wielkopłytowe osiedle, jednoznacznie kojarzące się zachodniemu czytelnikowi z „socjalistycznym stylem życia”. *Working out in Warsaw* głosił podtytuł do przewodniego tematu numeru, jakim był światowy boom na fitness. Dorota Stalińska niejako zagrała dla zachodniego czytelnika przeciętną „dziewczynę z Peerelu”. Okładka „Newsweeka” miała symbolizować powszechną „fitness rewolucję”, która dotarła nawet na kulturowe antypody Zachodu. Dla polskiego czytelnika ta sama fotografia wtedy stanowiłaby raczej stwierdzenie modnego trendu niż obraz powszechności aerobiku, ponieważ Dorota Stalińska, znana z nieprzeciętnego zamiłowania do sportu, przecierała szlaki wtedy i potem dla nowych form aktywnej rekreacji.

W tym samym roku w młodzieżowych, popularnych czasopiśmie „Filipinka”, „Razem”, „Na Przełaj” można było przeczytać artykuły na temat tragicznej wręcz kondycji fizycznej uczniów, ich niechęci do lekcji wuefu i braku zainteresowania sportem. Oskarżano za ten stan rodziców, wuefistów, oczywiście samą leniwą młodzież oraz „czynniki odpowiedzialne za propagowanie kultury fizycznej”. Jednocześnie w magazynach dla dziewcząt i kobiet pojawił się aerobik, ale w zupełnie innym dyskursie – dyskursie o popkulturze, a nie o „kulturze fizycznej”, polityce społecznej czy prozdrowotnej. Aerobik nie łączył się z bawełnianym dresiem, z wuefem, obowiązkowymi testami z biegu na sto i sześćset metrów, z instytucjami „krzewiącymi” i z ich działaczami o poważnych, zatroskanych o zdrowie społeczeństwa twarzach. Aerobik był wszystkim, co wówczas pożądanego, a znane za pośrednictwem telewizji i filmów na kasetach VHS: był ekscytującym

amerykańskim stylem życia i zachodnią modą, kojarzył się z hollywoodzkimi aktorkami, z fantastycznymi strojami do ćwiczenia i muzyką pop.

Podobnie rzecz się miała w końcu lat 70. i następnej dekadzie z dalekowschodnimi sztukami walki. Były pociągające dzięki swej egzotyce i tajemniczości – wiązały się z używaniem zestawu nieznanых rekwizytów, specjalnym ubiorem. Oferowały też odmienny od przyjętego koncept aktywności fizycznej – ukierunkowanej bardziej na samodoskonalenie niż rywalizację. Jednak decydujące dla popularności karate i innych sztuk walki był kontekst, w jakim się pojawiły – stanowiły, tak jak aerobik, jeden z elementów składowych zachodniej kultury popularnej, atrakcyjnej jako całość. Przenikanie tych wzorców na poziom życia codziennego, ich wchodzenie do puli wyborów dokonywanych przez jednostkę odbywało się wedle tego samego schematu, który obserwowaliśmy na przykładzie wielkich imprez sportowych – zasadniczą rolę odgrywały w nich media. Nie wszystkie jednak w równym stopniu. W drugiej połowie lat 70., także na prowincji, telewizja przejmowała już rolę dawniej spełnianą przez radio. W latach 80. obok telewizora pojawi się jeszcze w niejednym domu odtwarzacz kaset VHS. Popularność nowych trendów w zakresie fizycznej rekreacji była w dużym stopniu pochodną właśnie przemian w sposobach dystrybucji treści medialnych.

Ciekawy jest w tym kontekście przykład Jerzego Jeduta, lubartowskiego zawodnika, a potem trenera taekwondo, wychowawcy mistrzów Polski, Europy i świata w tej dyscyplinie sportu. Jego fascynacja sztukami walki miała swe źródło w programie telewizyjnym prowadzonym przez znanego wówczas popularyzatora sportu – Tomasza Hopfera. W 1977 roku jedną z jego audycji dziennikarz poświęcił karate. Jedut obejrzał program i zainteresował



go na tyle, że postanowił rozpocząć treningi. Decyzja nie oznaczała jednak natychmiastowej realizacji planów. Z perspektywy mieszkającego w małej miejscowości chłopaka podstawowym problemem było przeniesienie podpatrzonego w telewizji pomysłu do realiów życia codziennego, czyli znalezienie miejsca, gdzie można było trenować. Jak wspomina Jedut: „Ja nawet nie wiedziałem, jak tego szukać. Po raz pierwszy się zorientowałem poprzez ogłoszenie w »Kurierze Lubelskim«”²⁸⁷. Ostatecznie regularne treningi koreańskiej sztuki walki – taekwondo – rozpoczął w Lublinie w 1979 roku.

Cztery lata później (styczeń 1983) założył sekcję swojego macierzystego klubu w rodzinnym Lubartowie. Jak wspomina,

287 Jerzy Jedut, wywiad z 5.03.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

mimo iż nie wywieszono ani jednego plakatu zachęającego do zapisów, zebrała się grupa licząca sześćdziesiąt–siedemdziesiąt osób. Jak na warunki małego miasta była to liczba imponująca. Źródeł tego frekwencyjnego sukcesu należy szukać nie w przestrzeni stadionu sportowego, ale w sali kinowej. Nie sposób nie powiązać tłumów na treningach taekwondo w Lubartowie z rok wcześniejszą polską premierą *Wejścia smoka* z Bruceem Lee w roli głównej. Film był wielkim przebojem, przedmiotem niejednej podwórkowej rozmowy. Wielu spośród uczestników organizowanych przez Jeduta treningów zapisało się na nie nie ze względu na spodziewane sportowe wyniki, ale by móc wykonać uderzenia albo kopnięcia, które widzieli na ekranie. Zresztą, jak wspomina, on sam *Wejście smoka* oglądał w kinie siedmiokrotnie, a niektórzy z trenujących razem z nim kolegów na film ten chodzili nawet po dwadzieścia razy²⁸⁸.

Jeszcze czterdzieści lat wcześniej klasyczne dyscypliny sportowe – gimnastyka, piłka siatkowa, narciarstwo biegowe – były symbolem awangardowego, nowoczesnego stylu życia. Teraz ich miejsce zajął „sport dla wszystkich”, który zawierał treść, cele i formę atrakcyjne w warunkach rosnących konsumpcyjnych pragnień obecnych także na prowincji. W tym kontekście pytanie o to, jak długo trwało, zanim pojawił się w salkach wiejsko-gminnych domów kultury, w remizach strażackich i prywatnych domach, nie ma większego znaczenia. Ważniejsze naszym zdaniem jest, że tak wschodnie sztuki walki, jak i aerobik składały się na nowe

288 Jerzy Jedut, rozmowa niezarejestrowana, grudzień 2016, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak; Więcej na temat historii tej dyscypliny w Lubartowie w: I. Góźdz, *Trzydzieści lat taekwon-do w Lubartowie*, Lubartów 2013.

zjawisko, niezależne od cezur politycznych. W sferze głęboko symbolicznej – w myśleniu o kulturze fizycznej i rekreacji sportowej – wyprzedziły upadek socjalistycznego reżimu, otworzyły w Polsce epokę, która trwa do dziś.

Prowincja w Peerelu to struktura przestrzenno-kulturowa, w której sport – jako aktywność i jako widowisko – jest konstytuującym ją elementem. Doświadczenie historyczne pokolenia dzieci i młodzieży tużpowojennej, widoczne w materiałach autobiograficznych i innych źródłach, pokazuje, że uprawianie przez nich sportu było zajęciem nieprzynależnym do dominującego na wsi i w małym miasteczku stylu życia. Sport pochodził ze świata wielkomiejskiego i aktywnie uprawiany niósł ze sobą nowe, długo sprzeczne z tradycją wzorce zachowań, takie jak np. inny rytm dnia, poświęcenie czasu i wysiłku dla osiągnięcia czegoś niematerialnego. Wydaje się, że kulturowa zmiana na tym polu, mimo rewolucji lat 50., zaczęła być widoczna dopiero przy okazji podniesienia jakości życia na prowincji, szczególnie na wsi, co stało się w latach 70. W czasie potężnego załamania gospodarki, które miało miejsce na początku lat 80. i mocno naznaczyło rzeczywistość następnych kilkunastu lat, na nowo pogłębiły się różnice pomiędzy wielkimi miastami i regionami wysoko zurbanizowanymi a prowincją. Sport wyczynowy okazał się wrażliwym narzędziem pomiaru tych dysproporcji. Dlatego Barbara Krawczyk pisała w 1983 roku:

Minimalny udział młodzieży pochodzącej z wiejskich i małomiasteczkowych klubów sportowych jest alarmującym wskaźnikiem rozpiętości, jaka wytworzyła się między poziomem

sportowym w aglomeracjach miejskich oraz w ośrodkach prowincjonalnych²⁸⁹.

O ile sport jako element stylu życia był na prowincji nowością, o tyle zabawa związana z widowiskiem sportowym miała, szczególnie w miasteczkach, swoją tradycję i specyfikę. Po pierwsze, sport był bliski i „własny” w namacalny sposób poprzez obiekt sportowy, nawet jeśli był on prowizorycznym polem gry, boiskiem, bieżnią, trasą przejazdu wyścigu. Po drugie, boisko, bo to ono pojawiała się na obszarach wiejskich najczęściej, było integralną częścią wsi lub miasteczka, nawet jeśli teren stanowił formalnie własność prywatną użyczoną na potrzeby społeczności. Po trzecie, ów obiekt sportowy jeszcze bardziej „był we wsi”, „był w mieście”, bowiem posiadał swój ciężar symboliczny i emocjonalny. Zmieniał się on od momentu powstania obiektu: najpierw skupiały się w nim emocje tych mieszkańców, którzy je budowali, potem ich dzieci, a nawet wnuków. Boisko było „nasze” przez bezpośredni rodzinny związek, wysilek kogoś bliskiego. Potem dochodziły wydarzenia, nie tylko sportowe, takie jak rytuały legitymizacyjne władzy (uroczystości o politycznym charakterze), które tworzyły jego ładunek symboliczny. Ów ładunek powstawał nawet przez negatywny stosunek mieszkańców do wydarzeń (np. politycznych, propagandowych) dziejących się na boisku. Dodajmy, że w małym mieście czy we wsi nawet ci, którzy nigdy w życiu na boisku nie byli, nie uczestniczyli w żadnej z zorganizowanych tam imprez, wiedzieli o nim i potrafili je usytuować w przestrzeni miejscowości. Nie wspominając o tym, że w wielu

289 B. Krawczyk, *Kariera sportowa*, w: *Sport w kształtowaniu kultury i osobowości*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1983, s. 111.

małych miejscowościach boisko czy potem stadion były wręcz punktami orientacyjnymi.

Po czwarte, obiekt sportowy integrował społeczność od chwili, kiedy ktoś rzucił ideę jego powstania i w konsekwencji wysiłku i działań włożonych w jej realizację. Podobnym przedsięwzięciem wspólnym było uczestniczenie np. w meczu piłkarskim, który w małej społeczności nie dzieliło tak wyraźnie widowiska sportowego na aktorów i widzów, jak to ma miejsce na wielkomiejskich stadionach. W czasach, a szczególnie w miejscach – małych miastach, wsiach, o których opowiadamy, kibice nie byli wyłącznie wyodrębnioną rolą i przestrzenią, częścią meczu piłkarskiego. Uczestniczyli w nim oczywiście przez doping, ale poza tym: za nic mieli narysowane kredą granice pola gry – wchodzili na nie, stali przy bramce, nieraz podtrzymywali słupki, instruowali piłkarzy, co mają robić, wchodzili w dyskusje (powiedzmy wprost – kłócili się) z sędzią, podawali piłki, jeśli było trzeba, pożyczali grającym buty lub nawet zastępowali kontuzjowanych piłkarzy, w jednej chwili zmieniając status z kibica na zawodnika. Czy więc rzeczywiście był to inny status? Może lepiej traktować ten udział w meczu jako uczestniczenie w sportowym święcie, jakby powiedział Huizinga: „wejście w święty krąg zabawy”, i zatracenie się w nim – z bójkami w czasie spotkań włącznie. Stosunek do tego, co się działo na boisku (naszym, u nas), do rywalizacji zawodników, żywiołowość dopingu były zanurzona w lokalności, wspierano wszak „naszych chłopców” – zawodników, których spotykało się w kościele, znało ze szkoły, którzy mieszkali na sąsiedniej ulicy²⁹⁰.

290 Mimo wielu zmian, jakie zaszły w organizacji sportu wiejskiego (czy prowincjonalnego), charakter kibicowania niewiele się zmienił, o czym świetnie opowiada, poza wspomnianym wcześniej filmem Krystiana

Jak wspominał zawodników cytowany wcześniej Jan Tomala, opisując sytuację na przełomie lat 60. i 70.:

Doping był elegancki. Jak to drużyny A-klasowe, no to wie pan, jaka solidarność – taka miejscowa. Wszyscy znani. Gorzej było, jak byli zawodnicy tacy z Motoru czy... głównie z Motoru. To myśmy się wkurzali wszyscy miejscowi, bo tylko on brał pieniądze i odjazd po meczu. Nie interesował się, jaki wynik... (...) Niech gra chłopak dla swojej dziewczyny na przykład, ale niech gra. I to będzie zupełnie co innego²⁹¹.

Na koniec wróćmy jeszcze raz do naszych bohaterów – tych wymienionych z nazwisk i wszystkich, których reprezentują poprzez swoje biografie. Wybierając sport – czy jako wyczyn, czy rekreację – stawali się w swoim środowisku przykładami bardziej „miejskiego”, bardziej „nowoczesnego” stylu życia. Sportowa przestrzeń miejscowości, którą sami również tworzyli i zmieniali, stała się dla nich i dla wielu po nich polem startowym do czasem dosłownego, ale przede wszystkim symbolicznego opuszczenia miasteczka lub wsi.

Kamińskiego, fotograficzny album Przemysława Niciejewskiego, *Going to the Match*, Warszawa 2016. Specyfikę meczu w małej miejscowości pokazuje także dokument filmowy pt. *Gwizdek* (2012) w reżyserii Grzegorza Zaricznego.

²⁹¹ Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Suplement, czyli jak poznawaliśmy stadiony na peryferiach

We wstępie do książki sygnalizowaliśmy, co było naszą motywacją do podjęcia badań nad sportem na prowincji. W tej części rozwijamy ten wątek i przedstawiamy perspektywę teoretyczną, metodologię i techniki badawcze. Oprócz bowiem chęci ujrzenia społeczeństwa Peerelu w wymiarze bardziej sprawczych jednostek i grup, kierowała nami potrzeba sprawdzenia, na ile historyk może skorzystać z bogatego warsztatu nauk społecznych, co i w którym momencie kwerendy i analizy go ogranicza. Niniejszy suplement nie wyczerpuje oczywiście tego tematu, bo wiele kwestii metodologicznych, które się tu pojawiają, wymagałoby dogłębnej analizy w świetle szerokiej literatury przedmiotu i w odpowiednim dla tego typu rozważań języku. Uważamy jednak, że taki dodatek do historycznej opowieści – „raportu z badań” – jest niezbędny, żeby zrozumieć pochodzenie naszych interpretacji i wniosków tam zawartych.

Zacznijmy zatem od kwestii rudymenarnych, czyli od tego, jak postrzegamy świat badany.

Codziennie pojedynczy ludzie angażują się w małe interakcje, chwilowe czynności, które determinują, wpływają i konfiguruje ramy, w których określone makrodziałania mogą

być podejmowane i zyskiwać znaczenie. Owe małe czynności są rutynowe i zwykłe, lecz nie nieważne ani mało znaczące. Wręcz przeciwnie, budują mocną i bogatą kulturową strukturę. Badanie i analiza tych mikroprocesów pomagają nam zrozumieć sposoby, w jakie ludzie działają i jak ich codzienne mikroczynności budują i kształtują makrostruktury²⁹².

Powyższy cytat z artykułu Francisca Tirada i Any Gálvez wyraża nasze założenia ontologii świata badanego. Zmienność i kreatywność rzeczywistości społecznej jest jednym z fundamentów teorii socjologicznej zwanej symbolicznym interakcjonizmem, podobnie jak idea symbolicznej konstytucji społeczeństwa poprzez procesy komunikacji międzyludzkiej.

Zjawiska te badane są przez socjologów, antropologów i etnografów od lat i przy pomocy rozbudowanych narzędzi. Jednym z metodologicznych podejść, posiadającym dziś mocną w naukach społecznych pozycję, jest tak zwana „teoria ugruntowana”.

Podstawowa jej strategia badawcza to:

1. Maksymalne ograniczenie rzeczowej prekonceptualizacji badań, by odkryć nowe, ciągle odsłaniające się dzięki działalności człowieka układy i warstwy rzeczywistości społecznej.
2. Dyskusyjny model teorii ugruntowanej, tj. budowanie teorii, właściwie nigdy nie jest zakończony. Teoria może

292 F. Tirado, A. Gálvez, *Positioning Theory and Discourse Analysis: Some Tools for Social Interaction Analysis*, „Forum Qualitative Sozialforschung/Forum: Qualitative Social Research” 2007, 8(2), art. 31, (on-line:) <http://nbn-resolving.de/urn:nbn:de:0114-fqso702317> (dostęp 22.04.2016).

podlegać permanentnym modyfikacjom z powodu dostarczenia nowych danych o nowych, dopiero co wyłonionych układach rzeczywistości (...)

3. Uwzględnianie różnorodnych warunków funkcjonowania kategorii w metodologii teorii ugruntowanej, które może oznaczać sugestię „konieczności myślenia (analitycznego) »sytuacyjnego «” w odniesieniu do motywów działań ludzkich, które byłyby ściśle związane z kontekstem tych działań²⁹³.
4. Propozycje teoretyczne nie są (...) budowane metodą logicznie dedukcyjną w oparciu o wcześniej przyjęte aksjomaty bądź założenia (...). Hipotezy, pojęcia i własności pojęć są budowane podczas badań empirycznych oraz podczas badań są one modyfikowane i weryfikowane²⁹⁴.

Jakie konsekwencje przynoszą powyższe zasady dla praktyki badawczej historyka? Jakie przyniosły w tym projekcie?

Zacznijmy od zasady stojącej wręcz w sprzeczności z wzorcem uprawiania historii – ograniczenia prekonceptualizacji. O ile łatwo zgodzić z ogólnym twierdzeniem, że korzystnie – z poznawczego punktu widzenia – jest zarzucić stare pojęcia analityczne na rzecz nowych kategorii opisu rzeczywistości, to dużo trudniejsza do zaakceptowania może się okazać sama procedura. W praktyce polega ona bowiem na rezygnacji w pierwszym etapie badań z dokładnej kwerendy bibliotecznej, z rozpoznania literatury przedmiotu, a w przypadku pracy terenowej (w znaczeniu przyjętym

293 K. Konecki, *Studia z metodologii badań jakościowych. Teoria ugruntowana*, Warszawa 2000, s. 35–36.

294 Tamże, s. 16.

w naukach społecznych) – z wejściem w ów teren z marszu, bez zapoznania się z historią czy specyfiką miejsca. To skok i „zanurzenie się w symbolicznych obrazach i dźwiękach”. Mimo iż w pierwszej chwili szokujące, nie jest to jednak trudne do wykonania. Stanowiąc olbrzymi krok na drodze do wypełnienia postulatów pierwszego, wcale jednak nie gwarantuje, że uda nam się szybko albo w ogóle zerwać z tradycyjnym słownikiem opisu badanego zjawiska. Już ścieżka, która prowadzi do określenia, czym będziemy się zajmować w naszych badaniach, jest przecież konceptualizacją. Taką ścieżkę naszego myślenia, która przywiodła nas do najbardziej wstępnego i roboczego zarysu tematu badań, przedstawiliśmy na samym początku niniejszego rozdziału. Język tych kilku akapitów jest nasycony utrwalonymi w obiegu naukowym kategoriami, mimo że staraliśmy się rozbić jego spójność poprzez wprowadzenie różnych wyrażań potocznych lub terminów sporadycznie stosowanych we współczesnej historiografii. Jedną z podstawowych kategorii porządkujących jest chronologia. Niepisany, tradycyjny wymóg zakreślania przez historyków czasu badanego zjawiska datami przynajmniej rocznymi jest w istocie silną konceptualizacją organizującą dalsze wysiłki poznawcze. W naszym przypadku doszło do paradoksu – krytykując dominującą perspektywę historii wydarzeniowej i politycznej, jednocześnie zakreśliliśmy daty 1944–1989. Daty te mają rzecz jasna wyłącznie symbolizować pewien rodzaj przeszłej rzeczywistości, nie mają znaczenia ścisłej chronologicznej ramy. Nazywając nasz projekt badawczy *Sport na polskiej prowincji (1944–1989): znaczenia i tożsamości*, nie definiowaliśmy precyzyjnie podstawowych elementów tytułu. Zgodni byliśmy co do znaczenia pojęcia „sport” jako autotelicznej aktywności ruchowej poddanej pewnym regułom, z elementami współzawodnictwa oraz zabawy, występującymi

w niej w różnym natężeniu. Nie zdecydowaliśmy się na przyjęcie terminu „kultura fizyczna”, który w polskim piśmiennictwie fachowym, tak jak i w nauce innych krajów Europy Środkowej i Wschodniej, stanowi główną kategorię opisu i analizy²⁹⁵. Nie podjęliśmy się również różnicowania „sportu” i „rekreacji”. W definicji sportu podkreśla się, że jest to

działalność uprawiana systematycznie, według pewnych reguł, odznaczająca się silnym pierwiastkiem współzawodnictwa oraz tendencją do osiągania coraz lepszych wyników, mająca na celu manifestację sprawności ruchowej²⁹⁶.

Rekreacja fizyczna jest natomiast często utożsamiana ze sportem masowym (sport dla wszystkich) i z dziedziną aktywności osób dorosłych, w której zajęciom ruchowo-sportowym „człowiek oddaje się z własnej chęci w czasie wolnym od obowiązków, dla wypoczynku, rozrywki, dla rozwoju własnej osobowości”²⁹⁷. Dyskusje w środowisku polskich socjologów i filozofów sportu w latach 90. skierowały refleksję teoretyczną w stronę bliższą amerykańskiej tradycji, w której sport jest terminem nadrzędnym, a w jego ramach pojawia się „sport szkolny”, „sport wyczynowy”, „sport masowy” i „sport osób niepełnosprawnych”²⁹⁸. Nasz ogólny, intuicyjny rys podstawowego pojęcia i przedmiotu badań wynikał z podporządkowania nadrzędnemu celowi i zasadzie teorii ugruntowanej: trzeba porzucić utarte metafory i szukać

295 Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, Warszawa 2000, s. 141.

296 M. Demel, A. Skład, *Teoria wychowania fizycznego*, Warszawa 1974, s. 18, cyt. za: *Socjologia kultury fizycznej*, dz. cyt., s. 43.

297 T. Wolańska, *Rekreacja fizyczna*, Warszawa 1971, s. 11.

298 Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, dz. cyt., s. 142.

nowych przenosi ludzkiego doświadczenia wśród ludzi i razem z ludźmi. Dlatego mimo że jeszcze w 2000 roku Zbigniew Krawczyk twierdził, iż kultura fizyczna jest kategorią główną w języku potocznym na określenie nieprodukcyjnej aktywności fizycznej człowieka, to na podstawie naszych obserwacji oraz osobistego doświadczenia uznaliśmy, że jest jednak daleka od języka, którym operuje się w dzisiejszym świecie doświadczeń codziennych. Nasze przypuszczenia potwierdziły źródła (zastane i wywołane) odnoszące się do historycznego doświadczenia jednostek.

Metoda ugruntowana jest ukierunkowana na myślenie potoczne, co jej twórca, Anselm L. Strauss, wskazywał jako warunek konieczny badań. Wiedza potoczna, codzienne doświadczenia osób uczestniczących w badaniach (nie-badaczy) mają być istotnym elementem projektu naukowego, aby można było zrealizować myślenie analityczne („sytuacyjne”) w odniesieniu do motywów działań ludzkich. Jak pisze Wojciech Łukowski chodzi o

proces tworzenia potocznych wyjaśnień przez uczestników codziennych zdarzeń. Wysiłek badawczy skoncentrowany jest na odtworzeniu tych wyjaśnień, za pomocą których nadawany jest sens społecznemu istnieniu²⁹⁹.

Wchodząc w teren i w źródła z prowizorycznym instrumentarium pojęciowym, nie byliśmy do nich przywiązani ani z powodów naukowych – dotychczasowego doświadczenia badawczego czy dyscyplinarnego pochodzenia. Marcin Stasiak był co prawda autorem pracy magisterskiej na temat wizerunku bohatera

299 W. Łukowski, *Społeczne tworzenie ojczyzn. Studium tożsamości mieszkańców Mazur*, Warszawa 2002, s. 29.

sportowego w Polsce lat 50., opublikował na ten temat artykuł, ale nie pretendował i nie pretenduje do miana historyka sportu. Pewna wiedza dziedzinowa szła w parze z osobistymi doświadczeniami z uprawiania sportu amatorskiego, co dawało mu niewielki wymiar badacza-tubylca. Nic z powyższego nie było jednak wcześniej udziałem współautorki projektu. Jako zespół badawczy wkraczaliśmy do rzeczywiście obcego kraju³⁰⁰.

Zgodnie z założeniem, iż hipotezy, pojęcia i własności pojęć w teorii ugruntowanej mają być budowane podczas badań empirycznych oraz w ich trakcie nieustannie weryfikowane, drugi kluczowy dla wstępnego zarysowania projektu termin „prowincja” również został potraktowany na początek intuicyjnie: poprzez kontrast do tego, co jest ogólnym obrazem stanu badań historycznych. Naszym zdaniem polska historia najnowsza podejmuje przeważnie badania z punktu widzenia centrum: władzy – decyzji politycznych i finansowych, kultury (skupiska elit kulturotwórczych – wielkie miasta), problemów o przełomowych skutkach (napięcia i konflikty społeczno-polityczne napędzającą polską maszynę dziejów po II wojnie światowej). Prowincję na początek zdefiniowaliśmy więc jako przestrzeń materialną i cywilizacyjną, gdzie nie zapadają decyzje, gdzie zjawiska kultury wysokiej i popularnej są wtórne (spóźnione) i tam, gdzie napięcia społeczne nie niosą skutków zdolnych zmieniać bieg wydarzeń na skalę większą niż lokalna. W naukach społecznych i historycznych pojawia się inne określenie, które może odpowiadać temu opisowi – peryferie. Termin pochodzący z anglojęzycznego słownika nauk społecznych, gdzie znalazł się za przyczyną socjologicznej Szkoły Chicago i jej koncepcji miasta, z biegiem czasu w dyskursie

300 Ch. Lowenthal, *The Past is a Foreign Country*, Cambridge 2015.

naukowym okazał duży potencjał przyjmowania kolejnych odcieni i znaczeń oraz funkcjonowania w różnych konfiguracjach: mówić można o peryferiach miejskich, o relacjach centrum–peryferie, obszarach poza cywilizacją jako peryferiach, peryferiach politycznych, społecznych lub ekonomicznych³⁰¹. Najmocniejszą tradycję ma ujęcie, w którym zestawia się obszary wiejskie z miastami, podkreślając upośledzenie tych pierwszych względem drugich³⁰². Według badaczy zachodnioeuropejskich wieś została po II wojnie światowej w wielu rejonach Europy zniszczona poprzez selektywną i redukcjonistyczną industrializację, która w sensie geograficznym i kulturowo-społecznym rozczłonkowała obszary wiejskie. W tym ujęciu wieś traktowana jest jako kompleksowy obszar zamieszkania, produkcji, usług, wzajemnej, wielopłaszczyznowej komunikacji i wymiany, który to system jest prawie samowystarczalny. Nawet jeśli spóźniony wobec kultury wielkiej metropolii, nie upośledza życia codziennego swoich mieszkańców, bowiem kształt ich codzienności nie powstaje pod wpływem kontaktu z metropolią – Paryżem czy Monachium – ani od niej nie zależy. Stanowi świat sam w sobie. Jedność i relatywna autonomia przestrzennego i cywilizacyjno-gospodarczego systemu wiejskiego została rozerwana poprzez zredukowanie po wojnie wsi do rolnictwa. Wieś straciła wymiar przestrzeni, w której się żyje – wieś to przestrzeń produkcyjna. To, co poza sferą produkcji rolnej, przeniosło się do miast, a przede wszystkim tam zapadają decyzje

301 Zob. E. Burgess, *The Growth of the City*, w: *The City*, red. R. Park, E. Burgess, Chicago 1925; J. Ferrao, R. Lopes, *Understanding Peripheral Rural Areas as Contexts for Economic Development*, w: *The Future of Europe's Rural Peripheries*, red. J. Labrianidis, Ashgate 2004; D. Harrison, *The Sociology of Modernization and Development*, London 1988.

302 Zob. *Centra i peryferie*, red. B. Gołębiowski, Łomża 1999.

gospodarcze i polityczne. Tak rozbita wieś, poprzez stworzenie przez nową rzeczywistość ekonomiczną „centrów”, znalazła się na peryferiach³⁰³. W przypadku naszych badań już sama tematyka, czyli sport, będący w nowoczesnej Europie wytworem cywilizacji miejskiej, sytuowała je w zasadniczej opozycji do powyższej makrospołecznej diagnozy i interpretacji, jaką prezentują badacze zachodnioeuropejscy. Znajdowało to swój konsekwentny wyraz w źródłach, z którymi w wyniku przyjęcia tego tematu badawczego pracowaliśmy. Będzie miał rację każdy krytyk tej książki, który podniesie kwestię pominięcia w niej tak zwanych „sportów tradycyjnych”, do których zalicza się gry i zabawy ludowe. Gdybyśmy skupili się na nich, z pewnością inaczej potoczyłaby się opowieść o polskiej wsi i małych miasteczkach, a konkluzja byłaby zbliżona do twierdzenia, że to właśnie okres Peerelu uczynił z polskiej wsi prowincję, a implementacja dyscyplin sportowych zniszczyła jej tożsamość i swego rodzaju kulturową samowystarczalność.

W badaniach naukowych koncept peryferyjności jest często wiązany z marginalizacją³⁰⁴. W naszej wstępnej, instrumentalnej definicji prowincji ujęliśmy ten aspekt, choć w specyficznym historycznym kontekście Peerelu niekoniecznie marginalizacja miałaby niekorzystne dla tak opisanej „prowincji” skutki, np. stan wojenny nie miał tu tak dramatycznego przebiegu jak w wielkoprzemysłowych ośrodkach miejskich.

Podjmując badania, wiedzieliśmy, że chcemy przyjrzeć się tym obszarom, które w Polsce Ludowej były poza centrami widocznymi

303 C.M. Hall, D. Harrison, D. Weaver, G. Wall, *Vanishing Peripheries: Does Tourism Consume Places?*, „Tourism Recreation Research” 2013, vol. 38(1), s. 71–92.

304 A. Mehretu, B.W. Pigozzi, L.M. Sommer, *Concepts in Social and Spatial Marginality*, „Geografiska Annaler”, 82 B (2), s. 89–101.

na pierwszy rzut oka, obszarom utożsamianym z prowincją na podstawie potocznej wiedzy o „Polsce A” i „Polsce B”. Wyrosłe w specyficznej sytuacji historycznej między umownymi datami 1944–1989 centra zdefiniowały nam wstępnie geograficzną przestrzeń badania. Jeszcze przed podjęciem badań terenowych nurtowała nas kwestia pozycji małych miasteczek w owej strefie. We frazeologii pojęcia prowincja – „Obrzydłówki” wypierają z horyzontu wieś. Jeśli mówimy „peryferie”, na pierwszy plan wydaje się wysuwać to, co „daleko od szosy”, poza obiegiem, to, co mniej ważne. W narracjach źródłowych, postawach i ocenach mieszkańców wsi i owych miasteczek szukaliśmy więc odpowiedzi na pytania: czy z perspektywy aktorów i ich codzienności małe miasta wpisują się w ów samodzielny system obszaru wiejskiego, który uległ marginalizacji? A może wchodził w Peerel już zmarginalizowany? Czy sytuacja gospodarcza Peerelu nadała temu zjawisku jakiś charakterystyczny rys? Jak wyglądała ich „miejskość” i czy separowała je od wsi i łączyła z innymi miastami? Jak daleko, mówiąc w przenośni, było stąd do centrów wyższego rzędu? Czy może należy mówić o różnych stopniach peryferyjności?

Wszelkie rozstrzygnięcia dotyczące terminologii w przyjętej przez nas perspektywie metodologicznej oddają pierwszeństwo danym empirycznym i perspektywom aktorów społecznych. Teoria ugruntowana zakłada bowiem, iż

uzyskany w wyniku badań materiał empiryczny nie służy (...) do ilustracji pewnej, istniejącej już teorii – dany przypadek najpierw powinien być zrekonstruowany w jego własnej logice³⁰⁵.

305 W. Łukowski, *Společné tworzenie ojczyzn...*, dz. cyt., s. 28.

Dla socjologa, antropologa kultury czy etnografa jasne jest, że służy temu celowi przede wszystkim praca w terenie badanym, gdzie dokonuje on wglądu w przestrzeń i czas, w których dochodzi do symbolizacji społecznej, a „człowiek staje wobec obiektów wyposażonych w znaczenia i interpretując je – działa”³⁰⁶. My również potraktowaliśmy teren na sposób nauk społecznych i spędziliśmy po kilka tygodni w wybranych do studiów przypadków miejscowościach: w Kolnie w województwie podlaskim (w Peerelu najpierw w województwie białostockim, potem w łomżyńskim) i w Lubartowie w województwie lubelskim. Oczywiście nasza obecność w Kolnie i Lubartowie w drugim dziesięcioleciu lat dwutysięcznych nie była etnograficzną obserwacją *sensu stricto*. Nas interesowała przecież rzeczywistość przeszła, ale jednocześnie korzystaliśmy ze źródeł, które powstawały w teraźniejszości. W symbolicznym interakcjonizmie warunkiem koniecznym jest uwzględnianie w badaniach punktów widzenia ludzi działających, sposobów definiowania przez nich sytuacji działania. Stąd bierze się waga dokumentów osobistych – zwłaszcza autobiografii – jako źródeł danych³⁰⁷. Pozwalają one do pewnego stopnia uchwycić w „swojej własnej logice” doświadczenia składające się na przykład na życie na prowincji. W Lubartowie i Kolnie przeprowadzaliśmy więc wywiady z osobami zaangażowanymi w różnym stopniu w sport – z zawodnikami, trenerami, działaczami, rozmawialiśmy też z osobami, które trudno zaklasyfikować jednoznacznie do którejś z powyższych kategorii. Były to wywiady biograficzne, przeprowadzone w miejscach zamieszkania rozmówców. Od wielu lat

306 K. Konecki, *Studia z metodologii badań jakościowych...*, dz. cyt., s. 37.

307 Zob. K. Plummer, *Documents of Life: An Introduction to the problems and literature of a humanistic method*, London 1988.

posługujemy się „historią mówioną”, która jest metodologicznie bardzo bliska naukom społecznym, ale szczególnie ten projekt uświadomił nam wagę przebywania w terenie.

Teren – przestrzeń fizyczna, obrazy, dźwięki, zapachy, zdarzenia, ludzie, których napotykamy po przybyciu na miejsce badań, kiedy zmierzamy na pierwsze spotkanie z rozmówcą, są impulsami, które oddziałując na nas, kształtują od pierwszej chwili zarówno warunki, jak i horyzont poznawczy badania. Etnolodzy są tego od zarania swojej nauki świadomi, bowiem ich badania toczyły się wśród „obcych”, gdzie odmienność poznawanych kultur zaznaczała się w każdym fragmencie rzeczywistości. Czy wsiadając do lokalnego busa z Łomży do Kolna, gdzie mamy prowadzić rozmowy, przekraczamy jakąś granicę kulturową, która kazałaby nam mieć baczenie na to, co się od tej pory dzieje wokół nas i może być dla nas materiałem badawczym i/lub na to badanie wpływać? Jedziemy do dziesięciotysięcznego, powiatowego miasteczka, mamy do pokonania trzydzieści kilometrów pojazdem przewoźnika, z którego usług najczęściej korzystają mieszkańcy Kolna, żeby dostać się do pięciokrotnie większej Łomży, w której się uczą, pracują, robią mniej codzienne zakupy lub zażywają rozrywki (w kinie, którego Kolno nie posiada). Nasz projekt dotyczy jednak nie Kolna współczesnego, lecz jego historii – zamierzamy badać czasy, w których nikt nie wyobrażał sobie, że jakkolwiek prywatny przedsiębiorca będzie oferował swoje usługi transportowe. Rzeczywistość, która nas interesuje, to inna gospodarka, kultura, czasy odmiennych wzorców obyczajowych, a przede wszystkim inna rzeczywistość materialna. Dzisiejsze Kolno wygląda inaczej, nie ma budynków, o których opowiadają rozmówcy, pojawiły się nowe ulice i place, a stare zmieniły swoje nazwy. Charakterystyczne punkty miasta, wokół których krążą także opowieści narratorów,

pełnią inne funkcje albo nie istnieją. Te fakty stwierdzamy jednak nie na podstawie samych rozmów, ale w trakcie spacerów – z rozmówcami po miasteczku, podczas samodzielnej eksploracji przestrzeni, fotografując obecne życie miasteczka. Nie jest to w pełni obserwacja uczestnicząca, raczej otwarcie na impulsy z zewnątrz po to, by móc lepiej zrozumieć perspektywę rozmówców, skróty myślowe, których używają, ich język. I po to, by móc dalej zadawać pytania, wchodzić w rzeczywistość symboliczną – zrozumieć, co miało lub ma, i jakie znaczenie dla mieszkańców Kolna. Po dwóch kursach w busie już umiemy się zachować, znamy najbardziej popularne tematy towarzyskich rozmów w sezonie letnim 2014 roku i potrafimy odpowiednio stosować niektóre lokalne wyrażenia. Jadąc przez małowniczą, pagórkowatą okolicę Kolna, obserwujemy mijane wsie i dostrzegamy zmiany w budownictwie, sposobach gospodarowania, w stylu życia. Kultura materialna tego regionu jest wyraźnym palimpsestem – można go czytać gołym okiem, warstwy są doskonale widoczne, przebijają wyraźnie jedne przez drugie lub istnieją obok siebie. Dzięki temu historyk naocznie może przekonać się o tym, co i jak zmieniło się z upływem czasu. Ułatwia to podstawową pracę ze wspomnieniami rozmówców – pozwala usytuować je w geografii, scenerii i kontekście cywilizacyjnym. W analizie narracji autobiograficznej pomaga zrozumieć świat i światogląd rozmówcy: osobowość i tożsamość rozmówcy powstawała w określonym miejscu (lub wielu miejscach) w toku czasu, a teraźniejsza jej postać – z którą mamy do czynienia podczas wywiadu – także funkcjonuje w pewnej przestrzeni. Ta przestrzeń jest, jak pisał Julian Rappaport, zarazem trójwymiarowym stanem materii, jak i środowiskiem wypełnionym znaczeniami³⁰⁸.

308 J. Rappaport, *Community Psychology*, Chicago 1977.

Dążąc do zrozumienia narratora i jego opowieści, trzeba poznać ją we wszystkich wymiarach, zaczynając od podstaw materialnych. Historyk w terenie obcuje na co dzień z ludźmi, którzy – prócz narratorów – są dosłownymi i metaforycznymi przechodniami. Takie przelotne spotkania, rozmowy, obserwacje, kształtują nasz poznawczy horyzont, ale też podnoszą poznawcze kompetencje. Dzięki nim uczymy się lokalnego języka – werbalnego i wizualnego, tego wszystkiego, z czego zbudowana jest symboliczna tkanka „terenu”.

Steiner Kvale proponuje, aby proces powstawania wiedzy naukowej postrzegać nie w ramach dotychczasowej „kopalnianej” metafory (wiedza jest ukryta i czeka na odsłonięcie), ale widzieć ją w metaforze podróżniczej: wiedza to heterogeniczne dyskursy, które badacz-podróżnik zbiera po drodze, kolekcjonując historie i inne „rzeczy”³⁰⁹. Ta postawa badawcza wpisuje się w metodologię Georga Marcusa, która w angielskim słowniku naukowym funkcjonuje jako *multi-site research*, a na język polski tłumaczona jest jako „etnografia wielomiejscowa”, „etnografia wielostanowiskowa”³¹⁰. Niestety, tracąc przy tym swoją istotę, która bynajmniej nie polega na przebywaniu w wielu miejscach, do czego zaraz wrócimy.

Przedmiotem badań w klasycznej teorii ugruntowanej jest „przypadek” – jednostka (także w sensie instytucji lub grupy) lub związki społeczne (tzw. „światy społeczne”) posiadające autonomię i własną historię:

309 S. Kvale, *Prowadzenie wywiadów*, Warszawa 2010, s. 53–55.

310 G. Marcus, *Ethnography in/of the World System: The Emergence of Multi-Sited Ethnography*, „Annual Review of Anthropology” 1995, nr 24, s. 95–117.

Świat społeczny to grupa ludzi zaangażowanych w dane działania, korzystających ze wspólnych narzędzi (idei, środków) pozwalających im osiągnąć wyznaczone cele i budujących wspólny pogląd na sprawę grupy³¹¹.

Definicja ta kładzie nacisk na aktywność, działanie i tworzenie więzi grupowej. Nasze badania rozpoczęliśmy od klasycznej pracy terenowej we wspomnianych miasteczkach i ich okolicach z nadzieją, że dość szybko wyłonią się przed naszymi oczami obecne w nich w przeszłości „światy społeczne”, a źródła pozwolą na ich analizę. I rzeczywiście uzyskaliśmy w obu przypadkach zarys grup i instytucji, które sugerowały pójście tym tropem i ustalenie jasnych „przypadków”. Były nimi lokalne stowarzyszenia sportowe sięgające genezę wczesnego wieku XX i Ludowe Zespoły Sportowe powstałe po II wojnie światowej. Problemem, który pojawił się równie szybko, okazały się archiwalia dotyczące tych małych miejscowości: na tyle szczątkowe, że „pojęcia uczulające” (o których będzie za chwilę mowa), jakie wygenerowały, zrodziły duży niepokój. Przyczyna leżała w tym, co zazwyczaj trapi historyka – fragmentaryczności źródeł archiwalnych, a przy tym w ich jednolitym charakterze. Brakowało nam wglądu w rzeczywistość poprzez dokumenty bieżące, a jednocześnie osobiste. Jedyne w nich widoczne byłyby interpretacje, postawy, motywacje i działania. Wywiady biograficzne okazały się cenne, ale mieliśmy poczucie, że ich ciężar poznawczy bardziej liczyłby się w badaniach dzisiejszej symbolizacji przeszłości. Temat sportu w Peerelu

311 A. Strauss, L. Schatzman, R. Bucher, D. Ehrlich, M. Sabshin, *Psychiatric Ideologies and Institutions*, Glencoe N.Y. 1964; A. Strauss, *Negotiations*, San Francisco 1978.

okazał się zresztą tematem politycznie wrażliwym – rozmówcy często zdawali sobie sprawę, że ich historie mogą wybrzmieć jak argumenty w debacie wokół przeszłej epoki. Niektórzy zabierali głos właśnie dlatego, a niektórzy wycofywali się z rozmowy. Gdyby dostępna nam była prawdziwie etnograficzna obserwacja *in vivo*! W zakresie mocy poznawczej i satysfakcji naukowca można ją porównać do zaglądania do wnętrza domu przez wszystkie okna, szpary w podłodze, dziurki od kluczy w drzwiach kuchennych i wejściowych. Badaczowi nie uda się nigdy wejść do środka, ale dostaje obraz z wielu punktów. Ów obraz ma dynamikę, bo badacz prowadzi obserwację przez jakiś czas, może zobaczyć, jak działają czynniki, które powodują zmiany. Nasza praca z relacjami o przeszłości była zaglądaniem do domu przez jedno okno. Widzieliśmy jakiś wiele znaczący, jak sądziliśmy, fragment, ale nie mogliśmy obejść domu, żeby zobaczyć inny jego wymiar i przekonać się o tym choć w części. Podjęliśmy decyzję o rozszerzeniu horyzontu badawczego w następujący sposób: wychodząc od efektów kwerendy w wymienionych miastach, zaczęliśmy szukać porównywalnych danych w całej Polsce. Także takich, które mogłyby podważyć nasze wstępne ustalenia. Pamiętając o zasadzie teorii ugruntowanej, według której „grupy [danych] są dobierane do analizy porównawczej ze względu na podobieństwo opisanych konceptualnie i występujących w nich zjawisk”, nie kierowaliśmy się wyłącznie tematem czy zakreśloną przestrzenią geograficzną³¹². Nie zaczynaliśmy kolejnych studiów przypadku. Nie przeprowadziliśmy też wielu następnych pogłębionych, biograficznych wywiadów, ale skierowaliśmy uwagę ku relacjom

312 B. Glaser, A.L. Strauss, *The Discovery of Grounded Theory: Strategies for Qualitative Research*, Chicago 1967, s. 45–47.

pamiętnikarskim nadsyłanym z całego kraju na różne konkursy organizowane w Polsce na przestrzeni badanego okresu³¹³. Kolejne dane nasuwały się same, weryfikując wcześniejsze, ustalone dla potrzeb organizacji projektu pojęcia. Wpływały również na dobór następnych materiałów.

Przywołajmy po raz kolejny ideę *multi-site research*, tym razem za Arjunem Appadurai, który wskazuje, że badacz kultury prowadzi swoje obserwacje w mnogich przestrzeniach, mających wymiar przede wszystkim dyskursywny³¹⁴. Nasz projekt zakładał takie właśnie rozumienie „wielostanowiskowego” badania, w wyniku którego wyłonione zostaną „światy społeczne” (i pozostałe, znaczące dla badania elementy, o których będzie mowa w dalszej części tego rozdziału), które zostaną poddane analizie prowadzącej dalej do między innymi zrekonstruowania metafor ludzkiego doświadczenia, symboli i relacji władzy i wiedzy. Przez dyskurs rozumiemy przestrzeń symboliczną składającą się z powiązanych ze sobą przedmiotów i praktyk budujących system symboliczny i ład społeczny. Naszymi źródłami były więc

313 W powojennej Polsce kontynuowano konkursy zapoczątkowane przez powołany przez Floriana Znanieckiego w 1921 roku Polski Instytut Socjologiczny. Rozpisywano dziesiątki konkursów dla górników, kobiet, rolników, działaczy społecznych, robotników, mieszkańców miast i wsi i wiele innych. Liczba konkursów i liczba zgromadzonych w efekcie relacji pamiętnikarskich ustanowiła swoisty światowy rekord. Inicjatywy konkursów wychodziły głównie z Komisji Badań nad Pamiętnikarstwem (1964), a następnie powstałego w 1969 roku Towarzystwa Przyjaciół Pamiętnikarstwa (TPP) oraz Centrum Pamiętnikarstwa Polskiego (CPP). W jego władzach zasiadali profesorowie: J. Chałasiński, J. Szczepański, B. Gołębiowski, S. Jakubczak.

314 A. Appadurai, *Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji*, Kraków 2005, s. 33.

także: szeroko pojęta ikonografia – zdjęcia oraz filmy i nagrania audio z archiwów publicznych i prywatnych, przedmioty z epoki, przestrzeń i architektura.

Pośród źródeł pojawiła się również socjologiczna i pedagogiczna literatura fachowa z epoki, a w szczególności narzędzia badawcze socjologów (surowe i opracowane ankiety) oraz prace magisterskie powstałe na wydziałach nauk społecznych krakowskiej i warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Ten korpus materiałów potraktowaliśmy dwójako – jako reprezentację dyskursu naukowego i społecznego, ale także bardziej tradycyjnie, jako źródło danych, informacji faktograficznych.

Współczesna polska socjologia sportu jest kontynuacją, a zarazem dyskontynuacją dziedziny, której instytucje powołano do życia w połowie lat 50. XX wieku, kiedy to w warszawskim Instytucie Naukowym Kultury Fizycznej powstał, na bazie zlikwidowanej katedry marksizmu i leninizmu, Zakład Socjologii Sportu (1957) kierowany przez Andrzeja Wohla. Pierwsze pokolenie socjologów, jak pisze Zbigniew Krawczyk, „jednoznacznie identyfikowało się z ideologiczno-metodologicznymi założeniami materializmu historycznego w wersji radzieckiej”³¹⁵. Kolejne generacje badaczy z późniejszej Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie zbudowały solidny fundament polskiej socjologii sportu wpisującej się w ogólny trend rozwoju tej dziedziny nauki w Polsce³¹⁶. Socjologia

315 Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, dz. cyt., s. 123.

316 Należy tu wymienić, oprócz wspomnianego Andrzeja Wohla – inicjatora badań nad kulturą fizyczną w środowisku wiejskim i autora opracowań na ten temat, profesora Zbigniewa Krawczyka – autora teoretyczno-pojęciowych ram polskiej socjologii sportu, czy Barbarę Krawczyk – autorkę pierwszych empirycznych badań na temat sportu wiejskiego, która przygotowała podstawowy zestaw narzędzi badawczych używanych do

w Polsce w latach 60. i 70. przeżywała swój złoty wiek. W ustroju centralnego planowania istniało olbrzymie zapotrzebowanie na badania naukowe i ekspertyzy oraz prognozy³¹⁷. Dzięki temu realizowane mogły być duże projekty badawcze, masowe badania ankietowe, a także szeroko zakrojone badania terenowe w paradygmacie socjologii jakościowej³¹⁸. Nie brak było w środowisku socjologów polityczno-ideologicznych deklaracji wierności doktrynie i teorii „rozwinętego socjalizmu”, ale według Zbigniewa Krawczyka „ta frazeologia była bardziej kwestią konwencji aniżeli głęboko zinternalizowanych teoretycznych zasad warsztatu naukowego”³¹⁹. Jest to sąd, który można sprawdzić, sięgając dzisiaj, po kilkudziesięciu latach, po ówczesną dokumentację z badań i ich opracowania. Na przykład spuścizna po badaniach zespołu Andrzeja Sicińskiego, przechowywana w Archiwum Danych Jakościowych Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, stanowi świadectwo bogatego warsztatu polskich socjologów, mimo że powstałego w specyficznym dyskursie naukowym. Teoretyczne propozycje wysunięte przez kierownika zespołu są klasyką polskiej socjologii, jakkolwiek przez samego Sicińskiego były wielokrotnie korygowane. Podobnie nadal

wielu projektów realizowanych na olbrzymią skalę przez zespół socjologów z AWF w Warszawie.

317 Na temat nomenklatury zob.: Z. Krawczyk, *Kultura fizyczna jako przedmiot badań socjologicznych*, w: *Socjologia kultury fizycznej*, dz. cyt., s. 11–25.

318 J. Straczuk, *Andrzeja Sicińskiego badania stylów życia – spojrzenie z dystansu*, „Kultura i Społeczeństwo” 2015, t. 59, nr 3, s. 63–83; A. Siciński i in., *Styl życia – kultura – wybór*, „Kultura i Społeczeństwo” 1985, t. 29, NV–2, s. 289–294; P. Gliński, *Założenia i praktyka jakościowych badań stylów życia*, „Kultura i Społeczeństwo” 1990, t. 34, nr 1, s. 39–50; Z. Benedyktowicz, *Andrzeja Sicińskiego koncepcja otwartości i badań interdyscyplinarnych*, w: P. Gliński, A. Kościński, *Siciński i socjologia*, Warszawa 2009.

319 Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, dz. cyt., s. 124.

inspirujące są teksty teoretyczne i analizy materiału empirycznego autorstwa pozostałych badaczy pracujących w zespole³²⁰. Podobnej jakości badań prowadzonych przez polskich socjologów w latach 60. i 70. jest dużo więcej, aczkolwiek równie wiele naukowych przedsięwzięć socjologicznych z tamtego okresu nie wytrzymało próby czasu, i to nie tylko z uwagi na polityczną zmianę. Naszym zdaniem, dla uważnego i krytycznego historyka najnowszych dziejów literatura socjologiczna tamtego okresu, niezależnie od jej jakości naukowej, może być kuszącym źródłem historycznym.

Socjologii sportu zawdzięczamy prowadzone od lat 50. empiryczne badania nad takimi na przykład zagadnieniami jak uwarunkowania sportu w środowisku wiejskim. Był to temat przez wiele lat realizowany przez magistrantów i doktorantów Andrzeja Wohla, autora książki *Sport wiejski a przeobrażenia wsi polskiej*³²¹. Za cel postawiono

odkrycie społecznych mechanizmów asymilacji sportu w środowisku wiejskim. Uchwycenie zarówno pozytywnych, jak i negatywnych impulsów sportu wiejskiego, specyficznie wiejskich właściwości tego sportu, kształtowanego pod wpływem środowiska o wewnętrznej strukturze innej niż środowisko miejskie³²².

320 Zob. A. Siciński i in., *Styl życia – kultura – wybór*, dz. cyt.; *Styl życia, obyczaje, ethos w Polsce lat siedemdziesiątych – z perspektywy roku 1981*. Szkice, red. A. Siciński, Warszawa 1983; A. Siciński, *Styl życia – problemy pojęciowe i teoretyczne*, w: *Styl życia. Koncepcje, propozycje*, dz. cyt., s. 15–32.

321 A. Wohl, *Social Aspects of the Development of Rural Sport in Poland, According to Research*, „International Journal for the Sociology of Sport” 1966, t. 1, nr 1, s. 109–137; A. Wohl, *Sport wiejski a przeobrażenia wsi polskiej*, dz. cyt.

322 B. Krawczyk, *O specyfice sportu wiejskiego...*, dz. cyt., t. 1, s. 277–293.

Studenci przygotowywali prace dyplomowe w oparciu o studia przypadków we wsiach i małych ośrodkach miejskich Polski centralnej i wschodniej (często miejscowości rodzinnych), choć nierzadko znaleźć można w archiwum AWF w Warszawie prace magisterskie z innych regionów. Jednolity warsztat badawczy, w jaki zostali wyposażeni, niwelował, choć oczywiście nie do końca, niedostatek naukowy tych prac wynikające z różnych poziomów kompetencji badawczych autorów. Historyk, sięgając do prac magisterskich z seminarium Wohla, znajdzie w nich obszerne cytaty z odpowiedzi na ankiety lub fragmenty transkrybowanych wywiadów, nie mówiąc o ilościowych zestawieniach wyników ankiet czy przytaczanych dokumentach lokalnych instytucji, które nie przetrwały do naszych czasów, ani nie zachowały się ich archiwalia³²³.

Wiele trudniej z taką intencją poznawczą korzysta się z publikacji naukowych socjologów sportu. Zdecydowana większość badaczy, instytucjonalnie sytuowana w akademiach wychowania fizycznego, intelektualnie poruszała się w swoich analizach w ramach marksistowskiej teorii dialektycznej oraz w przestrzeniach zakreślanych ideologią i zapotrzebowaniem władzy³²⁴.

323 Podobne źródła w postaci archiwalnych prac magisterskich, choć nie o takim zasięgu oraz bez waloru tak spójnego warsztatu badawczego, przechowywane są w Akademii Wychowania Fizycznego im. B. Czecha w Krakowie oraz innych uczelniach tego typu w Polsce.

324 Z. Duszyński, *Rola wychowania fizycznego i sportu w obronności kraju*, „Kultura Fizyczna” 1964, nr 7–8; J. Gaj, *O problemach patriotycznego i internacjonalistycznego wychowania młodzieży w ruchu sportowym*, „Kultura Fizyczna” 1969, nr 5; J. Rutkowski, *Rola i zadania ruchu sportowego w wychowaniu młodzieży i społeczeństwa*, „Kultura Fizyczna” 1962, nr 7–8; J. Szydłak, *Sport – szkołą patriotyzmu i ideowego zaangażowania w budownictwie socjalizmu*, „Kultura Fizyczna” 1971, nr 1; A. Wohl, *Socjalistyczny model sportu*,

Jak zauważali współcześni badacze zachodni, „socjologów w krajach Europy Wschodniej charakteryzuje podejście normatywne do spraw sportu”³²⁵. Z czasem pojawiły się nowe orientacje, w tym symboliczny interakcjonizm, ale stanowiły raczej efemerydę niż nurt, który przyniósłby polskiej socjologii sportu nową jakość w zakresie refleksji teoretycznej³²⁶.

Profesor Krawczyk ubolewał, że „uwiad” tej refleksji doprowadził do dominacji socjologii empirycznej, która zupełnie odeszła od koncepcji ogólnych ku faktom wyjaśnianym na poziomie co najwyżej teorii mikrosocjologicznych, „bądź też – najczęściej – bez uciekania się do jakiegokolwiek teorii, sięgając raczej do zasad myślenia potocznego”. W tego rodzaju badania zaangażowała się większość badaczy, a empiryczna socjologia sportu objęła tak wiele obszarów problemowych, że była w stanie „osiągnąć ogólną diagnozę faktycznego stanu rzeczy”, ujawniając „liczne symptomy zastoju bądź dewiacji”³²⁷. Dzięki temu mamy dziś do dyspozycji liczne publikacje z szerokiego wachlarza społecznych zagadnień sportu: od sportu wyczynowego i olimpizmu po szkolne kluby sportowe, od turystyki wysokogórskiej do okolicznościowych spartakiad, od sportu uprawianego w klubach przy wielkich zakładach przemysłowych po problemy Ludowych Zespołów Sportowych.

„Kultura Fizyczna” 1979, nr 7; A. Wohl, *W sprawie tak zwanego amatorstwa państwowego*, „Kultura Fizyczna” 1955, nr 12; J. Zajdel, *Sport wiejski w naszym dziesięcioleciu*, „Kultura Fizyczna” 1954, nr 8.

325 G. Lüschen, G. Sage, *Sport in Sociological Perspective*, w: *Handbook of Social Science of Sport*, red. G. Lüschen, G. Sage, Champaign, Il. 1981, cyt. za: Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, dz. cyt., s. 123.

326 A. Tyszka, *Komunikacja symboliczna jako jedna z funkcji sportu*, w: *Sport w społeczeństwie współczesnym*, dz. cyt.

327 Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, dz. cyt., s. 125.

Paradoksalnie, te z nich, które są przykładem owej jałowej teoretycznie, acz pilnej pracy empirycznej, stanowią lepsze, z punktu widzenia historyka, źródło wiedzy. Podlegające oczywiście krytyce, jak każde źródło historyczne tworzone w określonym systemie językowym epoki, środowiska (naukowego) i sytuacji. Badacz powinien analizować owe teksty – reprezentacje dyskursu – w relacjach do innych tekstów jako części struktury znaczeń³²⁸. Poza tym, co dobitnie znalazło wyraz w publikacjach naukowych tamtego okresu – w owej uderzającej czytelnika dzisiejszego „frazelogii” – znajduje się myślenie o kulturze fizycznej, które wywodzi się z wieku XIX i które przetrwało dłużej niż polityczny system i obowiązująca teoria naukowa. Ideał człowieka wszechstronnie rozwiniętego w procesie wychowania i socjalizacji, który był fundamentem systemu kultury fizycznej w społeczeństwie „realnego socjalizmu”, mimo iż w praktyce poszczególne elementy tego systemu ulegały różnym interpretacjom (służebnym wobec doraźnych celów politycznych), przetrwał do dzisiaj w definowaniu charakteru, celów i etyki sportu tak powszechnego, jak i wyczynowego, w praktykach i dokumentach życia społecznego: w działalności organizacji społecznych (sportowych i nie tylko) i w polityce państwa, w założeniach działań instytucji ponadnarodowych. *Ustawa o sporcie z dnia 25 czerwca 2010 roku* głosi:

Sportem są wszelkie formy aktywności fizycznej, które, przez uczestnictwo doraźne lub zorganizowane, wpływają na wypracowanie lub poprawienie kondycji fizycznej i psychicznej,

328 G. Tuchmann, *Historical Social Sciences: Methodologies, Methods and Meanings*, w: *Handbook of Qualitative Research*, red. N.K. Denzin, Y. Lincoln, Thousand Oaks 1994, s. 315–316.

rozwój stosunków społecznych lub osiągnięcie wyników sportowych na wszelkich poziomach³²⁹.

W wydanym w 2012 roku *Poradniku animatora sportu* czytamy z kolei:

dostrzeżmy wielką rolę sportu w formowaniu postaw ludzi i społeczności – sport to jedna najlepszych metod resocjalizacji, kształtowania osobowości, zwalczania złych nawyków. (...)

Przed wszystkim sport uczy ludzi przez doświadczenie (...) – pokazuje, czym jest praca grupowa, pozwala testować budowanie koalicji, uczy tworzyć strategię, buduje zaufanie i te wszystkie kompetencje, które czynią nas społecznie sprawnymi. Dodatkowo, włączenie sportu w edukację dzieci i młodzieży pozwala wyrobić w nich bezcenne cechy charakteru: wytrwałość, nastawienie na wysiłek, dążenie do efektów, lepsze zarządzanie czasem, samodyscyplinę³³⁰.

Według badań Projektu Społecznego 2012 zadbanie o sport powszechny ma znaczenie nie tylko dla zdrowia, ale również dla lokalnej współpracy, rozwijania obywatelskiego zaangażowania (we wszystkie sprawy lokalne, nie tylko sportowe), wzmocnienia działań organizacji pozarządowych, pielęgnowania więzi między ludźmi³³¹.

329 Ustawa o sporcie z dnia 25 czerwca 2010 roku, Dz. U. nr 127, poz. 857.

330 I. Derlatka, A. Goldys, O. Ślifirska, K. Tadeusiak-Jeznach, *Poradnik animatora sportu. Sport dla wszystkich, zdrowie dla każdego*, Warszawa 2012, s. 16–17.

331 Tamże, s. 10.

Dyskursowi sportu i kultury fizycznej traktowanego jako świat składający się z powiązanych ze sobą przedmiotów i praktyk wytwarzających tożsamości aktorów społecznych, historycznym i politycznym warunkom jego powstania i funkcjonowania warto poświęcić osobne opracowanie. Tutaj chcieliśmy jedynie zaznaczyć, że socjologia kultury fizycznej z epoki tak dalece uznawanej za obcą w wartościach, także naukowych, nie jest wcale tak odległa.

Powróćmy do metodologii niniejszego projektu inspirowanej symbolicznym interakcjonizmem i teorią ugruntowaną. W klasycznej wersji tej metody badacz, bazując na empirii, buduje model warunków występowania zjawiska. Anselm Strauss i Juliet Corbin podsunęli wskazówkę, w jaki sposób porządkować dane i wiązać je ze sobą, aby stworzyć własny model³³². Graficzne przedstawienie tak zwanej matrycy warunków to koło, w którym, od jego peryferii do centrum wyszczególniony jest poziom międzynarodowy (polityka międzynarodowa, prawo dotyczące stosunków międzypaństwowych, kultura, wartości, gospodarka, historia i problemy w szerokim spektrum międzynarodowym), poziom krajowy (polityka wewnętrzna kraju, prawo, kultura, wartości, historia, gospodarka krajowa), poziom społeczności (tak jak wyżej, ograniczone do społeczności), poziom organizacyjny/institucjonalny (struktura, procedury, uregulowania, problemy i historia instytucji), poziom wewnątrzorganizacyjny (specyfika

332 A.L. Strauss, J.M. Corbin, *The Basics of Qualitative Analysis: Grounded Theory Procedures and Techniques*, Newbury Park 1990, s. 163, cyt. za: K. Konecki, *Studia z metodologii badań jakościowych. Teoria ugruntowana*, Warszawa 2000, s. 50–51.

relacji w instytucji, wzajemnego usytuowania formalnych struktur wewnątrz instytucji), poziom grupowo-indywidualny (biografia, wiedza, doświadczenia, światopogląd, filozofia osób oraz grup zawodowych, związkowych itp.), poziom interakcyjny (negocjacje, dominacja, nauczanie, dyskusja, konflikt, autorefleksja) i wreszcie w centrum – poziom działania (akcji), który ściśle wiąże się z poziomem interakcyjnym i dotyczy „aktywnego i ekspresywnego wyrażania siebie przez ludzi, by utrzymywać bądź wpływać na kierunek przebiegu danego zjawiska”³³³. Warunki strukturalne są w tym modelu ukazane jako kontekst działania i leżą w graficznym przedstawieniu w stałej odległości od centrum, czyli ich relacja do akcji i *vice versa* jest niezmienna.

W analizie sytuacyjnej – postmodernistycznej propozycji teorii ugruntowanej autorstwa Adele Clarke – matryca nie ma już tych właściwości. Jest tu mowa nie o warunkach zjawiska, lecz o „sytuacji działania”, a termin ten obejmuje i działanie, i warunki/kontekst. Tak jak nie da się klarownie rozdzielić podmiotu badającego od obiektu badanego, tak nie da się oddzielić kontekstów działania od niego samego, pisze Adele Clarke. Zaproponowana przez nią matryca sytuacji działania w graficznej postaci wygląda jak zbiór elementów rozchodzących się promieniście z centrum (którym jest „sytuacja działania”), a jednocześnie do niego się schodzących. Model Clarke nie uwzględnia podziału na poziomy makro i mikro, rozmieszczone są w nim bez specjalnego klucza kolejności czy wagi następujące elementy: polityczno-ekonomiczne, elementy ludzkie (indywidualne i kolektywne), przestrzenne i czasowe, symboliczne, społeczno-kulturowe, elementy od lokalnych do globalnych, zagadnienia kontestowane i kontrowersje,

333 K. Konecki, *Studia z metodologii badań jakościowych...*, dz. cyt., s. 51.

elementy organizacyjno-instytucjonalne, dyskursywne konstrukcje aktorów sytuacji, rzeczy/obiekty³³⁴. Wszystko na siebie oddziałuje, tworząc potencjał akcji, „warunki możliwości”³³⁵.

Przedstawiona konceptualizacja jest podstawowym narzędziem w tym warsztacie badawczym. W odniesieniu do niej tworzy się własne, adekwatne do konkretnego materiału empirycznego „mapy”, tradycyjnie zresztą używane w teorii ugruntowanej do pokazania różnych perspektyw. Umożliwia to szerokie spojrzenie na dane i rzeczywistość „wielostanowiskową etnografię”.

Dla celów naszego projektu propozycja metodologiczna Adele Clarke wydała się bardziej adekwatna. Postawiliśmy przeciw przed sobą zadanie zbadania podwójnie „oddolnych” punktów widzenia: nie tylko jednostek – aktorów społecznych, ale w dodatku mieszkających na prowincji. Kierowała nami również potrzeba zerwania z dominującym w historiografii ujęciem dziejów prowincji w Peerelu, w którym warunki lokalne działania jednostki podporządkowuje się warunkom wyższego rzędu. Rodzi się tu rzecz jasna wątpliwość historyka: czy można ten uniwersalny klucz zastosować do rzeczywistości, o której wiemy, że była wciśnięta w system niedemokratyczny, w niektórych okresach totalitarny? Czy symboliczny interakcjonizm w ogóle może mieć zastosowanie, skoro mówi o jednostkach działających i podejmujących wybory, a mamy do czynienia z reżimem politycznym i ustrojem społecznym, w którym wszelkie wybory były z zasady ograniczone? Podkreślmy z całą mocą – ta wiedza jest historyczna: jest naszą – historyków – perspektywą osadzoną w konkretnym

334 A.E. Clarke, *Situational Analysis. Grounded Theory After the Postmodern Turn*, Thousand Oaks–London–Delhi 2005, s. 73.

335 M. Foucault, *Narodziny kliniki*, Warszawa 1999.

czasie i paradygmacie naukowym, wynika ze specyficznych źródeł i naświetla doświadczenie historyczne tylko pod pewnym kątem – bez uwzględnienia osobistej perspektywy aktorów lub tylko we fragmencie takiej perspektywy. Jest z pewnością prawdziwa w odniesieniu do założeń, na których została ufundowana. Są to założenia, które co prawda nie mówią wprost o determinacji aktywności jednostek odgórnymi politycznymi warunkami, ale pozostawiają to w sferze sugestii albo domysłu. Wiedza ta nie wyczerpuje słownika doświadczenia codziennego ani języka aktorów badanej rzeczywistości. I to przestrzeń, która nas interesuje, w której jest miejsce na osobistą wolność wyboru, interpretację i skąd zaczyna się działanie.

Clarke proponuje następującą procedurę analityczną, a zarazem formę sprawozdania z badań, która polega na konstruowaniu trzech rodzajów map: map sytuacyjnych – prezentacji elementów składających się na sytuację działania i relacji pomiędzy nimi; map światów społecznych/aren – kartograficznych metafor zbiorowych działań, relacji i zaangażowania aktorów; map pozycyjnych – uproszczonych przedstawień przeplatających się perspektyw (pozycji, stanowisk) artykułowanych i nieartykułowanych wprost w dyskursach.

Elementami map są aktywni aktorzy społeczni (jednostki, ale też grupy lub instytucje), aktanty (mogą to być przedmioty, zwierzęta, organizacje) biorące udział w interakcjach świata społecznego. Podstawowa mapa sytuacyjna powinna zawierać wszystkie elementy danej sytuacji, jakie widzą jej uczestnicy i badacz. Pytania zarysowujące mapy to: Kogo i co zawiera sytuacja? Kto i co ma w niej znaczenie? Które elementy są w niej czynnikami zmiany? Mapy światów społecznych/aren mają pokazywać poziom społecznego działania, tj. jednostki będące bytami społecznymi

poprzez ciągle angażowanie się w światy społeczne i ich działania, jednocześnie kreujące dyskursy i będące przez nie kreowane. Żeby skonstruować mapę światów społecznych/aren, należy zacząć od pytań: Jakie są wzory zbiorowego zaangażowania i z jakimi światami społecznymi mamy do czynienia? Z kolei zadaniem mapy pozycyjnej jest w miarę możliwości czytelne wyłożenie wyrażonych w materiale empirycznym punktów widzenia na podstawowe dyskursywne zagadnienia w nim obecne, na sprawy, do których przykładana jest największa waga lub które w sytuacji działania są kontestowane. Na mapie powinny się znaleźć owe zagadnienia, opinie o nich, zaznaczony ich brak tam, gdzie można byłoby się ich spodziewać oraz różnice w ważnych, centralnych dla danej sytuacji opiniach.

Chcąc, jak pisaliśmy we wstępie, pogodzić rolę historyka, który ma przekazać swoją wiedzę o przeszłości w sposób narracyjny, i rolę badacza, który powinien na etapie analiz przygotować, a następnie przedstawić sprawozdanie z badań w postaci opisanych wyżej rodzajów map, zdecydowaliśmy się podjąć próbę kompromisu. Staraliśmy się, aby nasza opowieść zawierała wszystkie elementy, które na przestrzeni całego obserwowanego okresu decydowały o kształcie i kierunku zjawiska ujętego w metaforę „stadionu na peryferiach”. Głównym problemem poznawczym w projekcie był diachroniczny wymiar poszczególnych czynników, takich jak np. elementy społeczno-polityczne czy tzw. dyskursywne konstrukcje aktorów zbiorowych. O ile wykonalne i zasadne, naszym zdaniem, było umieszczenie wszystkich tych składników sytuacji obecnych przez cały Peerel, choć w różnych latach, na mapie podstawowej, to już stworzenie graficznego przedstawienia mapy światów społecznych/aren (relacji między nimi, działań etc.) i mapy pozycyjnej dla tak długiego okresu byłoby

bardzo ryzykowne z punktu widzenia historyka, który zawsze pamięta o zmiennościach i wyjątkach. Jednoznaczność graficznej wypowiedzi takich map wymusza także dużą precyzję, jak zwykle opartą o empirię. To z kolei, naszym zdaniem, jest możliwe przy opisie krótkich przedziałów czasowych i w wąskim zakresie przestrzennym. Wydaje się, że taką opisową mapę światów społecznych i relacji między nimi, konfliktów i negocjacji, elementów dyskursywnych, które powodują, że badana „sytuacja działania” jest faktycznie rzeczywistością dynamiczną, w której widać sprawczość aktorów, udało nam się stworzyć. *Stadion na peryferiach* jest w swej formie kompromisem zawartym w obliczu wymagań metody badawczej, a to znaczy, że opowiadamy przede wszystkim o zjawisku – o jego warunkach, czynnikach zmiany i znaczeniach, prowadząc narrację w oparciu o wybrane, istotne i najbardziej adekwatne przykłady. Zatem nie wszystkie fakty, tylko niektóre postacie i nieliczne teksty źródłowe spośród masy, z którą zapoznaliśmy się w ciągu kilku ostatnich lat, znalazły swe miejsce w finałowej opowieści. Tego, jak to historykom, trochę nam żal, ale mimo to liczymy, że opowieść ta jest bliska doświadczeniu historycznemu wielu Czytelników.

Bibliografia prac cytowanych

Autobiograficzne relacje ustne

- Stanisław Barczak, wywiad z 24.05.2014, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.
- Jan Bordzoł, wywiad z 25.04.2014, Nowodwór, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.
- Tadeusz Guz, wywiad z 15.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.
- Jerzy Jedut, wywiad z 5.03.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.
- Jerzy Jedut, rozmowa niezarejestrowana, grudzień 2016, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak.
- Teresa Kurkowska, wywiad z 8.07.2015, Konarzyce k. Łomży, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.
- Zdzisław Kurkowski, rozmowa niezarejestrowana, 2.05.2014, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan.
- Waldemar Kosowski, wywiad z 23.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.
- Stanisław Niciński, wywiad z 27–28.02.2016, Otwock, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.
- Andrzej Orłowski, wywiad z 29.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.
- Antoni Połomski, wywiad z 20.08.2013, Kolno, rozmawiała M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.
- Janusz Pożak, wywiad z 2.02.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Bronisław Szymański, wywiad z 21.08.2013, Kolno, rozmawiała
M. Kurkowska-Budzan, nagranie w archiwum autorki.
Jan Tomala, wywiad z 24.05.2014, Lubartów, rozmawiał M. Stasiak,
nagranie w archiwum autora.
Lech Wójcik i Małgorzata Kanar, wywiad z 24.04.2014, Lubartów,
rozmawiał M. Stasiak, nagranie w archiwum autora.

Pamiętniki, dzienniki i wywiady opublikowane

- 78-letnia babcia nie może uwierzyć, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej*.
Nowe Zawody. Pamiętniki, Warszawa 1969.
- Cena dziedzictwa, pam. nr 2011, w: *Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki*,
Seria Młode pokolenie wsi Polski Ludowej, Pamiętniki i Studia,
t. 5, Warszawa 1968.
- M. Dąbrowska, *Dzienniki powojenne 1945–1965*, Warszawa 1996.
- M. Derecki, *Mój Lubartów*, Lubartów 2008.
- Dole i niedole działacza, pam nr 4944, w: *W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki*
działaczy, Warszawa 1966.
- Cz. Dutka, *Wódki nie ma, jest klub*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1978*:
antologia pamiętnikarstwa polskiego, t. 3, Warszawa 1983.
- Gospodyni z maturą, pam. nr 4693, w: *Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki*,
Seria Młode pokolenie wsi Polski Ludowej, Pamiętniki i Studia,
t. 5, Warszawa 1968.
- K. Górski, *Pół wieku z piłką*, Warszawa 1985.
- B. Hejduk, *Reminiscencje z pracy w LP [Liceum Pedagogicznym]*, (on-line):
http://sulech.net/show.php?products_id=41 (dostęp 3.08.2016).
- B. Hejduk „Rocznik 1920”, *Trudne początki*, w: *Pamiętniki wychowawców*
fizycznych, Warszawa 1977.

- A. Hirsz, *Jestem zwolennikiem pewnej surowości w wychowaniu...*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1978. Antologia pamiętnikarstwa polskiego*, t. 3, Warszawa 1983.
- J. Kałwa, *Bodaj nigdy nie wróciły dawne czasy...*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1978. Antologia pamiętnikarstwa polskiego*, t. 3, Warszawa 1983.
- L. Kowalski, *Pamiętnik byłego komunisty*, Konin 2014.
- W. Lubański, *Życie jak dobry mecz. Włodzimierz Lubański w rozmowie z Michałem Olszańskim*, Kraków 2016.
- Mój dzień pracy wynosi nieraz 12 godzin*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia*, Warszawa 1969.
- Najgorsza była dla mnie niedziela*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. T.VII: Nowe zawody. Pamiętniki*, Warszawa 1969.
- Nienawiść*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. T.VII: Nowe zawody. Pamiętniki*, Warszawa 1969.
- W. Rogalewski, *Posadzone przeze mnie tuje potężnie się rozkrzewiły*, w: *Sport robotniczy*, t. V, red. A Wohl, Warszawa 1968.
- A. Skrzypkowski, *Pierwsze kroki*, w: *Sport robotniczy*, t. IV, red. A Wohl, Warszawa 1968.
- J. Sobota, *Panie starosto, tu musi być szkoła*, w: *Nauczycieli portret własny*, Rzeszów 1985.
- Sprawny do Pracy i Obrony. Regulamin część I*, Warszawa 1951.
- T. Święch „Abe”, *Nie jest za późno*, w: *Pamiętniki wychowawców fizycznych*, Warszawa 1977.
- L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, Warszawa 1989.
- Uparta, *Wiedza jest dla wytrwałych*, w: *Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia*, Warszawa 1969.
- W kręgu działania, pamiętnik nr 4743*, w: *W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy*, Warszawa 1966.
- L. Wójcik, *W UL nauczyłam się dobijać do celu*, w: *Pamiętniki Polaków 1918–1978. Antologia pamiętnikarstwa polskiego*, t. 3, Warszawa 1983.

- Wychowanek Uniwersytetu Ludowego, pam. nr 4562, w: Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki, Seria Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia, t. 5, Warszawa 1968.*
- Za dużo „okazji” z wódką, pam nr 3393, w: W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy, Warszawa 1966.*
- Ziemia legitymowała chłopą jak psa łańcuch, pam. nr 4333, w: Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki, Seria Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia, t. 5, Warszawa 1968.*
- Zniknie różnica, pam nr 4833, w: W poszukiwaniu drogi. Pamiętniki działaczy, Warszawa 1966.*
- Żonie sprzeciwić się nie sposób, pam. nr 4125, w: Gospodarstwo i Rodzina. Pamiętniki, Seria Młode pokolenie wsi Polski Ludowej. Pamiętniki i Studia, t. 5, Warszawa 1968.*
- J. Żuk, Pokonane diabły, w: Pamiętniki Polaków 1918–1979. Antologia pamiętnikarstwa polskiego, t. 3, Warszawa 1983.*

Pozostałe cytowane źródła i opracowania

- R. Aleksander, Wychowanie fizyczne i sport w regionie sądeckim na tle przemian społeczno-ekonomicznych w okresie XXX-ecia PRL, praca doktorska w maszynopisie, AWF Kraków 1976.*
- A. Appadurai, Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji, Kraków 2005.*
- Archiwum Polskiego Radia w Warszawie, Czas pokoleń – sprawy społeczne, 1976, sygn. 15546/1.*
- Art in Theory 1900–1990: An Anthology of Changing Ideas, red. Ch. Harrison, P. Wood, Oxford and Cambridge Mass. 1992.*
- Z. Bauman, Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności, Toruń 1995.*

- Z. Benedyktowicz, *Andrzeja Sicińskiego koncepcja otwartości i badań interdyscyplinarnych*, w: P. Glišński, A. Kościanański, *Siciński i socjologia*, Warszawa 2009.
- Biało-czerwoni z Chrzęstawy*, reż. K. Kamiński, Polska 2014.
- S. Biegun, *Rozwój i funkcja wychowawcza sportu wiejskiego w województwie krakowskim w latach 1945–1960*, praca magisterska w maszynopisie, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego w Krakowie 1960.
- E. Burgess, *The Growth of the City*, w: *The City*, red. R. Park, E. Burgess, Chicago 1925.
- W. Caban, *Struktura społeczno-zawodowa mieszczaństwa guberni radomskiej w połowie XIX w.*, „Kieleckie Studia Historyczne” 1994, t. 12.
- Centra i peryferie*, red. B. Gołębiowski, Łomża 1999.
- J. Chelmecki, *Działalność Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego w latach 1946–1948*, w: *Z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, t. II, Wrocław 1996.
- A. Cholewa, *Powstanie i działalność klubu sportowego na przykładzie wsi Czernochowice w latach 1923–1946*, maszynopis, AWF Kraków 1978.
- A.E. Clarke, *Situational Analysis. Grounded Theory After the Postmodern Turn*, Thousand Oaks-London-Delhi 2005.
- K. Dąbrowski, *Sport w świadomości robotników i pracowników Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Warszawa 1974.
- M. Demel, A. Skład, *Teoria wychowania fizycznego*, Warszawa 1974, s. 18, cyt. za *Socjologia kultury fizycznej*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1995.
- M. Deptuła, *Wychowanie fizyczne i sport w Żywiecczyźnie w latach 1945–1974, oraz główne determinanty jego rozwoju*, praca doktorska w maszynopisie, AWF Kraków 1977.
- I. Derlatka, A. Goldys, O. Ślifirska, K. Tadeusiak-Jeznach, *Poradnik animatora sportu. Sport dla wszystkich, zdrowie dla każdego*, Warszawa 2012.

- C. Derylak, *Sport w świadomości mieszkańców wsi na podstawie wybranych wsi powiatu lubartowskiego*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Warszawa 1973.
- Dokumenty i uchwały w dziedzinie kultury fizycznej (do dnia 1 IX 1954 r.)*, Warszawa 1954.
- Z. Duszyński, *Rola wychowania fizycznego i sportu w obronności kraju*, „Kultura Fizyczna” 1964, nr 7–8.
- A. Dynia, *Stan i perspektywy rozwoju kultury fizycznej w Pińczowie*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Kraków 1979.
- R. Edelman, *Serious Fun. A History of Spectator Sports in the USSR*, New York-Oxford 1993.
- J. Ferenc, *Sport w służbie polityki. Wyścig Pokoju 1948–1989*, Warszawa 2008.
- J. Ferrao, R. Lopes, *Understanding Peripheral Rural Areas as Contexts for Economic Development*, w: *The Future of Europe's Rural Peripheries*, red. L. Labrianidis, Ashgate 2004.
- M. Foucault, *Narodziny kliniki*, Warszawa 1999.
- H.G. Gadamer, *Prawda i metoda. Zarys hermeneutyki filozoficznej*, Kraków 1993.
- J. Gaj, *O problemach patriotycznego i internacjonalistycznego wychowania młodzieży w ruchu sportowym*, „Kultura Fizyczna” 1969, nr 5, nr 7–8.
- D. Gałąj, *Przenikanie wartości i wzorów zachowań – „urbanizacja wsi” i „ruralizacja miasta”*, „Wieś i Rolnictwo” 1983, nr 3.
- M. Gałka, A. Warta, *Działalność sportowa na wsi jako czynnik integracji społecznej i rozwoju środowiska na przykładzie LKS „Naroże” Juszczyn*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Kraków 1984.
- V. Girginov, *Totalitarian Sport: Towards an Understanding of its Logic, Practise and Legacy*, „Totalitarian Movements and Political Religions” 2004, t. 5, nr 1.
- B. Glaser, A.L. Strauss, *The Discovery of Grounded Theory: Strategies for Qualitative Research*, Chicago 1967.

- P. Gliński, *Założenia i praktyka jakościowych badań stylów życia*, „Kultura i Społeczeństwo” 1990, t. 34, nr 1.
- A. Górka, *Rodzina wiejska jako środowisko wychowawcze i jej oddziaływanie na stan zachowania się ucznia, postępy w nauce oraz stan zdrowia i sprawność fizyczną. Na podstawie materiałów zebranych w szkołach podstawowych nr 2, 3 w Lipnicy Małej*, praca magisterska w maszynopisie, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego w Krakowie, Kraków 1963/64.
- I. Góźdź, *Trzydzieści lat taekwon-do w Lubartowie*, Lubartów 2013.
- A. Grupińska, *Opowieści polskich Żydów*, cz. 4, „Dwutygodnik” (on-line:) <http://www.dwutygodnik.com/artukul/1395-z-opowieści-polskich-zydow-4.html>, (dostęp 20.07.2016).
- R. Grygowicz, *Rozwój sportu wiejskiego na terenie gminy Gorlice w latach 1969–1990*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Kraków 1990.
- M. Grzywacz, *Złote tryumfy Haliny Konopackiej*, „Ale Historia!” 2016, nr 22, (on-line:) <http://wyborcza.pl/alehistoria/1,121681,20506360,zlote-triumfy-haliny-konopackiej.html>, (dostęp 28.06.16).
- A. Gutowski, *Drogi rozwoju kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1956*, Warszawa 1965.
- Gwizdek, reż. G. Zariczny, Polska 2012.
- C.M. Hall, D. Harrison, D. Weaver, G. Wall, *Vanishing Peripheries: Does Tourism Consume Places?*, „Tourism Recreation Research” 2013, vol. 38 (1).
- E. Hałas, *Symbol i społeczeństwo. Szkice z socjologii interpretacyjnej*, Warszawa 2007.
- D. Harrison, *The Sociology of Modernization and Development*, London 1988.
- M. Hłasko, *Baza Sokołowska*, w: *Pierwszy krok w chmurach. Następny do raju*, Wrocław 1999.
- J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, Warszawa 1985.

- A. Izydorczyk, *Założenia polityki społecznej w dziedzinie masowej kultury fizycznej i turystyki*, „Zeszyt Naukowy AWF w Krakowie, Wydz. Turystyki i Rekreacji” 1978, t. 16.
- E. Jagiełło-Lysiowa, *Elementy stylów życia ludności wiejskiej. Próba diagnozy społecznej i prognozy*, w: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, red. A. Siciński, Warszawa 1978.
- E. Jagiełło-Lysiowa, *Zawód rolnika oraz czas wolny w świadomości starszego i młodszego pokolenia wsi*, „Wieś Współczesna” 1960, nr 12; 1961, nr 1.
- A. Jawłowska, A. Pawełczyńska, *Mechanizmy makrospołeczne a różnicowanie stylu życia*, w: *Styl życia. Przemiany we współczesnej Polsce*, red. A. Siciński, Warszawa 1978.
- W. Jemielity, *Szkoły podstawowe w powiecie łomżyńskim w latach 1944–1950*, „Studia Łomżyńskie”, t. XVI.
- Kalendarz Robotniczy na rok 1955*, Warszawa 1954.
- L. Kocoń, *Meldunki sytuacyjne starostów powiatowych z Łomży, Kolna i Wysokiego Mazowieckiego za lata 1944–1950 (cz. III)*, „Studia Łomżyńskie” 2005, t. XVI.
- K. Konecki, *Studia z metodologii badań jakościowych. Teoria ugruntowana*, Warszawa 2000.
- M. Kopeć, *Kultura fizyczna w świetle aktów*, w: *W kręgu kultury PRL. Sport*, red. D. Skotarczak, K. Bittner, Poznań 2015.
- K. Kosiński, *Oficjalne i prywatne życie młodzieży w czasach PRL*, Warszawa 2006.
- B. Krawczyk, *Kariera sportowa*, w: *Sport w kształtowaniu kultury i osobowości*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1983.
- B. Krawczyk, *O specyfice sportu wiejskiego (propozycja socjologicznej tematyki badawczej)*, „Roczniki Naukowe AWF w Warszawie” 1962, t. 1.
- Z. Krawczyk, *Kultura fizyczna jako przedmiot badań socjologicznych*, w: *Socjologia kultury fizycznej*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1995.
- Z. Krawczyk, *Sport jako czynnik akulturacji*, w: *Sport w społeczeństwie współczesnym*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1973.

- Z. Krawczyk, *Sport w zmieniającym się społeczeństwie*, Warszawa 2000.
- Księga listów PRL-u. Część pierwsza 1951–1956, red. G. Sołtysiak, Warszawa 2004.
- H. Kubiak, G. Babiński, M. Niezgoda, *Prasa regionalna jako popularyzator socjalistycznego stylu życia*, Kraków 1976.
- „Kultura Fizyczna” 1951, nr 1.
- M. Kurkowska-Budzan, *Antykomunistyczne podziemie zbrojne na Białostocczyźnie. Analiza współczesnej symbolizacji przeszłości*, Kraków 2009.
- Z. Kwieciński, *Budżet czasu uczniów a ich środowisko*, Warszawa 1979.
- S. Kvale, *Prowadzenie wywiadów*, Warszawa 2010.
- A. Lipińska, *Sport w świadomości mieszkańców wsi na podstawie wybranych wsi w powiecie Radzyń Podlaski*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Warszawa 1973.
- W. Lipoński, *Rochwist i palant. Studium etnologiczne dawnych polskich sportów i gier ruchowych na tle tradycji europejskiej*, Poznań 2004.
- Ch. Lowenthal, *The Past is a Foreign Country*, Cambridge 2015.
- G. Lörinczy, *Festyn twardostopych*, „Kontakty” 1981, nr 25.
- G. Lüschen, G. Sage, *Sport in Sociological Perspective*, w: *Handbook of Social Science of Sport*, red. G. Lüschen, G. Sage, Champaign, Il. 1981.
- W. Łukowski, *Společne tworzenie ojczyzn. Studium tożsamości mieszkańców Mazur*, Warszawa 2002.
- E. Małolepszy, *Rada Naukowa Wychowania Fizycznego wobec kultury fizycznej na wsi (1927–1939)*, w: *Z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, t. 7, red. L. Nowak, Gorzów Wlkp. 2006.
- G. Marcus, *Ethnography in/of the World System: The Emergence of Multi-Sited Ethnography*, „Annual Review of Anthropology” 1995, nr 24.
- M. Mazur, *O człowieku tendencyjnym. Obraz nowego człowieka w propagandzie komunistycznej w okresie Polski Ludowej i PRL 1944–1956*, Lublin 2009.

- A. Mehretu, B.W. Pigozzi, L.M. Sommer, *Concepts in Social and Spatial Marginality*, „Geografiska Annaler”, 82 B (2).
- Z. Michalska, *Organizacja czasu wolnego młodzieży klas VII i VIII w szkole podstawowej w Belnie*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Kraków 1981.
- A. Mikołajewicz, *Charakterystyka stosunków społeczno-rodzinnych młodocianych piłkarzy środowiska wiejskiego w powiecie kozielskim (na podstawie przeprowadzonych badań)*, praca magisterska w maszynopisie, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego w Krakowie 1963.
- W. Moklak, *Spółeczna charakterystyka wybranych kół LZS powiatu gorlickiego*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Warszawa 1966.
- D. Nałęcka, *Rekreacja ruchowa w strukturze czasu wolnego różnych środowisk społecznych*, w: *Współczesne uwarunkowania rekreacji i turystyki. Materiały z konferencji z okazji X-lecia Wydziału Turystyki i Rekreacji AWF w Krakowie*, Kraków 1987.
- P. Nesterowicz, *Każdy został człowiekiem*, Wołowiec 2016.
- P. Niciejewski *Going to the Match*, Warszawa 2016
- A. Nowakowski, *Zarządzanie kulturą fizyczną w Polsce w latach 1944–2001: studium historyczno-porównawcze*, Rzeszów 2005.
- M. Ochmański, *50 lat Klubu Sportowego „Lewart” w Lubartowie*, Lubartów 1973.
- M. Okoński, W. Lubański, *Włodek, nie chciałbyś grać u nas w Realu?*, „Gazeta Wyborcza. Magazyn Świąteczny” 2016, 4.04.
- M. Ordyłowski, *Wielkie imprezy sportowe jako kampanie propagandowe PZPR w latach 1949–1956*, w: *Z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, t. 5, Gorzów Wlkp. 2002.
- Orka na ugorze*, pam nr 4234, w: *W poszukiwaniu drogi. Pamiątniki działaczy*, Warszawa 1966.
- A. Pawlak, *Jednostka w kulturze fizycznej*, w: *Socjologia kultury fizycznej*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1995.

- H. Pestka, *Łomżyński Klub Sportowy. 1928–2000*, Łomża 2000.
- J. Pęksa, *Etiudy na temat Juszczyna*, „Wiadomości Sportowe” 1969, nr 19 (13.05).
- J. Pieter, *Poznanie środowiska wychowawczego*, Kraków 1960.
- K. Plummer, *Documents of Life: An Introduction to the Problems and Literature of a Humanistic Method*, London 1988.
- Polska Kronika Filmowa nr 21/51.
- Polska Kronika Filmowa nr 38/50.
- W. Pomykało, *Kształtowanie ideału wychowawczego w PRL w latach 1944–1976*, Warszawa 1977.
- H. Radomski, „Wiadomości Sierakowickie” 2004, nr 10, (on-line:) <http://wiadomosci.sierakowice.pl/?a=1&id=366>, (dostęp 13.06.2016).
- J. Rappaport, *Community Psychology*, Chicago 1977.
- J. Rutkowski, *Rola i zadania ruchu sportowego w wychowaniu młodzieży i społeczeństwa*, „Kultura Fizyczna” 1962, nr 7–8.
- J. Sadowska, *Młodzież a stalinizm. Losy Związku Młodzieży Polskiej na Białostocczyźnie*, w: *Polska północno-wschodnia okresie stalinizmu – spojrzenie z perspektywy półwiecza*, red. K. Sychowicz, E. Świętochowska-Bobowik, W.F. Wilczewski, Białystok–Warszawa 2009.
- A. Siciński, *Hipotetyczne perspektywy przemian stylu życia*, w: *Styl życia. Koncepcje, propozycje*, red. A. Siciński, Warszawa 1976.
- A. Siciński, *Styl życia – problemy pojęciowe i teoretyczne*, w: *Styl życia. Koncepcje, propozycje*, red. A. Siciński, Warszawa 1976.
- A. Siciński i in., *Styl życia – kultura – wybór*, „Kultura i Społeczeństwo” 1985, t. 29.
- W. Ślaby, *Społeczna charakterystyka LZS-ów powiatu zambrowskiego*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Warszawa 1973.
- J. Straczuk, *Andrzeja Sicińskiego badania stylów życia – spojrzenie z dystansu*, „Kultura i Społeczeństwo” 2015, t. 59, nr 3.
- A. Strauss, *Negotiations*, San Francisco 1978.

- A. Strauss, L. Schatzman, R. Bucher, D. Ehrlich Danuta, M. Sabshin, *Psychiatric Ideologies and Institutions*, Glencoe N.Y 1964.
- A.L. Strauss, J.M. Corbin, *The Basics of Qualitative Analysis: Grounded Theory Procedures and Techniques*, Newbury Park 1990.
- Styl życia, obyczaje, ethos w Polsce lat siedemdziesiątych – z perspektywy roku 1981. Szkice*, red. A. Siciński, Warszawa 1983.
- E. Szpak, *Mentalność ludności wiejskiej w PRL. Studium zmian*, Warszawa 2013.
- M. Szpakowska, *Obyczaje Polskie. Wiek XX w krótkich hasłach*, Warszawa 2008.
- R. Szubert, *Kultura fizyczna w przemianach wsi polskiej w latach 1944–1956*, Wrocław 2010.
- R. Szubert, *Miejsce wiejskiej kultury fizycznej w strukturach państwowych w latach 1944–1956*, w: *Studia z najnowszej historii kultury fizycznej w Polsce*, red. L. Nowak, Gorzów Wlkp. 2000.
- P. Szulc, *Ideologizacja sportu w okresie stalinowskim na przykładzie województwa szczecińskiego*, w: *W kręgu kultury PRL. Sport*, red. D. Skotarczak, K. Bittner, Poznań 2015.
- J. Szydlak, *Sport – szkołą patriotyzmu i ideowego zaangażowania w budownictwie socjalizmu*, „Kultura Fizyczna” 1971, nr 1.
- L. Szymański, *Kultura fizyczna i turystyka w Polsce Ludowej 1944–1989*, Wrocław 2004.
- L. Szymański, *Kultura fizyczna w polityce II Rzeczypospolitej*, Wrocław 1995.
- L. Szymański, *Parlament polski wobec problemów kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1980*, Wrocław 1990.
- L. Szymański, *Ze studiów nad modelem kultury fizycznej w Polsce Ludowej 1944–1980*, Wrocław 1996.
- A. Świergoń, *Powstanie i działalność LKS „Roztocze” w Szczepieszynie w latach 1925–1990*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Kraków 1999.

- F. Tirado, A. Gálvez, *Positioning Theory and Discourse Analysis: Some Tools for Social Interaction Analysis*, „Forum Qualitative Sozialforschung / Forum: Qualitative Social Research” 2007, nr 8 (2), art. 31, (on-line:) <http://nbn-resolving.de/urn:nbn:de:0114-fqs0702317>.
- G. Tuchmann, *Historical Social Sciences: Methodologies, Methods and Meanings*, w: *Handbook of Qualitative Research*, red. N.K. Denzin, Y. Lincoln, Thousand Oaks 1994.
- B. Tuszyński, *Wyścig Pokoju 1948–1988*, Warszawa 1989.
- A. Tyszką, *Komunikacja symboliczna jako jedna z funkcji sportu*, w: *Sport w społeczeństwie współczesnym*, red. Z. Krawczyk, Warszawa 1973.
- Ustawa o sporcie z dnia 25 czerwca 2010 roku, Dziennik Ustaw nr 127, poz. 857.
- Ustawa z dnia 30 grudnia 1949 r. o organizacji spraw kultury fizycznej i sportu, w: *Dokumenty i uchwały w dziedzinie kultury fizycznej (do dnia 1 IX 1954 r.)*, Warszawa 1954.
- M. Wańkowicz, *Na tropach Smętka*, Kraków 1988.
- W.B., *Nie potrzeba Salomona*, „Zarzewie” 1969, nr 22 (1.06.).
- M. Wierzbicki, *Związek Młodzieży Polskiej i jego członkowie. Studium z dziejów funkcjonowania stalinowskiej organizacji młodzieżowej*, Warszawa 2006.
- A. Wohl, *Social Aspects of the Developement of Rural Sport in Poland, According to Research*, „International Journal for the Sociology of Sport” 1966, t.1, nr 1.
- A. Wohl, *Socjalistyczny model sportu*, „Kultura Fizyczna” 1979, nr 7.
- A. Wohl, *Sport wiejski a przeobrażenia wsi polskiej*, Warszawa 1977.
- A. Wohl, *W sprawie tak zwanego amatorstwa państwowego*, „Kultura Fizyczna” 1955, nr 12.
- T. Wolańska, *Rekreacja fizyczna*, Warszawa 1971.
- J. Zająć, *Rozwój Ludowego Klubu Sportowego „Orkan” w Rabie Wyżej w latach 1946–1990*, praca magisterska w maszynopisie, AWF Kraków 1991.

- J. Zajdel, *Sport na wsi*, Warszawa 1954.
- J. Zajdel, *Sport wiejski w naszym dziesięcioleciu*, „Kultura Fizyczna” 1954, nr 8.
- M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków-Warszawa 2012.
- A. Zawistowski, *Kombinat. Dzieje Zambrowskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego – wielkiej inwestycji planu sześcioletniego*, Białystok 2009.
- M. Zwiercan, *Idea nowego człowieka w kulturze rosyjskiej*, praca doktorska w maszynopisie, Uniwersytet Warszawski, Warszawa 2012.

Spis ilustracji

- s. 12: Halina, Wiesław i Stanisław Nicińscy podczas gimnastyki.
Źródło: zbiory Stanisława Nicińskiego.
- s. 17: Rynek w Kocku w dzień targowy, okres międzywojenny.
Źródło: Brama Grodzka – Teatr NN.
- s. 26: Uliczka w nieustalonej polskiej wsi, maj 1944 roku.
Źródło: NAC, sygn.: 2-7609.
- s. 40: Członkowie Ludowego Klubu Sportowego Orzeł Balin
w czasie pochodu pierwszomajowego w Balinie w 1950 roku.
Źródło: Miejska Biblioteka Publiczna w Chrzanowie, sygn.: CATL
43 J / 3.11.3
- s. 48: Drużyna Szkoły Podstawowej podczas Marszów Jesiennych
w Sępólnie Krajeńskim, 1950 rok.
Źródło: Biblioteka Publiczna im. Jarosława Iwaszkiewicza w Sępólnie Krajeńskim, udostępnił Zespół Szkół nr 1 w Sępólnie Krajeńskim.
- s. 53: Fotoreportaż ze szkoły podstawowej w Dąbrówce, lata pięćdziesiąte. Fot.: Zbyszko Siemaszko.
Źródło: NAC, sygn.: 51-333-13.

- s. 57: Fotoreportaż ze szkoły podstawowej w Dąbrowce, lata pięćdziesiąte. Fot.: Zbyszko Siemaszko.
Źródło: NAC, sygn.: 51-330-4.
- s. 80: Dzieci podczas zabawy na sankach, Warszawa, 1956 rok.
Źródło: NAC, sygn.: 51-451-13.
- s. 99: „Ciuchy” w Warszawie, pomiędzy 1955 a 1965 rokiem.
Źródło: NAC, sygn.: 51-297-1.
- s. 112–113: Lewart na swoim stadionie, okres międzywojenny.
Źródło: zbiory Tadeusza Guza.
- s. 119: Uczniowie Szkoły Podstawowej w Sępólnie Krajeńskim przygotowują się do biegu w workach, 1931 rok.
Źródło: Biblioteka Publiczna im. Jarosława Iwaszkiewicza w Sępólnie Krajeńskim, udostępnił Zespół Szkół nr 1 w Sępólnie Krajeńskim, sygn.: CATL 14 C / 4.5.1.
- s. 122: Dzieci grające w krokieta, wieś Wybranówka koło Bóbrki, 1924 rok.
Źródło: zbiory Ośrodka KARTA, udostępnił Tomasz Kamiński, sygn.: ok_0999_0002_010.
- s. 128–129: Afisz zapowiadający mecz piłkarski pomiędzy drużynami z Kolna i Grajewa, wrzesień 1928 roku.
Źródło: Biblioteka Narodowa.
- s. 135: Mecz piłki nożnej w Tarnawatce (pow. Tomaszów Lubelski), 1928 rok.

Źródło: zbiory Ośrodka KARTA, kolekcja Bronisława Voigta –
udostępniła Alicja Wojciechowska, sygn.: OK 007770.

- s. 151: Czesanie lnu, wieś lubelska, pomiędzy 1953 a 1970 rokiem.

Źródło: NAC, sygn.: 51-901-2.

- s. 157: Ćwiczenia gimnastyczne dziewcząt ze szkoły podstawowej
w Mońkach, 1949 rok.

Źródło: Biblioteka Publiczna W Mońkach.

- s. 164–165: Plakat zapowiadający ligowy mecz pomiędzy Lewartem
Lubartów a lubelskim klubem „Społem”, kwiecień 1946 roku.

Źródło: Biblioteka Narodowa.

- s. 178: Dobczyce, stadion KS „Raba”. Odbudowa miejscowego sta-
dionu przez członków klubu i pierwszy rozegrany na nim po
wojnie mecz.

Źródło: zbiory Marty Kurkowskiej-Budzan.

- s. 189: Mecz piłkarski w Konarzycach koło Łomży, sierpień 1988 roku.

Źródło: Biblioteka Publiczna Gminy Łomża z siedzibą w Pod-
górzu, sygn.: CATL 112 E / 7.3.4.

- s. 192: PGR w Wojnowie koło Bydgoszczy. W tle budynek stołówki
zakładowej ze świetlicą na piętrze, 1976 rok.

Źródło: NAC, sygn. 40-G-164-1.

- s. 195: Zambrów, grudzień 1973 roku.

Źródło: NAC, sygn. 40-G-150-1.

s. 207: Zebranie Rady Powiatowej LZS w Lubartowie, 1975 rok. Na mównicy Lech Wójcik.

Źródło: zbiory Lecha Wójcika.

s. 226: Uroczyste otwarcie II Międzynarodowych Igrzysk Sportowych Młodzieży na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, 1 sierpnia 1955 roku.

Źródło: NAC, sygn. 51-371-1.

s. 230: Spartakiada Rady Powiatowej Ludowych Klubów Sportowych w Chrzanowie w 1955 roku.

Źródło: Miejska Biblioteka Publiczna w Chrzanowie, sygn. CATL 43 J / 6.1.6.

s. 237: Siedziba Klubu Prasy i Książki „Ruch” w Matyldowie koło Sochaczewa, 1974 rok.

Źródło: NAC, sygn. 40-8-109-2.

s. 245: Zawody w przeciąganiu liny podczas odbywającej się pod patronatem „Dziennika Ludowego” imprezy popularyzującej sport na wsi, wieś Przytyk, 1971 rok, fot.: Grażyna Rutowska.

Źródło: NAC, sygn. 40-S-47-3.

s. 249: Święto Ziemniaka, 9 października 1977 roku. Uroczystości odbyły się na stadionie miejskim w Mońkach.

Źródło: Biblioteka Publiczna w Mońkach, sygn. CATL 8 C / 1.1.18.

s. 250–251: Pochód pierwszomajowy w Lubartowie, lata siedemdziesiąte.

Źródło: zbiory Lecha Wójcika.

s. 263: XIV edycja Wyścigu Pokoju. Zawodnicy wjeżdżający na płytę stadionu Dziesięciolecia, 1961 rok.

Źródło: NAC, sygn. 51-448-12.

s. 270: Wiejska rodzina przed telewizorem, 1977 rok.

Źródło: NAC, sygn.: 40-2-269-2.

s. 274: Janusz Pożak (przyjmuje gratulacje) podczas finału plebiscytu na dziesięciu najlepszych sportowców Ludowych Zespołów Sportowych w 1979 roku, fot.: Grażyna Rutowska.

Źródło: NAC, sygn.: 40-S-52-14.

s. 278: Wyścig kolarski na ulicach Lubartowa, lata pięćdziesiąte.

Źródło: zbiory Tadeusza Guza.

s. 285: Przed treningiem kolarskim. Na zdjęciu Andrzej Orłowski (trener) i Sławomir Milewski (w środku), wieś Ptaki k. Kolna, połowa lat siedemdziesiątych.

Źródło: zbiory Sławomira Milewskiego.

s. 289: Koreańscy tenisiści stołowi podczas meczu w Lubartowie, 1974 rok.

Źródło: zbiory Małgorzaty Kanar i Lecha Wójcika.

s. 298: Tyszowce na Lubelszczyźnie, 1968 rok. Na pierwszym planie drewniana chata kryta strzechą, w tle murowany dom jednorodzinny.

Źródło: NAC, sygn.: 40-G-125-1.

s. 303: Karczew, 1979 rok.

Źródło: NAC, 40-2-283-4.

s. 311: Na szkolnym boisku, Ostrów Lubelski, 1977 rok.

Źródło: NAC, 40-X-56-1.

s. 315: Pierwszy pokaz taekwondo w Lubartowie, 1984 rok.

Źródło: zbiory Jerzego Jeduta.

Spis treści

5	Podziękowania
7	Wstęp
13	Rozdział I: Pokolenie
73	Rozdział II: Dzikie boiska
111	Rozdział III: Bilans otwarcia
143	Rozdział IV: Stadion na peryferiach
221	Rozdział V: Nowy człowiek na nowym stadionie
261	Rozdział VI: Rowerem w świat
293	Rozdział VII: Światła miasta
321	Rozdział VIII: Suplement, czyli jak poznawaliśmy stadiony na peryferiach
351	Bibliografia prac cytowanych
365	Spis ilustracji

Książka *Stadion na peryferiach* jest bardzo ciekawym przykładem uprawianej w nowoczesny sposób nauki historycznej. Z pewnością jest to tekst interdyscyplinarny, i to w prawdziwym tego słowa znaczeniu, sięga bowiem zarówno do historii i jej warsztatu, do metod stosowanych w socjologii czy w antropologii kultury. Można go również zaliczyć do kategorii – niestety tak rzadkiej dotąd w Polsce – badań nad *mentalité*, co jeszcze bardziej podnosi jego wartość. Podobnie jak dostrzegalne wątki z historii wizualnej, mówionej, historii materialnej i historii przestrzeni. Nie odważyłbym się napisać, czego tutaj jest więcej. Dlatego całość robi tak pozytywne wrażenie. W skrócie, praca dotyczy zarówno tego, „jak było”, jak wyglądał sport w przestrzeni geograficznych i kulturowych peryferii w okresie głównie powojennym, ale również, jak myśleli o nim (myślą) bohaterowie opowieści (aktorzy społeczni) posiadający pamięć o przeszłości. Jednak podstawowym tematem według mnie jest społeczeństwo małych miasteczek i wsi, które niezbyt często znajduje się w polu zainteresowań historyków, a jeśli już, to traktowane jest jak margines potrzebny do przedstawienia przemian politycznych. Tutaj mamy do czynienia z wyobrażeniem społeczności jako motywem prymarnym. Sport wydaje się wręcz pewnym instrumentem do jej pokazania. Dodatkową zaletą jest zastosowanie oddolnej perspektywy pozwalającej dostrzec różne aspekty w zupełnie innym świetle albo po prostu pozwalające zarejestrować wątki dotąd niedostępne.

(z recenzji dr. hab. Mariusza Mazura)

